

# Dean KOONTZ

— Mamy twoją żonę. Odzyskasz ją za dwa miliony w gotówce.

— Człowieku, ty mnie nie słuchasz.  
Jestem ogrodnikiem.



— Wiemy o tym.

— To jakiś obłąd. Skąd wezmę dwa miliony dolców?

— Znajdziesz sposób...

## Mąż



**KOONTZ DEAN R**

**Maz**

# DEAN KOONTZ

*Z angielskiego przełożył ANDRZEJ SZULC Tytuł oryginału: THE HUSBAND*

*Powieść tą dedykuję Andy'emu i Anne Wickstromom oraz Wesleyowi J. Smithowi i Debrze J. Saunders: dwóm dobrym mężom i ich dobrym żonom, a także dobrym przyjaciołom, w których obecności zawsze robi się*

***jaśniej.***

*Odwaga to gracia w obliczu zagrożenia. Ernest Hemingway*

*Miłość jest wszystkim, co istnieje, To wszystko, co o niej*

*wiemy...*

*Emily Dickinson, przełożył Stanisław Barańczak*

## CZEŚĆ I

Co mógłbyś

zrobić

z miłości?

Człowiek zaczyna umierać w chwili swoich narodzin. Większość ludzi nie zwraca uwagi na cierpliwe zaloty Śmierci; dopiero w podeszłym wieku, złożem chorobą, spostrzegają, że siedzi przy ich łożu.

W swoim czasie Mitchell Rafferty będzie mógł wskazać, kiedy uświadomił sobie, że nie da się uniknąć śmierci – stało się to w poniedziałek, czternastego maja o godzinie 11.43, na trzy tygodnie przed jego dwudziestymi ósmymi urodzinami.

Do tego czasu rzadko myślał o umieraniu. Urodzony optymistą, oczarowany pięknem natury, odnoszący się pogodnie do ludzi, nie miał powodu i skłonności, by zastanawiać się, jak i kiedy poddana zostanie próbie jego śmiertelność.

Kiedy ta chwila nadeszła, był na klęczkach.

Do zasadzenia pozostało mu jeszcze trzydzieści czerwonych i fioletowych niecierpków. Kwiaty nie pachniały, ale łechtą go mile w nozdrza woń żyznej ziemi.

Jego klienci, właściciele tego domu, lubili nasycone kolory: czerwony, fioletowy, ciemnożółty, jaskraworóżowy. Nie zaakceptowałyby białych albo pastelowych kwiatów.

Mitch ich rozumiał. Wychowani w biedzie, dorobili się majątku, ciężko harując i sporo ryzykując. Życie było dla nich czymś intensywnym i nasycone kolory odzwierciedlały bujność natury.

Tego na pozór zwykłego, lecz w rzeczywistości doniosłego

ranka kalifornijskie słońce przypominało maślaną kulę. Niebo miało wilgotny połysk.

Dzień był ciepły, nie upalny, lecz mimo to Ignatius Barnes obficie się pocił. Pot lśnił mu na czole i kapał z podbródka.

Pracując na tej samej grządce, dziesięć stóp od Mitcha, Iggy sprawiał wrażenie ugotowanego na twardo. Od maja do lipca jego skóra nie reagowała na promienie słońca uwolnieniem melaniny, lecz ognistym rumieńcem. Przez jedną szóstą roku, zanim się w końcu opalił, Iggy wyglądał, jakby bez przerwy czerwienił się ze wstydu.

Iggy nie miał zmysłu symetrii i harmonii potrzebnych przy projektowaniu terenów zielonych i nie można mu było powierzyć przycinania róż. Nie obijał się jednak w robocie i był dobrym kumplem, nawet jeżeli niezbyt inteligentnym.

–Słyszałeś, co się przytrafiło Ralphowi Gandhi? – zapytał.

**–Kto to jest Ralph Gandhi?**

**–Brat Mickeya.**

**–Mickeya Gandhiego? Jego też nie znam.**

**–Na pewno znasz – odparł Iggy. – Zagląda czasem do Rolling Thunder.**

**–W barze Rolling Thunder zbierali się surferzy.**

**–Nie byłem tam od lat – przyznał Mitch.**

**–Od lat? Mówisz serio?**

**–Tak.**

**–Myślałem, że nadal tam wpadasz.**

**–Rozumiem, że bardzo za mną tęsknią?**

**–Przyznaję, że nikt nie ochrzcił jeszcze twoim imieniem stołka przy barze. A co? Znalazłeś sobie jakiś lokal lepszy od Rolling Thunder?**

**–Pamiętasz, że trzy lata temu byłeś na moim weselu? – zapytał Mitch.**

**–Jasne. Mieliście wspaniałe tacos z owocami morza, ale kapela była do luftu.**

**–Nie byli wcale do luftu.**

**Człowieku, oni grali na tamburynach.**

**–Mieliśmy skromny budżet. Nie grali przynajmniej na akordeonie.**

**–Bo gra na akordeonie przekraczała ich umiejętności. Mitch wykopał dołek w sypkiej ziemi.**

**–Nie grali również na dzwoneczkach.**

**–Mam chyba geny Eskimosa – poskarżył się Iggy, ocierając czoło przedramieniem. – Oblewam się potem przy dziesięciu stopniach.**

**–Bary już mnie nie rajcują – przyznał Mitch. – Rajcuje mnie małżeństwo.**

**–W porządku, ale mógłbyś chyba pogodzić Rolling Thunder z małżeństwem?**

**–Wolę być w domu niż gdziekolwiek indziej.**

**–Och, szefie, to smutne – zafrasował się Iggy.**

**–To nie jest smutne. To najlepsza rzecz pod słońcem.**

**–Jeżeli zamkniesz lwa w zoo na trzy albo sześć lat, nigdy nie zapomni, jak wyglądała wolność.**

**–Skąd wiesz? – zapytał Mitch, sądząc niecierpki. – Pytałeś lwa?**

**–Nie muszę go pytać. Sam jestem lwem.**

**–Jesteś beznadziejnie nudnym surferem.**

**–I jestem z tego dumny. Cieszę się, że poznałeś Holly. To wspaniała kobieta. Ale ja mam swoją wolność.**

**–To wspaniale, Iggy. I co z nią robisz?**

**–Co robię z czym?**

**–Ze swoją wolnością. Co robisz ze swoją wolnością?**

**–Wszystko, co chcę.**

**–Na przykład co?**

**–Wszystko. Jeśli na przykład chcę dziś na kolację pizzę z parówkami, nie muszę pytać, czego ona chce.**

**–Radykalne podejście.**

**–Jeśli chcą skoczyć do Rolling Thunder na parę piw, nikt nie będzie mi ciosać kołków na głowie.**

**–Holly nie ciosa mi kołków na głowie.**

**–Mogę co noc zalewać się w trupa i nikt nie będzie**

**dzwonić i pytać, kiedy wracam do domu. Mitch zaczął gwizdać „Born Free”.**

**–Jeżeli podrywa mnie jakaś laska – kontynuował Iggy – mogę z nią pobaraszkować.**

**–Bez przerwy cię podrywają... te seksowne laski?**

**–W dzisiejszych czasach kobiety są śmiałe. Wiedzą, czego chcą i po prostu to biorą.**

–Iggy, kiedy sobie ostatnim razem podupczyłeś, John Kerry był przekonany, że zostanie prezydentem – powiedział Mitch.

–To nie było tak dawno temu. – Więc co się przytrafiło Ralphowi? – Jakiemu znów Ralphowi? – Bratu Mickeya Gandhiego. – A, jemu. Legwan odgryzł mu nos. – Paskudna sprawa.

–Na Wedge były zajebiste dziesięciostopowe fale, więc Ralph i jeszcze kilku facetów pojechali tam na nocną jazdę. – Wedge był ulubionym przez surferów cyplem przy końcu półwyspu Balboa w Newport Beach. – Zapakowali do lodówek kanapki i piwo i jeden z nich zabrał Minga – podjął Iggy.

–Minga?

–Tak miał na imię ten legwan. – Więc był oswojony? – Ming był zawsze bardzo słodki. – Myślałem, że legwany są kapryśne. – Nie, są kochane. Sęk w tym, że jakiś palant, nawet nie

surfer, ale ktoś, kto się normalnie przyplątał, dał Mingowi ćwierć dawki metadonu zawinięte w plasterek salami.

–Naćpane gady – mruknął Mitch – to nie najlepszy pomysł.

–Ming na metadonie to było zupełnie inne zwierzę niż

normalny Ming – potwierdził Iggy.

Mitch odłożył motykę i ukucnął na podszwach roboczych butów.

–Więc teraz Ralph Gandhi nie ma nosa? – zapytał. – Ming nie zjadł mu nosa. Po prostu go odgryzł i wypluł. – Może nie smakowało mu hinduskie żarcie.

–Mieli tam dużą lodówkę z mrożoną wodą i piwem.

Włożyli do niej nos i pognali z nim do szpitala.

–Zabrali ze sobą Ralpa?

–Musieli go zabrać. To był jego nos.

–No nie wiem – mruknął Mitch. – Mówimy o surfe-rach.

–Powiedzieli, że kiedy wyciągnęli nos z mrożonej wody, był trochę siny, ale chirurg plastyczny przyszył go i teraz wcale nie jest siny.

–Co się stało z Mingiem?



**–Padł. Przez cały dzień był zupełnie nieprzytomny. Ale teraz jest tak samo łagodny jak przedtem.**

**–To dobrze. Trudno byłoby wysłać go na odwyk. Mitch wstał, zebrał trzy tuziny pustych doniczek i odniósł je do swojego pick-upa z przedłużoną skrzynią.**

**Samochód stał przy krawężniku, w cieniu figowca. Chociaż osiedle wzniesiono zaledwie przed pięciu laty, wielkie drzewo zdążyło już unieść chodnik. Mitch wiedział, że agresywne korzenie zablokują niedługo dreny i naruszą system kanalizacyjny.**

**W wyniku decyzji dewelopera, który chciał zaoszczędzić sto dolarów i nie założył membran przeciwkorzeniowych, trzeba będzie wydać dziesiątki tysięcy na roboty hydrauliczne, ziemne i betoniarskie.**

**Sadząc figowce, Mitch zawsze montował membrany przeciwkorzeniowe. Nie musiał zapewniać sobie pracy na przyszłość. Natura dbała o to, by nie brakowało mu roboty.**

**Na ulicy panowała cisza, nie jechał nią żaden pojazd. Nawet najmniejszy powiew nie poruszał gałązkami drzew.**

**Przecznice dalej, po drugiej stronie jezdni pojawił się mężczyzna z psem. Pies, retriever, więcej czasu poświęcał wywąchiwaniu wiadomości zostawionych przez jego pobratymców niż spacerowi.**

**Cisza była tak głęboka, że Mitchowi wydawało się niemal, że słyszy jego ziajanie.**

**Złote słońce i złoty retriever, złote powietrze i zapowiedź dnia, piękne domy za szerokimi trawnikami.**

**Mitcha Rafferty'ego nie stać było na dom w tej okolicy. Cieszył się, że może tu pracować.**

**Można kochać wielką sztukę, ale nie chceć mieszkać w muzeum.**

**Zauważył zniszczoną głowicę zraszacza w miejscu, gdzie trawnik stykał się z chodnikiem. Wziął narzędzia z pick-upa i ukląkł na trawie, odrywając się na chwilę od sadzenia niecierpków.**

**Zadzwoiła jego komórka. Odpiął ją od paska i otworzył klapkę. Na ekranie widać było godzinę – 11.43 – ale nie wyświetlił się numer dzwoniącego. Mimo to odebrał telefon.**

**–Wielka Zielen – powiedział. Taką właśnie nazwą nadał przed dziewięciu laty swojej firmie, chociaż dziś już nie pamiętał dlaczego.**

**–Kocham cię, Mitch – powiedziała Holly.**

**–Cześć, kochanie.**

**–Cokolwiek się zdarzy, kocham cię.**

**Nagle krzyknęła z bólu. Brzęk i łomot sugerowały walkę. Przerażony Mitch wyprostował się.**

**–Holly?**

**Jakiś facet powiedział coś, facet, który trzymał teraz**

**słuchawkę. Mitch nie usłyszał słów, ponieważ koncentrował się na hałasie w tle.**

**Holly jęknęła. Nigdy dotąd nie słyszał w jej głosie takiego tonu, takiego przerażenia.**

**–Ty skurwysynu – powiedziała i rozległ się ostry trzask, jakby ktoś ją spoliczkował.**

**Słyszysz mnie, Rafferty? – odezwał się w słuchawce obcy głos.**

**–Holly? Gdzie jest Holly?**

**–Nie bądź głupia. Leż na podłodze – powiedział facet,**

**ale nie mówił teraz do telefonu, nie mówił do Mitcha.**

**W tle odezwał się inny mężczyzna, lecz jego słowa zlewały się ze sobą.**

**–Jeśli wstanie, walnij ją. Chcesz stracić kilka zębów,**

**złotko? – zapytał ten z telefonem.**

**Holly była z jakimiś dwoma mężczyznami. Jeden z nich ją uderzył. Uderzył ją.**

**Mitch nie potrafił ogarnąć umysłem tego, co się działo. Rzeczywistość wydawała się mniej uchwytne od sennego koszmaru.**

**Bardziej autentyczny był naćpany metadoem legwan.**

**Iggy sadził przy domu niecierpki, spocony i zaczerwieniony od słońca, masywny jak zawsze.**

**–Teraz lepiej, złotko. Grzeczna dziewczynka. Mitch nie**

**mógł zaczerpnąć oddechu. Coś bardzo ciężkiego ścisnęło**

jego płuca. Chciał się odezwać, ale nie był w stanie wydać z siebie głosu, nie wiedział, co powiedzieć. Stojąc w jasnym słońcu, miał wrażenie, że leży w trumnie, żywcem pogrzebany.

–Mamy twoją żonę – powiedział facet przez telefon.

–Dlaczego? – usłyszał swój własny głos Mitch.

–A jak sądzisz, dupku?

Mitch nie wiedział dlaczego. Nie chciał tego wiedzieć. Nie chciał poznać odpowiedzi, ponieważ każda byłaby przerażająca.

–Sadzę kwiaty – powiedział.

–Odbiło ci, Rafferty?

–To właśnie robię. Sadzę kwiaty. Naprawiam zraszacze. – Jesteś nawalony czy co?  
– Jestem zwykłym ogrodnikiem.

–Mamy twoją żonę. Odzyskasz ją za dwa miliony w gotówce.

Mitch wiedział, że to nie żart. Gdyby to był żart, musiałaby brać w nim udział Holly, a ona nie miała tak okrutnego poczucia humoru.

–Popelniliście błąd.

–Słyszałeś, co powiedziałem? Dwa miliony. – Człowieku, ty mnie nie słuchasz. Jestem ogrodnikiem. – Wiemy o tym.

–Mam jakieś jedenaście tysięcy w banku. – Wiemy o tym.

Przerażony i dezorientowany Mitch nie zdążył nawet poczuć gniewu.

–Prowadzę dwuosobową firmę – dodał, czując, że musi to uświadomić, bardziej sobie aniżeli swojemu rozmówcy.

–Masz czas do północy w środę. Sześćdziesiąt godzin. Skontaktujemy się z tobą w sprawie szczegółów.

**Mitch oblał się potem.**

**–To jakiś obłąd. Skąd ja wezmę dwa miliony dolców?**

**–Znajdziesz sposób. Głos nieznajomego był twardy, nieprzejejdany. Takim**

**tonem mogłaby przemawiać Śmierć na filmie. – To niemożliwe – powiedział Mitch. – Chcesz znowu usłyszeć jej krzyk? – Nie. Nie chcę. – Kochasz ją? – Tak.**

**–Naprawdę ją kochasz? – Jest dla mnie wszystkim. To dziwne, że chociaż się spocił, było mu tak zimno.**

**–Jeżeli jest dla ciebie wszystkim – powiedział nieznajomy – znajdziesz jakiś sposób.**

**–Nie ma żadnego sposobu,**

**–Jeżeli pójdziesz na policję, utniemy jej palce jeden po drugim i skauteryzujemy rany. Utniemy jej język. I wykipimy oczy, A potem zostawimy ją, żeby umarła, szybko albo wolno, wedle życzenia.**

**W głosie nieznajomego nie było słycać groźby, wyłącznie rzeczowość, jakby wyjaśniał po prostu szczegóły biznesowej propozycji.**

**Mitchell Rafferty nie miał doświadczenia z takimi ludź-**

**mi. Równie dobrze mógłby rozmawiać z przybyszem z drugiego końca galaktyki.**

**Bał się odezwać, ponieważ uświadomił sobie nagle, że może łatwo, zupełnie niechcący powiedzieć coś niewłaściwego, w wyniku czego Holly zginie natychmiast.**

**–I żebyś wiedział, że nie żartujemy... – mruknął po**

**rywacz.**

**–Co? – zapytał po chwili milczenia Mitch.**

**–Widzisz tego faceta po drugiej stronie ulicy?**

**Mitch obrócił się i zobaczył samotnego pieszego, mężczyznę wyprowadzającego na spacer psa. Zdążyli przejść pół przecznicy.**

**Słoneczny dzień miał porcelanowy połysk. Strzał z karabinu zburzył ciszę; postrzelony w głowę mężczyzna padł na ziemię,**

**–Do północy w środę – powtórzył porywacz. – Jeste**

**śmy cholernie poważni.**

Pies przystanął, jakby to jego wzięto na muszkę: z podniesioną łapą, wyprostowanym, ale nieruchomym ogonem i uniesionym, szukającym tropu nosem.

Prawdę mówiąc, golden retriever nie zauważył strzelca. Zatrzymał się w pół kroku, zdezorientowany i zaskoczony upadkiem swojego pana.

Dokładnie po drugiej stronie ulicy Mitch również stał jak sparaliżowany. Porywacz zakończył rozmowę, lecz on nadal trzymał komórkę przy uchu.

Przesąd mówił, że jak długo nic nie zakłóci ciszy, jak długo ani on, ani pies się nie poruszają, akt przemocy będzie można odwrócić, czas się cofnie i pocisk wróci do lufy.

Rozum wziął górę nad magicznym myśleniem. Mitch przeciął ulicę, najpierw powoli, potem biegiem.

Jeżeli leżący mężczyzna był ranny, niewykluczone, że będzie można go uratować.

Pies pozdrowił zbliżającego się Mitcha pojedynczym machnięciem ogona.

Rzut oka na ofiarę rozwiął wszelkie nadzieje, iż można będzie jej udzielić pierwszej pomocy przed przyjazdem

karetki. Pocisk odstrzelił mężczyźnie pokaźny fragment czaszki.

Mitch, który nie miał dotąd styczności z prawdziwą przemocą, co najwyżej z okrojoną, odpowiednio przeanalizowaną, usprawiedliwioną i zneutralizowaną papką przekazywaną w telewizyjnych wiadomościach, poczuł, jak ogarnia go niemoc. W większym stopniu aniżeli lęk obezwładnił go szok.

W większym stopniu aniżeli szok poraziła go nagła świadomość istnienia wcześniej nieodczuwanych wymiarów. Przypomina? szczura w zapieczętowanym labiryncie, po raz pierwszy odwracającego wzrok od znajomych korytarzy i widzącego świat nad szklaną pokrywą, kształty i postaci, tajemnicze poruszenia.

Leżący obok swego pana golden retriever zadrżał i zaskomlał.

Mitch wyczuwał obecność kogoś innego poza psem, czuł się obserwowany. Właściwie więcej niż obserwowany. Badany. Otoczony opieką. Śledzony.

Serce waliło mu niczym kopyta pędzącego po kamienistej pustyni stada.

Rozejrzał się dookoła, lecz nie zobaczył strzelca. Strzał mógł zostać oddany z

każdego domu, z każdego dachu lub okna, względnie zza zaparkowanego samochodu.

Nie czuł zresztą, żeby obserwującą go osobą był strzelec. Nie czuł się obserwowany z daleka, lecz z intymnie bliskiego miejsca. Miał wrażenie, że ktoś unosi się tuż nad nim.

Od chwili kiedy zabity został mężczyzna wyprowadzający psa, minęło zaledwie pół minuty.

Huk wystrzału nie wywabił na zewnątrz żadnego z mieszkańców pięknych domów. W tej okolicy strzał karabinowy mógł zostać uznany za trzaśnięcie drzwi, zlekceważony nawet, kiedy odbił się echem.

Po drugiej stronie ulicy, przy domu klienta, Iggy Barnes podniósł się z kolan. Nie robił wrażenia zaalarmowanego, co najwyżej zdumionego, jakby on również usłyszał trzaś-

niecie drzwi i nie rozumiał, dlaczego ten człowiek leży, a jego pies skamle.

Do północy w środę. Sześćdziesiąt godzin. Płonący czas, płonące minuty. Mitch nie mógł pozwolić, by w popiół obracały się kolejne godziny, w trakcie których będzie objęty policyjnym śledztwem.

Maszerująca chodnikiem kolumna mrówek zmieniła kurs i popęzła, by poucztować we wnętrzu rozbitej czaszki.

Na prawie bezchmurnym niebie jeden z nielicznych obłoków zasłonił słońce. Promienie przygasły. Wyblakły cienie.

Zziębnięty Mitch odwrócił się od ciała, zszedł z chodnika, a potem się zatrzymał.

On i Iggy nie mogli tak po prostu załadować niezasadzo-nych niecierpków do pick-upa i odjechać. Istniało ryzyko, że zanim zdążą to zrobić, ktoś pojawi się i zobaczy trupa. Ucieczka i brak zainteresowania losem ofiary byłyby sygnałem, że mają coś na sumieniu, wzbudziłyby podejrzenia nie tylko policji, ale nawet zwykłego przechodnia.

Mitch wciąż trzymał w ręku wyłączoną komórkę. Przyjrzał się jej z przerażeniem.

Jeżeli pójdziesz na policję, utniemy jej palce jeden po drugim...

Porywacze spodziewali się, że Mitch wezwie władze albo poczeka, że zrobi to ktoś inny. Zabroniona była jednak wszelka.wzmianka o Holly, o porwaniu oraz o fakcie, że wyprowadzający psa mężczyzna został zabity, by dać Mit-chowi coś do zrozumienia.

**Niewykluczone, że jego nieznani przeciwnicy celowo postawili go w tej sytuacji, aby sprawdzić, czy potrafi trzymać gębę na kłódkę w stanic największego szoku, Z chwili gdy najłatwiej stracić nad sobą panowanie. Otworzył klapkę telefonu. Na ekranie ukazał się obraz kolorowej rybki w ciemnej wodzie. Po wpisaniu „9” i „1” zawahał się, a potem wcisnął ostatnią cyfrę. Iggy zostawił rydel i ruszył w stronę ulicy. Kiedy oficer dyżurny odebrał telefon po drugim**

**dzwonku, Mitch zdał sobie sprawę, że odkąd ujrzał roztrzaskaną głowę mężczyzny, jego oddech jest rozpaczliwy, urywany i chrapliwy. Przez moment nie mógł wykrztusić z siebie ani słowa, a kiedy w końcu popłynęły, nie rozpoznawał niemal własnego głosu.**

**–Został postrzelony mężczyzna. Nie żyję. To znaczy, on nie żyje. Został postrzelony i nie żyje.**



Policja otoczyła kordonem całą przecznicą. Radiowozy, furgonetki ekipy kryminalistycznej i karetka z kostnicy zastawiły całą jezdnię z niefrasobliwością tych, których nie dotyczą przepisy parkowania.

Pod nieustającym, bezlitosnym spojrzeniem słońca płonęły przednie szyby i błyszcząły karoserie. Na niebie nie było ani jednej chmurki, która posłużyłaby jako opaska pirata.

Gliniarze nosili okulary przeciwsłoneczne. Skrywali się za ciemnymi szklami i nie wiadomo było, czy spoglądają podejrzliwie na Michella Rafferty'ego, czy też nie zwracają na niego w ogóle uwagi.

Mitch siedział na trawniku przed domem swojego klienta, oparty plecami o pień daktylowca.

Od czasu do czasu słyszał chrobot pazurków na szczycie drzewa. Szczury lubiły zakładać wysokie gniazda w koronach daktylowców.

Pierzaste cienie liści nie dawały mu poczucia, że jest mniej widoczny. Czuł się jak na scenie.

W ciągu dwóch godzin dwa razy zadano mu kilka pytań.

Za pierwszym razem przesłuchiwali go dwaj detektywi w cywilu, za drugim tylko jeden. Uważał, że dobrze się spisał. Mimo to nie pozwolili mu jeszcze wracać do domu.

Iggy'ego przesłuchano na razie tylko raz. Nie miał znajdującej się w niebezpieczeństwie żony i żadnych sekretów. Poza tym wprawniejsze w oszukiwaniu byłoby od niego nawet sześćoletnie dziecko i doświadczeni śledczy powinni sobie z tego zdać sprawę.

Przypuszczalnie fakt, że gliniarze bardziej zainteresowali się Mitchem, był złym znakiem. A może nie miał żadnego znaczenia.

Iggy wrócił do pracy przed ponad godziną. Skończył już prawie sadzić niecierpki.

Mitch też wolałby się zająć sadzeniem. Własna bierność uświadamiała mu boleśnie upływ czasu. Minęły już dwie z sześćdziesięciu godzin.

Detektywi wyraźnie zaznaczyli, by Iggy i Mitch nie kontaktowali się ze sobą, ponieważ nawet w trakcie niewinnej rozmowy mogli nieświadomie uzgodnić swoje

zeznania, w wyniku czego jeden albo drugi pominąłyby jakiś ważny szczegół.

Mogło to być prawdą albo brednią. Niewykluczone, że rozdzielili ich po to, by odizolować Mitcha i wytrącić go z równowagi. Żaden z detektywów nie nosił okularów przeciwsłonecznych, ale Mitch nie potrafił nic odczytać w ich oczach.

Siedząc pod palmą, wykonał trzy telefony, pierwszy z nich pod numer domowy. Odebrała automatyczna sekretarka.

–Jesteś tam, Holly? – zapytał po sygnale dźwięko

wym. Porywacze raczej nie przetrzymywaliby porwanej w

jej

domu.

–Jeżeli tam jesteś, proszę, podnieś słuchawkę – po

wiedział mimo to.

Był w fazie zaprzeczenia, ponieważ ta sytuacja nie miała sensu. Porywacze nie uprowadzają żon ludzi, którzy muszą się martwić o ceny benzyny i artykułów spożywczych.

Człowieku, ty mnie nie słuchasz. Jestem ogrodnikiem.

Wiemy o tym.

Mam jakieś jedenaście tysięcy w banku. Wiemy o tym.

Muszą mieć nie po kolei w głowie. Coś sobie ubzdurali. Ich plan opiera się na szalonych fantazjach, których nie zrozumie rozsądny człowiek.

A może mają pomysł, którego jeszcze nie ujawnili. Może chcą, żeby obrabował dla nich bank.

Przypomniał sobie historię sprzed kilku lat o niewinnym człowieku, który obrabował bank w obroży z materiałami wybuchowymi. Przestępcy, którzy mu ją założyli, chcieli go użyć niczym sterowanego pilotem robota. Kiedy policja osaczyła biedaka, zdetonowali zdalnie bombę, dekapitując go, żeby nie mógł zeznawać przeciwko nim.

Wyłaniał się tylko jeden drobny problem. W żadnym banku nie ma dwóch milionów dolarów – w kasach i prawdopodobnie również w skarbcu.

Kiedy nikt nie odebrał telefonu w domu, zadzwonił na komórkę Holly, ale nie zdołał

skontaktować się z nią również pod tym numerem.

Zatelefonował także do biura nieruchomości, gdzie pracowała jako sekretarka, jednocześnie studiując, aby uzyskać licencję agenta.

–Zadzwoiła, że jest chora, Mitch – poinformowała go druga sekretarka, Nancy Farasand. – Nie wiedziałeś o tym?

–Kiedy wychodziłem rano z domu, kręciło jej się trochę w głowie – skłamał – ale myślałem, że jej przejdzie.

–Nie przeszło. Powiedziała, że to letnia grypa. Była bardzo rozżalona.

–Zadzwoię do niej do domu – odparł, choć oczywiście zrobił to już wcześniej.

Rozmawiał z Nancy przeszło półtorej godziny temu, między jedną, i drugą rozmową z detektywami.

Mijające minuty rozluźniają sprężynę w zegarku, lecz Mitch czuł się coraz bardziej spięty. Miał wrażenie, że zaraz pęknie mu coś w głowie.

Od czasu do czasu podlatywał do niego gruby trzmiel, krążył mu nad głową i bzyczał, zwabiony zapewne przez jego żółty podkoszulek.

Po drugiej stronie jezdni, przy końcu przecznicy, na trawniku przed jednym z domów stały, obserwując policję, trzy osoby, dwie kobiety i mężczyzna: sąsiedzi zainteresowani dramatycznymi wydarzeniami. Stali tam od chwili, gdy wywabiły ich z domu syreny.

Jakiś czas temu jedno z nich zniknęło w domu i wróciło z tacą ze szklankami, w których mogła być mrożona herbata. Szklanki skrzyły się w promieniach słońca.

Dwaj detektywi przespacerowali się ulicą, żeby przesłuchać to trio. Zrobili to tylko raz.

Teraz cała trójka stała tam, popijając herbatę i gawędząc, jakby nie obchodziło ich wcale, że snajper uśmiercił kogoś, kto spacerował po ich osiedlu. To interludium najwyraźniej sprawiało im przyjemność, w miły sposób urozmaicało codzienną rutynę, nawet jeżeli odbyło się to kosztem czyjegoś życia.

Mitchowi wydawało się, że sąsiedzi gapią się na niego uporczywiej niż na któregokolwiek z policjantów czy techników kryminalistycznych. Zastanawiał się, czy detektywi wypytywali ich o niego.

Żadna z trzech osób nie korzystała nigdy z usług Wielkiej Zieleni. Od czasu do

czasu musieli go jednak widywać, ponieważ miał pod swoją pieczęcią trzy posiadłości przy tej ulicy.

Nie podobali mu się ci ludzie. Nigdy się z nimi nie spotkał, nie znał ich nazwisk, ale żywił do nich szczerą niechęć.

Nie podobali mu się nie dlatego, że wydawali się tak perwersyjnie zadowoleni z siebie, i nie dlatego, że mogli złożyć na jego temat jakieś zeznania. Ta trójka nie podobała mu się – czuł do nich niemal nienawiść – ponieważ ich życie było uporządkowane, ich bliskim nie groziło olbrzymie niebezpieczeństwo.

Chociaż irracjonalna, żywiona przez niego animozja miała pewien walor. Podobnie jak niekończące się analizowanie kolejnych posunięć detektywów, odwracała jego uwagę od Holly.

Gdyby nie powściągnął nieco obaw o swoją żonę, rozpadłby się na kawałki. Nie było w tym cienia przesady. Zaskoczyło go to, jak bardzo -jak nigdy przedtem – czuł się kruchy.

Za każdym razem, gdy pojawiał się przed jego oczyma obraz jej twarzy, musiał go od siebie odsuwać, ponieważ piekły go oczy i przestawał wyraźnie widzieć. Serce zaczynało bić złowrogo ciężkim rytmem.

Emocjonalne wzburzenie, tak bardzo wykraczające poza szok, którego można doznać na widok ofiary postrzału, wymagałoby wyjaśnienia. Mitch nie ośmieliłby się ujawnić prawdy i nie wierzył, by udało mu się wymyślić coś, co przekonałoby gliniarzy.

Pierwszy z detektywów wydziału zabójstw – Mortonson – nosił skórzane półbuty, czarne spodnie i jasnoniebieską koszulę. Był wysoki, solidny i konkretny.

Drugi – porucznik Taggart – miał białe tenisówki, płócienne spodnie i czerwono-brązową koszulę hawajską. Fizycznie nie tak dominujący jak Mortonson, był również mniej oficjalny.

Mitch czuł większy respekt przed Taggartem aniżeli przed przytłaczającym Mortonsonem. Precyzyjnie przycięte włosy porucznika, jego gładko ogolone policzki, idealnie błyszczące zęby oraz nieskazitelnie białe tenisówki miały wprowadzić w błąd, a także uspić czujność podejrzanych, którzy mieli nieszczęście znaleźć się w kręgu jego zainteresowań.

Detektywi najpierw obaj przesłuchali Mitcha. Potem Taggart wrócił sam, rzekomo po to, żeby „doprecyzować” coś, co Mitch powiedział wcześniej. W rzeczywistości powtórzył wszystkie pytania, które zadał wcześniej. Być może chciał wychwycić sprzeczności pomiędzy wcześniejszymi i

**obecnymi zeznaniami Mitcha.**

**Oficjalnie Mitch był świadkiem. Jednak w sytuacji, kiedy nie ustalono zabójcy, dla gliniarza każdy świadek mógł się okazać podejrzanym.**

**Nie miał powodu zabijać spacerującego z psem nieznanego. Jeżeli gliniarze byli dość szaleni, by go o to podejrzewać, musieliby uznać, że Iggy był jego współnikiem. Tymczasem Iggy w ogóle ich nie interesował.**

**Najprawdopodobniej zdawali sobie sprawę, iż nie maczał palców w zabójstwie, ale przypuszczali, że coś przed nimi ukrywa.**

**Taggart ponownie ruszył w jego stronę. Jego tenisówki były tak białe, że wydawały się promieniować.**

**Kiedy porucznik podszedł bliżej, Mitch podniósł się z ziemi. Był spięty i chory ze zmartwienia, ale starał się sprawiać wrażenie co najwyżej zmęczonego i zniecierpliwionego.**

Opaleniżna detektywa Taggarta harmonizowała z jego koszulą hawajską. Za to kontrastujące z brązową twarzą zęby były białe niczym arktyczny krajobraz.

–Przepraszam za kłopot, panie Rafferty, ale mam do pana jeszcze kilka pytań. Potem będzie pan mógł stąd odjechać.

Mitch mógł odpowiedzieć wzruszeniem ramion lub skinieniem głowy. Uznał jednak, że milczenie może wydać się dziwne: człowiek, który nie ma nic do ukrycia, powinien być rozmowniejszy.

–Wcale się nie skarżę, poruczniku – odpowiedział po niezbyt fortunnym wahaniu, które można by uznać za wyrachowane. – Równie dobrze mogli zastrzelić mnie. Cieszę się, że żyję.

Detektyw starał się zachowywać swobodnie, ale miał oczy drapieżnego ptaka, przenikliwe niczym u jastrzębia i śmiałe jak u orła.

–Dlaczego pan tak twierdzi?

–Jeżeli strzelał, do kogo popadnie...

–Nie wiemy, czy tak było – odparł Taggart. – Dowody wskazują raczej na premedytację. Jeden strzał, doskonale wymierzony.

–Czy szaleniec z bronią nie może być wyszkolonym strzelcem?

–Oczywiście. Ale szaleńcy pragną na ogół zabić maksymalnie dużą liczbę osób. Psychopata z karabinem rąb-

nałby również pana. Facet dokładnie wiedział, kogo chce zastrzelić.

Mitch czuł się w jakiś irracjonalny sposób odpowiedzialny za tę śmierć. Popołniono morderstwo, aby potraktował poważnie porywaczy i nie zwrócił się o pomoc do policji.

Detektyw wyczuł być może ślad tego dręczącego go niesłusznie poczucia winy.

**–Kim jest ofiara? – zapytał Mitch, zerkając w stronę leżących po drugiej stronie ulicy zwłok, przy których nadal krzżeli się kryminaliſtycy.**

**–Jeszcze tego nie wiemy. Nie miał przy sobie dowodu tożſamoſci. I portfela. Nie wydaje ſię to panu dziwne?**

**–Człowiek nie zabiera portfela, wychodząc z psem na spacer.**

**–Ale normalny facet na ogół to robi – upierał ſię Taggart. – Ma przy sobie portfel, nawet kiedy myje samochód na podjeździe.**

**–Jak go zidentyfikujecie?**

**–Przy obroży psa nie ma licencji. Ale to rodowodowa suka, więc powinna miec wszczepiony mikrochip. Sprawdzimy to, kiedy tylko dostarczą nam skaner.**

**Przeprowadzony na drugą stronę ulicy i przywiązany do słupka skrzynki na listy, golden retriever odpoczywał w cieniu, przyjmując łaskawie hołdy wielbicieli.**

**Taggart uśmiechnął ſię.**

**–Goldeny ſą najlepsze. Miałem jednego jako dziecko.**

**Kochałem tego psa – powiedział i z powrotem zainteresował ſię Mitchem. – Wracając do pytań, o których mówiłem. Służył pan w wojsku, panie Rafferty?**

**W wojsku? Nie. Najpierw koſiłem trawę w cudzej firmie, potem poſzedłem na kurs ogrodniczy i rok po ukończeniu ſzkoły ſredniej założyłem własny biznes.**

**Pomyślałem, że mógł pan służyć w wojsku, bo nie przejął ſię pan zbytſnio strzałami.**

**–Przejąłem ſię, jak najbardziej – zapewnił go Mitch.**

**Spojrzenie, którym zmierzył go Taggart, miało go z całą**

**pewnością onieſmielić.**

**Mitch miał wrazenie, że oczy detektywa ſą soczewkami, przez które jego myſli ſą widoczne niczym mikroby pod mikroskopem. Kusilo go, żeby spuſcić wzrok, ale nie oſmielił ſię tego zrobić.**

**–Uslyszal pan strzal – podjal Taggart – i zobaczył padajacego męzczyznę, a mimo to przebiegl pan przez jezdnie, wchodzac na linie strzalu.**

**–Nie wiedziałem, że zginął. Myślałem, że mogę mu jakoś pomóc.**

**–To bardzo chwalebne. Większość ludzi starałaby się gdzieś ukryć.**

**–Nie jestem żadnym bohaterem. Impuls sprawił, że zapomniałem o zdrowym rozsądku.**

**–Może na tym właśnie polega bohaterstwo: że człowiek robi to, co należy, pod wpływem impulsu.**

**Mitch uciekł w końcu spojrzeniem w bok, mając nadzieję, że w tym kontekście jego unik będzie poczytany za przejaw skromności.**

**–Byłem głupi, a nie dzielny, poruczniku. Nie przyszło mi do głowy, że może mi coś grozić.**

**–Zatem myślał pan, że facet został postrzelony przypadkowo?**

**–Nie. Może. Nie wiem. Nic nie myślałem. Po prostu zareagowałem.**

**–Naprawdę nie przyszło panu do głowy, że coś panu grozi?**

**–Nie.**

**–Nie zdawał pan sobie z tego sprawy, nawet kiedy zobaczył pan ranę na jego głowie?**

**–Może trochę. Przede wszystkim zrobiło mi się nie  
dobrze.**

**Pytania zadawane były zbyt szybko. Wytrącały Mitcha z równowagi. Mógł niechcący ujawnić, że wie, dlaczego zabito mężczyznę, który wyprowadzał psa na spacer.**

**Trzmiel powrócił, głośno brzęcząc. Nie interesował się w ogóle Taggartem, ale krążył przy twarzy Mitcha, jakby chciał być świadkiem jego zeznań.**

**–Zobaczył pan ranę na jego głowie – podjął Taggart – lecz mimo to nie pomyślał pan, żeby się gdzieś ukryć.**

**–Nie.**

**–Dlaczego?**

**–Uznałem chyba, że skoro do tej pory mnie nie zastrzelili, już tego nie zrobią.**

**Więc nadal nie czuł się pan zagrożony. Nie.**



**–Powiedział pan dyspozytorowi w centrali, że pan nie**

**żyje – oznajmił Taggart, otwierając swój mały kołonotat-  
nik.**

**Zaskoczony Mitch spojrzał mu ponownie prosto w oczy.**

**–Że ja nie żyję?**

**–„Został postrzelony mężczyzna. Nie żyję. To znaczy, on nie żyje. Został postrzelony i nie żyje” – zacytował z notesu Taggart.**

**–Tak właśnie powiedziałem?**

**–Słyszałem nagranie. Brakowało panu tchu. Jakby był pan skrajnie przerażony.**

**Mitch zapomniał, że zgłoszenia pod numer 911 są nagrywane.**

**–Byłem chyba bardziej wystraszony, niż zapamiętałem.**

**–Najwyraźniej zdawał pan sobie sprawę z grożącego niebezpieczeństwa, lecz mimo to nie szukał pan schronienia.**

**Bez względu na to, czy Taggart potrafił czytać w myślach Mitcha, stronice jego własnego umysłu były zamknięte, błękitne oczy ciepłe, lecz nieprzeniknione.**

**–„Nie żyję” – zacytował ponownie detektyw.**

**–Przejęzyczenie. Pod wpływem paniki, dezorientacji... Taggart spojrzał ponownie na psa i znowu się uśmiechnął.**

**–Czy jest coś jeszcze, o co powinienem pana zapytać?**

**–zapytał ciszej niż poprzednio. – Cokolwiek, co chciałby pan powiedzieć?**

**Mitch przypomniał sobie krzyk Holly.**

**Porywacze zawsze straszą, że zabiją uprowadzonych, jeżeli zawiadomi się policję. Żeby z nimi wygrać, niekoniecznie trzeba przestrzegać ich reguł.**

**Policja skontaktowałaby się z Federalnym Biurem Śledczym. FBI ma bogate doświadczenie w takich sprawach.**

**Ponieważ Mitch nie był w stanie zebrać dwóch milionów, policja nie uwierzyłaby z początku w jego historię. Ale kiedy porywacz zadzwoniłby ponownie, przekonałoby**

ich to.

**A co będzie, jeśli ponownie nie zadzwoni? Co będzie, jeśli wiedząc, że Mitch zawiadomił policję, porywacz spełni swoją groźbę, okaleczy Holly, zabije ją i nigdy już nie zadzwoni?**

**Mogliby dojść do wniosku, że Mitch wymyślił całe porwanie, aby ukryć fakt, że Holly była już wcześniej martwa, że to on ją zamordował. Mąż jest zawsze głównym podejrzanym.**

**Jeżeli ją utraci, nic poza tym nie będzie miało znaczenia. Nigdy. Nikt i nic nie uleczy rany, jaką jej śmierć pozostawi w jego życiu.**

**Gdyby jednak podejrzewali, że ją skrzywdził – w tej ranie tkwiłby wówczas wiecznie płonąca, wiecznie raniący szrapnel.**

**Taggart zamknął notes, wsadził go z powrotem do kieszeni na biodrze i ponownie przyjrzał się Mitchowi.**

**–Cokolwiek, panie Rafferty? – zapytał. W którymś momencie podczas przesłuchania trzmiel odfrunął. Mitch dopiero teraz zdał sobie sprawę, że umilkło jego bzyczenie.**

**Jeżeli zachowa w sekrecie porwanie Holly, będzie musiał sam jeden stawić czoło jej porywaczom.**

**Sam jeden nie radził sobie najlepiej. Dorastał wraz z trzema siostrami i bratem; wszyscy urodzili się w ciągu siedmiu Jat. Jedni dla drugich byli powiernikami, spowiednikami, doradcami i obrońcami.**

**Rok po ukończeniu szkoły średniej wyprowadził się od rodziców do wynajmowanego z kimś innym mieszkania. Później zamieszkał we własnym i czuł się tam samotny. Pracował po sześćdziesiąt i więcej godzin tygodniowo po to tylko, żeby nie siedzieć samemu w domu.**

**Dopiero kiedy w jego życiu pojawiła się Holly, poczuł się ponownie kompletny, spełniony i związany. Słowo „ja” było przesycone chłodem, „my” brzmiało o wiele cieplej. „Nam” było miłsze dla ucha niż „mnie”. Porucznik Taggart spoglądał łagodniej niż wcześniej. – No cóż... – mruknął Mitch. Detektyw oblizał wargi.**

**Powietrze było ciepłe, wilgotność niska. Mitchowi też spierzchły usta.**

**Mimo to mignięcie różowego koniuszka języka Taggarta miało w sobie coś gadziego, sugerowało, że porucznik delektuje się smakiem należącej mu zdobyczy.**

**Tylko z paranoi mogła się zrodzić pokręcona myśl, że detektyw wydziału zabójstw**

jest w jakiś sposób związany z porywaczami Holly. Mitch nie mógł jednak wykluczyć, że ta chwila szczerości między świadkiem i oficerem śledczym okaże się testem jego gotowości do współpracy z porywaczami.

Wszystkie porporce strachu, racjonalne i irracjonalne, powiewały wysoko w jego umyśle. Ta parada lęków i mrocznych podejrzeń nie pomagała mu klarownie myśleć.

Był niemal pewien, że jeśli wyzna Taggartowi prawdę, detektyw skrzywi się i powie: „Teraz będziemy musieli ją zabić, panie Rafferty. Nie możemy panu ufać. Pozwolimy jednak panu zdecydować, co jej najpierw uciąć – palce czy uszy”.

Podobnie jak wcześniej, kiedy stał nad zabitym mężczyzną, Mitch czuł się obserwowany, nie tylko przez Taggarta i popijających herbatę sąsiadów, lecz przez kogoś niewidzialnego. Obserwowany i analizowany.

–Nie, poruczniku – powiedział. – Nie ma nic takiego. Detektyw wyciągnął z kieszeni koszuli okulary przeciw-

słoneczne i założył je na nos.

W ich lustrzanych soczewkach Mitch nie rozpoznawał prawie bliźniaczych odbić swojej twarzy. Wykrzywione rysy postarzały go.

–Dałem panu swoją wizytówkę – przypomniał mu Taggart.

–Tak, poruczniku. Mam ją.

–Proszę dzwonić, jeżeli przypomni pan sobie coś, co wyda się panu ważne.

Gładka, pozbawiona wyrazu powierzchnia szkielec przypominała oczy owada: beznamiętne, ochocze, żarłoczne.

–Jest pan podenerwowany, panie Rafferty – zauważył Taggart.

–Nie podenerwowany, poruczniku – odparł Mitch, podnosząc ręce, by pokazać, że drżą. – Wstrząśnięty. Do głębi wstrząśnięty. Taggart ponownie oblizał wargi.

–Nigdy dotąd nie widziałem, jak ginie człowiek – dodał

Mitch.

–Nie przywykł pan do tego – powiedział detektyw.

–Chyba nie – zgodził się Mitch, opuszczając ręce.

–Jest jeszcze gorzej, kiedy to kobieta.

**Mitch nie wiedział, co ma sądzić o tym stwierdzeniu. Może była to prosta prawda wynikająca z doświadczeń policjanta – a może groźba.**

**–Kobieta albo dziecko – sprecyzował Taggart.**

**–Nie chciałbym pracować w pańskim zawodzie.**

**–Nie. Nie chciałby pan. Jeszcze się zobaczymy – powiedział detektyw, odwracając się od niego.**

**–Zobaczymy się?**

**–Pan i ja... obu nas powołają pewnego dnia na świadków – wyjaśnił Taggart, ponownie na niego zerkając.**

**–Wygląda mi to na trudną sprawę.**

**–Krew głośno woła ku mnie z ziemi, panie Rafferty – powiedział detektyw, najwyraźniej kogoś cytując. – Krew głośno woła ku mnie z ziemi!**

**Mitch popatrzył w ślad za odchodzącym Taggartem.**

**A potem spojrział na trawę pod stopami.**

**Słońce zdążyło zmienić pozycję i cienie liści palmowych przesunęły się za jego plecy. Stał w świetle, ale nie czuł jego ciepła.**

Zegar na tablicy rozdzielczej samochodu był cyfrowy, podobnie jak zegarek na przegubie Mitcha, lecz mimo to słyszał tykanie czasu, szybkie niczym terkot obracającego się koła fortuny.

Z miejsca zabójstwa chciał pognać bezpośrednio do domu. Logika podpowiadała mu, że Holly uprowadzono właśnie stamtąd. Nie ośmieliliby się jej porwać w drodze do pracy, w publicznym miejscu, na ulicy.

Mogli nieświadomie zostawić coś, co pomoże ustalić ich tożsamość. Co bardziej prawdopodobne, mogli zostawić dla niego jakąś wiadomość, kolejne instrukcje.

Rano Mitch zaczął jak zwykle dzień, zabierając Ig-gy'ego z jego mieszkania w Santa Ana. Teraz musiał go odwiedzić.

Jadąc na północ z bajecznie zamożnej, nadmorskiej części hrabstwa Orange w stronę skromniejszych, zamieszkałych przez nich rejonów, Mitch skręcił z zatłoczonej autostrady w boczne drogi, lecz tam również utknął w korku.

Iggy chciał pogadać o morderstwie i policji. Mitch musiał udawać, że jest w równym stopniu jak on podekscytowany tym, co się stało. W rzeczywistości przez cały czas myślał o Holly i zamartwiał się, co jeszcze może się wydarzyć. Na szczęście wątek opowieści Iggy'ego zaczął się wkrótce rozwijać, odbiegać na boki i plątać niczym rozwijany przez kociaka motek wełny.

–Mój kuzyn Louis miał znajomego, który nazywał się

Booger – oświadczył. – Przydarzyło mu się dokładnie to samo, został postrzelony, kiedy wyprowadzał psa, tyle że to nie był pies i nie był karabin.

–Nazywał się Booger? – zdziwił się Mitch.

–Booker – poprawił się, Iggy, – B-o-o-k-e-r. Miał kota, którego nazwał Kołtun. Wyprowadzał Kołtuna na spacer i został postrzelony.

–Ludzie wyprowadzają koty na spacer?

–Akurat w tym wypadku Kołtun siedział bezpiecznie w klatce podróżnej i Booker niósł go do weterynarza.

Mitch co chwila zerkał w boczne lusterka i we wsteczne. Czarny cadillac SUV skręcił w ślad za nimi z autostrady i przez kilka przecznic jechał za pick-upem.

–Więc tak naprawdę Booker nie wybrał się z kotem na spacer?

**–Szedł z kotem i nagle jakiś dwunastoletni szkrab, zasmarkany chuligan, strzelił do niego z pistoletu na farbę.**

**–Więc nie został zabity.**

**–Nie, nie zginął, i to był kot, a nie pies, ale Booker był cały niebieski.**

**–Niebieski?**

**–Niebieskie włosy, niebieska twarz. Wpadł w szewską pasję.**

**SUV trzymał się rozsądnie dwa albo trzy samochody za nimi. Być może kierowca miał nadzieję, że Mitch go nie zauważy.**

**–Więc Booker był cały niebieski. Co się stało z dziecia**

**kiem? – zapytał Mitch.**

**–Booker chciał złamać rękę małemu skubańcowi, ale dzieciak strzelił mu w krocze i uciekł. Słyszałeś, Mitch, że w Pensylwanii jest miasto o nazwie Blue Balls\*<sup>1</sup>?**

**–Nie słyszałem.**

**–Leży na terytorium amiszów. W pobliżu jest inne**

**niebieskie jaja (ang.)**

**miasto, które nazywa się Intercourse\*\*<sup>2</sup>.**

**–A to dopiero...**

**–Może ci amisz nie są jednak takimi nudziarzami, jak się wydaje.**

**Mitch przyspieszył, żeby przejechać przez skrzyżowanie, zanim światła zmienią się na czerwone. Jadący za nim ca-dillac zmienił pas, dodał gazu i przejechał na żółtym.**

**–Jadłeś kiedyś placek amiszów? – zapytał Iggy.**

**–Nie, nigdy.**

**–Jest niesamowicie syjący, słodszy niż sześć filmów o**

**Gidget. Tak jakby się jadło melasę. Ale można się naciąć,**

**człowieku.**

**Cadillac przyhamował i wrócił na pas Mitcha. Ponownie dzieliły ich trzy pojazdy.**

**–Earl Potter stracił nogę, jedząc placek amiszów – powiedział Iggy.**

**–Earl Potter?**

**–Tato Tima Pottera. Był cukrzykiem, ale o tym nie wiedział i codziennie opychał się słodyczami. Słyszałeś kiedyś o placku kwaków?**

**–Co się stało z nogą Earla? – zapytał Mitch.**

**–Coś niesamowitego, bracie. Pewnego razu zdrętwiała mu noga i nie mógł chodzić. Okazało się, że z powodu ostrej cukrzycy nie ma w niej prawie krążenia. Ucięli mu nogę nad kolaniem.**

**–Kiedy jadł placek amiszów?**

**Nie. Zorientował się, że nie wolno mu jeść słodczy.**

**To dobrze.**

**Więc dzień przed operacją zjadł swój ostatni deser: placek amiszów z furą bitej śmietany na górze. Oglądałeś kiedyś ten zajebisty film o amiszach z Harrisonem Fordem i dziewczyną z wielkimi cyckami?**

**I tak, zahaczywszy o Kołtuna, Blue Balls, Intercourse, placek amiszów i Harrisona Forda, dotarli do domu, w któ-**

**2 \*\* stosunek (ang.)**

**rym mieszkał Iggy.**

**Mitch zatrzymał się przy krawężniku. Czarny cadillac minął go, w ogóle nie zwalniając. Miał przyciemniane boczne szyby i Mitch nie mógł zobaczyć kierowcy ani pasażerów. Iggy otworzył drzwiczki.**

**–Dobrze się czujesz, szefie? – zapytał, zanim wysiadł.**

**–Nic mi nie jest.**

**–Jesteś jakiś zgaszony.**

**–Widziałem, jak zabito człowieka – przypomniał mu**

**Mitch.**

**–No tak. To było niesamowite. Wiem chyba, kto będzie dzisiaj rządził w Rolling Thunder. Może powinieneś wpaść.**

**–Nie rezerwuj dla mnie miejsca przy barze.**

**Cadillac odjeżdżał na zachód. Popołudniowe słońce spowiło podejrzany pojazd oślepiającym blaskiem. Migocząc, zdawał się znikać w słonecznej gardzieli.**

**Iggy wysiadł z pick-upa, spojrzął jeszcze raz na Mitcha i zrobił smutną minę.**

**–Życie w kajdanach.**

**–Złapałem wiatr w skrzydła.**

**–Guzik prawda.**

**–Spadaj.**

**–Mam zamiar lekko się uwalić – zapewnił go Iggy. –**

**–Doktor Ig przepisałby ci co najmniej sześciopak brow-ca. powiedz pani Mitchowej, że uważam ją za niesamowitą waninę.**

**Iggy zatrzasnął drzwiczki i odszedł, wielki, lojalny, słodki i niczego nieświadomy.**

**Ściskając drżącymi rękoma kierownicę, Mitch włączył się z powrotem do ruchu.**

**Jadąc na północ, nie mógł się doczekać, żeby odstawić Iggy'ego i wrócić do domu. Teraz skręcało go w dołku na myśl, co może tam zastać. Najbardziej obawiał się krwi.**



Mitch jechał z otwartymi szybami, chcąc, by docierały do niego uliczne odgłosy, dowód życia.

Cadillac więcej się nie pojawił. Jego miejsca nie zajął żaden inny pojazd. Najwyraźniej ubzdurało mu się, że jest śledzony.

Poczucie, że ktoś go obserwuje, minęło. Od czasu do czasu zerkał w lusterko wsteczne, ale nie spodziewał się już, że zobaczy coś podejzranego.

Czuł się samotny, a właściwie gorzej niż samotny. Odizolowany. Pragnął niemal, żeby z powrotem pojawił się czarny SUV.

Ich dom stał w starszej części Orange, w jednym z najstarszych miasteczek w hrabstwie. Kiedy skręcił w swoją uliczkę, tylko stojące przy krawężnikach najnowsze roczniki samochodów świadczyły o tym, że nie przeniósł się w czasie do roku 1945.

Bungalow z cedrowym dachem i obramowanymi na biało ścianami z jasnożółtych desek stał za oplecionym białymi różami płotem. Przy tej samej uliczce były większe i ładniejsze domy, lecz żaden nie mógł się z nim równać, jeśli chodzi o ukształtowanie terenu.

Mitch zaparkował na podjeździe z boku domu, pod masywnym, starym kalifornijskim drzewem pieprzowym, i wysiadł z samochodu.

Popołudnie było bezwietrzne, chodniki i ogródki puste.

W tej okolicy byt większości rodzin zależał od dochodów obojga małżonków: wszyscy byli w pracy. O piętnastej zero cztery żadne dziecko nie wróciło jeszcze ze szkoły.

Nie było żadnych sprzątaczek, pań myjących okna ani ogrodników z odkurzacami do liści. Właściciele tych domów sami trzepali swoje dywany i kosili trawniki.

Drzewo pieprzowe przepłotło promienie słońca przez zwisające witki i upstrzyło zacieniony chodnik eliptycznymi okruchami światła.

Mitch otworzył boczną furtkę w ogrodzeniu i podszedł po trawniku do frontowych schodków.

Weranda była szeroka i chłodna. Przy białych wiklinowych fotelach z zielonymi poduszkami stały małe wiklinowe stoły ze szklanymi blatami.

W niedzielę po południu siadywali tutaj często z Holly, rozmawiając, czytając gazety

**i obserwując, jak kolibry przeskakują z kwiatka na kwiatek po pędach milinu amerykańskiego, który oplatał słupki werandy.**

**Czasami rozkładali między fotelami stolik karciany. Ona była od niego lepsza w scrabble. On lepiej radził sobie z pytaniami z wiedzy ogólnej.**

**Nie spędzali dużo czasu na rozrywkach. Nie wyjeżdżali na narty ani na weekendy do Baja. Rzadko chodzili do kina. Wspólne przebywanie na werandzie było tak samo przyjemne jak wspólny wyjazd do Paryża.**

**Oszczędzali pieniądze na to, co ważne. Na to, żeby Holly mogła zmienić zawód i zostać agentką nieruchomości. Żeby**

**Mitch mógł dawać trochę więcej ogłoszeń, kupić drugą furgonetkę i rozwinąć firmę.**

**I na dzieci. Zamierzali mieć dzieci. Dwójkę albo trójkę. W świąteczne dni, gdy wpadali w sentymentalny nastrój, nawet czwórka nie wydawała im się zbyt wielką liczbą.**

**Nie chcieli zdobywać świata i nie chcieli go zmieniać. Chcieli mieć w nim swój mały zakątek, chcieli wypełnić go rodziną i śmiechem.**

**Mitch nacisnął klamkę drzwi frontowych. Były otwarte.**

**Pchnął je i zawahał się w progu.**

**Zerknął za siebie na ulicę, spodziewając się zobaczyć czarny SUV. Nie było go tam.**

**Po wejściu do środka stał przez chwilę w miejscu, czekając, aż jego oczy przyzwyczają się do półmroku. Salon oświetlony był tylko wpadającymi przez okno, przefiltrowanymi przez drzewa promieniami słońca.**

**Wszystko wydawało się w porządku. Nie widział żadnych śladów walki.**

**Zamknął za sobą drzwi. Musiał się o nie na chwilę oprzeć.**

**Gdyby Holly była w domu, usłyszałby muzykę. Lubiła big-bandy. Millera, Goodmana, Ellingtona, Shawa. Mówiła, że muzyka z lat czterdziestych pasuje do tego domu. Do niej też pasowała. Klasyka.**

**Zwieńczone łukiem przejście łączyło salon z niewielką jadalnią. Również w drugim pomieszczeniu wszystko było w porządku.**

**Na stole leżała duża martwa ćma, szara z czarnym wzorem na półokrągłych skrzydłach.**

Musiała wlecieć do środka poprzedniego wieczoru. Spędzili trochę czasu na werandzie i drzwi były otwarte.

Niewykluczone, że była żywa i tylko spała. Może jeżeli weźmie ją w dłonie i wyniesie na dwór, odfrunie pod sufit werandy i poczeka tam na wschód księżyca.

Wahał się, nie bardzo mając ochotę dotykać ćmy, bojąc się, że już nie zatrzepoce. Dotknięta mogła rozsypać się w pył, jak to się czasem dzieje z ćmami.

Zostawił ją nietkniętą na stole, ponieważ chciał wierzyć, że wciąż żyje.

Drzwi między jadalnią i kuchnią były uchylone. Paliło się za nimi światło.

W powietrzu unosił się odór spalonej grzanki. Kiedy pchnął drzwi do kuchni, uderzył go mocniej w nozdrza.

Odnalazł tutaj ślady walki. Jedno z krzeseł było przewrócone. Na podłodze leżały skorupy talerzy.

W tosterze tkwiły dwie kromki zwęglonego chleba. Ktoś wyciągnął wtyczkę z gniazdka. Zostawione na blacie masło rozmiękło z powodu upału.

Intruzi musieli wejść od frontu i zaskoczyć Holly, kiedy robiła grzankę.

Drzwiczki i fronty dwóch szuflad w lśniących białych szafkach były pochłapane krwią.

Mitch zamknął na chwilę oczy. Zobaczył oczyma wyobraźni, jak ćma trzepoce skrzydłami i wzbija się ze stołu. Coś trzepotało także w jego piersi. Chciał wierzyć, że to nadzieja.

Pozostawiony na białej lodówce krwawy ślad kobiecej dłoni krzyczał równie donośnie jak głos żywej osoby.

Na wiszących szafkach zobaczył jeszcze jeden pełny odcisk dłoni, a obok rozmazany, częściowy.

Pochłapane krwią były również płytki terakoty na podłodze. Mitch miał wrażenie, że krwi jest bardzo dużo. Cały ocean.

To wszystko tak go przeraziło, że chciał ponownie zamknąć oczy. Powstrzymała go jednak zrodzona z przesądu obawa, że jeżeli dwukrotnie zamknie oczy na tę straszną rzeczywistość, oślepie na zawsze.

Zadzwonił telefon.

Podchodząc do telefonu, nie musiał stąpać po krwi. Odebrał po trzecim dzwonku.

–Tak? – usłyszał swój własny udręczony głos.

–To ja, kochanie. Słuchają nas.

–Holly. Co oni ci zrobili?

–Czuję się dobrze – odparła silnym głosem, ale nie sprawiała wrażenia kogoś, kto czuje się dobrze.

–Jestem w kuchni – powiedział.

–Wiem.

–Ta krew...

–Wiem. Nie myśl o tym teraz. Powiedzieli, że mamy

minutę, żeby porozmawiać, tylko jedną minutę, Mitch.

Zrozumiał, co chciała przez to powiedzieć: ta jedna minuta mogła się okazać ostatnia. Nogi odmawiały mu posłuszeństwa.

–Strasznie mi przykro – powiedział, odsuwając krze

sło od stołu i osuwając się na nie.

–To nie twoja wina. Nie zadręczaj się.

–Kim są te świry? Są pomyleni czy co?

–To bezwzględne kanalie, ale nie są szaleni... Sprawiają wrażenie... zawodowców. Nie wiem. Ale chcę, żebyś mi coś przyrzekł...

–Konam z niepokoju.

–Posłuchaj, kochanie. Chcę, żebyś mi coś przyrzekł. Jeżeli coś mi się stanie...

–Nic ci się nie stanie.

–Jeżeli coś mi się stanie – powtórzyła z naciskiem – obiecaj, że się pozbierasz.

–Nie chcę o tym myśleć.

**–Obiecay, że się pozbierasz, do diabła. Pozbierasz się i będziesz żył dalej.**

**–Ty jesteś moim życiem.**

**–Pozbierasz się, kosiarzu, albo będę na ciebie cholernie wkurzona.**

**–Zrobię, czego ode mnie chcą. Odzyskam cię.**

**–Jeżeli się nie pozbierasz, będę cię prześladować we śnie, Rafferty. Tak jak na tym filmie Duch, tylko do sześcianu.**

**–Boże, kocham cię – powiedział.**

**–Wiem. Ja też cię kocham. Chcę cię objąć.**

**–Tak bardzo cię kocham. Nie odpowiedziała.**

**–Holly?**

**Cisza poraziła go i zerwał się z krzesła.**

**–Słyszysz mnie, Holly?**

**–Słyszę cię, kosiarzu – powiedział porywacz, z którym rozmawiał wcześniej.**

**–Ty skurwysynu. – Rozumiem twój gniew... -Ty śmieciu.**

**–...ale zaraz stracę cierpliwość. – Jeżeli ją skrzywdzisz...**

**–Już ją skrzywdziłem. I jeżeli nie weźmiesz zaraz na**

**wstrzymanie, posiekam tę dziwkę na kawałki.**

**Dotkliwa świadomość własnej bezsilności sprawiła, że Mitch powściągnął gniew i spokorniał.**

**–Proszę. Nie krzywdźcie jej więcej. Nie róbcie tego. – Wyluzuj, Rafferty. Wyluzuj, to wyjaśnię ci kilka rzeczy.**

**–Dobrze. W porządku. Trzeba mi wyjaśnić sytuację.**

**Trochę się pogubiłem.**

**Znowu ugięły się pod nim nogi. Zamiast usiąść na krześle, odsunął stopą stłuczony talerz i ukląkł na podłodze. Z jakiegoś powodu było mu wygodniej na klęczkach niż na**

**krześle.**

**–Co do krwi... – kontynuował porywacz. – Przywaliłem jej, kiedy się broniła, ale jej nie zraniłem.**

**–A krew...?**

**–Właśnie ci mówię. Założyliśmy jej opaskę uciskową na ramię, wbiliśmy igłę w żyłę i ściągnęliśmy cztery strzykawki krwi, tak samo, jak to robi pielęgniarka, kiedy idziesz na badanie.**

**Mitch oparł czoło o drzwiczki piekarnika, zamknął oczy i próbował się skupić.**

**–Rozmazaliśmy jej krew na dłoniach i zrobiliśmy te ślady. Wyleliśmy trochę na blat i na szafki. Chlapnęliśmy na podłogę. To są dekoracje, Rafferty. Kuchnia ma wyglądać, jakby ją tam zamordowano.**

**Mitch był żółwiem, przekraczającym właśnie linię startu, a ten facet przy telefonie królikiem, który pokonał już połowę maratonu. Nie mógł go dogonić.**

**–To wszystko jest sfingowane? Po co?**

**–Jeżeli puszczą ci nerwy i pójdziesz na policję, nigdy nie uwierzą w opowieść o porwaniu. Obejrzą kuchnię i pomyślą, że to ty ją załatwiłeś.**

**–Nic im nie powiedziałem.**

**–Wiem.**

**–To, co zrobiliście temu mężczyźnie z psem... zorientowałem się, że nie macie nic do stracenia. Zorientowałem się, że nie mogę z wami zadzierać.**

**–To tylko dodatkowe zabezpieczenie – uspokoił go porywacz. – Lubimy zabezpieczenia. Ze stojaka w twojej kuchni zniknął nóż do mięsa.**

**Mitch nie pofatygował się nawet, żeby to sprawdzić.**

**–Zawinęliśmy go w jeden z twoich podkoszulków i**

**twoje niebieskie dżinsy. Ubrania są pochłapane krwią Hol-**

**ly.**

**Byli faktycznie profesjonalistami, tak jak powiedziała.**

**–Zawiniątko jest ukryte gdzieś w twoim domu – kontynuował porywacz. – Nie znajdziesz go łatwo, ale powinno się to udać psom policyjnym.**

**–Rozumiem.**

**–Wiedziałem, że zrozumiesz. Nie jesteś głupi. Stąd tyle zabezpieczeń z naszej strony.**

**–I co teraz? Wyjaśnijcie, o co w tym wszystkim chodzi.**

**Jeszcze nie. W tym momencie jesteś za bardzo rozdygotany. To niedobrze. Kiedy nie panujesz nad emocjami, łatwiej popełnisz błąd.**

**Panuję nad sobą- zapewnił go Mitch, mimo że serce wciąż waliło mu w piersi i krew huczała w uszach.**

**–Nie masz żadnego marginesu błędu, Mitch. Żadnego. Więc jak już powiedziałem, chcę, żebyś się uspokoił. Kiedy będziesz miał jasną głowę, wtedy przedyskutujemy sprawę. Zadzwoń do ciebie o szóstej.**

**Nadal klęcząc na podłodze, Mitch otworzył oczy i zerknął na zegarek.**

**–To za dwie i pół godziny.**

**–Wciąż masz na sobie robocze ciuchy. Jesteś brudny. Weź miły, gorący prysznic. Poczujesz się lepiej.**

**–Chyba żartujesz.**

**–Tak czy owak musisz się lepiej prezentować. Weź prysznic, przebierz się i wyjdź z domu. Pojedź gdzieś, gdziekolwiek. Pamiętaj tylko, żeby mieć przy sobie naładowaną komórkę.**

**–Wolę zostać tutaj.**

**–To zły pomysł, Mitch. Dom będzie ci przypominał Hol-ly, wszędzie, gdzie spojrzysz. Nerwy odmówią ci posłuszeństwa. Chcę, żebyś powściągnął emocje.**

**–Dobrze. W porządku.**

**–I jeszcze jedno. Chcę, żebyś tego posłuchał.**

**–Nie! – jęknął Mitch, spodziewając się, że chcą wydusić z Holly kolejny okrzyk bólu, aby dać mu do zrozumienia, że nie może jej bronić.**

**Zamiast Holly usłyszał dwa nagrane na taśmę głosy, dość wyraźne na tle słabego szumu. Pierwszy głos należał do niego. Nigdy dotąd nie widziałem, jak ginie człowiek. Nie**

**przywykł pan do tego. Chyba nie.**

**Jest jeszcze gorzej, kiedy to kobieta... Kobieta albo dziecko. Drugi głos należał do detektywa Taggarta.**

**–Gdybyś mu się zwierzył, Mitch, Holly już by nie żyła**

**–powiedział porywacz.**

**W ciemnej przydymionej szybie drzwiczek piekarnika Mi-tch ujrzał twarz, która zdawała się na niego patrzeć z piekielnej otchłani.**

**–Taggart jest jednym z was.**

**–Może jest. Może nie. Powinieneś zakładać, że każdy może być jednym z nas, Mitch. Tak będzie dla ciebie bezpieczniej i o wiele bezpieczniej dla Holly. Każdy może być jednym z nas.**

**Wpadł w skonstruowaną przez nich pułapkę, teraz ją zamykali.**

**–Nie chciałbym kończyć takim ponurym akcentem,**

**Mitch. Chcę cię uspokoić co do jednego. Powinieneś wie**

**dzieć, że jej nie tkniemy.**

**–Uderzyłeś ją.**

**–Uderzę ją ponownie, jeśli nie zrobi tego, co każę. Ale nie tkniemy jej. Nie jesteśmy gwałcicielami, Mitch.**

**–Dlaczego miałbym ci wierzyć?**

**–To oczywiste, że tobą manipuluję. Steruję, prowadzę z tobą grę. I naturalnie nie mówię ci wielu rzeczy.**



**–Jesteście zabójcami, ale nie jesteście gwałcicielami?**

**–Chodzi o to, że wszystko, co ci powiedziałem, to prawda. Jeżeli przeanalizujesz nasze stosunki, będziesz musiał przyznać, że mówiłem prawdę i dotrzymywałem słowa.**

**Mitch miał ochotę go zabić. Nigdy jeszcze nie pragnął poważnie skrzywdzić innej ludzkiej istoty, ale tego człowieka chciał zabić.**

**Ścisnął słuchawkę tak mocno, że rozbolała go dłoń. Nie był w stanie rozluźnić uścisku.**

**–Mam duże doświadczenie w sterowaniu ludźmi, Mitch. Jesteś dla mnie instrumentem, wartościowym narzędziem, wrażliwą maszyną.**

**–Maszyną.**

**–Posłuchaj mnie jeszcze przez chwilę, dobrze? Nie ma sensu traktować źle wartościowej i wrażliwej maszyny. Nie kupowałbym ferrari i potem nie zmieniał mu oleju, nigdy nie smarował.**

**–Uważasz mnie przynajmniej za ferrari.**

**–Kiedy tobą steruję, Mitch, nie będziesz naciskany ponad miarę. Oczekuję doskonałych osiągnięć od ferrari, ale nie spodziewam się, że rozbije ceglany mur.**

**–Już teraz czuję się, jakbym trafił głową w ceglany mur.**

**–Jesteś twardszy, niż ci się wydaje. Ale ponieważ powinieneś spisać się jak najlepiej, chcę, żebyś wiedział, że traktujemy Holly z szacunkiem. Jeżeli zrobisz wszystko, czego chcemy, wróci do ciebie żywa... i nietknięta.**

**Holly nie była słaba. Niełatwo ją było psychicznie złamać poprzez zadawanie fizycznych cierpień. Ale gwałt jest czymś więcej niż tylko naruszeniem ciała. Gwałt oddziałuje na umysł, serce i duszę.**

**Być może porywacz poruszył ten temat ze szczerym zamiarem uśmierzenia niektórych obaw Mitcha. Ale sukinsyn zrobił to również po to, aby go ostrzec.**

**–Nadal nie wydaje mi się, żebyś odpowiedział na moje**

**pytanie – powiedział Mitch. – Dlaczego miałbym ci wie**

**rzyć?**

**–Bo musisz – odparł mężczyzna. Mitch nie mógł mu odmówić racji.**

**–Musisz, Mitch. W przeciwnym razie możesz równie dobrze uznać, że Holly już nie żyje.**

**Porywacz zakończył rozmowę.**

**Poczucie bezsilności sprawiło, że Mitch pozostał przez chwilę na klęczkach.**

**Po jakimś czasie nagrany głos kobiety, który mógł należeć do niezbyt lubiącej dzieci przedszkolanki, zażądał od niego odłożenia słuchawki na widełki. Zamiast tego położył ją na podłodze i dopiero piskliwy sygnał centrali zmusił go**

**do wykonania polecenia.**

**Nadal klęcząc, oparł ponownie czoło o drzwiczki piekarnika i zamknął oczy.**

**W jego umyśle panował zamęt. Przed oczyma widział obrazy Holly, tornada pokawałkowanych i wirujących wspomnień, dobrych wspomnień, które dręczyły go, ponieważ mogły się okazać wszystkim, co mu po niej pozostało. Strach i gniew. Żal i rozpacz. Nigdy jeszcze nie zaznał straty. Życie nie przygotowało go na stratę.**

**Starał się odzyskać jasność umysłu, ponieważ wyczuwał, że jeżeli tylko zdoła opanować lęk, uspokoić się i zastanowić, odkryje coś, co mógłby zrobić dla Holly tu i teraz. Nie musiał czekać na rozkazy porywaczy. Mógł zrobić dla niej COŚ ważnego już w tejchwili. Mógł podjąć jakieś działanie Mógł coś zrobić dla Holly.**

**Zaczęły go boleć kolana oparte o twarde płytki terakoty Fizyczny dyskomfort sprawił, że stopniowo rozjaśniło mu się w głowie. Myśli nie przelatowały mu już przez umysł niczym szczątki rumowiska, lecz płynęły tak, jak płyną liście niesione leniwym nurtem rzeki.**

**Mógł zrobić dla Holly coś ważnego, lecz nie mógł uprzytomnić sobie co. Ta wiedza tkwiła tuż pod powierzchnią jego świadomości, tuż poza zasięgiem jego dociekań. Twarda posadzka była bezlitosna, miał wrażenie, że klęczy na potłuczonym szkłe. Mógł coś zrobić dla Holly. Odpowiedź co, umykała mu. Bolały go kolana. Starał się ignorować ból, lecz potem wstał. Odpowiedź się ulotniła. Odłożył słuchawkę na widełki. Będzie musiał zaczekać na następny telefon. Nigdy jeszcze nie czuł się taki bezradny.**

Choć noc miała zapaść dopiero za kilka godzin, wszystkie cienie wydłużyły się, uciekając na wschód przed wędrującym w przeciwnym kierunku słońcem.

Mitch stał na tylnej werandzie. To miejsce, które wcześniej było oazą spokoju, wydawało się wibrować niczym podtrzymująca wiszący most pajęczyna lin.

Za płotem biegła alejka. Po jej drugiej stronie znajdowały się inne ogródki i inne domy. Być może z któregoś z okien na piętrze obserwował go przez silną lornetkę jeden z porywaczy.

„Wiem”, odparła Holly, kiedy powiedział jej przez telefon, że jest w kuchni. Mogła to wiedzieć tylko wtedy, gdy wiedzieli o tym porywacze.

Czarny cadillac SUV nie pozostawał w służbie żadnych ciemnych mocy, Mitch wyobraził sobie tylko, że jest śledzony. Nie jechał za nim żaden inny pojazd.

Porywacze oczekiwali, że wróci do siebie, więc zamiast go śledzić, obstawili dom. Obserwowali go teraz.

Jeden z budynków po drugiej stronie alejki mógł posłużyć jako świetny punkt obserwacyjny, jeżeli porywacz wyposażony był w sprzęt optyczny wysokiej klasy, pozwalający na inwigilację z dużej odległości.

Podejrzenia Mitcha skupiły się jednak na garażu, który stał na tyłach jego działki. Można było do niego podejść od

strony alejki albo od ulicy, ścieżką, która biegła wzdłuż domu.

Garaż, w którym stał pick-up Mitcha i honda Holly, miał okna na parterze i na zamienionym na składzik strychu. Niektóre były ciemne, inne ozłoczone odbitym światłem słonecznym.

W żadnym nie widać było upiornej twarzy ani jakiegokolwiek ruchu. Jeżeli ktoś obserwował go z garażu, z pewnością zachowywał ostrożność. Gdyby mu się pokazał, zrobiłby to specjalnie, żeby go jeszcze bardziej pognębić.

Ukośne światło słońca rozświetlało kwiaty niczym szybki witraż, wydobywając fosforyzujące kolory z róż, jaskrów, żurawek i niecierpków.

Zawinięty w zakrwawione ubrania nóż do mięsa zakopany był prawdopodobnie na jednej z rabatek.

Gdyby odnalazł to zawiniątko, wykopał je i zmył krew w kuchni, zapanowałby w

**jakimś stopniu nad sytuacją. Mógłby reagować bardziej elastycznie na wyzwania, które czekały go w nadchodzących godzinach.**

**Jeżeli jednak był obserwowany, porywaczom z pewnością nie spodobałoby się takie postępowanie. Sfingowali morderstwo jego żony po to, by znalazł się w potrzasku, i nie chcieli, by się z niego wydostał.**

**Żeby go ukarać, skrzywdzą Holly.**

**Mężczyzna, który z nim rozmawiał, obiecał, że jej nie tkną, mając na myśli gwałt. Nic nie powstrzymało go jednak przed podniesieniem na nią ręki.**

**Jeżeli będzie miał powód, uderzy ją ponownie. Zada cios. Będzie torturował. W tej kwestii nie wiązały go żadne obietnice.**

**Aby odpowiednio zaaranżować miejsce sfingowanego morderstwa, pobrali od niej bezboleśnie krew strzykawką. Nie obiecali jednak, że nie użyją wobec niej noża.**

**Chcąc, by Mitch uświadomił sobie dobitniej własną bezsilność, mogli ją okaleczyć. Każda zadana jej rana osłabiłaby w nim wolę oporu.**

**Nie ośmieliliby się jej zabić. Aby móc w dalszym ciągu kontrolować Mitcha, musieli pozwolić mu od czasu do czasu z nią porozmawiać.**

**Ale mogli ją okaleczyć i kazać opisać przez telefon charakter tych okaleczeń.**

**Mitcha dziwiło, że tak łatwo przychodzi mu przewidywanie tego rodzaju makabrycznych wydarzeń. Dopiero przed kilkoma godzinami zetknął się po raz pierwszy z czystym złem.**

**Żywość obrazów, jakie podsuwała mu w tej dziedzinie wyobraźnia, sugerowała, że na podświadomym, ewentualnie jeszcze niższym poziomie od dawna wiedział o istnieniu prawdziwego zła, okropnościach, których nie stępi psychologiczna lub społeczna analiza. Porwanie Holly wydobyło z mroku tę skwapliwie tłumioną wiedzę.**

**Wydłużone cienie liści palmowych wydawały się napięte do granic wytrzymałości, oświetlone słońcem kwiaty sprawiały wrażenie ostrych niczym szkło. Mimo to napięcie nadal rosło.**

**Wiedział, że ani wydłużone cienie, ani kwiaty nie pękną. Wszystko to, co było napięte do granic wytrzymałości, miało pęknąć w jego wnętrzu. I chociaż żołądek podchodził mu do gardła i Mitch zaciskał zęby z niepokoju, wyczuwał, że ta nadchodząca zmiana nie będzie czymś złym.**

**W garażu szydziły z niego ciemne i rozświetlone słońcem okna. Szydziły z niego**

meble na werandzie i na patio, rozstawione z myślą o przyjemnych letnich wieczorach.

Szydził z niego również starannie urządzony, bujny ogród, przy którego projektowaniu spędził tyle godzin. Całe piękno, będące owocem jego pracy, wydawało się teraz powierzchowne i ta powierzchowność była brzydka.

Wrócił do domu i zatrzasnął za sobą tylne drzwi. Nie chciało mu się zamykać ich na klucz.

Najgorsze, co mogło wtargnąć do jego domu, już tu było i odeszło. Cokolwiek złego mogło się jeszcze wydarzyć, będzie tylko uzupełnieniem pierwotnego horroru.

Mitch przeciął kuchnię i wszedł do krótkiego holu, z którego można się było dostać do dwóch pokoi. W pierwszym z nich, gabinecie, była sofa, dwa fotele oraz wielko-ekranowy telewizor.

Ostatnio rzadko kiedy oglądali jakiś program. W eterze dominowały tak zwane reality shows, seriale prawnicze i kryminalne, ale wszystko to było nudne, ponieważ nie odzwierciedlało rzeczywistości takiej, jaką znał; obecnie uświadomił to sobie jeszcze dobitniej.

Przy końcu korytarzyka było wejście do głównej sypialni. Mitch wyjął czystą bieliznę i skarpetki z szuflady komody.

Bez względu na to, jak niewykonalne mogło się w tych okolicznościach wydawać każde przyziemne zadanie, nie pozostało mu na razie nic innego, jak zrobić to, co mu kazano.

Dzień był ciepły, lecz noc w połowie maja mogła się okazać chłodna. Wyjął z szafy świeżą parę dżinsów i flanelową koszulę i położył je na łóżku.

Zorientował się, że stoi przy małej toalecie Holly, przy której codziennie siadała na wyściełanym pufie, żeby wy-szczotkować włosy, umalować oczy i usta.

Nieświadomie wziął do ręki jej lusterko i spojrział w nie, jakby liczył, że jakimś cudem zobaczy w nim przyszłość, że zobaczy jej ładną, uśmiechniętą twarz. Jego własne oblicze nie nadawało się do oglądania.

Ogolił się, wziął prysznic i ubrał stosownie do nadciągającej próby.

Nie miał pojęcia, czego od niego oczekują, w jaki sposób ma zdobyć dwa miliony dolarów, by wykupić żonę, nie starał się jednak wyobrazić sobie żadnych scenariuszy. Człowiekowi stojącemu na wysokiej skalnej półce całkiem słusznie nie zaleca się oglądania rozpościerającej się niżej przepaści.

**Kiedy zawiązał sznurowadła i usiadł na skraju łóżka, ktoś zadzwonił do drzwi.**

**Porywacz zapowiedział, że zadzwoni – nie odwiedzi go, lecz zadzwoni – o szóstej po południu. Poza tym na zegarze była dopiero 16.15.**

**Zignorowanie dzwonka nie wchodziło w grę. Musiał reagować na każdą próbę kontaktu przedsięwziętą przez porywaczy.**

**Nawet jeżeli niezapowiedziany gość nie miał nic wspólnego z uprowadzeniem, powinien go wpuścić, żeby zachować pozory normalności.**

**Pozostawiony na podjeździe pick-up świadczył o tym, że jest w domu. Nie doczekawszy się odpowiedzi na dzwonek, gość mógł obejść dom i zapukać do oszklonych kuchennych drzwi.**

**Widać było przez nie potłuczone talerze na podłodze i krwawe ślady rąk na szafkach i lodówce.**

**Powinien wcześniej zasunąć żaluzje.**

**Wyszedł z sypialni i przeciął salon, zanim przybysz zdążył zadzwonić po raz drugi.**

**W drzwiach frontowych nie było szyby. Kiedy je otworzył, zobaczył stojącego na werandzie detektywa Taggarta.**

Modliszkowe spojrzenie lustrzanych soczewek przeszło na wylot Mitcha i spowodowało, że kompletnie zaniemówił.

Uwielbiam te stare okolice – oświadczył Taggart, omiatając wzrokiem werandę. – Tak właśnie wyglądała w latach swojej świetności południowa Kalifornia, dopóki nie wycięli wszystkich gajów pomarańczowych i nie zabudowali pustyni rzędami otynkowanych na biało domów.

Mieszka pan gdzieś w pobliżu, poruczniku? – wykrztusił wreszcie Mitch nieco piskliwym głosem.

Nie. Mieszkam w jednym z tych domów na pustyni. Tak jest wygodniej. Ale przypadkiem znalazłem się w pobliżu.

Taggart nie był człowiekiem, który znalazłby się gdzieś przypadkiem. Gdyby zdarzyło mu się kiedykolwiek chodzić we śnie, nawet wówczas miałby jakiś cel, plan, zamiar.

–Wynikła pewna nowa okoliczność, panie Rafferty. A

ponieważ byłem w pobliżu, uznałem, że najłatwiej będzie

do pana wpaść. Może mi pan poświęcić kilka minut?

Jeżeli Taggart nie był jednym z porywaczy, jeżeli jego rozmowa z Mitchem została nagrana bez jego wiedzy, wpuszczanie go do środka było nieostrożnością. W niewielkim domu tylko kilka kroków dzieliło salon, oazę spokoju, od kuchni, w której pełno było obciążających dowodów.

–Jasne – odparł Mitch. – Ale moja żona wróciła do

domu z migreną. Położyła się.

Nawet jeżeli detektyw był jednym z nich, jeżeli wiedział, że Holly jest więziona gdzie indziej, w żaden sposób tego po sobie nie pokazał.

–Może usiądziemy tutaj na werandzie – zaproponował Mitch.

–Naprawdę ładnie pan tu wszystko urządził.

Mitch zamknął za sobą drzwi i usiadł w białych wiklinowych fotelach.

Taggart miał ze sobą białą kopertę formatu dziewięć na dwanaście cali. Położył ją

na kolanach.

–Mieliśmy podobną werandę, kiedy byłem dzieckiem –  
powiedział. – Oglądaliśmy z niej przejeżdżające samo  
chody, po prostu się gapiliśmy.

Zdjął okulary przeciwsłoneczne i schował je do kieszeni koszuli. Jego wzrok był  
niczym elektryczna wiertarka.

–Czy pani Rafferty bierze ergotaminę?

–Czy co bierze?

–Ergotaminę. Na migrenę.

Mitch nie miał pojęcia, czy ergotamina jest prawdziwym lekiem czy słowem, które  
detektyw wymyślił na poczekaniu.

–Nie – odparł. – Zażywa aspirynę.

–Jak często się to zdarza?

–Dwa albo trzy razy w roku – skłamał Mitch. Holly

nigdy w życiu nie miała migreny. W ogóle rzadko bolała ją  
głowa.

Szaro-czarna ćma leżała na słupku werandy na prawo od schodków, nocny owad  
śpiący w cieniu w oczekiwaniu na zachód słońca.

–Ja cierpię na oczne migreny – powiedział Taggart. – Są wyłącznie wzrokowe. Przez  
jakieś dwadzieścia minut widzę migocące światło i ciemną plamę, ale nic czuję bólu.

–Jeśli już człowiek musi cierpieć na migrenę, ta wydaje się całkiem znośna.

–Jeżeli pana żona nie ma migreny przynajmniej raz w miesiącu, doktor nie przepisze  
chyba ergotaminy.

–Ma ją tylko dwa, trzy razy w roku – odparł Mitch.

Żałował, że nie wymyślił jakiegoś innego kłamstwa.

Miał prawdziwego pecha, trafiając na Taggarta, który znał temat z własnego



doświadczenia. Ta luźna pogawędka wytrąciła go z równowagi. Słyszał we własnym głosie napięcie i ostrożność.

Oczywiście Taggart od dawna przywykł już do tego, że ludzie są w jego obecności ostrożni i spięci, nawet niewinni ludzie, nawet jego matka.

Mitch unikał do tej pory oczu detektywa. Z wysiłkiem nawiązał z nim ponownie kontakt wzrokowy.

–Znaleźliśmy AVID na psie – oznajmił Taggart.

–Co to takiego?

–AVID. Amerykańskie Weterynaryjne Urządzenie

Identyfikacyjne. Mikrochip, o którym mówiłem wcześniej.

–Aha. Rozumiem.

Zanim Mitch zdał sobie sprawę, że ponownie psuje mu

szyki poczucie winy, odprowadził wzrokiem przejeżdżający ulicą samochód.

–Wstrzykują go w mięsień między barkami psa – powiedział Taggart. – Jest bardzo mały. Zwierzę go nie czuje. Zrobiliśmy zdjęcie rentgenowskie retrievera i odczytaliśmy numer AVID. To suka, pochodzi z domu stojącego jedną przecznicę na wschód i dwie przecznice na północ od miejsca zabójstwa. Właściciel nazywa się Okadan.

–Bobby Okadan? Zajmuję się jego ogrodem.

–Tak, wiem.

–Zabity facet... to nie był pan Okadan.

–Nie.

–Więc kto to był? Ktoś z rodziny, przyjaciel?

–Dziwię się, że nie rozpoznał pan psa – powiedział Taggart, nie odpowiadając na jego pytanie.

–Jeden golden retriever nie różni się od drugiego. – Niekoniecznie. Każdy ma indywidualne cechy. – Mishiki – przypomniał sobie Mitch. – Tak się nazywa – potwierdził Taggart.

**Zajmujemy się jego ogrodem we wtorki. Gospodyni pilnuje wtedy, żeby Mishiki nie wychodziła na dwór i nie przeszkadzała. Widuję ją przeważnie przez drzwi na patio.**

**Wszystko wskazuje na to, że Mishiki została skradziona z ogrodu pana Okadana dziś rano, około wpół do dwunastej. Założona jej obroża i smycz nie należą do Okadanów.**

**–Chce pan powiedzieć... że sukę ukradł facet, którego zastrzelono?**

**–Na to wygląda.**

**Ta rewelacja sprawiła, że Mitch przestał unikać wzroku detektywa. Teraz nie mógł od niego oderwać oczu.**

**Taggart nie przyjechał tutaj wyłącznie po to, by zapoznać go z nowymi intrygującymi okolicznościami. Te okoliczności zrodziły najwyraźniej w umyśle detektywa pytania na temat czegoś, co Mitch powiedział – albo czego nie powiedział wcześniej.**

**Z wnętrza domu dobiegł stłumiony dzwonek telefonu.**

**Porywacze mieli zadzwonić dopiero o szóstej. Ale jeśli zadzwonią wcześniej i go nie zastaną, mogą się zirytować.**

**–Wolałbym, żeby pan nie odbierał tego telefonu – po wiedział Taggart, kiedy Mitch uniósł się z krzesła. – To chyba pan Barnes.**

**–Iggy?**

**–Rozmawiałem z nim pół godziny temu. Poprosiłem, żeby nie dzwonił tutaj, dopóki nie będę miał sposobności z panem pogadać. Od tego momentu zmagał się prawdopodobnie z własnym sumieniem i w końcu sumienie wygrało. Albo przegrało, w zależności od punktu widzenia.**

**–O co tutaj chodzi? – zapytał Mitch, pozostając na krześle.**

**–Jak często, pana zdaniem, dochodzi do kradzieży psów, panie Rafferty? – zapytał Taggart, ignorując jego pytanie i wracając do tematu.**

**–Nigdy nie przyszło mi do głowy, że ktoś je w ogóle kradnie.**

**–To się zdarza. Nie tak często jak kradzieże samo-**

**chodów. – Uśmiech Taggarta nie był zaraźliwy. – Nie można ukraść psa na części, jak to się robi z porsche. Ale od czasu do czasu są kradzione.**

**–Skoro pan tak twierdzi.**

**–Rasowe psy mogą być warte parę tysięcy dolarów. Całkiem często złodziej nie ma wcale zamiaru ich sprzedawać. Chce mieć po prostu fajnego psa i za niego nie płacić.**

**Taggart umilkł, ale Mitch się nie odezwał. Zależało mu, żeby jak najszybciej skończyć tę rozmowę. Chciał wiedzieć, co się za nią kryje. W tej całej gadce o psach tkwił jakiś haczyk.**

**–Psy pewnych ras kradzione są częściej od innych,**

**ponieważ wiadomo, że są przyjaźnie nastawione i nie będą**

**się opierać. Retrievery należą do najbardziej towarzyskich i**

**najmniej agresywnych ze wszystkich popularnych ras.**

**Detektyw pochylił głowę, spuścił wzrok i siedział przez chwilę zamyślony, jakby zastanawiał się, co powiedzieć.**

**Mitch nie wierzył, że Taggart musi zebrać myśli. Myśli tego człowieka były uporządkowane równie precyzyjnie jak ubrania w szafie kogoś, kto cierpi na zaburzenia obsesyj-no-kompulsywne.**

**–Psy kradnie się na ogół z zaparkowanych samocho**

**dów – kontynuował Taggart. – Ludzie zostawiają psa sa**

**mego i nie zamykają drzwi. Kiedy wracają, Zeda nie ma.**

**Ktoś zdążył go już nazwać Toro.**

**Mitch zdawał sobie sprawę, że ściska poręcz wiklinowego fotela, jakby siedział przywiązany pasami do krzesła elektrycznego i czekał, aż kat przerzuci wielką wajchę. Mimo to starał się udawać odprężonego.**

**–Właściciel przywiązuje też czasem psa do parkomatu**

**przed sklepem. Złodziej odwiązuje smycz i odchodzi ze**

**swoim nowym najlepszym przyjacielem. Kolejna pauza.**

**Mitch przetrwał ją. – Rzadko się zdarza, panie Rafferty –**

**powiedział Taggart, nie podnosząc nadal głowy – żeby psa**

**skradziono z jego własnego podwórka w jasny wiosenny**

**ranek. Ciekawi mnie każda rzadka, niezwykła rzecz. Każda**

**anomalia naprawdę nie daje mi spokoju.**

**Mitch podniósł rękę i rozmasował mięśnie karku, ponieważ wydawało mu się, że właśnie coś takiego powinien zrobić odprężony człowiek, odprężony i pozbawiony trosk.**

**–To dziwne, że złodziej wszedł od tak sobie na teren czyjejs posiadłości i odszedł ze skradzionym zwierzęciem. To dziwne, że nie miał przy sobie dowodu tożsamości. To więcej niż dziwne, to niezwykle, że zastrzelono go trzy przecznice dalej. I to dziwne, panie Rafferty, że pan, główny świadek, znał go.**

**–Ależ ja go nie znałem.**

**–W swoim czasie – powiedział z naciskiem Taggart – znał go pan całkiem dobrze.**

Biały sufit, białe poręcze, białe deski podłogi, białe wiklinowe fotele i szaro-czarna ściana. Wszystko na werandzie było znajome, otwarte i jasne, lecz mimo to wydawało się ciemne i obce.

–Jeden z krawężników na miejscu zbrodni przyjrzał się w końcu ofierze i rozpoznał ją.

–Jeden z krawężników?

–Umundurowanych funkcjonariuszy. Powiedział, że jakieś dwa lata temu zatrzymał go za przekroczenie drogowe i aresztował za posiadanie narkotyków. Facet nie trafił w końcu za kratki, ale jego odciski są w naszej kartotece, więc mogliśmy go szybko zidentyfikować. Pan Barnes twierdzi, że chodziliście razem do szkoły średniej.

Mitch żałował, że Taggart nie patrzy mu w oczy. Będąc przenikliwym i spostrzegawczym gliniarzem, z pewnością rozpoznałby w nich autentyczne zdumienie.

–Nazywał się Jason Osteen.

–Nie tylko chodziłem z nim do szkoły – przyznał Mitch. – Jason i ja mieszkaliśmy razem przez rok.

–Wiem – mruknął Taggart, nawiązując z nim ponownie kontakt wzrokowy.

–Powiedział panu o tym Iggy.

–Tak.

–Po ukończeniu szkoły średniej mieszkałem jeszcze przez rok z moimi starymi – podjął Mitch, pragnąc wydać się szczerzy. – Chodziłem wtedy na kurs.

–Ogrodniczy.

–Zgadza się. Potem dostałem pracę w firmie architektury krajobrazu i wyprowadziłem się. Chciałem mieć własne mieszkanie. Ale nie było mnie na nie stać, więc złożyliśmy się na czynsz razem z Jasonem.

Detektyw ponownie skłonił głowę w kontemplacyjnej pozie, jakby jego strategia polegała na tym, żeby wymuszać kontakt wzrokowy, gdy Mitch czuł się nieswojo, i unikać go, kiedy Mitchowi na nim zależało.

–Ten facet na chodniku to nie był Jason – powiedział

**Mitch.**

**Taggart otworzył białą kopertę, którą trzymał na kolanach.**

**–Poza identyfikacją przez funkcjonariusza i pasują**

**cymi odciskami palców mam również identyfikację doko**

**naną przez pana Barnes'a na podstawie tego – oświadczył,**

**wyjmując z koperty kolorową fotografię formatu osiem na**

**dziesięć cali i podając ją Mitchowi.**

**Policyjny fotograf poruszył ciało, aby objąć więcej niż trzy czwarte twarzy. Głowę przekręcono w lewą stronę, starając się jednak ukryć najgorszą część rany.**

**Rysy zostały lekko zdeformowane przez pocisk, który wszedł w skroń, przeszył czaszkę i wyszedł za skronią z drugiej strony. Lewe oko było zamknięte, prawe szeroko otwarte w cyklopowym przeraźliwym wytrzeszczu.**

**–To mógł być Jason – powiedział Mitch.**

**–To jest Jason.**

**–Na miejscu zabójstwa widziałem tylko bok jego twa**

**rzy. Prawy profil, najgorszy, z raną wylotową.**

**–I nie patrzył pan pewnie zbyt uważnie.**

**Nie. Nie patrzyłem. Kiedy zorientowałem się, że nie żyje,**

**nie chciałem przyglądać mu się z bliska.**

**Poza tym miał krew na twarzy – dodał Taggart. – Starliśmy ją przed zrobieniem fotografii.**

**–Krew, mózg... dlatego nie chciałem patrzeć z bliska.**

**Mitch nie mógł oderwać oczu od zdjęcia. Wyczuwał w nim**

**coś profetycznego. Któregoś dnia zrobią mu podobną fotografię. Pokażą jego rodzicom. Czy to państwa syn, panie i pani Rafferty?**

**–To Jason. Nie widziałem go od ośmiu, może dzie**

więciu lat.

–Mieszkaliście razem, kiedy miał pan ile? Osiemnaście?

–Osiemnaście, dziewiętnaście. Tylko przez rok.

–Mniej więcej dziesięć lat temu.

–Niecałe dziesięć.

–Jason zawsze udawał, że jest wyluzowany, tak jakby kompletnie znieczulił mózg, zarazem jednak dawał do zrozumienia, że pozjadał wszystkie rozumy. Inni surferzy nazywali go Debeściak i podziwiali go, a nawet mu zazdrościli. Nic nigdy nie wytrącało z równowagi Jasona, nic go nigdy nie zaskakiwało.

Teraz wydawał się zaskoczony. Wytrzeszczone jedno oko, otwarte usta. Wydawał się zszokowany.

–Chodziliście razem do szkoły, razem mieszkaliście...

Dlaczego nie utrzymywaliście ze sobą kontaktu?

Kiedy Mitch wpatrywał się w fotografię, Taggart uważnie go obserwował. Spojrzenie detektywa było przeszywające.

–Mieliśmy... inne poglądy na różne sprawy – powie

dział Mitch.

–Nie byliście małżeństwem, ale zwykłymi sublokatorami. Nie musieliście chcieć tego samego.

–Czasami chcieliśmy tych samych rzeczy, ale mieliśmy inne wyobrażenia, jak je zdobyć.

–Jason chciał, żeby wszystko przychodziło mu łatwo

–domyślił się Taggart.

–Moim zdaniem prosił się o duże kłopoty i nie chciałem mieć z tym nic wspólnego.

Jest pan prostoliniorny, nie lubi się pan wychylać – powiedział Taggart.

–Nie jestem lepszy od innych, ale nie kradnę.

–Niewiele się o nim na razie dowiedzieliśmy, ale wie

**my, że wynajmował dom w Huntington Harbor za siedem**

**tysięcy miesięcznie.**

**–Miesięcznie?**

**–Miły dom, nad samym morzem. I wygląda na to, że nie miał żadnej pracy.**

**Jason uważał, że praca jest wyłącznie dla śródlądowców, potworów ze smogu. – Mitch zorientował się, że potrzebne jest wyjaśnienie. – To określenie surferów na ludzi, którzy nie żyją plażą.**

**–Czy był okres, Mitch, kiedy ty też żyłeś plażą?**

**–Pod koniec szkoły średniej i jakiś czas później. Ale to mi nie wystarczało.**

**Czego ci brakowało?**

**Satysfakcji z pracy. Stabilności. Rodziny.**

**Teraz masz to wszystko. Niczego nie brakuje do ideału, tak?**

**Jest dobrze. Bardzo dobrze. Tak dobrze, że czasami aż się boję.**

**–Ale czegoś ci brakuje... Czego ci teraz brakuje, Mi-tch? Mitch nie wiedział. Rozmyślał o tym od czasu do czasu, ale nie znał odpowiedzi.**

**–Niczego – odpowiedział. – Chcielibyśmy mieć dzieci. To chyba wszystko.**

**–Mam dwie córki – powiedział detektyw. – Jedna ma dziewięć, druga dwanaście lat. Dzieci zmieniają życie.**

**–Nie mogę się tego doczekać.**

**Mitch zdał sobie sprawę, że odpowiadając na pytania Taggarta, już się tak bardzo nic pilnuje. Musiał pamiętać, że nie ma szans z tym facetem.**

**Nic licząc tego oskarżenia o posiadanie narkotyków – powiedział Taggart – Jason przez wszystkie te lata ani razu nie wszedł w konflikt z prawem.**

**–Zawsze miał szczęście.**

**–Nie zawsze – odparł Taggart, wskazując fotografię. Mitch nie chciał już na nią patrzeć. Oddał ją detektywowi.**

**–Trzęsą się panu ręce – zauważył Taggart.**



**–Chyba tak. Kiedyś się z nim przyjaźniłem. Kilka razy**

**nieźle się zabawiliśmy. Wszystko to do mnie teraz wraca.**

**Więc nie widział go pan ani nie rozmawiał z nim od dziesięciu lat.**

**–Niespełna dziesięciu.**

**–Ale teraz go pan rozpoznaje – powiedział Taggart, wsadzając z powrotem zdjęcie do koperty.**

**–Bez krwi, kiedy widzę więcej twarzy.**

**–Kiedy zobaczył go pan z psem, zanim go jeszcze zabili,**

**nie pomyślał pan: „Hej, ja chyba znam tego faceta”?**

**–Był po drugiej stronie ulicy. Zerknąłem na niego raz, a potem go zastrzelili.**

**–Poza tym rozmawiał pan przez telefon i to odwracało pańską uwagę. Pan Barnes mówi, że kiedy oddano strzał, rozmawiał pan przez komórkę.**

**–Zgadza się. Nie obserwowałem faceta z psem. Po prostu na niego zerknąłem.**

**–Pan Barnes zrobił na mnie wrażenie kogoś organicz**

**nie niezdolnego do kłamstwa. Gdyby spróbował skłamać,**

**za-czerwieniłby się prawdopodobnie po same uszy.**

**Mitch zastanawiał się, czy detektyw nie daje mu przypadkiem do zrozumienia, że on w przeciwieństwie do Iggy-'ego jest kimś niesolidnym i niegodnym zaufania.**

**–Iggy to dobry człowiek – rzekł z uśmiechem.**

**–Z kim pan rozmawiał? – zapytał Taggart, spoglądając na kopertę, której skrzydełko zabezpieczył klamrą.**

**–Z Holly. Moją żoną.**

**–Zadzwoniła, żeby powiedzieć panu, że ma migrenę?**

**–Tak. Żeby powiedzieć, że wróci do domu wcześniej z powodu migreny.**

**–Mam nadzieję, że czuje się lepiej – powiedział Ta-ggart, zerkając na dom za ich plecami.**

**–Czasami to może trwać cały dzień.**

**–Więc okazuje się, że facet, którego zastrzelono, jest**

**pańskim dawnym współlokatorem. Rozumie pan, dlaczego to mnie zdziwiło?**

**–To dziwne – zgodził się Mitch. – Trochę mnie to prze-**

**raża.**

**–Nie widział się pan z nim od dziewięciu lat. Nie rozmawiał przez telefon i w ogóle.**

**–Miał nowych przyjaciół, ludzi innego pokroju. Nie obchodzili mnie i nie natknąłem się na niego w żadnym ze starych miejsc.**

**–Czasami zbieg okoliczności jest tylko zbiegiem okoliczności – podsumował Taggart, po czym wstał z fotela i ruszył w kierunku schodów.**

**Mitch również wstał z krzesła, oddychając z ulgą i wycierając dłonie o dżinsy.**

**–Nie przeszukaliśmy jeszcze porządnie domu Jasona**

**–powiedział z pochyloną głową Taggart, zatrzymując się**

**przy schodach. – Dopiero zaczęliśmy. Ale znaleźliśmy już**

**jedną dziwną rzecz.**

**Zachodzące powoli słońce znalazło szparę między gałązkami drzewa pieprzowego. Cętkowany pomarańczowy blask oślepił Mitcha i zmusił do zmrużenia oczu.**

**–W jego kuchni – powiedział pozostający w cieniu Taggart – była szuflada, w której trzymał drobniaki, kwity, różne pióra, zapasowe klucze... Znaleźliśmy tam tylko jedną wizytówkę. Należała do pana.**

**–Do mnie?**

**–„Wielka Zielen. Architektura krajobrazu, urządzenie i pielęgnacja ogrodów. Mitchell Rafferty” – przytoczył treść wizytówki Taggart. To właśnie sprawiło, że przyjechał tu znad morza. Odwiedził Iggy'ego, poczciwego starego Igg-y'ego, i dowiedział się, że faktycznie coś łączyło Mitcha i Jasona. – Nie dał mu pan tej wizytówki? – zapytał.**

**Nie, nic mi o tym nie wiadomo. Jakiego była koloru? Białego.**

**–Używam białych wizytówek dopiero od czterech lat.**

**Przedtem były jasnozielone.**

**I nie widział go pan od dziewięciu lat. Chyba od dziewięciu.**

**–Więc chociaż pan stracił z nim kontakt, wygląda na**

**to, że Jason dalej się panem interesował. Wie pan może dlaczego?**

**–Nie. Nie mam bladego pojęcia.**

**–Ma pan problem – powiedział po chwili milczenia Taggart.**

**–Mógł zdobyć moją wizytówkę na tysiąc sposobów, poruczniku. To wcale nie znaczy, że się mną interesował.**

**–Mówię o tym – odparł detektyw, wskazując balustradę werandy i nadal nie podnosząc wzroku.**

**–Na białej poręczy, w ciepłej ciszy kręciły się, zupełnie jakby kopulowały, dwa skrzydlate owady.**

**–Termity – powiedział Taggart.**

**–Równie dobrze to mogą być skrzydlate mrówki.**

**–Czy to nie teraz właśnie roją się termity? Niech pan lepiej każe sprawdzić to miejsce. Dom może się wydawać solidny i bezpieczny, podczas gdy w rzeczywistości jest wydrążony od środka.**

**Detektyw podniósł w końcu wzrok i spojrzał mu prosto w oczy.**

**–To skrzydlate mrówki – powiedział Mitch.**

**–Czy jest jeszcze coś, co chciałby mi pan powiedzieć?**

**–Nic nie przychodzi mi do głowy.**

**–Nie spieszy nam się. Niech pan się zastanowi.**

**Gdyby Taggart sprzymierzył się z porywaczami, rozgrywałyby to inaczej. Nie byłby taki uparty i dokładny. Mi-tch wyczułby, że to dla niego coś w rodzaju gry, szarada.**

**Gdybyś zwierzył mu się ze swoich zmartwień, Mitch, Holly już by nie żyła...**

**Ich poprzednia rozmowa mogła zostać nagrana z daleka. W dzisiejszych czasach wysokiej klasy mikrofony kierunkowe potrafią wychwycić wyraźnie głosy z odległości**

setek stóp. Widział to w kinie. Niewiele z tego, co widział w kinie, miało coś wspólnego z prawdą, ale mikrofony kierunkowe chyba tak. Taggart mógł podobnie jak Mitch nie wiedzieć, że ich nagrywają.

Oczywiście to, co zrobiono raz, można było zrobić dwa

razy. Przy krawężniku po drugiej stronie ulicy stała furgonetka, której Mitch nie widział nigdy wcześniej. Mógł w niej siedzieć specjalista od podsłuchu.

Taggart omiół wzrokiem ulicę, najwyraźniej szukając przedmiotu zainteresowania Mitcha.

Domy też były podejrzane. Mitch nie znał swoich wszystkich sąsiadów. Jeden z domów był pusty i wystawiony na sprzedaż.

–Nie jestem pańskim wrogiem – rzekł Taggart.

–Nigdy nie przyszło mi to do głowy – skłamał Mitch.

–Wszyscy uważają mnie za wroga.

–Chciałbym żyć w przekonaniu, że nie mam żadnych wrogów.

–Każdy ma wroga. Nawet świąty.

–Dlaczego świąty miałyby mieć wrogów?

–Nikczemni nienawidzą dobrych tylko za to, że są dobrzy.

–Słowo „nikczemni” brzmi tak...

–Dziwnie – podsunął mu Taggart.

–W pańskiej pracy wszystko wydaje się pewnie czarnobiałe.

–Pod różnymi odcieniami szarości wszystko jest czarnobiałe, Mitch.

–Nie wychowano mnie w ten sposób.

–Choć codziennie widzę dowody, że tak właśnie jest, niełatwo mi w to uwierzyć. Odcienie szarości, mniejszy kontrast, mniejsza pewność... to o wiele wygodniejsze.

Taggart wyjął z kieszeni koszuli okulary przeciwsłoneczne i założył je na nos. Z tej samej kieszeni wyciągnął jedną ze swoich wizytówek.

–Dał mi pan już wizytówkę – powiedział Mitch. – Mam ją w portfelu.

**–Na tamtej jest tylko numer wydziału zabójstw. Na tej napisałem z tyłu numer mojej komórki. Rzadko komu ją daję. Może pan do mnie dzwonić o każdej porze.**

**–Powiedziałem panu wszystko, co wiem, poruczniku –**

**oświadczył Mitch, biorąc do ręki wizytówkę. – To, że był w to zamieszany Jason... intryguje mnie.**

**Taggart przyglądał mu się zza dwóch bliźniaczych lusterek, w których twarz Mitcha odbijała się w różnych odcieniach szarości.**

**Mitch przeczytał numer komórki i włożył wizytówkę do kieszeni koszuli.**

**–Pamięć jest siecią – powiedział detektyw, najwyraźniej znowu kogoś cytując. – Kiedy wyciągamy ją ze strumienia, widzimy w środku pełno ryb. Zapominamy, że przepłynęły przez nią, nie zatrzymując się, mile wody.**

**Taggart zszedł po schodkach z werandy i ruszył alejką w stronę chodnika.**

**Mitch nie miał wątpliwości, że wszystko, co powiedział, znalazło się w sieci detektywa, każde słowo i każda intonacja, każde podkreślenie i zawahanie, każdy grymas i drgnienie ciała; nie tylko to, co znaczyły słowa, lecz również to, co sugerowały. Pośród tych ryb, z których wnętrzości gliniarz będzie wróżył podobnie jak Cyganka wróży z liści herbaty, odnalezione zostaną znaki lub wskazówki, które sprowadzą go z powrotem z ostrzeżeniami i nowymi pytaniami. Taggart przeszedł przez furtkę i zamknął ją za sobą. Słońce nie świeciło już przez szparę między gałązkami drzewa pieprzowego i Mitch znalazł się w cieniu. Nie poczuł jednak chłodu, ponieważ światło w ogóle go nie ogrzało.**

Wielki telewizor w gabinecie przypominał ślepe oko. Nawet kiedy Mitch wciskał przycisk pilota, by wypełnić ekran jasnymi, idiotycznymi obrazami, to oko nie widziało go; mimo to czuł się obserwowany przez kogoś, kto przygląda mu się z chłodnym rozbawieniem.

Telefon z automatyczną sekretarką stał w rogu biurka. Jedyną wiadomość zostawił lggy.

–Przepraszam, brachu. Powinienem zadzwonić, kiedy tylko stąd wyszedł. Ale ten Taggart... on jest jak potrójna fala, która zasłania ci cały horyzont. Spadasz na jej widok z deski i masz ochotę posiedzieć sobie chwilę spokojnie na plaży.

Mitch usiadł przy biurku i otworzył szufladę, w której Holly trzymała ich książeczki czekowe i wyciągi z banku.

W rozmowie z porywaczem zbyt optymistycznie ocenił stan ich rachunku bieżącego, którego saldo wynosiło dokładnie 10 346 dolarów i 54 centy.

Najnowszy wyciąg miesięczny z rachunku oszczędnościowego opiewał na 27 311 dolarów i 40 centów.

Mieli do zapłacenia rachunki. Były w innej szufladzie

tego samego biurka. Nie sprawdził ich. Liczył wyłącznie aktywa.

Comiesięczna spłata pożyczki hipotecznej szła z rachunku bieżącego. Bank wyliczył, że zostało im do spłacenia 286 770 dolarów.

Holly wyceniła ostatnio ich dom na 425 tysięcy dolarów. Wydawało się to astronomiczną kwotą za mały bungalow w starej miejscowości, ale wycena była trafna. Miejscowość, choć stara, była atrakcyjna, a największą wartość miała duża działka.

Pomniejszona o hipotekę wartość domu plus pieniądze w banku dawały razem mniej więcej 175 tysięcy dolarów. Ta suma nijak się miała do dwóch milionów, a porywacz nie wyglądał na faceta, z którym można negocjować.

Tak czy inaczej te aktywa można było zamienić na gotówkę, tylko gdyby wzięli nowy kredyt albo sprzedali dom. Ponieważ stanowił ich wspólną własność, w jednym i drugim wypadku Mitch potrzebował podpisu Holly.

Nie mieliby domu, gdyby Holly nie odziedziczyła go po swojej babci, Dorothy, która

**ją wychowała. Przed śmiercią Dorothy raty były niższe, ale musieli zaciągnąć wyższy kredyt, żeby spłacić podatek spadkowy.**

**A zatem suma, którą mógł przeznaczyć na okup, wynosiła około trzydziestu siedmiu tysięcy.**

**Mitchowi nigdy nie przyszło do głowy, że jest nieudacznikiem. Uważał się za młodego człowieka w odpowiedzialny sposób budującego przyszłość swojej rodziny.**

**Miał dwadzieścia siedem lat. Nikt nie może być nieudacznikiem w wieku dwudziestu siedmiu lat.**

**Mimo to jedno nie ulegało wątpliwości. Chociaż Holly stanowiła istotę jego życia i była bezcenna, kiedy przyszło wyznaczyć za nią cenę, nie mógł zapłacić więcej niż trzydzieści siedem tysięcy.**

**Ogarnęła go gorycz, której nie mógł skierować przeciw nikomu poza sobą. To nie było dobre. Gorycz mogła się zmienić w użalanie nad sobą, a ulegając mu, na pewno**

stałby się nieudacznikiem. I Holly by zginęła.

Nawet gdyby dom nie miał obciążonej hipoteki, nawet gdyby mieli pół miliona w gotówce i odnieśli niesamowity sukces jak na ludzi w ich wieku, i tak nie miałyby dość pieniędzy, by zapłacić okup.

Ta prawda pomogła mu uświadomić sobie, że tym, co może uratować Holly, nie są pieniądze. Jeżeli to w ogóle możliwe, uratuje ją on sam: jego wytrwałość i spryt, jego odwaga i miłość.

Wkładając z powrotem do szuflady wyciągi bankowe, zobaczył kopertę z zapisanym ręką Holly swoim imieniem. W środku była kartka urodzinowa, którą kupiła kilka tygodni wcześniej.

Z przodu była fotografia pokrytego zmarszczkami i brodawkami starca. „Kiedy będziesz stary, nadal będę cię potrzebowała, skarbie”, brzmiał podpis.

Mitch otworzył kartkę i przeczytał: „Ze wszystkich przyjemności pozostanie mi wtedy wyłącznie uprawa ogródka, a ty przydasz się na kompost”.

Roześmiał się. Wyobraził sobie Holly śmiejącą się w sklepie, kiedy otworzyła kartkę i przeczytała puentę.

A potem jego śmiech zmienił się w coś innego. W ciągu pięciu minionych strasznych godzin był kilka razy na granicy łez, ale powstrzymywał je. Ta kartka go zdruzgotała.

Pod wydrukowanym tekstem Holly dopisała „Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. Kocham Cię, Holly”. Miała miły i elegancki, choć niezbyt fantazyjny charakter pisma.

Oczywiście wyobraźni zobaczył jej dłoń trzymającą pióro. Jej ręce wydawały się delikatne, ale były zaskakująco silne.

W końcu pomogło mu się opanować wspomnienie jej silnych delikatnych dłoni.

Poszedł do kuchni i zdjął z kolka na drzwiach kluczyki do samochodu Holly. Jeździła czteroletnią hondą.

Zabrał komórkę ze stojącej przy piekarniku ładowarki, po czym wyszedł na dwór i wstawił pick-upa do garażu na tyłach działki.

Stojąca obok biała honda lśniła, ponieważ Holly umyła ją w niedzielą po południu.



**Mitch wysiadł z pick-upa, zatrzasnął drzwiczki i przez chwilę stał między dwoma pojazdami, omiatając wzrokiem garaż. Jeżeli ktoś tutaj był, musiał usłyszeć i zobaczyć zbliżającego się pick-upa. Miał dosyć czasu, żeby uciec.**

**W garażu unosiła się słaba woń oleju silnikowego i smaru oraz silny zapach skoszonej trawy leżącej w brezentowych workach na skrzyni samochodu.**

**Popatrzył na niski sufit, nad którym znajdował się stryszek zajmujący dwie trzecie powierzchni garażu. Okna w wyższej części pomieszczenia wychodziły na dom, zapewniając doskonały punkt obserwacyjny.**

**Ktoś wiedział, że Mitch wrócił wcześniej do domu, dokładnie się orientował, kiedy wszedł do kuchni. Telefon zadzwonił chwilę po tym, jak zobaczył potłuczone talerze i krew.**

**Chociaż obserwator mógł się nadal ukrywać w garażu, mógł tu nadal być, Holly na pewno przebywała gdzie indziej. Obserwator mógł wiedzieć, gdzie ją przetrzymują, ale niekoniecznie.**

**Nawet jeżeli obserwator, którego istnienie pozostawało hipotetyczne, wiedział, gdzie przetrzymują Holly, Mitch okazałby nieostrożność, próbując go szukać. Ci ludzie mieli spore doświadczenie w walce i byli bezwzględni. Ogrodnik nie był dla nich przeciwnikiem.**

**Nad jego głową zaskrzypiała deska. W budynku mającym tyle lat co ten skrzypnięcie mogło wynikać ze zwykłego osiadania, mogło być daniną, jaką stare belki składały grawitacji.**

**Mitch obszedł dookoła hondę i otworzył drzwiczki od strony kierowcy. Przez chwilę się wahał, a potem usiadł za kierownicą, zostawiając otwarte drzwiczki.**

**Dla odwrócenia uwagi zapalił silnik. Drzwi garażu były otwarte, co wykluczało możliwość zaczadzenia.**

**Wysiadł z samochodu i zatrzasnął drzwiczki. Jeżeli ktoś**

nasłuchiwał, powinien uznać, że zamknął je od środka.

Ten ktoś mógł się zdziwić, że Mitch nie wyjechał od razu z garażu. Mógł dojść do wniosku, że gdzieś dzwoni.

Na bocznej ścianie wisiały narzędzia, których używał, pracując we własnym ogrodzie. Różne sekatory i nożyce wydawały się zbyt nieporęczne.

Wybrał szybko rydel ogrodniczy wykonany z jednego kawałka stali maszynowej. Uchwyt pokryty był gumą.

Przednia część rydla była szeroka i zaokrąglona, nie tak ostra jak nóż, ale wystarczająco ostra.

Po krótkim namyśle uznał, że chociaż dałby radę za-dźgać człowieka, powinien jednak wybrać broń, która raczej obezwładni, nie zabije.

Na ścianie naprzeciwko akcesoriów ogrodniczych wisiały inne narzędzia. Wybrał coś pośredniego między łomem i kluczem francuskim.

Mitch był świadom, że ogarnęło go zrodzone z desperacji szaleństwo. Nie umiał znieść dalszej bierności.

Trzymając w prawej ręce klucz z długim uchwytem, podszedł do prowadzących na strych schodków przy tylnej ścianie garażu.

Powstrzymując się w dalszym ciągu od działania, czekając posłusznie na telefon o szóstej – do której została jeszcze godzina i siedem minut – zachowywał się jak automat, który chcieli w nim widzieć porywacze. Ale nawet ferrari trafia czasem na złomowisko.

Nadal nie pojmował, dlaczego Jason Osteen ukradł psa i dlaczego akurat jego zabili, żeby dać mu coś do zrozumienia.

Intuicja podpowiadała mu jednak, że porywacze wiedzieli, iż związek między Mitchem i Jasonem zostanie ujawniony i że skieruje to na niego podejrzenia policji. Wznosili cały gmach dowodów poszlakowych, które, jeśli zamierzali zabić Holly, miały zaprowadzić Mitcha na salę sądową i przekonać ławę przysięgłych, że jest winien morderstwa.

Niewykluczone, że robili to wyłącznie po to, by uniemożliwić mu zwrócenie się do

władz o pomoc. Izolując go w ten sposób, łatwiej nad nim zapanują.

Nie można było również wykluczyć, że nawet jeżeli zdobędzie dwa miliony dolarów, realizując wymyślony przez nich plan, nie uwolnią wcale jego żony w zamian za okup. Jeżeli zdołają posłużyć się nim do obrabowania banku bądź jakiejś innej instytucji, jeżeli po odebraniu pieniędzy zabiją Holly i będą dość sprytni, żeby nie pozostawić żadnych śladów, wtedy cała wina spadnie na Mitcha i być może jakiegoś innego spisanego na straty faceta, którego jeszcze nie zna.

Samotny, zrozpaczony, pogardzany i uwięziony, nigdy nie dowie się, kim byli jego przeciwnicy. Będzie do końca życia zastanawiał się, dlaczego wybrano jego zamiast innego ogrodnika, mechanika lub murarza.

Desperacja, która zawiodła go na schody, odegnała lęk, nie odebrała jednak rozsądku. Nie wbiegł szybko na górę, lecz wspiął się ostrożnie, trzymając klucz francuski za uchwyt, gotów zadać cios jego nasadą.

Drewniane stopnie musiały skrzypieć, a nawet trzeszczeć pod jego stopami, ale zagłuszył je warkot pracującego na jałowym biegu silnika hondy.

Zabudowany z trzech stron strych był otwarty z tyłu. Zaczynająca się przy schodach balustrada biegła przez całą szerokość garażu.

Popołudniowe światło wpadało do środka przez okna w trzech ścianach. Za słupkami balustrady wznosiły się stosy kartonów i inne rzeczy, na które zabrakło miejsca w bungalowie.

Kartony ustawione były w rzędach wysokości od czterech do siedmiu stóp. W przejściach między nimi panował półmrok i można było zacząć się przy każdym końcu.

Stojący u szczytu schodów Mitch znajdował się dokładnie naprzeciwko pierwszego przejścia. Przez dwa okna w północnej ścianie wpadało dość światła, by dostrzegł, że

nikt nie kuca w żadnej z wąskich nisz między pudłami.

Drugie przejście było ciemniejsze od pierwszego, chociaż przecinający je korytarzyk oświetlały niewidoczne okna w wychodzącej na dom zachodniej ścianie. Pudła różniły się rozmiarami, nie wszędzie je porządnie poukładano i w kilku miejscach były między nimi przerwy – dlatego w niszach mógł się śmiało ukryć mężczyzna.

Mitch starał się wejść na górę jak najciszej. Silnik hondy nie pracował jeszcze dość długo, by wzbudzić poważne podejrzenia. Jeżeli ktokolwiek przebywał na strychu, z pewnością zachowywał czujność i nasłuchiwał, nie zdawał sobie chyba jednak

**sprawy z tego, że powinien się natychmiast schować.**

**Trzecie przejście było jaśniejsze, ponieważ kończyło się bezpośrednio przy oknie. Mitch sprawdził czwarte, a potem piąte i ostatnie przejście, biegnące wzdłuż południowej ściany, w której były dwa okna z zakurzonymi szybami. Nie zobaczył nikogo.**

**Jedynym miejscem na strychu, którego nie widział w całości, był przecinający przejścia korytarzyk, biegnący równolegle do zachodniej ściany. Ktoś mógł się tam ukrywać za każdym rzędem kartonów.**

**Z podniesionym kluczem francuskim ruszył wysuniętym najdalej na południe przejściem, które okazało się puste, podobnie jak wcześniejsze.**

**Przy ostatnim stosie kartonowych pudeł stał jednak na podłodze sprzęt, którego nie powinno tam być.**

**Ponad połowa rzeczy na strychu należała do babki Holly, Dorothy, która zbierała ozdoby i dekoracje na każde większe święto.**

**Na Boże Narodzenie rozpakowywała pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt ceramicznych bałwanów różnych rodzajów i rozmiarów. Miała ponad setkę ceramicznych Świętych Mikołajów, ceramiczne renifery, ceramiczne choinki, wiazanki, dzwonki i sanki, grupki ceramicznych kolędników oraz miniaturowe ceramiczne domki, z których można było**

**zbudować wioskę.**

**W bungalowie nie mieściła się w całości żadna z przeznaczonych na różne święta kolekcji. Dorothy rozpakowywała i ustawiała tyle eksponatów, ile jej pasowało.**

**Holly nie chciała sprzedać żadnej ceramicznej figurki i kontynuowała tradycję. Pewnego dnia, mówiła, zamieszkają w większym domu i będzie można podziwiać całą kolekcję w pełnej krasie.**

**W setkach kartonowych pudeł spali walentynkowi kochankowie, wielkanocne króliki, baranki i religijne posążki, patrioci z czwartego lipca, halloweenowe duchy i czarne koty, pielgrzymowie z Dnia Dziękczynienia i legiony bożonarodzeniowych figurek.**

**Przedmioty stojące na podłodze przy końcu ostatniego przejścia nie były jednak zrobione z ceramiki i nie miały świątecznego charakteru. W skład elektronicznego zestawu wchodził odbiornik, nagrywarka oraz trzy inne urządzenia, których Mitch nie rozpoznawał.**

**Wszystkie podłączone były do rozgałęziacza, którego wtyczka tkwiła w pobliskim gniazdku w ścianie. Zapalone diody i wyświetlacze wskazywały, że sprzęt pracuje.**

**Porywacze inwigilowali dom. Pokoje i telefon były prawdopodobnie na podsłuchu.**

**Nie znalazłszy nikogo na strychu, Mitch doszedł do wniosku, że urządzenia nie są w tym momencie monitorowane, że muszą być nastawione na automatyczne nagrywanie. Zapewne porywacze potrafili nimi zdalnie sterować.**

**Potwierdzając jakby jego domniemania, diody zapaliły się w innej konfiguracji i przynajmniej na jednym z wyświetlaczy ukazały się odmierzające nagranie liczby. Usłyszał syk wyraźnie różniący się od warkotu pracującego na dole silnika hondy, a następnie głos detektywa Taggarta.**

**Uwielbiam te stare okolice. Tak właśnie wyglądała w latach swojej świetności południowa Kalifornia...**

**Na podsłuchu były nie tylko pokoje wewnątrz domu, lecz również weranda.**

**Domyślił się, że został wyprowadzony w pole, zanim jeszcze lufa pistoletu dotknęła jego karku.**

Mitch wzdrygnął się, lecz nie próbował obrócić się w stronę mężczyzny ani zamachnąć się kluczem. Nie potrafił zrobić tego wystarczająco szybko, by mu się udało.

W ciągu ostatnich pięciu godzin uświadomił sobie boleśnie własne ograniczenia. Można to poczytać za sukces, biorąc pod uwagę, że wychowano go w poczuciu, iż nie ma żadnych.

Mógł być architektem swojego życia, ale nie wierzył już, że jest panem swojego losu.

Dopóki nie wycięli wszystkich gajów pomarańczowych i nie zabudowali pustyni rzędami otynkowanych na biało domów.

–Rzuć klucz. Nie pochylaj się, żeby go położyć. Po prostu go rzuć – powiedział za jego plecami mężczyzna.

To nie był facet, z którym rozmawiał przez telefon. Jego głos był młodszy, nie tak chłodny, ale słyhać w nim było niepokojącą rzeczowość, która spłaszczała każde słowo i nadawała wszystkim tę samą wagę.

Mitch upuścił klucz.

–Tak jest wygodniej. Ale przypadkiem znalazłem się w pobliżu.

Mężczyzna chyba pilotem wyłączył nagrywarke.

–Najwyraźniej chcesz, żebyśmy ją porąbali na kawałki, tak jak obiecaliśmy – powiedział do Mitcha.

–Nie.

–Może wybierając ciebie, popełniliśmy błąd. Może cieszysz się, że jej się pozbędziesz.

–Nie mów tak.

Każde słowo wypowiedziane było tym samym, pozbawionym emocji płaskim tonem.

–Polisa na życie na dużą sumę. Inna kobieta. Może masz swoje powody.

–Nic podobnego.

**–Może wykonasz lepiej to, co każemy, jeżeli obiecamy, że ją zabijemy.**

**–Nie. Kocham ją. Naprawdę.**

**–Jeżeli wytniesz następny taki numer, Holly zginie.**

**–Rozumiem.**

**–Wracajmy tą samą drogą, którą tutaj przyszedłeś.**

**Mitch odwrócił się i mężczyzna zrobił to samo, cały czas za nim stojąc.**

**Idąc z powrotem najdalej wysuniętym na południe przejściem i mijając pierwsze okno, Mitch usłyszał chrobot klucza, który facet podnosił z podłogi.**

**Mógł się odwrócić i kopnąć go, kiedy będzie się prostował, ale bał się, że facet odgadnie jego zamiary i okaże się szybszy.**

**Do tej pory uważał tych bezimiennych mężczyzn za zawodowych przestępców. Prawdopodobnie nimi byli, ale to nie definiowało ich do końca. Nie wiedział, kim jeszcze byli, lecz obawiał się, że to coś gorszego.**

**Przestępcy, porywacze, mordercy. Nie wyobrażał sobie, co może być gorszego od tego, co już o nich wiedział.**

**–Wsiądź do hondy. Przejedź się gdzieś – powiedział mężczyzna, idąc za nim.**

**–Dobrze.**

**–Czekaj na telefon o szóstej.**

**–Dobrze. Będę czekał – odparł Mitch.**

**Kiedy zbliżali się do końca przejścia, tam gdzie musieli skrócić w lewo i przeciąć strych w poprzek, zmierzając do schodów w północno-wschodnim rogu, do Mitcha uśmiech-**

**nęło się nagle szczęście w postaci sznurka, supła na sznurku względnie pętelki na suple.**

**Kiedy to się stało, nie dostrzegł przyczyny, jedynie skutek. Przewróciła się wieża kartonowych pudeł. Kilka runęło na przejście, dwa spadły na mężczyznę.**

Zgodnie z napisami na pudłach były w nich hallowe-enowe figurki. Wypełnione w większej mierze pęcherzykową folią i porwaną bibułą niż ceramiką, kartony nie były ciężkie, lecz ich lawina pozbawiła równowagi mężczyznę i o mało nie zwała go z nóg.

Mitch uchylił się przed jednym pudłem i podniósł ramię, by zasłonić się przed drugim.

Przewracający się pierwszy stos kartonów zdestabilizował następny.

Mitch chciał odruchowo podeprzeć mężczyznę, ale zdał sobie sprawę, że każdy jego gwałtowny ruch może zostać poczytany za atak. Żeby nie zostać źle zrozumianym – i zastrzelonym – usunął mu się z drogi.

Stare spróchniałe drewno balustrady mogło wytrzymać nacisk lekko opierającej się o nią osoby, okazało się jednak zbyt słabe, by zatrzymać przewracającego się mężczyznę.

Balaski zatrzeszczały, gwoździe wysunęły się ze zgrzytem ze swoich otworów i dwa połączone ze sobą odcinki poręczy wypadły ze spojeń.

Mężczyzna zaklął, widząc spadające na niego pudła i krzyknął głośno, gdy ugięła się pod nim poręcz.

Sekundę później runął na podłogę garażu. Wysokość nie była duża, najwyżej osiem stóp, lecz wylądował z paskudnym odgłosem. Rozległ się łoskot walącej się balustrady i nagle wypalił jego pistolet.



Od przewrócenia się pierwszego pudła do końącego epizod wystrzału minęło zaledwie kilka sekund. Oniemiały i zaskoczony Mitch stał w miejscu dłużej, niż trwało całe wydarzenie.

Cisza sprawiła, że otrząsnął się z paraliżu. Cisza na dole.

Podbiegł do schodów i deski pod jego stopami zadudniły niczym piorun -jakby zachowały pamięć burz, potrząsających dawno temu drzewami, z których je wystrugano.

Kiedy przebiegał garaż, mijając pick-upa i hondę z wciąż pracującym silnikiem, euforia walczyła w nim z przerażeniem. Nie miał pojęcia, co zobaczy, i nie wiedział, co powinien czuć.

Mężczyzna leżał twarzą w dół, z głową i ramionami pod przewróconą taczka. Musiał zahaczyć o jej skraj i przewrócić ją na siebie.

Upadek z wysokości ośmiu stóp nie powinien wprawić go w taki kompletny bezruch.

Oddychając ciężko, lecz nie z wysiłku fizycznego, Mitch wyprostował taczka i odsunął ją na bok. Przy każdym oddechu czuł zapach oleju silnikowego i świeżo skoszonej

trawy. Kiedy ukląkł przy mężczyźnie, w nozdrza wpadła mu poza tym gryząca woń prochu i słodkawy odór krwi.

Obrócił ciało na plecy i po raz pierwszy zobaczył wyraźnie twarz. Nieznajomy, chociaż wyglądał na dwadzieścia kilka lat, miał nieskazitelną cerę chłopca przed okresem dojrzewania, jaspisowo zielone oczy i gęste rzęsy. Nie sprawiał wrażenia kogoś, kto mówi obojętnym tonem o okaleczaniu i mordowaniu kobiet.

Spadając, musiał trafić szyją w metalowy skraj taczki. Uderzenie najwyraźniej zmiażdżyło mu krtań i tchawicę.

Miał złamane prawe przedramię; palec wskazujący ręki uwięzionej pod klatką piersiową musiał odruchowo nacisnąć spust.

Pocisk wszedł w ciało tuż pod mostkiem, z lewej strony. Minimalne krwawienie świadczyło o tym, że trafił prosto w serce i śmierć nastąpiła natychmiast.

Gdyby nie zabił go od razu strzał z własnej broni, zginąłby szybko z powodu zablokowania dróg oddechowych.

**Był to zbyt fortunny zbieg okoliczności, by można go uznać za zwykły szczęśliwy traf.**

**Bez względu na to, czemu miał je przypisać – szczęściu czy czemuś więcej – Mitch nie wiedział z początku, czy to pożądane czy niepożądane wydarzenie.**

**Liczba jego wrogów została zredukowana o jednego. Czuł złościwą, mściwą satysfakcję i mógłby nawet roześmiać się gorzko, gdyby nie zdawał sobie jednocześnie sprawy, że ten wypadek skomplikował jego sytuację.**

**Kiedy ten człowiek nie skontaktuje się ze swoimi wspólnikami, będą do niego dzwonić. Kiedy im się to nie uda, zaczną szukać. Jeżeli odnajdą go martwego, dojdą do wniosku, że zabił go Mitch, i wkrótce potem zaczną odcinać palce Holly, kauteryzując bez znieczulenia rany płomieniem.**

**Podbiegł do hondy i zgasił silnik, następnie zaś zamknął pilotem bramę garażu.**

**Kiedy w środku zrobiło się ciemno, zapalił światło.**

**Sąsiedzi mogli nie usłyszeć pojedynczego strzału. Jeżeli go usłyszeli, z pewnością wzięli go za coś innego.**

**O tej porze dorośli nie wrócili jeszcze z pracy. Niektóre dzieciaki mogły już przyjść ze szkoły, ale na pewno słuchały płyt względnie były pochłonięte grami komputerowymi i uznały stłumiony odgłos strzału za fragment muzyki lub dźwiękowy efekt gry.**

**Mitch wrócił do zwłok i przyjrzał im się.**

**Przez chwilę nie mógł ruszyć się z miejsca. Wiedział, co trzeba zrobić, ale nie potrafił się do tego zmusić.**

**Przeżył prawie dwadzieścia osiem lat i nigdy nie był świadkiem czyjejs śmierci. Teraz jednego dnia widział śmierć dwóch osób.**

**Opadły go myśli o własnej śmierci i kiedy usiłował je od siebie odsunąć, okazało się to niemożliwe. W uszach słyszał wyłącznie szum krwi tłoczony wiośłami serca, lecz wyobraźnia podsuwała mu obraz łopocących poza polem widzenia czarnych skrzydeł.**

**Krępował się przeszukać ciało, ale doszedł do wniosku, że powinien.**

**Ręka, z której wyjął pistolet, była tak ciepła, że przyszło mu do głowy, iż mężczyzna udaje tylko martwego. Położył pistolet na stojącej obok tacy.**

**Gdyby prawa nogawka spodni zabitego nie podwinęła się przy upadku, Mitch nie dostrzegłby drugiej sztuki broni. W kaburze na kostce mężczyzna nosił rewolwer z krótką lufą.**

**Mitch położył rewolwer obok pistoletu i przyjrzał się kaburze. Rozpiął rzepy i położył ją przy broni.**

**Zajrzał do kieszeni sportowej marynarki i wywrócił kieszenie spodni.**

**Znalazł komplet kluczy – jeden do samochodu i trzy inne- przyglądał się im przez chwilę, a potem włożył do tej samej kieszeni, z której je wyjął. Po krótkim wahaniu znów je wyciągnął i położył na tacy.**

**Poza tym nie odkrył nic ciekawego oprócz portfela i telefonu komórkowego. W pierwszym mógł znajdować się jakiś**

**dowód tożsamości, drugi mógł mieć zaprogramowane numery należące do współników zabitego.**

**Gdyby telefon zadzwonił, Mitch nie odważyłby się go odebrać. Nawet gdyby mówił monosylabami, a osoba po drugiej stronie przez chwilę wierzyła, że rozmawia z zabitym, prędzej czy później musiał się w jakiś sposób zdradzić.**

**Wyłączył telefon. Porywaczom wyda się podejrzane, kiedy usłyszą pocztę głosową, nie powinni jednak działać pochopnie wyłącznie na podstawie podejrzeń.**

**Powstrzymując ciekawość, Mitch położył portfel i telefon na tacy. Czekają go inne, pilniejsze zadania.**

Ze skrzyni pick-upa Mitch zabrał brezentową płachtę, której używał do pakowania ściętych gałązek krzaków różanych. Ciernie nie przebijały jej tak łatwo jak juty.

Nie można było wykluczyć, że jeden z porywaczy przyjedzie tutaj po współnika. Mitch nie mógł zostawić zwłok w garażu.

Na myśl o tym, że będzie jeździł z trupem w bagażniku, żołądek podszedł mu do gardła. Musiał kupić jakieś leki na dolegliwości przewodu pokarmowego.

Brezent zmiękł od długiego używania i był popękany niczym szkliwo na antycznej wazie. Chociaż nie wodoszczelny, był jednak w jakimś stopniu wodoodporny.

Ponieważ u zabitego nastąpiło natychmiastowe zatrzymanie akcji serca, z rany wyciekło niewiele krwi. Mitch nie martwił się, że poplami brezent krwią.

Nie wiedział, jak długo będzie woził trupa w bagażniku. Kilka godzin, dzień, dwa dni? Prędzej czy później zaczną się z niego sączyć inne płyny ustrojowe.

Rozpostarł płachtę na podłodze i przetoczył na nią trupa. Widok bezwładnych rąk i przekrzywionej głowy sprawił, że zrobiło mu się niedobrze.

Sytuacja, w której znajdowała się Holly, nie pozwalała mu się cofać przed najbardziej odrażającymi zadaniami, dlatego zamknął oczy, kilka razy głęboko odetchnął i opanował mdłości.

Przekrzywiona głowa świadczyła o tym, że mężczyzna miał skręcony kark. W takim razie zginął z trzech powo-

dów: skręconego karku, zgniecionej tchawicy i przebitego kulą serca.

To nie mogło być szczęście. Takiego nagromadzenia makabry nie można było uznać za uśmiech losu. To byłaby podłość.

Owszem to było coś niezwykłego. Niezwykły incydent, ł dziwny. Ale bynajmniej nie pomyślny.

Poza tym Mitch nie wiedział jeszcze, czy to, co się stało, obróci się na jego korzyść. Równie dobrze mogło się stać odwrotnie.

Po ułożeniu ciała na płachcie nie tracił czasu na przewlekanie sznura przez umieszczone w niej otwory i szczelne obwiązywanie paczki. Najbardziej niepokoił go mijający czas, tykające sekundy; bał się, że ktoś mu przeszkodzi, zanim uprzątnie garaż.

**Dowlókł zawiniętego w płachtę trupa do bagażnika hondy. Kiedy otwierał klapę, przeszedł go dreszcz grozy, absurdalna myśl, że znajdzie w środku kolejnego trupa, lecz bagażnik był oczywiście pusty.**

**Wyobraźnia nigdy dotąd nie podsuwała mu tak złowrogich obrazów. Być może ta nagła obawa, że zobaczy w bagażniku drugie zwłoki, nie była przebłyskiem fantazji, lecz zapowiedzią, że zostawi za sobą kolejne trupy.**

**Załadowanie ciała do bagażnika okazało się bardzo trudne. Mężczyzna ważył mniej od Mitcha, ale jak mógł, utrudniał mu zadanie.**

**Gdyby Mitch nie był silny i gdyby dzięki swojemu zawodowi nie znajdował się w dobrej formie, nie poradziłby sobie ze zwłokami. Kiedy zatrzasnął w końcu klapę i zamknął bagażnik, cały spływał potem.**

**Dokładna inspekcja nie wykryła śladów krwi na tacy ani na podłodze.**

**Mitch zgarnął połamane balaski i fragmenty poręczy, zabrał je z garażu i ukrył w uszczuplonym do połowy stosie opału, którym palili w kominku poprzedniej zimy.**

**Wróciwszy do garażu, wspiął się po schodach na strych i**

**zbadał miejsce, gdzie doszło do brzemiennego w skutki wypadku. Wkrótce odkrył jego przyczynę.**

**Wiele pudeł było zaklejonych taśmą, ale kilka obwiązano sznurkiem. Końcówka klucza francuskiego wciąż tkwiła w pętli supła.**

**Trzymając klucz w pewnej odległości od ciała, mężczyzna musiał niechętnie zaczepić nim o zwisającą pętelkę i ściągnąć na siebie halloweenowe figurki.**

**Mitch poustawiał z powrotem na miejscu większość kartonów i wznosił nowy rząd przy balustradzie, żeby ukryć zniszczenia.**

**Gdyby kumple mężczyzny przyjechali go szukać, połamane balaski i brakujące fragmenty poręczy mogły świadczyć, że na strychu doszło do walki.**

**Wyrwę w balustradzie można było co prawda zobaczyć z południowo-wschodniego rogu dolnego poziomu garażu, ale schody znajdowały się w północno-wschodnim rogu i kumple mężczyzny mogli w ogóle nie dostrzec zniszczeń.**

**Mitch nie tknął elektronicznych urządzeń podsłuchowych ustawionych przy zachodniej ścianie, chociaż chętnie wyładowałby gniew, rozbijając je w drobny mak.**

**Klucz francuski wydał mu się cięższy, niż zapamiętał, kiedy podnosił go z podłogi.**

**W ciszy i w bezruchu wyczuwał jakiś szwindel. Czuł się śledzony. Wysztydzany.**

**Tkające w pobliżu sieć pająki musiały cierpliwie marzyć o tłustych kąskach. Wiosenne muchy sunęły z bzykiem ku jedwabnym siłom.**

**Coś było obecne, coś poza pajakami i muchami. Mitch odwrócił się, ale wszystko wskazywało na to, że jest sam.**

**Kryła się przed nim jakaś ważna prawda, kryła nie w cieniu lub za zapakowanymi w pudła świętami, ale w miejscu, gdzie po winien ją dostrzec. Widział, lecz był ślepy. Słyszał, lecz był głuchy.**

**Ta nadzwyczajna percepcja spotęgowała się, wzmogła aż do bólu, zajmując tyle miejsca, że nie mógł odetchnąć peł-**

**ną pierśią. A potem nagle ustąpiła i znikła.**

**Mitch zabrał klucz na dół i powiesił go na swoim miejscu, na kołku.**

**Wziął z taczki telefon, portfel, kluczyki, dwie sztuki broni i kaburę i położył wszystko na przednim prawym siedzeniu hondy.**

**Wyjechał z garażu, zaparkował przed domem i wszedł do środka po marynarkę. Potrzebował jej, chociaż miał na sobie flanelową koszulę, a nadchodząca noc wydawała się dość ciepła.**

**Wychodząc z domu, spodziewał się niemal, że przy hondzie będzie na niego czekał Taggart. Jednak detektywa nie było.**

**Wsiadając z powrotem do samochodu, położył lekką sportową marynarkę na siedzeniu pasażera, na rzeczach, które odebrał trupowi.**

**Zegar na tablicy rozdzielczej pokazywał tę samą godzinę co jego zegarek: 17.11.**

**Wyjechał na ulicę i skręcił w prawo z trzykrotnie uśmierconym mężczyzną w bagażniku i o wiele bardziej koszmarnymi wizjami w głowie.**

Dwie przecznice od domu Mitch zatrzymał się przy krawężniku i przez kilka chwil stał, nie gasząc silnika, nie otwierając szyb i nie odblokowując drzwi.

Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek wcześniej zablokował drzwi samochodu, siedząc w środku.

Nagle zerknął w lusterko wsteczne, przeświadczony, że kłapa bagażnika otworzyła się sama i wszyscy mogą zobaczyć jego zawartość. Bagażnik był zamknięty.

W portfelu zabitego były karty kredytowe i kalifornijskie prawo jazdy wystawione na Johna Knoksa. Młody bandyta uśmiechał się na fotografii niczym gwiazda boysbandu.

Knox miał przy sobie pięćset osiemdziesiąt pięć dolarów, w tym pięć studolarowych banknotów. Mitch przeliczył pieniądze, nie wyciągając ich z przegródki.

Nic, co znalazł w portfelu, nie mówiło o zawodzie, osobistych zainteresowaniach ani o kontaktach mężczyzny. Brakowało wizytówki, karty bibliotecznej czy legitymacji ubezpieczeniowej. Nie było żadnych zdjęć bliskich. Żadnych kwitów, paragonów i karteczek z rzeczami do zapamiętania.

Z prawa jazdy wynikało, że Knox mieszkał w Laguna Beach. W jego miejscu zamieszkania można było znaleźć jakieś ważne informacje.

Mitch potrzebował czasu, by zastanowić się, czy warto ryzykować i tam jechać. Poza tym przed wyznaczonym na szóstą po południu telefonem chciał odwiedzić kogoś jeszcze.

Włożył portfel, komórkę i kluczyki zabitego do schowka na rękawiczki, a rewolwer i kaburę pod swój fotel.

Pistolet nadal leżał na sąsiednim siedzeniu, pod sportową marynarką.

Klucząc pustymi na ogół osiedlowymi uliczkami i ignorując ograniczenia prędkości, a nawet kilka znaków stop, Mitch dotarł o godzinie 17.35 do domu swoich rodziców we wschodniej części hrabstwa Orange. Zaparkował na podjeździe i zamknął samochód na klucz.

Elegancki dom stał na wzgórzu, za nim wznosiło się pasmo jeszcze wyższych pagórków. Na opadającej w stronę płaskiego terenu dwupasmowej ulicy nie było żadnego podejrzanego pojazdu, który podążałby śladem hondy.

**Od wschodu wiał łagodny wietrzyk. Wysokie eukaliptusy poszeptywały ze sobą w tysiącu srebrzystolistnych języków.**

**Mitch uniósł wzrok i spojrzał na okno pokoju nauki. W wieku ośmiu lat spędził tam dwadzieścia dni z rzędu, za zamkniętymi wewnętrznymi okiennicami.**

**Deprywacja sensoryczna pomaga skupić myśli, oczyścić umysł. Ta teoria uzasadniała istnienie ciemnego, cichego pustego pokoju nauki.**

**Drzwi otworzył ojciec Mitcha, Daniel. W wieku sześćdziesięciu jeden lat nadal był uderzająco przystojnym mężczyzną i nie wypadły mu włosy, choć ich kolor zmienił się na biały.**

**Być może dlatego, że miał tak zdecydowane i przyjemne rysy – wprost idealne, gdyby chciał zostać aktorem scenicznym -jego zęby wydawały się zbyt małe. Wszystkie były naturalne, co do jednego. Miał bzika na punkcie higieny jamy ustnej. Wybielone laserem lśniły, ale były małe niczym rząd białych ziarenek w kolbie kukurydzy.**

**–Mitch... Katherine nie powiedziała mi, że dzwoniłeś – powiedział, mrugając oczyma. Jego zaskoczenie było odrobinę zbyt teatralne.**

**Katherine była matką Mitcha.**

**–Nie dzwoniłem – przyznał Mitch. – Miałem nadzieję, że nie będziecie mieli nic przeciwko, jeśli wpadnę bez uprzedzenia.**

**–O tej porze mam przeważnie jakieś takie lub inne cholerne zobowiązania i mógłbyś pocałować klamkę. Ale akurat dziś wieczorem jestem wolny.**

**–To dobrze.**

**–Miałem jednak zamiar poświęcić kilka godzin na lekturę.**

**–Nie zostanę długo – zapewnił go Mitch.**

**Dzieci Daniela i Katherine Raffertych, obecnie wszystkie**

**dorośle, wiedziały, że powinny szanować prywatność rodziców i uzgadniać z nimi wszystkie wizyty.**

**–No to wejdz – powiedział ojciec, odsuwając się od drzwi.**

**W wyłożonym białym marmurem holu Mitch przyjrzał się swoim podobiznom, które**



odbijały się w nieskończoność w dwóch zawieszonych naprzeciwko siebie wielkich lustrach w ramach z nierdzewnej stali.

–Jest Kathy? – zapytał.

–Dziewczyny wybrały się na miasto – odparł ojciec. – Razem z Donna Watson i tą Robinson pojechały na jakieś przedstawienie.

–Myślałem, że ją zastanę.

–Wrócą późno – rzekł ojciec, zamykając drzwi. – Zawsze się spóźniają. Trajkoczą ze sobą przez cały wieczór i nie przestają tego robić, nawet kiedy podjeżdżają pod dom. Znasz tę Robinson?

–Nie. Pierwszy raz o niej słyszę.

–Jest irytująca – stwierdził ojciec. – Nie rozumiem, co

Katherine w niej widzi. To matematyczka.

–Nie wiedziałem, że matematycy cię denerwują.

–Ta denerwuje.

Rodzice Mitcha byli oboje doktorami psychologii behawioralnej, wykładowcami na Uniwersytecie Kalifornijskim. Ich znajomi reprezentowali w większości dziedzinę, którą

akademy nazywali ostatnio naukami społecznymi, by uniknąć terminu „nauki nieścisle”. W tych kręgach matematycy mogli być równie irytujący jak kamyk w bucie.

–Nalałem sobie właśnie szkockiej z wodą sodową –

powiedział Daniel. – Chcesz się czegoś napić?

–Nie, dziękuję panu.

–Czyżbyś zaczął do mnie mówić per pan?

–Przepraszam, Danielu.

–Samo biologiczne pokrewieństwo...

–...nie stanowi o statusie społecznym – dokończył za

**niego Mitch.**

**Pięcioro dzieci Raffertych przestało na swoje trzynaste urodziny zwracać się do rodziców „tato” i „mamo” i zaczęło mówić im po imieniu. Matka Mitcha, Katherine wolała formę „Kathy”, lecz ojciec nie chciał zniżyć się do „Dan-ny'ego” zamiast Daniela.**

**Doktor Daniel Rafferty wyznawał od wczesnej młodości zdecydowane poglądy na temat wychowania dzieci. Kathy nie miała w tej kwestii wyrobionego zdania, jednak intrygo wały ją niekonwencjonalne teorie Daniela i była ciekawa, czy dadzą pozytywne rezultaty.**

**Ojciec i syn stali przez chwilę w holu; Daniel chyba nie bardzo wiedział, co ma robić dalej.**

**–Chodź zobacz, co kupiłem – powiedział w końcu.**

**Przeszli przez duży salon umeblowany stołami z nie**

**rdzewnej stali i szkła, sofami z szarej skóry i czarnymi fote**

**lami. Dzieła sztuki były czarno-białe, tylko na niektórych**

**widniała pojedyncza linia lub blok koloru: tutaj niebieski**

**prostokąt, tam bladozielony kwadrat, ówdzie dwa szewrony**

**musztardowej żółci.**

**Buty Daniela Rafferty'ego skrzypiały ostro na mahoniowej podłodze. Mitch podążał za nim cicho jak duch.**

**–To najpiękniejsze gównno w całej mojej kolekcji –**

**oznajmił Daniel w gabinecie, wskazując przedmiot stojący**

**na biurku.**

Gabinet nie różnił się wystrojem od salonu. Na podświetlonych półkach wystawiona była kolekcja polerowanych kul.

Stojąca samotnie na ozdobnej podstawie z brązu najnowsza sfera miała średnicę większą od piłeczki baseballowej. Jej ciemnobrązową powierzchnię przecinały szkarłatne, przetykane żółcią żyłki.

Ktoś nie poinformowany mógłby sądzić, że to kawałek egzotycznego granitu, oszlifowany i wypolerowany tak, by wydobyć tkwiące w nim piękno. W rzeczywistości były to odchody dinozaura, spetryfikowane wskutek wysokiego ciśnienia i upływu czasu.

–Analiza mineralogiczna potwierdza, że odchody pochodzą od mięsożercy – powiedział ojciec Mitcha.

–Tyranozaura?

–Wielkość stolca świadczy, że to coś większego niż Ty-rannosaurus rex.

–Gorgozaur?

–Gdyby odkopano go w Kanadzie i datowano znalezisko na okres górnej kredy, wtedy rzeczywiście mógłby to być gorgozaur. Ale odchody znaleziono w Kolorado.

–Górna jura? – zapytał Mitch.

–Tak. Więc to najprawdopodobniej stolce ceratozaura. Ojciec wziął z biurka szklankę z whisky i wodą sodową, a Mitch podszedł do półek z kolekcją.

–Kilka dni temu zadzwoniłem do Connie – powie

dział. Connie była jego starszą siostrą i miała trzydzieści

jeden lat. Mieszkała w Chicago.

–Nadal haruje w tej piekarni? – zapytał ojciec. – Tak, ale teraz jest jej właścicielką.

–Mówisz serio? No tak, oczywiście. To dla niej typowe.

Jeżeli wdepnie przypadkiem w smołę, nigdy się nie cofnie,

**ale będzie brnęła dalej.**

**–Mówi, że całkiem dobrze jej się wiedzie.**

**–Zawsze tak mówi.**

**Przed zanurkowaniem w ocean prywatnej inicjatywy Connie skończyła wydział nauk politycznych. Niektórych dziwiła ta zmiana, ale Mitch ją rozumiał.**

**Kolekcja polerowanych dinozaurzych odchodów powiększyła się, odkąd ją ostatnio widział.**

**–Ile ich teraz masz, Danielu?**

**–Siedemdziesiąt trzy. I mam na oku cztery kolejne wspaniałe okazy.**

**Niektóre kule miały średnicę nie większą niż dwa cale. Największa była wielkości kuli do kręgli. Z oczywistych przyczyn dominowały wśród nich kolory brązowe, złociste i miedziane; jednak oświetlające kolekcję reflektorki wydobywały z nich najróżniejsze odcienie, nawet błękitne. Większość eksponatów miała cętki; żyłki były rzadkie.**

**–Tego samego wieczoru rozmawiałem z Megan – po**

**wiedział Mitch.**

**Dwudziestodziewięcioletnia Megan miała najwyższy iloraz inteligencji w rodzinie, w której wysoka inteligencja była normą. Każde z dzieci Raffertych testowane było trzy razy: w tygodniu swoich dziewiątych, trzynastych i siedemnastych urodzin.**

**Po drugim roku Megan rzuciła studia. Mieszkała w Atlancie i prowadziła dobrze prosperującą firmę pielęgnacji psów ze sklepem i wizytami domowymi.**

**–Zadzwoniła na Wielkanoc i pytała, ile pomalowaliśmy**

**jajek – oznajmił ojciec Mitcha. – To miał być chyba dow-**

cip. Katherine i ja cieszyliśmy się, że nie poinformowała nas, iż jest w ciąży.

Megan wyszła za Carmine'a Maffuciego, murarza z rękoma niczym bochny chleba. Daniel i Kathy uważali, że wybrała męża poniżej swego poziomu intelektualnego. Oczekiwali, że uświadomi sobie błąd i rozwiedzie się z nim – o ile wcześniej nie urodzi dzieci, co niepotrzebnie skomplikowałoby sytuację.

Mitch lubił Carmine'a. Facet miał pogodne usposobienie, zaraźliwy śmiech i tatuaż Tweety Bird na prawym bicepsie.

–Ten wygląda jak porfir – powiedział, wskazując eksponat o purpurowoczerwonej powierzchni i plamkach przypominających skaień.

Rozmawiał ostatnio również ze swoją najmłodszą siostrą Portią, lecz nie wspomniał o tym, bo nie chciał wszczynać kłótni.

–Dwa dni temu byliśmy na kolacji u Ansona – rzekł

Daniel, dolewając sobie szkockiej i wody.

Anson, jedyny brat Mitcha, miał trzydzieści trzy lata i był najstarszym z rodzeństwa, najbardziej posłusznym Danielowi i Kathy.

Trzeba oddać sprawiedliwość Mitchowi i jego siostrom: Anson był od początku ulubieńcem rodziców i nigdy nie został odtrącony. Łatwiej być posłusznym dzieckiem, gdy twoje wybuchy entuzjazmu nie są analizowane jako przejaw psychologicznego niedostosowania, a propozycje nie spotykają się z podejrzliwym spojrzeniem i zniecierpliwieniem.

I trzeba oddać sprawiedliwość Ansonowi: zdobył swój status, spełniając oczekiwania rodziców. Jak żadne z pozostałych dzieci udowodnił, że teorie wychowawcze Daniela mogą przynieść owoce.

W szkole średniej był prymusem i czołowym rozgrywającym, ale odrzucił wszystkie sportowe stypendia. Zgodził się przyjąć wyłącznie te, które przyznano mu za intelektualne osiągnięcia.

W świecie akademickim Anson czuł się jak lis w kurniku. Nie tylko pochłaniał wiedzę, ale pożerał ją z apetytem nienasyconego mięsożercy. Uzyskał dyplom licencjata w dwa lata, magistra w rok i zrobił doktorat w wieku dwudziestu trzech lat.

**Rodzeństwo nigdy nie zazdrościło Ansonowi ani go nie bojkotowało. Wprost przeciwnie, gdyby Mitch i jego siostry mogli wybrać w tajnym głosowaniu swojego ulubieńca w rodzinie, wszystkie cztery głosy padłyby z pewnością na starszego brata.**

**Dobroć i wrodzony wdzięk pozwoliły Ansonowi zadowolić rodziców i jednocześnie się do nich nie upodobić. To osiągnięcie można by przyrównać do wysłania astronautów na Księżyc przez dziewiętnastowiecznych naukowców, dysponujących wyłącznie maszyną parową i prymitywnymi ogniwami voltaicznymi.**

**–Anson podpisał właśnie ważny kontrakt na konsul**

**tacje w Chinach – powiedział Daniel.**

**Odchody brontozaura, diplodoka, brachiozaurura, igu-ano-dona, moschopsa, stegozaura, triceraptosa oraz innych prehistorycznych gadów opatrzone były stosownymi napisami wyrytymi na podstawkach z brązu, na których leżały kule.**

**–Będzie doradzał ministrowi handlu – wyjaśnił Da**

**niel. Mitch nie wiedział, czy spetryfikowane odchody moż**

**na zanalizować wystarczająco dokładnie, by określić kon**

**kretny rodzaj lub gatunek dinozaura. Niewykluczone, że**

**ojciec identyfikował je na podstawie teorii, które miały**

**niewiele albo nic wspólnego z autentyczną wiedzą.**

**W pewnych rejonach intelektualnych dociekań, gdzie nie funkcjonują prawdy absolutne, Daniel i tak je ustanawiał. – I bezpośrednio ministrowi edukacji – dodał. Sukcesy Ansona miały nakłonić Mitcha do wybrania profesji bardziej ambitnej od tego, co aktualnie robił, lecz on zawsze puszczał mimo uszu związane z tym aluzje. Podziwiał An-sona, ale mu nie zazdrościł.**

Daniel rozwodził się dalej nad osiągnięciami Ansona, a Mitch zerknął na zegarek, przekonany, że będzie musiał wkrótce wyjść. Chciał odebrać w spokoju telefon od porywaczy. Była jednak dopiero 17.42.

Chociaż miał wrażenie, że jest w domu rodziców co najmniej od dwudziestu minut, w rzeczywistości minęło dopiero siedem. – Jesteś z kimś umówiony? – zapytał Daniel. Mitch usłyszał w jego głosie nutkę nadziei, ale nie żywił do niego o to urazy. Dawno temu uświadomił sobie, że w ich stosunkach nie ma miejsca na tak silne i gorzkie emocje.

Daniel, autor trzynastu grubych książek, uważał się za prawdziwego giganta psychologii, człowieka o żelaznych zasadach i stalowych przekonaniach, niewzruszoną opokę w nurcie współczesnego amerykańskiego życia umysłowego, skałę, wokół której tonęli pomniejsi myśliciele.

Mitch wiedział ponad wszelką wątpliwość, że jego stary nie jest opoką. Daniel był przesuwającym się po powierzchni rzeki przelotnym cieniem, niewzbudzającym ani niezwalniającym jej nurtu.

Żywiąc urazę w stosunku do kogoś tak efemerycznego, okazałby się większym szaleńcem od kapitana Ahaba, który ścigał przez całe życie białego wieloryba.

Od najwcześniejszego dzieciństwa Anson radził Mitchowi i jego siostrze, by powściągnęli gniew, uczył, ile warta jest cierpliwość i poczucie humoru w walce z nieświadomym bestialstwem ich ojca. I teraz Daniel nie budził w Mitchu niczego poza obojętnością i zniecierpliwieniem.

W dniu, kiedy Mitch opuścił dom, aby zamieszkać wspólnie z Jasonem Osteenem, Anson powiedział mu, że kiedy zgaśnie w nim gniew, zacznie żałować starego. Mitch nie uwierzył w to i na razie stać go było co najwyżej na chmurną wyrozumiałość.

–Owszem – powiedział. – Umówiłem się z kimś. Muszę iść.

–O co ci chodziło? – zapytał Daniel, przyglądając się

synowi z żywym zainteresowaniem, które przed dwudziestu laty z pewnością onieśmieliłoby Mitcha.

Bez względu na to, jakie zamiary żywili w stosunku do niego porywacze, nie miał dużych szans na przeżycie. Przyszło mu do głowy, że to być może ostatnia okazja, aby zobaczyć oboje rodziców.

**–Przyjechałem do Kathy – odparł, nie mogąc wyjawić,**

**w jakiej się znalazł sytuacji. – Może jutro wrócę.**

**–Przyjechałeś do niej w jakiej sprawie?**

**Dziecko kocha czasem matkę niepotraftą odwzajemnić**

**jego miłości, jednak w końcu uświadamia sobie, że jego uczucia nie padają na żyzną glebę, lecz na kamień, z którego nic nie wyrośnie. Dziecko może wówczas do końca życia tłumić gniew lub użalać się nad sobą.**

**Jeżeli matka nie jest potworem, lecz po prostu kimś emocjonalnie upośledzonym i zaabsorbowanym sobą, jeżeli nie jest aktywnym prześladowcą, lecz tylko biernym obserwatorem tego, co się dzieje w domu, dziecko ma trzecią możliwość. Może uznać, że niedorozwój emocjonalny pozbawia ją możliwości pełnego cieszenia się życiem, i nie wybacząc do końca, okazać jej współczucie.**

**Mimo wszystkich swoich osiągnięć naukowych Kathy nie miała pojęcia o potrzebach dzieci i więzach macierzyńskich. W ludzkich interakcjach wierzyła w zasadę przyczyny-nowo-skutkową i w potrzebę nagradzania pożądaných zachowań – ale nagrody były zawsze materialne.**

**Wierzyła, że można wychować idealnego człowieka. Czuła, że dzieci powinno się kształcić, opierając się na systemie, od którego nie wolno odchodzić i który zapewni, że zostaną ucywilizowane.**

**Nie specjalizowała się w tej dziedzinie psychologii. Co więcej, mogła w ogóle nie zostać matką, gdyby nie spotkała człowieka znającego teorie na temat rozwoju dziecka oraz system ich zastosowania.**

**Gdyby nie ona, Mitcha w ogóle nie byłoby na świecie, a poza tym jej ignorancja wykluczała złośliwość – dlatego**



matka budziła w nim czułość, która nie była miłością ani nawet afektem. Była co najwyżej smutnym uświadomieniem sobie jej wrodzonej niezdolności odczuwania emocji i mogła chwilami przerodzić się w litość, której odmawiał ojcu.

–To nic ważnego – powiedział. – Może zaczekać.

Mogę przekazać jej wiadomość – odparł Daniel, podążając za nim przez salon.

Nic jej nie przekazuj. Byłem w pobliżu, więc po prostu wpadłem, żeby się przywitać.

Ponieważ podobne naruszenie rodzinnej etykiety nie zdarzyło się nigdy wcześniej, Daniel raczej w to nie uwierzył.

–Coś cię dręczy – stwierdził.

Być może po tygodniu deprivacji sensorycznej w pokoju

nauki wyznałbym ci prawdę, miał ochotę odpowiedzieć Mitch. Zamiast tego uśmiechnął się.

–Nic mi nie jest. Wszystko w porządku.

Chociaż Daniel nie potrafił zgłębić tajników ludzkiego

serca, miał psi węch, gdy w grę wchodziły zagrożenia natury finansowej.

–Jeżeli to jakiś problem z pieniędzmi, znasz moje sta

nowisko w tej kwestii – oznajmił.

–Nie przyszedłem po pożyczkę – uspokoił go Mitch.

U każdego gatunku zwierząt podstawowym obowiązkiem

rodziców jest nauczanie potomstwa samowystarczalności. Ofiara musi nauczyć się uciekać, drapieżca musi nauczyć się polować.

Jestem samowystarczalnym drapieżcą, Danielu – powiedział Mitch, otwierając drzwi.

To dobrze. Miło mi to słyszeć – odparł z uśmiechem ojciec. Jego małe, nienormalnie białe zęby wydawały się jeszcze ostrzejsze, niż kiedy je ostatnim razem wyszczerzył.

Mitch nie umiał odwzajemnić tego uśmiechu, chociaż chętnie uśmierzyłyby w ten sposób jego podejrzenia.

–Pasożytnictwo – oświadczył Daniel – nie jest naturalne u Homo sapiens i u żadnego innego gatunku ssaków.

Beaver Cleaver\*<sup>3</sup> nigdy nie usłyszał podobnej złotej myśli od swojego taty.

Przekaż Kathy moje pozdrowienia – powiedział Mitch, wychodząc z domu.

Wróci bardzo późno. Zawsze późno wraca, kiedy dołącza do nich ta Robinson.

–Ci matematycy... – mruknął z przyganą Mitch.

–Zwłaszcza ta jedna.

Mitch zamknął za sobą drzwi i przeszedłszy kilka kroków, odwrócił się i być może po raz ostatni przyjrzał domowi. Nie tylko w nim mieszkał, lecz pobierał nauki, od pierwszej do dwunastej klasy. Spędził w nim więcej godzin swojego życia niż poza nim.

Jego wzrok powędrował jak zwykle do okna na pierwszym piętrze, zaopatrzonego w zamykaną od środka okiennicę. Do pokoju nauki.

Do czego używali teraz tego pomieszczenia, skoro ich dzieci dorosły?

Alejka nie biegła prosto do ulicy, lecz skręcała w bok i kiedy Mitch opuścił wzrok, nie zobaczył drzwi frontowych, lecz boczną, sięgającą aż do ziemi szybę, a za nią swojego ojca.

Daniel stał przed jednym z wielkich lusterek w stalowych ramach i najwyraźniej się w nim przeglądał. Wygładził ręką siwe włosy, a potem wytarł kąciki ust.

Chociaż czuł się jak podglądacz, Mitch nie mógł od niego oderwać oczu.

Jako dziecko wierzył, że rodzice mają swoje sekrety i jeżeli je pozna, pomoże mu się to wyzwolić. Daniel i Kathy mieli się jednak na baczności i byli dyskretni niczym rybki.

<sup>3</sup> \* *małoletni bohater amerykański ego serialu komediowego nadawanego w latach sześćdziesiątych*

Stojąc w holu, Daniel uszczyptał palcami lewy, a potem prawy policzek. Chciał chyba, żeby się zaróżowiły.

Mitch przypuszczał, że teraz, kiedy groźba pożyczki została oddalona, ojciec zapomniał już prawie o jego wizycie.

Daniel odwrócił się bokiem do lustra, tak jakby szczycił się swoją szeroką klatką piersiową i wąską talią.

Łatwo było sobie wyobrazić, że stojąc między dwoma lustrami, ojciec nie odbija się w nich wcale w nieskończoność jak Mitch i że jego pojedynczy wizerunek jest tak mało substancjalny, że dla wszystkich poza nim samym nie różni się wcale od zjawy.

## 18

Mitch opuścił dom Daniela i Kathy o 17.50, zaledwie piętnaście minut po przyjeździe. Za rogiem skręcił i przejechał szybko półtorej przecznicy.

Zostało jeszcze może dwie godziny dziennego światła. Jeżeli ktoś go śledził, łatwo można to było sprawdzić.

Wjechał hondą na pusty parking przy kościele.

Nieprzystępna ceglana ściana wieży ze smutnymi, nie-roz-świetlonymi od wewnątrz wielobarwnymi witrażami bodła niebo i rzucała twardy cień na asfalt.

Obawy jego ojca były bezpodstawne. Mitch nie zamierzał prosić go o pieniądze.

Jego rodzice byli dobrze ustawieni finansowo. Mogli bez wątpienia ofiarować mu sto tysięcy dolarów i zbytnio by tego nie odczuli. Jednak nawet gdyby dali mu dwa razy tyle i dodałby do tego własne skromne oszczędności, w dalszym ciągu stanowiłoby to tylko trochę więcej niż dziesięć procent okupu.

Poza tym nie warto było prosić ich o pożyczkę, bo i tak by odmówili, powołując się na swoje teorie wychowawcze. Co więcej, zaczął podejrzewać, że porywacze pragną od niego czegoś więcej niż pieniędzy. Nie miał pojęcia, co to może być, ale uprowadzenie żony ogrodnika o pięciocyf-rowym rocznym dochodzie nie miało sensu, jeżeli nie zależało im na czymś, co tylko on mógł zapewnić.

Wcześniej był prawie zupełnie pewien, że chcą dokonać dużego włamania, posługując się nim niczym zdalnie ste-

rowanym robotem. Nadał nie mógł wykluczyć takiego scenariusza, obecnie jednak

nie wydawało mu się to takie oczywiste.

Spod fotela kierowcy wyciągnął rewolwer z krótką lufą i kaburę.

Przyjrzał się uważnie broni. Z tego, co widział, nie miała bezpiecznika.

Kiedy otworzył cylinder, zaskoczyło go, że w środku jest tylko pięć nabojów. Spodziewał się sześciu.

Cała jego wiedza o broni palnej pochodziła z książek i filmów.

Mimo opowieści Daniela o przygotowywaniu dzieci do tego, by były samowystarczalne, nie przygotował on Mitcha na ludzi pokroju Johna Knoksa.

Ofiara musi nauczyć się uciekać, drapieżca musi nauczyć się polować.

Rodzice wychowali go na ofiarę. Jednak w chwili, gdy Holly znalazła się w rękach morderców, Mitch nie miał dokąd uciec. Wolał zginąć, niż ukryć się i zostawić ją na ich łasce.

Rzepy na kaburze pozwoliły przypiąć ją do tydki dość wysoko, by nie odsłoniła się, kiedy usiądzie. Nie lubił obcisłych dżinsów i w nogawce tych, które miał na sobie, łatwo zmieścił się niewielki rewolwer.

Naciągnął na siebie sportową marynarkę. Zanim wysiądzie z samochodu, wciśnie pistolet za pasek na plecach, tam gdzie zasłoni go marynarka.

Również w pistolecie nie udało mu się zlokalizować bezpiecznika. Trochę czasu trwało, nim wysunął magazynek.

W środku było osiem nabojów. Kiedy wkładał magazynek z powrotem, zobaczył w komorze dziewięć.

Upewniwszy się, że magazynek znalazł się z powrotem na swoim miejscu, odłożył pistolet na fotel pasażera.

Zadzwoił jego telefon komórkowy. Na samochodowym zegarze była 17.59.

–Przyjemnie było odwiedzić mamę i tatę? – zapytał

porywacz.

Nikt nie śledził go w drodze do domu rodziców i kiedy stamtąd odjeżdżał, a mimo to wiedzieli, kogo odwiedził.

–Nic im nie powiedziałem – odparł od razu.

**–Po co tam pojechałeś? Żeby najeść się ciasteczek?**

**–Jeżeli myślicie, że mogę dostać od nich pieniądze, jesteście w błędzie. Nie są aż tak bogaci.**

**–Wiemy, Mitch. Wiemy.**

**–Dajcie mi porozmawiać z Holly.**

**–Nie tym razem.**

**–Dajcie mi z nią porozmawiać – upierał się.**

**–Spokojnie. Nic jej nie jest. Dam ci ją, kiedy znowu**

**zadzwoń. Do tego kościoła chodziłeś razem z rodzicami?**

**Jego samochód był jedyny na całym parkingu i żaden w tej chwili go nie mijał. Wszystkie pojazdy po drugiej stronie ulicy stały na podjazdach, nie przy krawężniku.**

**–Czy do tego kościoła chodziłeś razem z rodzicami? –**

**zapytał ponownie porywacz.**

**–Nie.**

**Chociaż siedział w samochodzie z zablokowanymi od**

**środka wszystkimi drzwiami, czuł się niczym przebiegająca przez otwarte pole mysz, która słyszy nagle nad sobą łopot jastrzębich skrzydeł.**

**–Byłeś kiedyś ministrem, Mitch?**

**–Nie.**

**–To chyba nieprawda.**

**–Najwyraźniej wiesz wszystko. Wiesz, że to prawda.**

**–Jak na kogoś, kto nigdy nie był ministrem, Mitch, jesteś do niego zadziwiająco podobny.**

**Mitch uznał, że to stwierdzenie, które nie wymaga komentarza. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że porywacz czeka na jego odpowiedź.**

**–Nie wiem, o co ci chodzi – mruknął.**

**–No cóż, na pewno nie miałem na myśli tego, że jesteś pobożny. I nie miałem na myśli, że można ci zaufać. W rozmowie z detektywem Taggartem okazałeś się wytraw-**

**nym kłamcą.**

**W trakcie dwóch poprzednich rozmów mężczyzna zachowywał się jak chłodny profesjonalista. Te drobne uszczypliwości nie pasowały do jego wizerunku.**

**Z drugiej strony sam wcześniej określił się mianem manipulatora. Przyznał bez ogródek, że Mitch jest instrumentem, którym steruje, którym stara się posłużyć.**

**Te drwiny musiały mieć jakiś cel, lecz Mitch nie potrafił go odgadnąć. Z jakiegoś powodu, aby osiągnąć określony cel, porywacz starał się zaleźć mu za skórę i drażnił się z nim.**

**–Bez obrazy, Mitch, bo to właściwie całkiem słodkie...**

**ale jesteś naiwny jak ministrant.**

**–Skoro tak mówisz.**

**–Owszem. Tak mówię.**

**Może chcieli go zdenerwować, bo gniew nie pozwala jasno myśleć. Może chcieli podważyć w nim wiarę we własne możliwości, chcieli, by w dalszym ciągu był zastraszone i posłuszny.**

**Już wcześniej uświadomił sobie, że jest absolutnie bezradny. Nie mogli jeszcze bardziej go upokorzyć.**

**–Masz oczy szeroko otwarte, Mitch, ale nie widzisz. Te**

**słowa wyprowadziły go z równowagi bardziej niż wszystko,**

**co wcześniej powiedział porywacz. Nie dalej jak przed go**

**dziną na strychu jego garażu przyszła mu do głowy ta sa**

**ma myśl, ubrana w podobne słowa.**

**Umieściwszy Johna Knoksa w bagażniku, wrócił na strych, aby dowiedzieć się, jak doszło do wypadku. Rozwiązał zagadkę, widząc tkwiącą w pętli końcówkę klucza.**

**Jednocześnie jednak czuł się oszukiwany, śledzony, wyszydzany. Instynkt podpowiadał mu, że na strychu czeka na odkrycie ważniejsza prawda, czeka w**

miejscu, gdzie powinien ją dostrzec.

Wstrząsnęła nim myśl, że patrzy, a mimo to jest ślepy, że słucha, a mimo to jest głuchy.

Teraz szydził z niego przez telefon ten mężczyzna. „Masz

oczy szeroko otwarte, Mitch, ale nie widzisz”.

„Niesamowite” nie wydawało się zbyt mocnym słowem. Miał wrażenie, że porywacze nie tylko obserwują go i podsłuchują w dowolnym miejscu, ale potrafią czytać w jego myślach.

Sięgnął po pistolet leżący na miejscu pasażera. Nie groziło mu żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo, lecz czuł się lepiej, trzymając w ręku broń.

–Słuchasz mnie, Mitch?

–Tak.

–Zadzwoń do ciebie ponownie o wpół do ósmej...

–Znowu mam czekać? Dlaczego? – Ogarnęło go zniecierpliwienie, którego nie mógł opanować, chociaż wiedział, czym może grozić wynikająca z niego nierozwaga. – Załatwmy to wreszcie.

–Spokojnie, Mitch. Chciałem ci właśnie powiedzieć, co masz robić, kiedy mi przerwałś.

–Więc powiedz, do cholery.

–Dobry ministrant zna liturgię, zna rytuały. Dobry ministrant odpowiada, ale nie przerywa. Jeśli mi ponownie przewiesz, każę ci poczekać do wpół do dziewiątej.

Mitch poskromił zniecierpliwienie. Wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze z płuc.

–Rozumiem – powiedział.

–To dobrze. Kiedy się rozłączę, pojedziesz do Newport Beach, do domu swojego brata.

–Do Ansona? – zapytał zaskoczony.

–Zaczekasz razem z nim na telefon o wpół do ósmej. – Dlaczego musi w to być zamieszany mój brat? – Nie zdołasz zrobić sam tego, co trzeba zrobić – odparł

**porywacz.**

**–Ale co trzeba zrobić? Jeszcze mi nie powiedziałaś.**

**–Dowiesz się. Wkrótce.**

**–Jeżeli to wymaga udziału dwóch osób, ten drugi nie musi być Ansonem. Nie chcę go w to wciągać.**

**–Zastanów się nad tym, Mitch. Czy jest ktoś lepszy od**

**twojego brata? Kocha cię, prawda? Nie chce, żeby twoją żonę porąbano na kawałki niczym świnie w rzeźni.**

**W ciągu całego ich trudnego dzieciństwa to Anson był niezawodną cumą, która trzymała Mitcha przy nabrzeżu. To Anson podnosił żagle nadziei, kiedy wydawało się, że nie wypełni ich żaden wiatr.**

**Swojemu bratu zawdzięczał spokój umysłu i szczęście, które odnalazł, wyzwoliwszy się w końcu od swoich rodziców, to jemu zawdzięczał wielkoduszność, dzięki której zdobył serce i poślubił Holly.**

**–Wrobiliście mnie – powiedział. – Jeżeli to, czego ode mnie chcecie, nie pójdzie po waszej myśli, zainscenizowaliście wszystko tak, żeby wyglądało, że to ja zabiłem swoją żonę.**

**–Stryczek jest zaciśnięty jeszcze mocniej, niż ci się wydaje, Mitch.**

**Być może niepokoił się o Johna Knoksa, ale nie wiedzieli, że leży martwy w bagażniku hondy. Martwy porywacz mógł świadczyć o prawdziwości historii, którą Mitch opowiedziałby władzom.**

**Czy aby na pewno? Mitch nie wziął pod uwagę, że policja mogłaby zinterpretować śmierć Knoksa na wiele różnych sposobów. Większość z nich byłaby prawdopodobnie bardziej obciążająca niż uniewinniająca.**

**–Chodzi mi o to – podjął – że tak samo postąpicie w stosunku do Ansona. Skrępujcie go łańcuchem poszlak, żeby z wami sprawniej współpracował. W ten sposób postępujcie.**

**–To nie będzie miało żadnego znaczenia, jeżeli zrobicie obaj to, czego od was chcemy, i dostaniesz Holly z powrotem.**

**–Ale to nieuczciwe – zaprotestował Mitch i zdał sobie sprawę, że faktycznie może wydać się naiwny i prostoduszny jak ministrant.**



**Porywacz roześmiał się.**

**–Uważasz, że w przeciwieństwie do niego z tobą postąpiliśmy uczciwie? O to ci chodzi? – zapytał.**

**Dłoń, w której Mitch zaciskał pistolet, była chłodna i wilgotna.**

**–Wolałbyś pewnie, żebyśmy oszczędzili twojego brata i dali ci jako partnera Iggy'ego Barnes'a?**

**–Tak – odparł Mitch i natychmiast zawstydziło go, że tak szybko gotów był poświęcić przyjaciela, aby ocalić kogoś, kogo kochał.**

**–Ale czy to byłoby uczciwe wobec pana Barnes'a? Oj**

**ciec Mitcha uważał, że wstyd nie ma społecznego zastosowania, że jest oznaką przesądnego umysłu, i że prowadząca**

**racjonalne życie rozumna istota powinna być od niego**

**wolna. Uważał również, że skłonność do wstydu można**

**wykorzeńić przez odpowiednie wychowanie.**

**W przypadku Mitcha jego staremu kompletnie się nie powiodło, przynajmniej pod tym względem. Chociaż jedynym świadkiem jego gotowości ocalenia brata kosztem przyjaciela był bandzior przy telefonie, Mitch poczuł, że twarz płonie mu ze wstydu.**

**–Pan Barnes nie jest chyba najostrzejszym nożem w szufladzie – rzekł porywacz. – Chociażby z tego względu nie może zastąpić twojego brata. A teraz jedź do domu Ansona i czekaj na nasz telefon.**

**–Co mam mu powiedzieć? – zapytał Mitch z rezygnacją, ale i rozpaczą na myśl o tym, że jego brat będzie narażony na niebezpieczeństwo.**

**–Absolutnie nic. Zakazuję ci cokolwiek mu mówić. To nie ty, lecz ja jestem doświadczonym manipulatorem. Kiedy zadzwonię, dam mu posłuchać krzyku Holly, a potem wyjaśnię sytuację.**

**–Doprowadzanie jej do krzyku nie jest konieczne – zaprotestował Mitch. – Obiecałeś, że jej nie skrzywdzicie.**

**–Obiecałem, że jej nie zgwałcimy, Mitch. Nic, co mógłbyś powiedzieć swojemu bratu, nie będzie tak przekonujące jak jej krzyk. Wiem lepiej od ciebie, jak to**

rozegrać.

Zimny pot sprawiał, że Mitch nie czuł pewnie w dłoni pi-

stoletu. Kiedy zaczęła mu drżeć ręka, odłożył z powrotem broń na siedzenie.

–A jeżeli Ansona nie będzie w domu?

–Jest w domu. Ruszaj, Mitch. Mamy godzinę szczytu. Lepiej, żebyś się nie spóźnił do Newport Beach.

Porywacz zakończył rozmowę.

Kiedy Mitch wcisnął przycisk END na komórce, ten gest wydał mu się w ponury sposób proroczy.

Zamknął na chwilę powieki, próbując wziąć się w garść, a potem ponownie je otworzył, ponieważ z zamkniętymi oczyma czuł się zbyt bezbronny.

Kiedy zapalił silnik, stadko wron wzbiło się z chodnika i przefrunęło z cienia wieży na nią samą.

Znana ze swojej przystani jachtowej, pałacyków oraz ekskluzywnych sklepów miejscowość Newport Beach nie jest zamieszkiwana wyłącznie przez bogaczy. Anson mieszkał w rejonie Corona del Mar, w stojącej bliżej ulicy połówce bliźniaka.

Wzniesiony w cieniu masywnej magnolii w omdlewająco romantycznej wersji nowoangielskiego stylu, z prowadzącą do drzwi alejką z tłuczonej cegły, dom nie tyle robił wrażenie, ile urzekał.

Dzwonek wygrywał pierwsze takty Ody do radości Beet-hovena.

Anson otworzył je, zanim Mitch zdążył zadzwonić po raz drugi.

Chociaż tak samo wysportowany jak Mitch, reprezentował jednak inny typ fizyczny: był bardziej niedźwiedziowa-ty, z potężną klatką piersiową i szerokim karkiem. To, że w liceum został rozgrywającym, świadczyło o jego szybkości i zwinności, ponieważ z wyglądu przypominał bardziej środkowego obrońcę.

Jego przystojna, szeroka, szczerą twarz wydawała się zawsze czekać na powód do uśmiechu. Na widok Mitcha wyszczerzył zęby. – Fratello mio!-zawołał, obejmując brata i wciągając go do domu. – Entrino! Entrino! W powietrzu unosił się zapach czosnku, cebuli i bekonu.

–Gotujesz coś włoskiego? – zapytał Mitch.

–Bravissimo, fratello piccolo! Na podstawie samego za-

pachu oraz mojego kulawego włoskiego wyciągnąłeś genialny wniosek. Daj, powieszę twoją marynarkę.

Mitch nie chciał zostawiać pistoletu w samochodzie. Broń wsadził za pasek na plecach.

–Nie – powiedział. – Nie trzeba. Nie będę jej zdejmował.

–Chodź do kuchni. Lękałem się, że znowu zjem sam kolację.

–Jesteś uodporniony na lęk.

–Nie ma takiej rzeczy jak antyciała na lęk, braciszku.

Męski styl, w którym urządzone było wnętrze, podkreślały zdobiące ściany morskie

**motywy. Na obrazach widać było dzielne żaglowce walczące ze sztormem albo sunące pod rozświetlonym niebem.**

**Od dzieciństwa Anson wierzył, że idealną wolność można odnaleźć nie na lądzie, lecz wyłącznie na morzu, pod żaglami.**

**Uwielbiał opowieści o piratach, bitwach morskich i zdobywaniu łupów. Wiele z nich przeczytał na głos Mitchowi, który mógł ich słuchać godzinami.**

**Daniel i Kathy dostawali ataku choroby morskiej w łódce kołyszącej się na stawie. Ich niechęć do wody była głównym powodem, dla którego Anson zainteresował się tematyką morską.**

**W przytulnej, wypełnionej zapachami kuchni wskazał na pyrkoczący na kuchence garnek.**

**–Zuppa massaia.**

**–Co to za zupa?**

**–Klasyczna zupa z kury domowej. Kiedy chcą ją zro**

**bić, z braku żony muszę wejść w kontakt z kobietą stroną  
mojej natury.**

**Czasami Mitch nie potrafił uwierzyć, że para takich sztywniaków jak ich rodzice mogła zrodzić kogoś tak pełnego fantazji jak Anson.**

**Na kuchennym zegarze była 19.24. Po drodze trafił na korek spowodowany wypadkiem.**

Na stole stała butelka chianti classico i wypełniony do połowy kieliszek. Anson otworzył szafkę i wziął z półki drugi kieliszek.

Mitch miał ochotę odmówić wina. Jeden kieliszek nie powinien jednak stępić jego umysłu i mógł dać wytchnienie zszarganym nerwom.

–Owszem, cieszę się, że cię widzę, Mitch – powiedział Anson, naśladując całkiem nieźle głos ich ojca i nalewając mu chianti – chociaż nie zauważyłem twojego nazwiska na dzisiejszej liście gości i miałem zamiar spędzić ten wieczór, torturując świnki morskie w podłączonym do prądu labiryncie.

–Właśnie od nich jadę – poinformował go Mitch.

–To wyjaśnia twoją przygnębioną minę i ziemistą cerę. – Anson podniósł kieliszek. – La dolce vita.

–Za twój nowy kontrakt w Chinach.

–Czy znowu posłużono się moją skromną osobą, żeby

wbić ci szpilę?

–Jak zawsze. Ale on nie potrafi już wbić jej wystarczająco mocno, żeby mnie skaleczyć. Wygląda to na wspaniałą okazję.

–Ta historia z Chinami? Za bardzo się podniecił tym, co mu powiedziałem. Nie rozwiązali jeszcze partii komunistycznej i nie zamierzają posadzić mnie na cesarskim tronie.

Konsultacje Ansona były tak tajemnicze, że Mitch nie zdołał ich nigdy zrozumieć. Jego brat zrobił doktorat z lingwistyki, nauki o języku, ale znał się również świetnie na językach komputerowych i teorii digitalizacji, cokolwiek to mogło znaczyć.

–Za każdym razem, kiedy od nich wychodzę – powie

dział Mitch – mam ochotę wbić ręce w ziemię i wykopać

coś, cokolwiek.

–Sprawiają, że chcesz uciec do czegoś realnego.

–Właśnie. Wino jest dobre.

**–Po zupie zjemy lombo di maiale eon castagne.**

**Nie zdołam strawić czegoś, czego nie potrafię wymówić. Pieczona polędwica wieprzowa z kasztanami – wyjaśnił Anson.**

**–Brzmi zachęcająco, ale nie mam ochoty na kolację.**

**–Mam tego mnóstwo. Przepis jest na sześć osób. Nie wiem, jak to podzielić, więc zawsze robię dla sześciu.**

**Mitch zerknął na okna. Żaluzje były spuszczone – to dobrze.**

**Z blatu przy kuchennym telefonie wziął pióro i blok do pisania.**

**–Wybrałeś się ostatnio na żagle? – zapytał.**

**Anson marzył, że któregoś dnia będzie miał własny**

**jacht. Powinien być dość duży, by nie budzić klaustrofobii podczas długiego rejsu wzdłuż wybrzeża albo nawet na Hawaje, i jednocześnie dość mały, by można było nim żeglować tylko z jednym towarzyszem podróży oraz zestawem silniczków do żagli.**

**Używał określenia „towarzysz podróży”, mając na myśli drugiego żeglarza, ale również partnerkę w łóżku. Mimo swojego niedźwiedziowatego wyglądu i czasami wisielczego poczucia humoru Anson był romantykiem nie tylko w swoim podejściu do żeglowania, ale i do płci przeciwnej.**

**Pociąg, jaki odczuwały do niego kobiety, nie polegał na zwykłym magnetyzmie. Przyciągał je do siebie podobnie jak Księżyc przyciąga masy wody podczas pływów.**

**Mimo to nie był donżuanem. Z wielkim wdziękiem odtrącał większość wielbicielek. I każda z tych, w których dostrzegał materiał na kobietę idealną, łamała mu serce, choć on sam nie określał tego w tak melodramatyczny sposób.**

**Mała osiemnastostopowa łódka klasy American Sail, która stała przycumowana do boi na przystani, nie była w żadnym wypadku jachtem. Biorąc jednak pod uwagę jego szczęście w miłości, mógł wejść w posiadanie statku swoich marzeń na długo przedtem, nim znajdzie kogoś, z kim mógłby pożeglować.**

Ostatnio miałem czas tylko na halsowanie kanałami – oznajmił w odpowiedzi na pytanie Mitcha.

Powinienem mieć jakieś hobby. Ty masz żagle, stary zbiera te bobki dinozaurów – powiedział Mitch, siedząc przy kuchennym stole i pisząc drukowanymi literami na bloku.

Po chwili oderwał górny arkusik i przesunął go po stole, żeby Anson, który jeszcze nie usiadł, mógł go przeczytać: **TWÓJ DOM JEST PRAWDOPODOBNIENIE NA PODSŁUCHU.**

Zdumienie malujące się na twarzy jego brata przypominało to, które ogarniało go, kiedy czytał w dzieciństwie na głos opowieści o piratach i o bitwach morskich. Jego pierwszą reakcją było, że zaczyna się jakaś dziwna przygoda. Najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z grożącego niebezpieczeństwa.

–Właśnie kupił nowy eksponat – powiedział Mitch,

żeby wypełnić czymś nagle milczenie. – Mówi, że to łajno

ceratozaura. Z Kolorado, z okresu górnej jury.

Pokazał bratu kolejną kartkę, na której napisał: **TO POWAŻNA SPRAWA. WIDZIAŁEM, JAK ZABILI CZŁOWIEKA.**

Anson przeczytał wiadomość, a Mitch wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki komórkę i położył ją na stole.

–Kiedy pomyśleć o historii naszej rodziny, wydaje się to

idealnym zakończeniem: otrzymanie w spadku kolekcji po

lerowanego gówna.

Anson przysunął sobie krzesło i usiadł przy stole. Chłopięce podniecenie ustąpiło na jego twarzy głębokiej trosce. On też zaczął udawać, że w dalszym ciągu prowadzi normalną rozmowę.

–Ile ma już eksponatów?

–Powiedział mi. Nie pamiętam. Można powiedzieć, że jego gabinet zamienił się w kloakę.

**–Niektóre z tych kul są całkiem ładne.**

**–Bardzo ładne – zgodził się Mitch, pisząc na kartce: ZADZWONIAŃ O 19.30.**

**Anson był kompletnie zdezorientowany.**

**–Kto? Co? – zapytał bezgłośnie.**

**Mitch potrząsnął głową i wskazał ścienny zegar. Była**

**19.27.**

**Prowadzili skrępowaną i niedorzeczną rozmowę aż do chwili, kiedy punktualnie o wpół do ósmej rozległ się dzwonek telefonu. Nie zadzwoniła jednak komórka Mitcha, lecz stacjonarny aparat kuchenny.**

**Anson zapytał wzrokiem brata, co ma robić.**

**Nie można było wykluczyć, że przez czysty przypadek ktoś dzwoni po prostu do Ansona o tej samej porze i że porywacze zadzwonią na komórkę. Mitch dał znak bratu, żeby podniósł słuchawkę.**

**Anson zrobił to po trzecim dzwonku i jego twarz rozjaśniła się, gdy usłyszał głos rozmówcy**

**–Holly!**

**Mitch zamknął oczy, pochylił głowę i zakrył twarz rękoma.**

**Po reakcji Ansona domyślił się, kiedy w słuchawce zabrzmiał krzyk jego żony.**



Mitch oczekiwał, że weźmie udział w rozmowie, ale porywacz chciał mówić tylko z Ansonem i trwało to ponad trzy minuty.

Treść pierwszej części rozmowy była oczywista i domyślił się jej, słuchając odpowiedzi brata. Ostatnie dwie minuty okazały się trudniejsze do odgadnięcia, częściowo dlatego, że wypowiedzi Ansona stały się krótsze, a ton bardziej ponury.

–Co chcą, żebyśmy zrobili? – zapytał Mitch, kiedy

porywacz się rozłączył.

Zamiast odpowiedzieć Anson podszedł do stołu, wziął do ręki butelkę chianti i nalał sobie do pełna.

Mitch z zaskoczeniem odkrył, że jego własny kieliszek jest pusty. Pamiętał, że upił z niego tylko raz albo dwa razy. Nie chciał, żeby Anson mu dolewał, lecz ten zrobił to mimo jego protestów.

–Jeżeli twoje serce bije w tym samym tempie co moje,

spalisz dwa kieliszki tego wina natychmiast po tym, jak je

przełkniesz.

Mitchowi trzęsły się ręce, ale nie po wypitym winie. Wprost odwrotnie: chianti pomogło mu się opanować.

–Wiesz co, Mickey? – zapytał Anson. Mickey było

pieszczotliwym imieniem, którym zwracał się do młodszego

brata w szczególnie trudnym okresie ich dzieciństwa. – Nic

jej się nie stanie – dodał, kiedy Mitch przestał wpatrywać

się w swoje drżące dłonie. – Obiecuję ci, Mickey. Przysię-

gam, że nic jej nie będzie. Na pewno.

W okresie, gdy kształtowała się osobowość Mitcha, jego brat był prowadzącym ich przez sztormy, godnym zaufania pilotem, względnie osłaniającym go z boku

skrzydłowym. Tym razem jednak, obiecując bezpieczne lądowanie, przeceniał chyba swoje możliwości, ponieważ ten lot kontrolowali porywacze Holly.

–Co chcą, żebyśmy zrobili? – zapytał ponownie Mi-

tch. – Czy to w ogóle wykonalne, czy można to zrobić, czy

jest tak samo niedorzeczne, jak wówczas gdy po raz pierw-

szy usłyszałem, że chcą dwóch milionów?

Zamiast odpowiedzieć Anson usiadł. Pochylony do przodu, z opartymi o stół muskularnymi rękoma i kieliszkiem do wina skrytym prawie w całości w potężnych dłoniach, robił imponujące wrażenie.

Nadal przypominał posturą niedźwiedzia, ale nie takiego, którego chce się uściskać. Kobiety, które normalnie przyciągał, podobnie jak Księżyc przyciąga morze, widząc go w takim nastroju, wołały wejść na jak najodleglejszą orbitę.

Zaciśnięte szczęki, rozchylone nozdrza oraz zauważalna zmiana barwy oczu z łagodnej niczym morska zieleń na twardą jak szmaragd, dodały otuchy Mitchowi. Znał to spojrzenie. To był Anson stawiający czoło niesprawiedliwości, która zawsze budziła w nim uparty, skuteczny opór.

Mitch cieszył się, że może liczyć na pomoc brata, lecz czuł się również winny.

–Przepraszam cię. Człowieku, nigdy nie sądziłem, że

cię w to wciągną. Zupełnie mnie to zaskoczyło. Przepra-

szam.

–Nie masz za co przepraszać. Absolutnie, w żadnym

wypadku.

Gdybym postąpił inaczej...

Gdybyś postąpił inaczej, Holly mogłaby już nie żyć. Więc zrobiłeś słusznie.

Mitch pokiwał głową. Chciał wierzyć, że brat mówi prawdę. Mimo to czuł się kompletnie bezradny.

Co chcą, żebyśmy zrobili? – powtórzył.

Po pierwsze, Mickey, chcę wiedzieć o wszystkim, co się wydarzyło. To, co ten skurwysyn powiedział mi przez telefon, nie obejmuje nawet części. Chcę, żebyś opowiedział mi wszystko od samego początku do chwili, kiedy zadzwoniłeś do moich drzwi.

Omiatając wzrokiem pokój, Mitch zastanawiał się, gdzie mogą być ukryte pluskwy.

–Może nas podsłuchują, a może nie – mruknął Anson.

–To nie ma znaczenia. I tak wiedzą już o wszystkim, co

mi powiesz, bo to oni ci zrobili.

Mitch pokiwał głową. Pokrzepił się łykiem chianti i zdał Ansonowi relację z wydarzeń tego potwornego dnia.

Na wypadek gdyby byli podsłuchiwanii, nie opowiedział jedynie o swoim spotkaniu z Johnem Knoksem na strychu nad garażem.

Anson słuchał uważnie i przerwał mu tylko kilka razy, żeby zadać uściślające pytania. Kiedy Mitch skończył, jego brat siedział chwilę z zamkniętymi oczyma, analizując to, co usłyszał.

Megan miała najwyższy iloraz inteligencji ze wszystkich dzieci Raffertych, ale Anson zawsze zajmował drugie miejsce tuż za nią. Sytuacja Holly była tak samo fatalna jak przed półgodziną, lecz Mitcha pocieszało to, że w szrankach stanął jego brat.

On sam radził sobie na testach prawie tak samo dobrze jak

Anson. Podnosiło go na duchu nie to, że z problemem zmierzy się wyższa inteligencja, ale że nie jest już dłużej sam. Nigdy nie był dobry w pojedynkę.

–Zostań tutaj. Zaraz wracam – powiedział Anson, po

czym wstał z krzesła i wyszedł z kuchni.

Mitch wbił wzrok w telefon. Zastanawiał się, czy zdołałby rozpoznać pluskwę, gdyby rozmontował aparat.

Zerknął na zegar. 19.48. Dano mu sześćdziesiąt godzin na zebranie pieniędzy. Zostało tylko pięćdziesiąt dwie.

**Subiektywnie odnosił zupełnie inne wrażenie. Wydarzenia, które przywiodły go w to miejsce, całkowicie go wyczerpały. Był tak skonany, jakby minęło już całe sześćdziesiąt godzin.**

**Ponieważ nie odczuł dotychczas działania wina, wypił to, co zostało w kieliszku.**

**Anson wrócił w sportowej marynarce.**

**Musimy odwiedzić kilka miejsc. Powiem ci wszystko w samochodzie. Wolałbym, żebyś ty prowadził.**

**Daj mi dopić wino – powiedział Mitch, chociaż jego kieliszek był pusty.**

**Na bloczku napisał kolejną wiadomość: MOGĄ NAMIERZYĆ MÓJ SAMOCHÓD.**

**Chociaż nikt nie śledził go w drodze do rodziców, porywacze wiedzieli, że tam pojechał. A później, kiedy zatrzymał się na parkingu przed kościołem, wiedzieli dokładnie, gdzie się znajduje.**

**Do tego kościoła chodziłeś razem z rodzicami?**

**Jeżeli zamontowali urządzenia namierzające w pick-upie i hondzie, mogli śledzić go z oddali, z ukrycia, monitorując elektronicznie jego pozycję.**

**Chociaż Mitch nie wiedział, jak dokładnie funkcjonuje ta technologia, jej zastosowanie świadczyło, że porywacze Holly są lepiej przygotowani, niż mu się początkowo wydawało. Środki, którymi dysponowali – czyli wiedza i przestępcze doświadczenie – wskazywały coraz wyraźniej, że wszelki opór będzie z góry skazany na niepowodzenie.**

**Z drugiej strony profesjonalizm porywaczy pozwalał mieć nadzieję, że działania, które każą podjąć Mitchowi i Ansonowi – włamanie lub inne przestępstwo – będą dobrze przemyślane i zakończą się sukcesem. Przy odrobinie szczęścia uda im się zdobyć pieniądze na okup.**

**W odpowiedzi na pisemne ostrzeżenie brata Anson zgasił gaz pod zupą i rzucił mu kluczyki od SUV-a. – Pojedziemy moim fordem expedition. Ty prowadzisz. Mitch złapał kluczyki, po czym szybko zebrał zapisane przez siebie kartki i**

wyrzucił je do śmieci.

Wyszli na dwór przez kuchenne drzwi. Anson nie zgasił światła i nie zamknął drzwi na klucz, zdając sobie chyba sprawę, że w tej rozgrywce nie zdoła powstrzymać tych, którzy chcieliby wejść do środka.

Porośnięte paprociami i karłowatymi krzakami nandiny podwórko dzieliło przednią i tylną część bliźniaka. Ta druga mieściła się nad dwoma garażami.

W należącym do Ansona garażu stał ford expedition i własnoręcznie przez niego odremontowany buick super woody wagon z 1947 roku. Mitch siadł za kierownicą SUV-a.

A jeżeli umieścili urządzenia namierzające również w twoich samochodach? – zapytał.

To nie ma znaczenia – odparł Anson, zatraskując drzwiczki. – Mam zamiar zrobić dokładnie to, co chcą. Jeżeli mogą nas śledzić, upewnią się, że nie mamy złych intencji.

Więc czego od nas chcą? Co mamy zrobić? Oświeć mnie – powiedział Mitch, wyjeżdżając tyłem z garażu.

Chcą żeby przelać dwa miliony dolarów na numerowane konto na Wielkim Kajmanie.

Jasne, domyślam się, że to lepsze rozwiązanie niż gdybyśmy mieli im je dać w jednocentowych monetach w dwustu milionach pieprzonych monet, ale kogo mamy okraść, żeby zdobyć te pieniądze?

Alejkę zalał czerwony blask zachodzącego słońca. Anson zamknął pilotem bramę garażu.

Nie musimy nikogo okradać – odparł. – Chodzi o moje pieniądze. Chcą moich pieniędzy i w tej sytuacji mogą je sobie wziąć.

Płonące niebo rozświetliło alejkę i ognisty blask wypełnił wnętrze samochodu.

Skąpana w promieniach zachodzącego słońca twarz An-sona wydawała się bezwzględna, jego oczy połyskiwały złotem, ale w cichym głosie nie słyhać było fałszu.

**–Wszystko, co mam, należy do ciebie, Mickey. Mitch**

**siedział przez chwilę w milczeniu. Miał wrażenie,**

**jakby minął tętniącą życiem ulicę wielkiego miasta i obejrzawszy się, zobaczył pierwotny las w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stała metropolia.**

**–Masz dwa miliony dolarów? – zapytał w końcu. –**

**Skąd wzięłeś dwa miliony dolarów?**

**–Jestem dobry w tym, co robię, i ciężko pracuję.**

**Nie wątpię, że jesteś dobry w tym, co robisz, jesteś dobry**

**we wszystkim, co robisz, ale nie żyjesz jak bogacz.**

**Nie chcę. Nie interesują mnie zewnętrzne oznaki statusu.**

**Wiem, że niektórzy bogaci ludzie starają się nie afiszować, ale...**

**–Interesują mnie idee i zdobycie pewnego dnia praw**

**dziwej wolności, a nie to, żeby w kronice towarzyskiej po**

**kazywali moje zdjęcie.**

**Mitch nadal nie do końca odnalazł się w tej nowej rzeczywistości.**

**Chcesz powiedzieć, że naprawdę masz dwa miliony w banku?**

**–Będę musiał zlikwidować pewne inwestycje. To można zrobić przez telefon i przez Internet, kiedy ruszą rano giełdy. Nie potrwa dłużej niż trzy godziny.**

**Ziarna nadziei napęczniały podlane przez te zaskakujące, niemieszczące się w głowie nowiny.**

**–Ile... ile masz pieniędzy? – zapytał Mitch. – To znaczy razem.**

**–To prawie całkowicie wyczyści moje rachunki – odparł Anson – ale mogę jeszcze wziąć kredyt na hipotekę.**

**–Oskubią cię do czysta. Nie mogę na to pozwolić.**

**–Skoro zarobiłem tę forszę raz, mogę zrobić to ponownie.**

**–Nie tyle. Nie tak łatwo.**

**–To, co robię ze swoimi pieniędzmi, to moja sprawa,**

**Mickey. A chcę ich użyć, żeby sprowadzić bezpiecznie Holly do domu.**

**Alejką zbliżył się rudy kot, przecinając strumienie szkarłatnego światła i miękkie cienie, które twardniały szybko w oczekiwaniu nocy.**

**Targany sprzecznymi emocjami Mitch bał się otworzyć usta. Oddychając głęboko, wpatrywał się w kota.**

**–Ponieważ nie jestem żonaty i nie mam dzieci, te ka**

**nalie zaatakowały Holly i ciebie, żeby dobrać mi się do skóry.**

**Wiadomość o posiadanych przez Ansona zasobach tak bardzo zaskoczyła Mitcha, że nie od razu uświadomił sobie oczywistą przyczynę bezsensownego do tej pory porwania.**

**–Gdyby istniał ktoś bliżej ze mną związany – kon**

**tynuować Anson – i gdybym był w rezultacie bardziej po**

**datny na cios. porwaliby moją żonę i dziecko i zostawiliby**

**Holly w spokoju.**

**Rudy kot zatrzymał się przed samochodem i spojrzał na Mitcha. W jego oczach jarzyło się zielone światło.**

**Mogli porwać jedną z naszych sióstr, prawda? Megan, Connie, Portię... To, co zrobili, niczym się od tego nie różni.**

**Skąd wiedzieli o twoich pieniądzach, skoro żyjesz jak typowy przedstawiciel klasy średniej? – zdziwił się Mitch.**

**–Musiał im dać cynk ktoś, kto pracuje w banku albo biurze maklerskim. Jeden skorodowany gwóźdź tam, gdzie nie powinno być żadnego.**

**–Domyślasz się kto?**

**–Nie miałem czasu się nad tym zastanowić, Mickey. Zapytaj mnie jutro.**

**Rudy kot poruszył się, przemknął tuż koło SUV-a i zniknął.**

**W tym samym momencie jakiś ptak, prawdopodobnie gołąb, który zbyt długo dziobał rozsypane okruszki, załopo-tał skrzydłami o okno od strony pasażera i odleciał w stronę bezpiecznej gałęzi.**

**Mitcha zaskoczył nagły hałas i fantastyczna myśl, że znikający kot przeobraził się w ptaka.**

**–Nie wyobrażałem sobie, by można było z tym pójść**

**na policję-powiedział, obracając się ponownie do brata. –**

**Ale teraz wszystko się zmieniło. Ty masz tę możliwość.**

**Anson potrząsnął głową.**

**–Zabili na twoich oczach faceta, żeby przekonać cię, że nie żartują.**

**–Owszem.**

**–I przekonali cię.**

**–Owszem.**



**–Mnie też. Jeżeli nie dostaną tego, czego chcą, zabiją ją**

**bez żadnych skrupułów i zwałą to na ciebie albo na nas**

**obu. Odzyskamy Holly i wtedy pójdziemy na policję.**

**Dwa miliony dolarów. To tylko pieniądze – powiedział Anson. Mitch przypomniał sobie, co jego brat mówił o zdjęciach w kronice towarzyskiej i o tym, co go naprawdę interesuje.**

**–Wiem, co miałeś na myśli, mówiąc o prawdziwej wolności – powiedział. – Pełnomorski jacht. Życie na morzu.**

**–To nie ma znaczenia, Mickey.**

–Na pewno ma. Mając taką forszę, możesz kupić łódź i prowadzić nieskrępowane życie.

Tym razem to Anson zaczął rozglądać się za kotem albo czymkolwiek, na czym mógłby skupić uwagę.

–Wiem, że lubisz wszystko planować – nie dawał za wygraną Mitch. – Zawsze taki byłeś. Kiedy chciałeś odejść na emeryturę, urzeczywistnić swój plan?

–To dziecinne marzenia, Mickey. Pirackie przygody, bitwy morskie.

–Kiedy? – nalegał Mitch.

–Za dwa lata. Kiedy skończę trzydzieści pięć lat. Więc teraz to potrwa trochę dłużej. I mogę odrobić straty szybciej, niż myślisz. Moja branża szybko się rozrasta.

–Kontrakt w Chinach?

W Chinach i gdzie indziej. Jestem dobry w tym, co robię.

Nie ma możliwości, żebym odrzucił twoją ofertę – powiedział Mitch. – Oddałbym życie za Holly, więc z całą pewnością pozwolę ci dla niej zbankrutować. Ale nie pozwolę, żebyś pomniejszał to, co dla nas robisz. To olbrzymie poświęcenie.

Anson objął go wpół, przyciągnął do siebie i delikatnie dotknął czołem jego czoła. W tym momencie nie patrzyli sobie w oczy, lecz na znajdującą się między nimi konsolę dźwigni biegów.

–Coś ci powiem, braciszku.

–Mów.

–Normalnie bym o tym nie wspomniał. Ale żeby nie gryzło cię sumienie... bo taki już zresztą jesteś... powinieneś wiedzieć, że nie jesteś jedyną osobą, która potrzebowała pomocy.

–Co chcesz przez to powiedzieć?

–Za co, twoim zdaniem, Connie kupiła tę piekarnię?

–Dostała pieniądze od ciebie?

**–Skonstruowałem pożyczkę tak, że co rok jej część**

**zmienia się w wolną od podatku darowiznę. Nie chcę, żeby**

**mi cokolwiek zwracała. To czysta przyjemność. Podobnie**

**jak w przypadku należącej do Megan firmy pielęgnacji psów.**

**–I tej restauracji, którą otwierają Portia i Frank – do**

**dał Mitch.**

**–Zgadza się.**

**–Skąd wiedzieli, że tyle masz? – zapytał Mitch, nadal**

**opierając czoło o jego czoło.**

**Nie wiedzieli. Domyśliłem się, czego potrzebują. Próbowałem zgadywać, co by ci się przydało, ale ty byłeś zawsze taki... cholernie samowystarczalny.**

**–To zupełnie coś innego niż pożyczka na kupno piekarni albo otwarcie restauracji.**

**–Nie chrzań, Sherlocku.**

**Mitch roześmiał się drżącym głosem.**

**–Dorastając w laboratoryjnym labiryncie Daniela –**

**powiedział Anson – mieliśmy tylko siebie. Tylko to się li**

**czyło. I tak jest dalej, fratello piccolo. I tak zawsze będzie.**

**–Nigdy ci tego nie zapomnę – powiedział Mitch.**

**–Masz cholerną rację. Będziesz mi dożgonnie**

**wdzięczny. Mitch roześmiał się ponownie, tym razem tro**

**chę pewniej.**

**Masz u mnie darmową pielęgnację ogrodu do końca życia \_ mruknął.**

**–Hej, braciszku?**

**–Co?**

**Nie masz chyba zamiaru zasmarkać mi dźwigni**

**biegów?**

**–Nie – obiecał Mitch.**

**To dobrze. Lubię mieć czysty samochód. Możesz już  
prowadzić? Jasne. Na pewno? Jasne. No to ruszajmy.**

W oddali na horyzoncie krwawiła cienka rana poległego dnia; poza rym niebo i morze były ciemne, a księżyc nie wzeszedł jeszcze, by posrebrzyć opustoszałe plaże.

Anson powiedział, że musi się zastanowić, i myślało mu się składnie i dobrze w jadącym samochodzie, ponieważ przypominał żaglówkę. Zaproponował, żeby Mitch skierował się na południe.

O tej porze na autostradzie Pacific Coast ruch był niewielki i Mitch jechał prawym pasem, zbytnio się nie spiesząc.

–Zadzwoń do domu jutro w południe – powiedział

Anson – żeby sprawdzić, jakie postępy robię w ściąganiu gotówki.

–Nie podoba mi się ten przelew na Kajmany.

–Mnie też. Wtedy będą mieli pieniądze i Holly.

–Lepiej byłoby załatwić to bezpośrednio. Oni przywieźliby Holly, my walizki z pieniędzmi.

–To także ryzykowne. Wzięliby forszę i wszystkich nas zastrzelili.

–Nie, jeżeli postawilibyśmy warunek, że możemy być uzbrojeni.

Anson nie był tego taki pewien.

–Myślisz, że by się przestraszyli? Uwierzyliby, że znamy się na broni palnej?

–Pewnie nie. Dlatego wzięlibyśmy broń, która nie wymaga wielkiej wprawy. Na przykład strzelby.

–Skąd weźmiemy strzelby? – zapytał Anson.

–Kupimy je w sklepie z bronią, w Wal-Marcie, gdziekolwiek.

–Czy nie czeka się na wydanie broni?

–Chyba nie. To dotyczy tylko pistoletów.

**–Musielibyśmy z nich trochę postrzelać.**

**–Niezbyt długo – odparł Mitch. – Tylko po to, żeby się z nimi oswoić.**

**Moglibyśmy zjechać z autostrady Ortega. To znaczy, kiedy już je będziemy mieli. Jest tam kawałek pustyni, którego nie zdążyli jeszcze zbudować. Moglibyśmy znaleźć odludne miejsce i poćwiczyć.**

**Mitch prowadził przez chwilę w milczeniu i Anson siedział w milczeniu. Na wzgórzach na wschodzie migotały światła ekskluzywnych domów. Na zachodzie było czarne morze i czarne niebo, zlewające się ze sobą w jedną wielką czarną pustkę, bez dzielącej je linii horyzontu.**

**–To nie wydaje mi się realne. Te strzelby – powiedział**

**w końcu Mitch.**

**–Trochę jak w kinie – zgodził się Anson. – Jestem ogrodnikiem. Ty jesteś lingwistą.**

**–Tak czy owak nie wydaje mi się, żeby porywacze po**

**zwolili nam stawiać warunki. Warunki stawia ten, kto ma**

**władzę.**

**Sunęli na południe. Malownicza droga skręciła w prawo, a potem pobiegła w górę i w dół, do Laguna Beach. Sezon turystyczny zaczął się w połowie maja. Ludzie spacerowali po chodnikach, wchodzili do restauracji, oglądali witryny zamkniętych sklepów i galerii.**

**Kiedy brat zaproponował, żeby coś przekąsili, Mitch odparł, że nie jest głodny.**

**–Musisz coś zjeść – nalegał Anson.**

**–O czym będziemy rozmawiać przy kolacji? – zapytał niechętnie Mitch. – O sporcie? Nie chcemy chyba, żeby nas podsłuchano, kiedy będziemy mówili o tym.**

**–W takim razie zjedźmy w samochodzie.**

**Mitch zaparkował przed chińską knajpą. Namalowany**

**na szybie smok potrząsał pokrytą łuskami grzywą. Anson**

**zaczekał w samochodzie, Mitch wszedł do środka. Dziewczyna za ladą obiecała, że zrealizują zamówienie w dziesięć minut.**

Ożywiona rozmowa gości przy stolikach dzwoniła mu w uszach. Denerwował go ich beztroski śmiech.

Zapachy kokosowego ryżu, słodkiej chili, smażonej na głębokim tłuszczu kukurydzy, kolendry i czosnku pobudziły jego apetyt. Zaraz potem wonne powietrze wydało mu się jednak dławiące i tłuste; w zaschniętych ustach poczuł smak żółci.

Holly pozostawała w rękach morderców. Bili ją.

Zmusili ją do krzyku, najpierw podczas rozmowy z nim, potem z Ansonem.

Zamawianie chińskich dań, jedzenie kolacji, wykonywanie jakichkolwiek zwyczajnych czynności miało dla niego posmak zdrady, wydawało się pomniejszaniem dramatyzmu jej sytuacji.

Jeżeli słyszała, czym grozili Mitchowi przez telefon – że oderzną jej palce, utną język – musiała się straszliwie, potwornie bać.

Kiedy wyobrażał sobie jej strach, kiedy myślał o niej, skrępowanej gdzieś w ciemności, zrodzone z bezsilności upokorzenie zaczęło w końcu ustępować miejsca uczuciu silniejszemu od gniewu: nieprzytomnej, ślepej furii. Paliła go twarz i piekły oczy; gardło spuchło do tego stopnia, że nie mógł przełknąć śliny.

Irracjonalnie zazdrościł zadowolonym z siebie gościom tak mocno, że chciał ich pozrzucać z krzesel, bić po twarzach.

Schludny wystrój wnętrza obrażał go. Zrujnowano mu życie i chciał dać upust wypełniającej go rozpacz.

Jakiś utajony, tłący się od dawna odprysk jego natury zapłonął teraz jasnym ogniem i Mitch miał ochotę podrzeć kolorowe papierowe lampiony, przewracać parawany z papieru ryżowego, zerwać ze ścian pomalowane na czerwono drewniane hieroglify i cisnąć nimi niczym wiru-

jącymi shurikenami, żeby przecinały wszystko na swojej drodze i tłukły okna.

Podając mu dwie torby z zamówionymi daniami, kelnerka wyczuła wzbierającą w nim burzę. Otworzyła szerzej oczy i cała stężała.

Przed niespełna tygodniem niezrównoważony psychicznie klient pizzerii zdążył zabić kasjera i dwóch kelnerów, zanim uśmiercił go dwoma strzałami inny klient, policjant, który zszedł ze służby. Dziewczyna przypomniała sobie prawdopodobnie telewizyjną relację na temat tamtej masakry.

Świadomość, że może przerażać innych, była kołem ratunkowym, które pomogło

**Mitchowi opanować furię i powrócić do pasywnej rozpaczy. Dzięki temu obniżyło mu się ciśnienie krwi i przestało walić serce.**

**Na dworze zapadła już wiosenna ciepła noc. Wychodząc z restauracji, zobaczył, że brat rozmawia z kimś przez komórkę.**

**Kiedy siadł za kierownicą Anson zakończył rozmowę. – To byli oni? – zapytał Mitch.**

**–Nie. To ten facet, z którym powinniśmy moim zdaniem pogadać.**

**–Jaki facet? – zapytał Mitch, dając bratu większą torbę z jedzeniem.**

**–Pływamy w głębokiej wodzie z rekinami. Nie jesteśmy dla nich przeciwnikami. Musimy się poradzić kogoś, kto uchroni nas przed pożarciem.**

**–Zabiją ją, jeżeli komuś powiemy – rzekł Mitch, choć wcześniej przyznał, że Anson ma prawo zwrócić się do władz.**

**–Mówili o gliniarzach. Nie pójdziemy z tym na policję. – Ale i tak się denerwuję.**

**–Ja też zdaję sobie sprawę z ryzyka, Mickey. Gramy smyczkiem od skrzypiec na rozciągniętym nad ziemią drucie. Ale jeżeli nie uda nam się zagrać jakiejś muzyki, i tak mamy przechłapane.**

**Mitch miał już dosyć poczucia bezsilności. Zaczynał dochodzić do przekonania, że słuchając ślepo porywaczy, doczeka się z ich strony tylko pogardy i okrucieństwa.**

**–Dobrze – mruknął. – Ale co będzie, jeżeli nas teraz słuchają?**

**–Nie słuchają. Aby podsłuchiwać nas na bieżąco, musieliby umieścić w samochodzie coś więcej niż sam mikrofon. Musieliby chyba podłączyć do niego nadajnik i źródło zasilania.**

**–Tak sądzisz? Nie wiem. Skąd mam wiedzieć?**

**–Tak sądzę. To wymagałoby zbyt wiele sprzętu, zbyt dużego i skomplikowanego,**



**żeby go szybko założyć i łatwo ukryć.**

**Pałeczkami, o które poprosił, Anson zjadł wołowinę po seczuańsku z jednego pojemnika i ryż z grzybami z drugiego.**

**–A mikrofony kierunkowe?**

**–Oglądałem te same filmy co ty – odparł Anson. –**

**Mikrofony kierunkowe funkcjonują najlepiej przy bez-wietrznej pogodzie. Popatrz na drzewa. Mamy dzisiaj wiatr**

**Mitch zjadł plastikowym widelcem kurczaka moo goo gai. Danie było pyszne i sprawiło mu to autentyczną przykrość – tak jakby okazałby większą wierność Holly, jedząc coś pozbawionego smaku.**

**Poza tym – dodał Anson – mikrofony kierunkowe nie działają pomiędzy dwoma pozostającymi w ruchu pojazdami.**

**–Więc nie mówmy o tym, dopóki nie ruszymy dalej. –**

**Rozsądną ostrożność dzieli bardzo wąska granica od paranoi, Mickey.**

**–Przekroczyłem tę granicę przed wieloma godzinami –**

**odparł Mitch – i nie ma dla mnie drogi powrotu.**

Moo goo gai pozostawił w jego ustach nieprzyjemny posmak. Mitch próbował go bezskutecznie splukać dietetyczną pepsi.

Jechali na południe autostradą Pacific Coast. Budynek i drzewa zasłaniały morze i tylko chwilami widać było po prawej stronie bezdenną czerń.

–Nazywa się Campbell – powiedział Anson, popijając herbatę cytrynową z wysokiego tekturowego kubka. – To eksagent FBI.

–Czyli ktoś, do kogo zdecydowanie nie powinniśmy się zwracać – odparł z niepokojem Mitch.

Z naciskiem na „eks”, Mickey. Były agent FBI. Został postrzelony i to paskudnie, kiedy miał dwadzieścia osiem lat. Ktoś inny mógłby przejść na rentę, lecz on zbudował swoje małe biznesowe imperium.

–A jeżeli umieścili urządzenie namierzające w samochodzie i domyśla się, że jedziemy do byłego agenta FBI?

–Nie będą wiedzieli, że się naradzamy. Jeżeli w ogóle coś o nim wiedzą to tylko to, że przed kilku laty ubiłem z nim duży interes. Dojdą do wniosku, że zbieram pieniądze na okup.

Opony mlaskały po asfalcie, ale Mitch miał wrażenie, że jezdnia pod kołami jest tak samo mało substancjalna jak powierzchnia wody, po której komar może się śmiało ślizgać do chwili, gdy połknie go żerująca niżej ryba.

–Wiem, jakiej ziemi potrzebuje bugenwilla i jak mocno

powinno być nasłonecznione loropetalum – mruknął. – Ale te rzeczy to dla mnie zupełnie inny świat.

–Dla mnie też, Mickey. Dlatego potrzebna nam jest pomoc. Nikt nie zna tego świata lepiej, nikt nie ma w tej dziedzinie lepszego rozeznania od Juliana Campbella.

Mitch miał wrażenie, że każda konkretna decyzja może zdetonować bombę, każdy zły wybór może obrócić Holly w nicość. Zdawał sobie sprawę, że jeżeli to poczucie będzie się pogłębiać, wkrótce całkowicie go sparaliżuje. Bezczynność nie ocali Holly. Niezdecydowanie będzie dla niej oznaczało śmierć.

–Dobrze – zgodził się. – Gdzie mieszka ten Cam-pbell?

–Zjedź na międzystanówkę. Pojedziemy na południe do Rancho Santa Fe.

Położone na północny wschód od San Diego, Rancho Santa Fe było kurortem z czterogwiazdkowymi hotelami, polami golfowymi i wielomilionowymi rezydencjami.

–Dodaj gazu – powiedział Anson – to będziemy tam

za półtorej godziny.

Kiedy ze sobą byli, nie przeszkadzało im wzajemne milczenie, być może dlatego, że w dzieciństwie każdy z nich spędził samotnie dużo czasu w pokoju nauki, wyciszonym lepiej od studia radiowego. Żaden hałas nie przenikał tam z zewnętrznego świata.

Podczas jazdy milczenie Mitcha i jego brata różniły się od siebie. Milczenie tego pierwszego było bezsilnym miotaniem się w próżni, milczeniem astronauty koziółkującego w stanie nieważkości.

Milczenie Ansona było milczeniem gorączkowej, ale uporządkowanej myśli. Jego umysł analizował łańcuchy przy-czynowo-skutkowe szybciej niż jakikolwiek komputer, bez szumu elektronicznej aparatury.

–Czy nie masz czasami wrażenia, że przez całe nasze

dzieciństwo byliśmy zakładnikami? – zapytał Anson po

dwudziestu minutach jazdy drogą międzystanową numer

## 5.

–Gdyby nie ty, znenawidziłbym ich – odparł Mitch.

–Ja czasami ich nienawidzę – przyznał Anson. – Intensywnie, lecz krótko. Są zbyt żałośni, by nienawidzić ich dłużej niż przez chwilę. To tak jakby ktoś nienawidził Świętego Mikołaja za to, że nie istnieje. Czysta strata czasu.

–Pamiętasz, jak złapali mnie z egzemplarzem Pajęczyny Charlotty?

–Miałeś prawie dziewięć lat. Przesiedziałaś dwadzieścia dni w pokoju nauki. „Fantazje to drzwi do zabobonu” – zacytował Daniela Anson.

–Gadające zwierzęta, pokorna świnka i sprytny pająk...

–„Demoralizujący wpływ – cytował dalej Anson. – Pierwszy krok na drodze ku ciemnocie i nieracjonalnym wierzeniom”.

Ich ojciec nie widział w przyrodzie żadnej tajemnicy, wyłącznie zieloną maszynę.

–Byłoby lepiej, gdyby nas bili – powiedział Mitch.

–O wiele lepiej. Sińce, połamane kości... to zwróciłoby

na nas uwagę służb pomocy dzieciom.

Connie mieszka w Chicago, Megan w Atlancie, Portia w Birmingham – powiedział po kolejnej długiej przerwie Mi-tch. – Dlaczego ty i ja nadal tu tkwimy?

–Może lubimy ten klimat – odparł Anson. – Może nie wierzymy, że odległość leczy rany. Może czujemy, że mamy tu jeszcze coś do załatwienia.

Ostatnie wyjaśnienie trafiło do przekonania Mitchowi.

Zastanawiał się często, co powiedziałby rodzicom gdyby poruszona została kwestia rozziwu pomiędzy ich intencjami i metodami albo tego, jakim okrucieństwem jest pozbawianie dziecka zdolności do dziwienia się.

Kiedy zjechał z drogi międzystanowej i ruszył w głąb lądu, o przednią szybę zaczęły się rozbijać pustynne ćmy, wirujące niczym śnieżki w świetle reflektorów.

Julian Campbell mieszkał za kamiennym murem i im-

ponującą żelazną bramą osadzoną w potężnych kamiennych filarach. Na kolumnach wyrzeźbione były pedy winnej latorośli, które zbiegały się pośrodku na architrawie,

tworząc gigantyczny wieniec.

–Ta brama musiała kosztować tyle co mój cały dom powiedział Mitch.

–Dwa razy tyle – zapewnił go Anson.

24

Po lewej stronie bramy do kamiennego muru przylegała wartownia. Kiedy Mitch zatrzymał samochód, otworzyły się drzwi i pojawił się w nich wysoki młody mężczyzna w czarnym garniturze.

Jego przejrzyste ciemne oczy zlustrowały Mitcha równie szybko, jak czytnik przy kasie odczytuje kod kreskowy na produkcie.

–Dobry wieczór panu – powiedział i natychmiast spoj

rzał na Ansona. – Miło pana widzieć, panie Rafferty.

Skrzydła kutej w żelazie bramy otworzyły się bezszelestnie do środka. Za nią była dwupasmowa aleja wybrukowana kwarcytową kostką i obsadzona z obu stron majestatycznymi, podświetlonymi od dołu palmami. Ich wielkie korony tworzyły baldachim nad jezdnią.

Wjeżdżając na teren posiadłości, Mitch miał wrażenie, że wszystko zostało wybaczone i ludzkość wróciła do raj.

Aleja miała ćwierć mili długości. Z lewej i prawej strony widać było rozległe, bajecznie iluminowane trawniki i ogrody.

–Szesnaście wypielęgowanych akrów – powiedział Anson.

–Samych ogrodników muszą tu mieć co najmniej kilkunastu.

–Nie wątpię.

Z czerwonej dachówki, kamiennych białych ścian, promieniujących złotym światłem wielodzielnych okien, ko-

lumn, balustrad i tarasów architekt wyczarował zarówno wdzięk, jak i przepych. Dom we włoskim stylu, tak duży, że powinien onieśmielać, sprawiał całkiem sympatyczne wrażenie.

Aleja kończyła się, obiegając fontannę. Krzyżujące się strugi wody migotały w mroku niczym deszcz srebrnych monet. Mitch zaparkował tuż przy fontannie.

**Czy ten facet ma koncesję na druk pieniędzy?**

**Pracuje w rozrywce. Kina, kasyna, co tylko chcesz. Cały ten splendor budził podziw Mitcha, lecz poza tym**

**wzmocnił w nim nadzieję, że Julian Campbell będzie w stanie im pomóc. Dorobiwszy się takiego bogactwa po tym, jak został ciężko ranny i zwolniony z FBI z powodu niezdolności do służby, zwyciężywszy w zmaganiach z losem, mimo że został przez niego tak srogo doświadczony, Campbell musiał zgodnie z tym, co powiedział Anson, znać od podszewki świat przestępczy.**

**Siwowłosa mężczyzna o manierach lokaja przywitał ich na tarasie, przedstawił się jako Winslow i wprowadził do środka.**

**Podążając za nim, minęli olbrzymią salę recepcyjną z kasetonowym, złożonym sufitem, mającym co najmniej sześćdziesiąt na osiemdziesiąt stóp salon i weszli do wykończonej w mahoniu biblioteki. Zagadnięty przez Mitcha, Winslow zdradził, że kolekcja książek liczy ponad sześćdziesiąt tysięcy tomów.**

**–Pan Campbell zaraz do panów przyjdzie – powiedział**

**i wyszedł.**

**W bibliotece, która zajmowała większą powierzchnię niż cały bungalow Mitcha, stały w kilku miejscach sofy i fotele.**

**Usiedli przy stoliku do kawy, w dwóch ustawionych naprzeciwko siebie fotelach. Anson westchnął.**

**–To jest to, co lubię – mruknął.**

**–Jeżeli facet jest choć w połowie tak imponujący jak ten**

**dom...**

**–Julian jest najlepszy, Mickey. Nikt nie może się z nim**

**równać.**

**–Musi cię szanować, skoro zgodził się spotkać tak szybko i tak późno, po dziesiątej wieczorem.**

**Anson uśmiechnął się ze smutkiem.**

**–Co powiedzieliby Daniel i Kathy, gdybym starał się skromnie pomniejszyć moje znaczenie? – zapytał.**

–„Skromność wynika z braku pewności siebie – zacytował Mitch. – Brak pewności siebie wynika z nieśmiałości. Nieśmiałość jest tym samym co wstydlivość. Wstydlivość to cecha cichych. Cisi nie odziedziczają ziemi, cisi służą tym, którzy są pewni siebie i asertywni”.

–Kocham cię, braciszku. Jesteś niesamowity.

–Ty na pewno też potrafisz cytować ich słowo w słowo.

Nie o to mi chodzi. Dorastałeś w tej klatce Skinnera, w

rym szczurzym labiryncie, a mimo to jesteś najskromniejszym facetem, jakiego znam.

–Mam swoje problemy – zapewnił go Mitch. – Mnóstwo problemów.

–Widzisz? Kiedy mówię, że jesteś skromny, odpowiadasz samokrytyką.

Mitch uśmiechnął się.

–Nie nauczyłem się chyba wiele w pokoju nauki.

–Dla mnie pokój nauki wcale nie był najgorszy – powiedział Anson. – Tym, czego nie mogę wymazać z pamięci, jest odwstydzanie.

Mitch zaczerwienił się na samo wspomnienie.

–„Wstyd nie pełni żadnej użytecznej funkcji społecznej. To oznaka zabobonnego umysłu”.

–Kiedy po raz pierwszy kazali ci grać w odwstydzanie?

–Chyba kiedy miałem pięć lat.

–Jak często musiałeś w to grać?

–Może z sześć razy w ciągu tych wszystkich lat.

–Z tego, co pamiętam, mnie zmuszali jedenaście razy.

Ostatnim razem, kiedy miałem trzynaście lat.

Mitch się skrzywił.

–Człowieku, pamiętam to. Trwało cały tydzień.

**–Paradowanie nago przez dwadzieścia cztery godziny, siedem dni w tygodniu, podczas gdy inni domownicy są ubrani. Zmuszanie w obecności wszystkich do odpowiadania na najbardziej krępujące, intymne pytania na temat sekretnych myśli, zwyczajów i pragnień. Obecność co najmniej dwojga członków rodziny, w tym przynajmniej jednej siostry, podczas każdej wizyty w toalecie, ani chwili samotności. Czy to pozbawiło cię wstydu, Mickey?**

**–Popatrz na moją twarz – odparł Mitch.**

**–Mógłbym zapalić świeczkę od twojego rumieńca. – Anson roześmiał się cicho swoim ciepłym, niedźwiedzio-watym śmiechem. – Niech mnie diabli, jeśli damy mu cokolwiek na Dzień Ojca.**

**–Nawet wody kolońskiej? – zapytał Mitch. To był ich dyżurny żart z dzieciństwa.**

**–Nawet nocnika, żeby mógł się wysikać? – A co powiesz na siki bez nocnika? – Jak bym je przesłał?**

**–Z wyrazami miłości – odparł Mitch i uśmiechnęli się**

**do siebie.**

**–Jestem z ciebie dumny, Mickey. Pokonałeś ich. Z tobą**

**nie udało im się tak, jak udało się ze mną.**

**–Udało im się z tobą?**

**–Złamali mnie, Mitch. Nie znam wstydu i nie wiem co to jest poczucie winy – powiedział Anson, wyciągając pistolet spod poły sportowej marynarki.**



Mitch uśmiechał się dalej, spodziewając się zabawnej puenty, tak jakby pistolet miał się zaraz okazać zapalniczką albo puszczającą bąbelki zabawką ze sklepu ze śmiesznymi rzeczami.

Gdyby słone morze mogło zamarznąć i zachować swój kolor, taki właśnie odcień miałyby teraz oczy Ansona. Ich spojrzenie było tak samo jasne i bezpośrednie jak zawsze, lecz malowało się w nich coś, czego Mitch nigdy wcześniej nie widział, czego nie mógł i nie chciał zidentyfikować.

–Dwa miliony... Tak naprawdę – powiedział Anson

niemal ze smutkiem, bez śladu urazy czy pretensji w głosie

–nie zapłaciłbym dwóch milionów nawet za ciebie. Więc

Holly była martwa w momencie, kiedy ją capnęli.

Twarz Mitcha stwardniała na marmur. Miał wrażenie, że w gardle utkwiły mu potłuczone kamienie i nie pozwalają mówić.

–Pewnym ludziom, dla których wykonywałem konsul

tacje... trafia się czasami okazja przynosząca zyski, które

dla nich są groszowe, lecz dla mnie całkiem pokaźne. To

nie jest moja normalna praca, ale coś w bardziej oczywisty

sposób nielegalnego.

Mitchowi trudno było się skupić, wysłuchać tego, co mówił Anson, ponieważ w jego umyśle waliły się z hukiem, niczym budowla przeżarta przez termity, wyznawane przez całe życie przekonania.

–Ludzie, którzy porwali Holly, to zespół, który stworzy

łem do wykonania jednego z tych zadań. Zarobili na tym

całkiem nieźle, ale dowiedzieli się, że moja działka była

większa, niż im powiedziałem, i odezwała się w nich chci

wość.

**A zatem Holly została porwana nie tylko dlatego, że An-son miał dość pieniędzy, żeby zapłacić za nią okup, lecz również dlatego – przede wszystkim dlatego – że Anson oszukał jej porywaczy.**

**–Bali się zaatakować mnie bezpośrednio. Jestem zbyt**

**cenny dla pewnych ważnych ludzi, którzy kropną każdego,**

**kto kropnąłby mnie.**

**Mitch domyślał się, że wkrótce pozna jednego z tych „ważnych ludzi”, jednak to, co mogło mu z ich strony grozić, nie mogło się równać z okropnością, jaką była dla niego ta zdrada.**

**–Powiedzieli przez telefon – wyjaśnił Anson – że jeżeli**

**nie zapłacę okupu za Holly, zabiją ją, a potem zastrzelą cię**

**któregoś dnia na ulicy, tak jak zastrzelili Jasona Osteena.**

**Biedni głupcy. Wydaje im się, że mnie znają, ale tak na**

**prawdę nie wiedzą, kim jestem. Nikt tego nie wie.**

**Mitch zadrżał, bo jego mentalny pejzaż ściał lód, myśli zmieniły się w mokrą zawieję, lodowatą, bezlitosną śnieżycę.**

**–Jason był jednym z nich. Słodki bezmózgi Debeściak.**

**Myślał, że jego kumple zastrzelą psa, żeby udowodnić ci, że**

**nie żartują. Zabijając jego, udowodnili to o wiele dobitniej i**

**podwyższyli kwotę, jaka miała przypaść każdemu przy po**

**dziale okupu.**

**Anson znał oczywiście Jasona równie długo jak Mitch. Okazało się jednak, że pozostawał z nim w kontakcie długo po tym, jak Mitch stracił z oczu swego byłego współlokato-ra.**

**–Może chciałbyś mi coś powiedzieć, Mitch?**

**Ktoś inny wybuchnąłby może na jego miejscu gradem**

**gniewnych pytań i gorzkich oskarżeń. Mitch, który do-**

świadczał właśnie emocjonalnej i intelektualnej zmiany biegunów, siedział bez ruchu. Równikowy krajobraz jego umysłu zmienił się w jednej chwili w arktyczny. Pejzaż tej nowej rzeczywistości był mu nieznany, a człowiek przypominający jego brata nie był bratem, którego znał, lecz kimś obcym. Byli dla siebie cudzoziemcami, którzy nie znając wspólnego języka, znaleźli się na tej opustoszałej równinie.

Anson potraktował chyba milczenie Mitcha jako wyzwanie, a nawet afront. Pochyliwszy się do przodu w fotelu, czekał na jakąś reakcję, nadal jednak przemawiał swoim dawnym braterskim głosem, jakby tak weszły mu w krew miękkie tony oszustwa, że nie potrafił mu nadać ostrzejszego brzmienia.

–Żebyś nie pomyślał, że znaczysz dla mnie mniej niż

Megan, Connie i Portia, powinienem ci wyjaśnić coś jesz

cze. Nie dałem im pieniędzy na rozruch firmy. To była buj

da na resorach. Nabrałem cię.

Człowiekiem cierpiącym na gorączkę wstrząsają zimne dreszcze. Spojrzenie Ansona było nadal lodowate, lecz jego intensywność zdradzała gorączkowe podniecenie umysłu.

–Zabierając dwa miliony, nie oskubaliby mnie do czy

sta, braciszku. Prawda jest taka, że mam... prawie osiem.

Pod niedźwiedziowatym niezgrabnym urokiem krył się ktoś inny, bardziej przypominający kozła. Nie zdając sobie w pełni sprawy, co przez to rozumie, Mitch pomyślał, że chociaż jest ich tylko dwóch, nie są tak naprawdę sami.

–Kupiłem jacht w marcu – powiedział Anson. – We

wrześniu będą mógł świadczyć moje usługi konsultacyjne z

morza, za pośrednictwem łącza satelitarne. Wolność. Za

służyłem sobie na nią i nikt nie natnie mnie nawet na dwa

centy.

Drzwi biblioteki się zamknęły. Ktoś wszedł do środka – i nie życzył sobie, żeby w tym, co miało teraz nastąpić, brał udział ktokolwiek inny.

Wstając z fotela z gotowym do strzału pistoletem, Anson próbował ponownie sprowokować jakąś reakcję Mitcha.

**–Możesz czerpać pociechę z faktu, że to wszystko**

**skończy się teraz dla Holly wcześniej niż w środę o północy**

**–rzekł.**

**Do biblioteki wszedł wysoki mężczyzna odznaczający się pewnością siebie i wdziękiem, które mogły sugerować, że jego rasa skrzyżowała się kiedyś w przeszłości z panterą. W jego metalicznie szarych oczach płonęła ciekawość, rozchylone nozdrza szukały ulotnych zapachów.**

**–Kiedy nie będzie mnie w domu i nie odbiorę ich tele**

**fonu w południe, i kiedy nie dodzwonią się na twoją ko**

**mórkę, uświadomią sobie, że nic ze mną nie wskórają –**

**powiedział Anson do Mitcha. – Wtedy kropną ją, porzucą**

**gdzieś i uciekną.**

**Pewny siebie mężczyzna nosił mokasyny z frędzlami, czarne jedwabne spodnie i szarą jedwabną koszulę w tym samym odcieniu co jego oczy. Na jego lewym nadgarstku lśnił złoty rolex, wypielęgnowane paznokcie były wypolerowane na wysoki połysk.**

**–Nie będą jej torturować – podjął Anson. – To był**

**blef. Przed śmiercią prawdopodobnie nawet jej nie przele**

**cą, chociaż ja na ich miejscu bym to zrobił.**

**Dwaj masywni mężczyźni podeszli z tyłu do fotela Mitcha i stanęli po jego obu stronach. Obaj mieli pistolety zaopatrzone w tłumiki i oczy, które widuje się na ogół po drugiej stronie krat klatki.**

**–Ma spluwą schowaną za paskiem na plecach – poin**

**formował ich Anson. – Wyczułem ją, kiedy cię ścisnąłem,**

**braciszku – powiedział do Mitcha.**

**Spoglądając wstecz, Mitch zastanawiał się, dlaczego nie powiedział Ansonowi, że ma pistolet, kiedy jechali samochodem i raczej nikt ich nie podsłuchiwał. Być może w najgłębszych katakumbach swojego umysłu nie ufał bratu, w ogóle nie zdając sobie z tego sprawy.**

Jeden z bandziorów miał brzydką cerę. Trądzik podziurawił jego twarz podobnie jak mszyce dziurawią liść. Kazał mu wstać i Mitch podniósł się z fotela.

Drugi bandzior uniósł tył jego marynarki i zabrał pistolet. Kiedy kazali mu usiąść, Mitch wykonał ich polecenie. W końcu odezwał się do Ansona, lecz tylko po to, by powiedzieć „żał mi ciebie”, co było prawdą, lecz nie do końca, ponieważ ten żal zawierał współczucie, ale brakowało w nim czułości, litość skażona była wstrętem.

Bez względu na to, jak można opisać to uczucie, Anson nie chciał, by go żałowano. Powiedział wcześniej, że jest dumny z Mitcha, ponieważ ich rodzicom nie udało się go złamać, i że on sam nie okazał takiego hartu ducha. Ale były to kłamstwa, które miały zamydlić mu oczy, ułatwić zadanie manipulatorowi.

W rzeczywistości Anson był dumny z własnego sprytu i bezwzględności. Kiedy Mitch zadeklarował swój żal, jego brat zmrużył oczy i na jego twarzy ukazała się pogarda.

Człowiek w jedwabiu, który wyczuł, że Anson jest obrażony do żywego i gotów zrobić coś pochopnego, uniósł dłoń ze lśniącem roleksem, by go powstrzymać. – Nie tutaj – mruknął.

Po krótkim wahaniu Anson schował z powrotem pistolet do kabury pod sportową marynarką. Mitchowi przyszyły do głowy, zupełnie nieproszone, słowa, które usłyszał przed ośmioma godzinami od detektywa Taegarta, i chociaż nie znał ich źródła i nie był wcale pewien, czy są stosowne w tej sytuacji, coś kazało mu wypowiedzieć je na głos. – Krew głośno woła ku mnie z ziemi. Anson i jego wspólnicy znieruchomieli na chwilę niczym postaci na obrazie, w bibliotece zapadła cisza, powietrze zamarło i noc przyczaiła się za przeszklonymi drzwiami prowadzącymi na taras. A potem Anson wyszedł z pokoju dwaj goryle, nadal w pełnej gotowości, cofnęli się kilka kroków, a człowiek w jedwabiu usiadł na poręczy fotela, na którym jeszcze przed chwilą spoczywał Anson.

–Sprawiłeś wielki zawód swojemu bratu, Mitch – powiedział.

Julian Campbell miał skórę o złocistym odcieniu, który można uzyskać tylko we własnym solarium, rzeźbione ciało świadczące o posiadaniu osobistego trenera i siłowni oraz gładką twarz, która u mężczyzny koło pięćdziesiątki wskazywała na stały kontakt z chirurgiem plastycznym.

Rana, która zakończyła jego karierę w FBI, nie była widoczna, podobnie jak jakiegokolwiek oznaki niesprawności. Triumf, jaki odniósł nad własną słabością, równał się najwyraźniej jego ekonomicznemu sukcesowi.

–Jedno mnie ciekawi, Mitch – mruknął.

–Co takiego?

Campbell nie odpowiedział na jego pytanie.

–Jestem człowiekiem praktycznym – oświadczył. –

W mojej branży robię to, co muszę, i nie cierpię z tego po wodu na niestrawność.

W tłumaczeniu na język Mitcha oznaczało to, że Campbell nie pozwala sobie na wyrzuty sumienia.

–Znam wielu ludzi, którzy robią to, co trzeba. Praktycznych ludzi.

Za trzynaście i pół godziny porywacze mieli zadzwonić do domu Ansona. Jeżeli Mitcha tam nie będzie i nie odbierze telefonu, Holly zginie.

–Ale pierwszy raz widzę, jak człowiek skreśla własnego brata tylko po to, żeby udowodnić, że jest najtwardszym zawodnikiem w okolicy.

–Zrobił to dla pieniędzy – odparł Mitch. Campbell potrząsnął głową.

–Nie. Anson mógł poprosić mnie, żebym dał tym cipom nauczki. Nie są tacy twardzi, jak im się wydaje.

Pod najmroczniejszym poziomem wydarzeń dnia kryło się coś jeszcze

mroczniejszego.

–Za dwanaście godzin mogliby błagać nas, żebyśmy zgodzili się przyjąć twoją żonę zdrową i całą.

Mitch czekał. W tym momencie nie pozostało mu nic innego, jak czekać.

–Ci faceci mają matki. Moglibyśmy spalić dom jednej mamusi i poprzestawiać buzię drugiej, tak żeby przez rok trwała rekonstrukcja jej twarzy.

Campbell mówił to tak rzeczowym tonem, jakby wyjaśniał szczegóły sprzedaży nieruchomości.

–Jeden z nich ma córkę z byłą żoną. Jest do niej bardzo przywiązany. Moglibyśmy zatrzymać małą w drodze ze szkoły, rozebrać do naga, podpalić jej ubranie. Powiedzieć tatusiowi: następnym razem spalimy małą Suzie razem z ubraniami.

Wcześniej, w swojej naiwności Mitch chciał wciągnąć w to Iggy'ego, żeby oszczędzić Ansona.

Teraz zastanawiał się, czy dla ocalenia Holly chciałby, żeby inni ludzie zostali pobici, spaleni i pokiereszowani. Może powinien dziękować losowi, że nie postawiono go przed takim wyborem.

–Gdybyśmy w dwanaście godzin dobrali się do dwunastu ich bliskich, te cipki odesłałyby twoją żonę do domu z przeprosinami i bonem towarowym na nową szafę wnękową.

Dwóch zbirów ani na chwilę nie spuszczało oczu z Mitcha.

–Ale Anson – kontynuował Campbell – chce dać wyraznie do zrozumienia, żeby w przyszłości nikt go już nie

lekceważył. Pośrednio działa to również na moją korzyść.

Muszę jednak powiedzieć... że jestem pod wrażeniem.

Mitch nie mógł dać po sobie poznać, jak bardzo jest przerażony. Uznaliby wtedy, że strach może go sprowokować do jakichś nierozważnych kroków, i obserwowaliby jeszcze baczniej niż do tej pory.

Musiał udawać przestraszonego, ale w jeszcze większym stopniu zrozpaczonego. Człowiek pozostający w szponach rozpacz, ktoś, kto stracił wszelką nadzieję, nie ma w sobie woli walki.

–Ciekawi mnie jedno – powtórzył Campbell, wracając

w końcu do zdania, od którego zaczął. – Co takiego zrobi

łeś, że twój brat odwdzięcza ci się w ten sposób?

–Kochałem go – odparł Mitch.

Campbell przyjrzał mu się w podobny sposób, w jaki

brodząca czapla przygląda się rybie, a potem się uśmiechnął.

–No tak, to wszystko wyjaśnia. Co by było, gdyby pewnego dnia zorientował się, że odwzajemnia tę miłość?

Zawsze chciał zająć daleko i chciał, żeby to się stało szybko.

–Sentymenty to balast – stwierdził Campbell.

–To łańcuch i kotwica – odparł Mitch niskim, nabrzmiałym rozpaczą głosem.

Campbell podniósł jego pistolet ze stolika, na którym położył go jeden ze zbirów.

–Strzelałeś z niego? – zapytał.

Mitch miał już na końcu języka, że nie, ale potem uświadomił sobie, że w magazynku brakuje jednego naboju, kuli, którą Knox przypadkowo sam się postrzelił.

–Raz – odpowiedział. – Strzeliłem raz. Żeby zoba

czyć, jakie to uczucie.

–Było straszne? – zapytał rozbawiony Campbell.



**–Wystarczająco.**

**–Twój brat mówi, że nie umiesz posługiwać się bronią -Zna mnie lepiej, niż ja znałem jego. – Więc skąd to masz?**

**–Moja żona uważała, że powinniśmy mieć pistolet w domu.**

**–Miała rację.**

**–Leżał w szufladzie szafki nocnej od dnia, kiedy go kupiliśmy – skłamał Mitch.**

**Campbell wstał z fotela i wyciągając przed siebie prawa rękę, wycelował z pistoletu w twarz Mitcha. – Wstawaj.**

Wpatrując się w ślepe oko lufy, Mitch wstał z fotela. Dwóch bezimiennych bandziorów zajęło nowe pozycje, jakby chcieli go wziąć w krzyżowy ogień.

–Zdejmij marynarkę i połóż na stole – powiedział

Campbell.

Mitch zrobił, co mu kazano, a potem spełnił kolejne polecenie, wywracając kieszenie swoich dżinsów. Położył na stoliku do kawy klucze, portfel i zwinięte chusteczki higieniczne.

Przypomniawszy sobie, jak będąc chłopcem, spędzał czas w ciemności i ciszy. Zamiast koncentrować się całymi dniami na prostej lekcji, którą miał sobie przyswoić w zamknięciu, prowadził wyimaginowane rozmowy z pajęczycą o imieniu Charlotta, świnią o imieniu Wilbur i szczurem Templeto-nem. To był cały sprzeciw, na jaki się zdobył – wtedy i później.

Wątpił, żeby ci ludzie zastrzelili go w tym domu. Nawet wyszorowana i niewidoczna gołym okiem krew zostawia ślad białka, który można odkryć za pomocą specjalnych chemikaliów i światła.

Jeden z bandziorów przeszukał kieszenie jego marynarki i znalazł w nich tylko telefon komórkowy

–Jak pan, bohater FBI, stał się tym, kim pan jest? –

zapytał Mitch uważnego gospodarza. Zdziwienie Campbella

nie trwało długo. – Taką bajeczkę wymyślił Anson, żeby

cię tu zwabić? Julian Campbell: bohater FBI?

Chociaż bandziory wydawały się równie ponure jak

chrząszcze grabarze, ten z gładką skórą roześmiał się, a drugi uśmiechnął.

Prawdopodobnie nie zrobił pan również fortuny w branży rozrywkowej – powiedział Mitch.

W branży rozrywkowej? Można to nawet uznać za prawdę – odparł Campbell -jeżeli przyjmie się elastyczną definicję rozrywki.

Pryszczaty bandzior wyjął z kieszeni spodni plastikową torbę na śmieci i rozłożył ją.

**–Ale jeżeli Anson poinformował cię, że ci dwaj dżentelmeni są kandydatami do stanu kapłańskiego, powinienem cię chyba ostrzec, że nie są – powiedział Campbell.**

**Grabarzy jeszcze bardziej to ubawiło.**

**Bandzior z plastikową torbą włożył do niej sportową marynarkę, telefon komórkowy i inne rzeczy odebrane Mi-tchowi. Przed wrzuceniem do niej portfela wyjął z niego gotówkę i przekazał ją Campbellowi. Mitch stał w miejscu i czekał.**

**Trzej mężczyźni zachowywali się swobodniej niż na początku. Już go znali.**

**Był bratem Ansona, ale wyłącznie w sensie biologicznym. Był zwierzyną łowną, nie myśliwym. Wiedzieli, że będzie posłuszny i nie stawi skutecznego oporu. Ucieknie w głąb siebie. W końcu zacznie błagać.**

**Znali go, znali ludzi jego pokroju, i kiedy wszystkie rzeczy znalazły się w torbie, bandzior wyjął kajdanki.**

**Mitch wyciągnął ręce do przodu, zanim go o to poproszono.**

**Mężczyzna z kajdankami się zawahał. Campbell wzruszył ramionami i mężczyzna założył kajdanki Mitchowi na nadgarstki.**

**–Wydajesz się bardzo zmęczony – powiedział Campbell.**

**–Dziwne, jaki zmęczony – zgodził się Mitch.**

**–To się czasami zdarza – odparł Campbell, odkładając na bok skonfiskowany pistolet.**

**Mitch nie próbował nawet sprawdzić kajdanek. Były ciasne, a łańcuszek między bransoletkami krótki.**

**Kiedy Campbell przeliczył czterdzieści kilka dolarów wyjętych z portfela Mitcha, w jego głosie zabrzmiała niemal czułość.**

**Może nawet utniesz sobie drzemkę po drodze.**

**Dokąd jedziemy?**

**–Znałem faceta, który zasnął pewnej nocy w trakcie podobnej przejażdżki. Szkoda było go niemal budzić, kiedy tam dojechaliśmy.**

**–Jedzie pan z nami? – zapytał Mitch.**

**–Och nie, nie robiłem tego od lat. Zostanę tu z moimi książkami. Nie jestem ci potrzebny. Wszystko będzie w porządku. Na samym końcu wszystko jest w porządku.**

**Mitch przyjrzał się półkom z książkami.**

**–Przeczytał pan jakieś?**

**–Historyczne. Fascynuje mnie historia, to, jak prawie nikt nie potrafi się z niej uczyć.**

**–Pana czegoś nauczyła?**

**–To ja jestem historią. Ja jestem tym, czego nikt nie chce się uczyć.**

**Dłonie Campbella, zwinne niczym u prestidigitatora, schowały pieniądze Mitcha do własnego portfela ruchem, którego oszczędność miała w sobie coś teatralnego.**

**–Ci panowie zabiorą cię do pawilonu samochodowego.**

**Nie przez dom, ale przez ogród.**

**Mitch domyślił się, że służba – nocne pokojówki i lokaj – albo nic nie wie o ciemnej stronie interesów Campbella, albo udaje niewiedzę.**

**–Do widzenia, Mitch. Nic ci nie będzie. Już niedługo.**

**Może nawet zdrzemniesz się po drodze.**

**Trzymając Mitcha pod ramiona, uzbrojeni mężczyźni wyprowadzili go z biblioteki na taras. Eskortujący go po prawej stronie facet z pryszczatą twarzą wcisnął lufę pistoletu w jego bok, niezbyt brutalnie, wyłącznie w charakterze przypomnienia.**

**Przed wyjściem na dwór Mitch obejrzał się i zobaczył, że Campbell przygląda się tytułom książek na półce. Stał w miejscu z uniesionym jednym biodrem niczym odpoczywający po występie tancerz.**

**Najwyraźniej wybierał jakąś lekturę do poduszki. A może nie do poduszki. Pająk nigdy nie śpi; podobnie jak nie śpi historia.**

**Mężczyźni fachowo eskortowali Mitcha po tarasie i schodkami na niższy taras.**

**W basenie leżał utopiony księżyc, blady i falujący jak zjawia.**

Idąc ogrodowymi ścieżkami, gdzie kumkały niewidoczne żaby, mijając szeroki trawnik i wysokie krzewy pospornicy, której koronkowe gałązki migotały niczym łuski ryb, dotarli okrężną drogą do dużego eleganckiego budynku otoczonego romantycznie podświetloną loggią.

Mężczyźni przez cały czas uważnie go obserwowali.

Pędy kwitnącego nocą jaśminu oplatały kolumny loggii i zwisały z okapu.

Mitch zaczerpnął kilka razy głęboko powietrza. Zapach był tak ciężki i słodki, że przyprawiał o senność.

Posadzkę loggii przemierzał powoli czarny chrząszcz z rodziny kózkowatych. Mężczyźni obeszlili go razem z Mit-chem dookoła.

W pawilonie stały przepięknie odrestaurowane samochody z lat trzydziestych i czterdziestych: buicki, lincolny, packar-dy, cadillaki, pontiaki, fordzy, chevrolety, kaizery, studebakery, a nawet jeden tucker torpedo. Wyeksponowano je niczym klejnoty w świetle precyzyjnie rozmieszczonych reflektorów.

Nie trzymano tutaj pojazdów codziennego użytku. Zabierając go do głównego garażu, ryzykowaliby pewnie, że natkną się na kogoś ze służby.

Mężczyzna z pryszczatą twarzą wyjął z kieszeni zestaw kluczyków i otworzył bagażnik granatowego chryslera Windsora z końca lat czterdziestych.

–Wskakuj.

Z tego samego powodu, dla którego nie zabili go w bibliotece, nie zrobią tego i tutaj. Poza tym baliby się uszkodzić samochód.

Bagażnik był bardziej przestronny od tych we współczesnych samochodach. Mitch położył się na boku w pozycji płodowej.

–Nie możesz otworzyć klapy od środka – powiedział pryszczaty. – W tamtych czasach nie mieli względu na bezpieczeństwo dzieci.

–Będziemy jechali bocznymi drogami, gdzie nikt cię nie usłyszy – oznajmił drugi. – Więc nic ci nie da, jeżeli będziesz robił dużo hałasu.

Mitch nie odezwał się.

–To tylko nas wkurzy – powiedział pryszczaty. – I u

celu potraktujemy cię gorzej, niż to konieczne.

**–Nie chciałbym tego.**

**–Owszem. Nie chciałbyś.**

**–Wolałbym, żebyśmy nie musieli tego robić – powiedział Mitch.**

**–No cóż – mruknął ten z gładką cerą. – Tak to już**

**bywa.**

**Ich twarze, oświetlone z tyłu przez reflektorki, zawisły nad Mitchem niczym dwa księżycy, jedna zupełnie obojętna druga spięta i powleczone pogardą. A potem zatrzasnęli klapę i zapadła kompletna ciemność**

Holly leży w mroku, modląc się, żeby Mitch przeżył.

Boi się o niego bardziej niż o siebie. Porywacze przez cały czas noszą przy niej kominiarki. Gdyby chcieli ją zabić, nie zawracaliby sobie głowy i nie ukrywali swoich twarzy.

Nie paradują w nich dlatego, że taka jest moda. Nikt nie wygląda dobrze w kominiarce.

Jeżeli ktoś ma paskudnie zniekształconą twarz, jak na przykład Upiór z Opery, wtedy być może chowają chętnie za kominiarką. Ale na zdrowy rozum jest raczej wykluczone, żeby wszyscy czterej mężczyźni mieli paskudnie zniekształcone twarze.

Oczywiście nawet jeżeli nie chcą jej skrzywdzić, coś może pokrzyżować im plany. W kluczowym momencie może zostać przypadkowo postrzelona. W miarę rozwoju wypadków mogą się też zmienić zamiary, jakie wobec niej żywią.

Wieczna optymistka, od dzieciństwa wierząca, że każde życie ma swój sens i że nie umrze, dopóki nie pozna jego celu, Holly nie duma nad tym, co może pójść źle, lecz wyobraża sobie, że ją uwalniają, całą i zdrową.

Wierzy, że wyobrażanie sobie przyszłości pomaga ją kształtować. Nie w tym sensie, że zostanie sławną aktorką, wyobrażając sobie, że dostaje Oscara. Karierę buduje się ciężką pracą, nie marzeniami.

Zresztą nie chciałaby zostać słynną aktorką. Musiałaby spędzać dużo czasu ze sławnymi aktorami, a większość cieszących się obecnie sławą przyprawia ją o dreszcze.

Uwolniona, zajadałaby marcepanowe i orzechowo-czeko-

ladowe Jody, a także chipsy ziemniaczane, aż zrobiłoby się jej wstyd albo niedobrze. Nie miała torsji od dzieciństwa, ale nawet wymioty stanowią afirmację życia.

Uwolniona, uczyłaby to, idąc do Baby Style, tego sklepu w centrum handlowym, i kupując wielkiego wypchanego misia, którego widziała na wystawie, gdy ostatnio tam przechodziła. Był puszysty, biały i taki śliczny.

Nawet jako nastolatka lubiła pluszowe misie. Tak czy inaczej będzie go teraz potrzebowała.

**Uwolniona, pokocha się z Mitchem. Kiedy z nim skończy, będzie się czuł, jakby przejechał go pociąg.**

**Cóż... nie jest to szczególnie satysfakcjonująca romantyczna wizja. Nie przypomina opisów, dzięki którym Nicholas Sparks sprzedaje miliony swoich książek.**

**„Pokochała się z nim każdą cząsteczką swojego jestestwa, ciała i duszy i kiedy w końcu wygasła w nich namiętność, leżał rozbryzgany po całym pokoju, jakby rzucił się pod lokomotywę”.**

**Wyobrażanie sobie, że jest bestsellerową pisarką, byłoby stratą czasu. Na szczęście ma zamiar zostać agentką nieruchomości.**

**Modli się więc, żeby jej piękny mąż przetrwał te straszne chwile. Mitch jest fizycznie piękny, ale najpiękniejsze jest w nim jego łagodne serce.**

**Holly kocha go za to łagodne serce, za jego słodycz, martwi się jednak, że pewne aspekty tej łagodności, na przykład skłonność do pasywnego godzenia się z losem, mogą przyczynić się do tego, że on zginie.**

**Mitch skrywa również głęboką i cichą siłę, kręgosłup ze stali, który ujawnia się w subtelny sposób. Gdyby nie to, uległby swoim szurniętym rodzicom. Gdyby nie to, Holly nie zaprowadziłaby go do ołtarza.**

**Modli się więc, żeby pozostał silny i przeżył.**

**Modląc się i rozmyślając o modzie, której hołdują porywacze, o obżeraniu się, wymiotowaniu i pluszowych misiach, przez cały czas pracuje nad gwoździem w podłodze.**

**Zawsze miała podzielną uwagę.**

**Podłoga jest z surowych desek. Holly przypuszcza, że deski są dość grube, by stolarze musieli do nich użyć gwoździ cięższych niż normalne.**

**Gwóźdź, który ją interesuje, ma dużą płaską główkę. Jej wielkość świadczy o tym, że jest dość duży, by posłużyć jako szpikulec.**

**W sytuacji kryzysowej gwóźdź może stać się bronią.**

**Jego płaska główka nie przylega równo do podłogi. Wystaje z niej mniej więcej na jedną szesnastą cala. Dzięki temu Holly może poruszać gwoździem tam i z powrotem,**

**Chociaż nie jest obluzowany, jedną z zalet Holly jest wytrwałość. Będzie pracowała nad gwoździem, będzie wyobrażała sobie, że jest obluzowany, i w końcu wyciągnie**



go z deski.

Żałuje, że nie ma akrylowych tipsów. Wyglądają ładnie; i kiedy zostanie agentką nieruchomości, z pewnością będzie musiała sobie takie sprawić. Gdyby miała porządne tipsy, łatwiej byłoby jej wyciągnąć gwóźdź.

Z drugiej strony mogłyby połamać się i popękać prędzej niż paznokcie. Gdyby je miała, mogłoby to obrócić się na jej niekorzyść.

Najlepiej byłoby, gdyby w chwili porwania miała tipsy u lewej dłoni i paznokcie u prawej. I dwa stalowe zęby z przodu, oddzielone dość sporą szparą.

Biegający od bransoletki na jej prawej kostce łańcuch przymocowany jest do kółka w podłodze. Dzięki temu ma wolne obie ręce, żeby pracować nad jeszcze nieobluzowa-nym gwoździem.

Porywacze zadbali pod pewnym względem o jej wygodę. Zaopatrzyli ją w materac, na którym może leżeć, sześćcio-pak wody mineralnej i nocnik. Wcześniej dali jej połówkę pizzy z pepperoni i serem. To wcale nie znaczy, że są mili. Nie są miłymi ludźmi. Kiedy chcieli, żeby Mitch usłyszał jej krzyk, uderzyli ją. Kiedy chcieli, żeby Anson usłyszał jej krzyk, pociągnęli ją za włosy, gwałtownie i mocno. Miała

wrażenie, że zerwą jej skalp.

Chociaż nie są to ludzie, których spotyka się na nabożeństwie w kościele, nie są okrutni z natury. Są źli, lecz mają swój, by tak rzec, biznesplan i na nim się skupiają. Jeden z nich jest zły i obłąkany. To on ją najbardziej niepokoi.

Nie wtajemniczyli jej w swój plan, lecz Holly domyśla się niejasno, że uwięzili ją, żeby wpłynąć na Mitcha, który z kolei wpłynie na Ansona.

Nie wie, dlaczego uważają, że Anson wybuli ciężką forszę, aby zapłacić za nią okup, ale nie dziwi jej to, że właśnie on jest w centrum tej całej zawieruchy. Od dawna czuła, że Anson nie jest tym, za kogo się podaje.

Kilka razy spostrzegła, że gapi się na nią w sposób, w jaki kochający brat Mitcha nigdy nie powinien się gapić na jego żonę. Kiedy widział, że go na tym złapała, drapieżna żądza gasła w jego oczach tak szybko i uśmiechał się z takim wdziękiem, że łatwo można było dojść do wniosku, iż człowiek padł ofiarą złudzenia.

Czasami, kiedy się śmieje, jego wesołość wydaje się Holly sztuczna. Nikt jednak nie podziela jej zdania. Wszyscy uważają, że śmiech Ansona jest zaraźliwy.

Nigdy nie zwierzyła się nikomu ze swoich wątpliwości co do Ansona. Zanim poznała Mitcha, miał tylko siostry – które rozpierzchły się na wszystkie strony świata – brata

**i swoją pasję, by pracować w ziemi i hodować rośliny. Zawsze miała nadzieję, że wzbogaci jego życie, a nie że go czegoś pozbawi.**

**Mogłaby złożyć swoje życie w silnych rękach Mitcha i natychmiast zapaść w kamienny sen. Na swój sposób tym właśnie jest małżeństwo – dobre małżeństwo – całkowitą ufnością serca, umysłu i duszy.**

**Gdyby jej los spoczywał w rękach Ansona, nie mogłaby w ogóle zasnąć, a gdyby zasnęła, dręczyłyby ją koszmary.**

**Holly porusza gwoździem, aż zaczynają ją boleć palce. Wtedy zaczyna to robić dwoma innymi palcami.**

**Kiedy mijają kolejne ciemne i ciche minuty, stara sienie myśleć o tym, jak dzień, który zaczął się tak radośnie, mógł skończyć się tak desperacką nutą. Po wyjściu Mitcha do pracy, zanim jeszcze zamaskowani mężczyźni wpadli do kuchni, użyła zestawu, który kupiła już poprzedniego dnia, ale z którego użyciem – ponieważ była zbyt zdenerwowana – zwlekała aż do rana. Jej okres spóźnia się o dziewięć dni i według testu ciążowego będzie miała dziecko.**

**Ona i Mitch od roku mieli nadzieję, że zajdzie w ciążę. I akurat tego dnia okazało się, że zaszła.**

**Porywacze nie wiedzą, że na ich łasce są dwie ludzkie istoty, a Mitch nie wie, że od jego sprytu i odwagi zależy nie tylko życie żony, lecz również dziecka. Ale Holly wie o tym. Ta wiedza jest dla niej jednocześnie źródłem radości i udręki.**

**Wyobraża sobie trzyletnie dziecko – czasami dziewczynkę, a czasami chłopca – śmiejące się i bawiące w ich ogródku. Wyobraża je sobie sugestywniej, niż wyobrażała sobie dotąd cokolwiek innego, w nadziei, że zdoła urzeczywistnić tą wizją.**

**Powtarza sobie, że musi być silna, że nie będzie płakać. Nie szlocha i nie zakłóca w żaden inny sposób ciszy, ale czasami łzy płyną jej po twarzy.**

**Żeby powstrzymać ten gorący strumień, porusza agresywniej gwoździem, tym cholernym, upartym gwoździem.**

**Po długim okresie ciszy słyszy mocne stuknięcie, któremu towarzyszy głuchy metaliczny pogłos.**

**Zaniepokojona i czujna czeka, ale stukot już się nie powtarza. Nie następuje po nim żaden inny hałas.**

**Dźwięk wydaje się złudnie znajomy. Prozaiczny hałas – a mimo to instynkt**

podpowiada jej, że jej los zależy od tego szczęknięcia.

Potrafi odtworzyć ten dźwięk w pamięci, lecz w pierwszej chwili nie umie określić jego źródła.

Po jakimś czasie zaczyna podejrzewać, że był to bardziej wyimaginowany aniżeli realny odgłos. A dokładniej: że za-

brzmiał w jej głowie, nie poza ścianami tego pokoju. To dziwne przeświadczenie, nie może się go jednak pozbyć.

A potem uświadamia sobie źródło dźwięku. To coś, co słyszała setki razy, i chociaż nie wiąże się z niczym złowrogim, przechodzi ją zimny dreszcz. Tego rodzaju hałas słyhać przy zamykaniu bagażnika samochodu.

Dźwięk zatraskiwanej klapy bagażnika, bez względu na to, czy wyimaginowany, czy prawdziwy, nie powinien sprawiać, że chłód przenika ją do szpiku kości. Holly siedzi sztywno wyprostowana, zapomniawszy na chwilę o gwoździu, wstrzymując oddech, a potem oddycha bardzo płytko i cicho.

## Część II

Czy oddałbyś życie

z miłości?

Czy zabiłbyś

z miłości?

Ktoś, kto miał pod koniec lat czterdziestych samochód taki jak chrysler windsor, wiedział, że silnik jest duży, ponieważ robił sporo hałasu. Słysząc w nim pulsowanie byczego serca, niskie wściekłe parsknięcia i ciężki tętent kopyt.

Wojna dobiegła końca, udało się ją przeżyć, wielkie połączenie Europy leżały w gruzach, ale ojczyzna była nienaruszona i chciało się żyć. Ludzie nie chcieli dźwiękoszczelne-go przedziału silnikowego. Nie chcieli technologii minimalizującej hałas. Chcieli mocy, odpowiedniej masy i szybkości.

W pogrążonym w ciemności bagażniku słysząc było warkot silnika przenoszony przez wał napędowy, ramę i karoserię. Dudnienie i terkot podnosiły się i opadały w zależności od prędkości obracających się kół.

Mitch czuł niewyraźny zapach spalin, ulatniających się być może z nieszczelnego tłumika, lecz nie groziło mu zatrucie tlenkiem węgla. Mocniejszy był zapach gumy, i unoszący się z maty, na której leżał, oraz kwaśny odór jego potu.

Chociaż równie ciemny jak pokój w domu jego rodziców, ten ruchomy pokój nauki pozbawiony był innych atrybutów, które mogą doprowadzić do deprivacji sensorycznej. Mimo

z każdą pokonaną milą Mitch uczył się najważniejszych rzeczy w swoim życiu.

Jego ojciec twierdził, że nie istnieje tao, naturalne pra-

wo, którego powinniśmy przestrzegać. Zgodnie z jego materialistycznym poglądem na świat, nie powinniśmy kierować się żadnym kodeksem, lecz wyłącznie własnym interesem.

Racjonalność jest zawsze we własnym interesie, mówi Daniel. Dlatego każdy racjonalny postępek jest słuszny, dobry i godny podziwu.

W filozofii Daniela nie ma miejsca na zło. Kradzieże, gwałty, mordowanie niewinnych – te i inne zbrodnie są po prostu irracjonalne, ponieważ narażają tego, kto je popełnił, na utratę wolności.

Daniel przyznaje, że stopień irracjonalności zależy od tego, jak duże są szanse na uniknięcie kary. Dlatego te irracjonalne postęпки, które się powiodły i miały wyłącznie pozytywne konsekwencje dla sprawcy, mogą być słuszne i godne podziwu, a nawet pozytywne dla społeczeństwa.

Złodzieje, gwałciciele, mordercy i do nich podobni mogą skorzystać z terapii i

rehabilitacji bądź nie. W żadnym wy-padku-zdaniem Daniela-nie są źli; są po prostu leczącymi się bądź też nieuleczalnymi irracjonalistami i nic poza tym.

Mitch uważał wcześniej, że te nauki spłynęły po nim jak woda po gęsi, że nie osmalił go płomień edukacji Daniela Rafferty'ego. Ale nie ma dymu bez ognia i Mitch tak długo wędził się w fanatyzmie swojego ojca, aż część tych teorii zagnieździła się w jego umyśle. Widział, ale był ślepy. Słyszał, ale był głuchy. Tego dnia, tej nocy Mitch stanął twarzą w twarz ze złem. Było prawdziwe niczym kamień.

Człowiekowi irracjonalnemu należą się współczucie i terapia, lecz człowiek zły zasługuje wyłącznie na opór, słuszny gniew i sprawiedliwą karę.

W bibliotece Juliana Campbella, kiedy jeden z oprychów wyjął kajdanki, Mitch od razu wyciągnął do przodu ręce. Nie czekał na instrukcje.

Gdyby nie robił wrażenia skonanego, nie wydawał się potulny i pogodzony z losem, mogliby założyć mu kajdanki z tyłu. Dosięgnięcie rewolweru w kaburze na kostce mo-

głoby się wówczas okazać trudne, a jego precyzyjne użycie zgoła niemożliwe.

Campbell wygłosił nawet krótki komentarz na temat zmęczenia Mitcha, przez które rozumiał przede wszystkim zmęczenie umysłu i serca.

Wydawało im się, że wiedzą, jakiego pokroju jest człowiekiem, i może rzeczywiście to wiedzieli. Nie wiedzieli jednak, jakiego pokroju człowiekiem może się stać, gdy w grę wchodzi życie jego żony.

Rozbawieni jego brakiem obeznania z pistoletem, który skonfiskowali, nie pomyśleli, że może mieć drugą broń. Nie tylko dobrych ludzi gubią nieraz ich mylne wyobrażenia.

Mitch podwinął nogawkę dżinsów i wyjął rewolwer z kabury, po czym rozpiął ją i wyrzucił.

Wcześniej zbadał broń i nie znalazł bezpiecznika. Na filmach tylko niektóre pistolety mają bezpieczniki. Nigdy nie widział ich w rewolwerach.

Jeżeli przeżyje następne dwa dni i odzyska Holly całą i zdrową, nigdy już nie pozwoli, by jego życie i życie jego rodziny zależało od wyniesionego z kina poczucia rzeczywistości.

Kiedy po raz pierwszy otworzył bębenek, odkrył, że zamiast sześciu jest tylko pięć nabożów w pięciu komorach.

Musiał zaliczyć dwa trafienia w pięciu strzałach. Bezpośrednie trafienia, nie

**rykoszety.**

**Jeden z opryszków otworzy prawdopodobnie bagażnik.**

**Lepiej byłoby, gdyby drugi stał tuż obok; zaskoczyłby wtedy obydwu.**

**Będą trzymali broń gotową do strzału – obaj lub tylko jeden. Jeżeli tylko jeden, Mitch musiał wykazać się dość szybkim refleksem, żeby wycelować w uzbrojonego przeciwnika.**

**Planującego akt przemocy poczciwego człowieka dręczą myśli, które wcale nie okazują się pomocne: Pryszczaty opryszek, nękaną przez trądzik, który zmienił jego twarz w księżycowy krajobraz, musiał jako nastolatek ścierpieć**

**wiele upokorzeń.**

**Litowanie się nad diabłem jest w najlepszym razie masochizmem, w najgorszym proszeniem się o śmierć.**

**Kołysząc się w rytmie narzucanym przez drogę, oponę i spalanie wewnętrzne, Mitch próbował sobie przez chwilę wyobrazić, co mogłoby pójść nie po jego myśli, kiedy podniesie się kłapa bagażnika. Potem próbował sobie tego nie wyobrażać.**

**Według jego fosforyzującego zegarka byli już w podróży przeszło pół godziny, kiedy samochód zwolnił i zjechał z asfaltu na nieutwardzoną drogę. Małe kamyczki zaczęły grzechotać o podwozie i stukać o podłogę.**

**Czuł zapach kurzu i zlizął z ust zasadowy smak, ale odór ani na chwilę nie był dość mocny, żeby przyprawiło go to o kaszel.**

**Po dwunastu minutach powolnej jazdy połą drogą samochód zatrzymał się. Silnik pracował jeszcze przez pół minuty, a potem kierowca go zgasił.**

**Po czterdziestu pięciu minutach warkotu i dudnienia cisza była niczym głuchota.**

**Otworzyły się jedne drzwiczki, potem drugie.**

**Nadchodzili.**

**Odwrócony twarzą do tyłu samochodu Mitch rozłożył nogi i oparł stopy o prawy i lewy róg bagażnika. Nie mógł usiąść prosto, dopóki nie otworzą pokrywy, i czekał z plecami uniesionymi częściowo z podłogi, jakby wykonywał serię, bocznych skłonów na siłowni.**

**Kajdanki zmusiły go do trzymania rewolweru oburącz, co było prawdopodobnie i tak lepszym rozwiązaniem.**

**Nie słyszał ich kroków, wyłącznie galop własnego serca, ale usłyszał zgrzyt kluczyka w zamku bagażnika.**

**W pamięci miał obraz postrzelonego w głowę Jasona Osteena, który powtarzał się i powtarzał: Jason trafiony przez pocisk, eksplodująca czaszka, Jason trafiony przez pocisk, eksplodująca czaszka...**

**Kiedy klapa się uniosła, Mitch zorientował się, że w ba-**

**gażniku nie ma wewnętrznej lampki. Siadając, wysunął do przodu rewolwer.**

**Z księżycowego dzbanka wylało się mleko, oświetlając od tyłu dwóch opryszków.**

**Oczy Mitcha przywykły do absolutnej czerni, ich oczy nie. On siedział w mroku, oni stali w świetle księżyca. Oni byli przekonani, że jest potulny, rozbity i bezsilny, on wcale taki nie był.**

**Nie pociągnął świadomie za spust, lecz poczuł siłę odrzutu, zobaczył płomień wylotowy i usłyszał huk, a potem zorientował się, że pociąga za spust po raz drugi.**

**Dwa oddane z bliska strzały ścięły z nóg jedną sylwetkę, która zniknęła mu z oczu.**

**Druga sylwetka odsunęła się od samochodu. Mitch usiadł prosto i posłał w jej kierunku jeden, dwa, trzy pociski.**

**A potem kurek szczęknął i nie było huku wystrzału. Kiedy szczęknął ponownie, Mitch przypomniał sobie, że w bębenu było tylko pięć pocisków. Tylko pięć!**

**Musiał wydostać się z bagażnika. Bez amunicji był niczym ryba w saku. Szybko! Z bagażnika!**

Podrywając się zbyt szybko, Mitch rąbnął głową o klapę i o mało nie runął do tyłu. Nie stracił jednak rozpędu i wygramolił się z bagażnika.

Jego lewa stopa stanęła na twardym gruncie, ale prawa trafiła na dwukrotnie postrzelonego mężczyznę. Zachwiał się, nastąpił ponownie na ciało i kiedy się poruszyło, upadł.

Odturlał się od mężczyzny na skraj drogi, pod krzaki ja-dłoszynu, które rozpoznał po oleistym zapachu.

Zgubił rewolwer. To nie miało znaczenia. Skończyła mu się amunicja.

Otaczał go spękany, posrebrzony księżycowym światłem krajobraz: wąska gruntowa droga, pustyne zarośla, goła ziemia, kamienie.

Ozdobiony lśniącymi chromami, elegancki chrysler wind-sor sprawiał dziwnie futurystyczne wrażenie w tej pierwotnej okolicy. Przypominał statek kosmiczny, którym można polecieć do gwiazd. Gasząc silnik, kierowca wyłączył reflektory.

Opryszek, na którego Mitch nastąpił dwa razy, nie krzyknął. Nie wyprostował się i nie próbował go złapać. Był prawdopodobnie martwy.

Niewykluczone, że drugi mężczyzna też nie żył. Wychodząc z bagażnika, Mitch stracił go z oczu.

Jeżeli jeden z trzech ostatnich pocisków trafił w cel, leżący na polnej drodze za samochodem drugi mężczyzna

powinien czekać, aż posilą się nim ptaki.

Piasek nawierzchni drogi to niemal czysta krzemionka. Z krzemionki wyrabia się szkło, ze szkła lustra. W nocy światło odbijało się od wąskiej drogi o wiele mocniej niż od jakiegokolwiek innej powierzchni.

Leżąc płasko na brzuchu z ostrożnie uniesioną głową, Mitch widział całkiem długi odcinek bladej wstęgi wijącej się przez rosochate, cierniste zarośla w kierunku, z którego przyjechali. Nigdzie na drodze nie widać było drugiego ciała.

Gdyby facet nie był przynajmniej lekko ranny, na pewno strzeliłby do Mitcha, kiedy ten wylazł z bagażnika.



**Trafiony, mógł pokuśtykać lub doczołgać się do krzaków albo skupiska kamieni. Mógł kryć się w każdym miejscu, liżąc rany i zastanawiając się, co ma robić dalej.**

**Opryszek będzie wściekły, ale nie przerażony. Tego rodzaju zdarzenia to dla niego chleb powszedni. Był socjopa-tą. Niełatwo takich nastraszyć.**

**Mitch zdecydowanie i niedwuznacznie bał się mężczyzny ukrytego w mroku. Bał się również tego, który leżał na drodze przy bagażniku chryslera.**

**Bał się go, nawet jeżeli facet nie żył. Nie chciał do niego podchodzić.**

**Musiał zrobić to, czego nie chciał, ponieważ facet, martwy lub tylko nieprzytomny, miał przy sobie broń. Mitch potrzebował broni. I to szybko.**

**Przekonał się, że potrafi użyć przemocy, przynajmniej w obronie własnej, ale nie był przygotowany na szybkość, z jaką potoczyły się wypadki po jego pierwszym strzale, do tempa, w jakim trzeba było podejmować decyzje, do nagłości, z jaką pojawiały się nowe wyzwania.**

**Po drugiej stronie drogi można się było schować za postrzępionymi zaroślami i niskimi stertami zwietrzałej skały.**

**Jeżeli lekki wietrzyk, który wiał bliżej wybrzeża, zdołał dotrzeć tak daleko w głąb lądu, pustynia wessała go do ostatniej kropli. Każdy ruch w zaroślach świadczyłby nie o**

ręce natury, lecz obecności jego przeciwnika.

Na tyle, na ile mógł to ocenić po ciemku, w pobliżu nic się nie poruszało.

Skrepowany kajdankami, dotkliwie świadom tego, że poruszając się, sam staje się łatwym celem, Mitch podpełzł na brzuchu do mężczyzny przy samochodzie.

Księżyc położył lśniące monety na otwartych i nieruchomych oczach opryszka.

Przy ciele widać było znajomy przedmiot ze stali, która w tym świetle przybrała srebrzysty odcień. Mitch złapał go skwapliwie i już miał odpelznąć, gdy zdał sobie sprawę, że znalazł swój bezużyteczny rewolwer.

Krzywiąc się na brząk krótkiego łańcuszka łączącego kajdanki, obmacał ciało – i zanurzył palce w czymś mokrym. Dygocząc i starając się opanować mdłości, wytarł rękę o ubranie zabitego.

Gotów był już uznać, że facet wysiadł z chryslera nieuzbrojony, gdy nagle ujrzał wystającą spod zwłok żłobkowaną rękojeść broni i wyciągnął ją.

Padł strzał i ciało zabitego podskoczyło trafione pociskiem przeznaczonym dla Mitcha.

Skacząc w stronę chryslera, usłyszał drugi strzał, cichy świst mijającej go śmierci i brząk pocisku odbijającego się od samochodu. Usłyszał także drugi, bliższy poświsł, chociaż to, co wziął za dwa chybione strzały, mogło być tylko jednym, który zakończyło owadzie bzyknięcie rykoszetu.

Kryjąc się za samochodem, poczuł się bezpieczniej, lecz chwilę później to wrażenie ulotniło się bez śladu.

Opryszek mógł obejść chryslera od tyłu albo od przodu. Miał przewagę, ponieważ mógł wybrać jedną z dwóch dróg i zainicjować akcję.

Tymczasem Mitch musiał obserwować pilnie oba kierunki, co było po prostu niewykonalne.

Drugi mężczyzna mógł już iść w jego stronę.

Mitch poderwał się z ziemi i odskoczył od samochodu. Przebiegł pochylony przez naturalny żywopłot jadłoszynu,

którego szeleszczące gałązki ujawniały jego pozycję, ostrzegając jednocześnie

szeptem, żeby nie hałasował.

Teren opadał, co było dobre. Gdyby się podnosił, Mitch byłby lepiej widoczny, a jego plecy stanowiłyby znakomity cel, gdyby opryszek okrążył chryslera.

Na szczęście Mitch biegł po twardym, choć piaszczystym gruncie, nie po łąkach lub luźnych kamykach, które chrzęściłyby pod jego stopami. Księżyc oświetlał przed nim drogę i Mitch, zamiast wpadać na krzaki, obiegał je, pamiętając, że trudniej jest zachować równowagę ze skutymi z przodu rękoma.

Na dole wysokiego na trzydzieści stóp zbocza skręcił w prawo. Na podstawie pozycji księżyca uznał, że zmierza prawie dokładnie na zachód.

Usłyszał coś, co przypominało cykanie świerszcza. A potem dziwne kląskanie i skrzek.

Jego uwagę przyciągnęły kępy trawy pampasowej z wysokimi pierzastymi wiechami, które połyskiwały biało w świetle księżyca, przypominając podniesione ogony dumnych rumaków.

Z okrągłych kęp wyrastały bardzo wąskie, ostre, spiczaste źdźbła długości od trzech do pięciu stóp. Sięgały Mitchowi do pasa. Wyszuszone mogły podrapać, przekłuć, a nawet przeciąć skórę.

Każda kępa respektowała integralność terytorialną sąsiedniej. Udało mu się przejść między nimi.

W sercu kolonii traw czuł się bezpieczniej, osłonięty przez przewyższające go białe pierzaste wiechy. Popatrzył między nimi w stronę, z której przybył.

W upiornym świetle nie widać było nikogo, kto by go ścigał.

Mitch obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni, rozsunał delikatnie dwie wiechy i przyjrzał się skrajowi drogi na szczycie zbocza. Tam również nikogo nie zobaczył.

Nie miał zamiaru się tutaj długo chować. Opuścił niebezpieczną pozycję przy samochodzie tylko po to, by mieć

**kilka minut na zastanowienie.**

**Nie obawiał się, że drugi opryszek odjedzie chryslerem. Julian Campbell nie był typem szefa, któremu można przyznać się do fiaska i mieć nadzieję na ocalenie pracy lub głowy.**

**Poza tym dla faceta, który na niego polował, był to rodzaj sportu, a Mitch był najniebezpieczniejszą zwierzyną. Opryszka napędzało pragnienie odwetu, duma i upodobanie do przemocy, które kazało mu wybrać taką pracę.**

**Nawet gdyby mógł uciec lub ukryć się gdzieś do świtu, Mitch nie zrobiłby tego. Nie miał zbyt wielkiej ochoty na konfrontację z profesjonalnym zabójcą, rozumiał jednak dobrze, jakie czekają go konsekwencje, jeśli będzie jej unikał.**

**Jeżeli drugi opryszek przeżyje i zgłosi się do Campbella, Anson już wkrótce dowie się, że jego fratello piccolo, ukochany braciszek, jest cały i zdrowy. Mitch nie będzie miał swobody ruchu i przewagi wynikającej z zaskoczenia.**

**Campbell oczekiwał pewnie raportu od swoich podwładnych dopiero jutro rano. Być może nie zacznie ich nawet szukać przed południem.**

**Niewykluczone, że będzie się bardziej niepokoił o chryslera Windsora niż o podwładnych. To zależało od tego, które ze swoich maszyn cenił bardziej.**

**Mitch musiał zaskoczyć Ansona i zjawić się w jego domu przed południem, żeby odebrać telefon od porywaczy. Holly była na wyższej i węższej skalnej półce niż kiedykolwiek wcześniej.**

**Nie mógł się ukryć, a jego przeciwnik nie miał takiego zamiaru. Między drapieżką i jego ofiarą – bez względu na to, który z nich miał odegrać jaką rolę – musiało dojść do walki na śmierć i życie.**

**Otoczony przez szlachetne białe pióropusze, które można by wziąć za kity przy hełmach broniących go rycerzy, Mitch analizował dwa strzały oddane w jego stronę, gdy zabierał pistolet zabitemu.**

**Jeżeli broń jego przeciwnika była wyposażona w tłumik, co dostrzegł w bibliotece, wystrzały nie powinny być takie głośne. Mógł ich w ogóle nie usłyszeć.**

**W tym odludnym miejscu opryszek nie przejmował się tym, żeby nie robić hałasu,**

**Jednak z pewnością nie odkręcił tłumika dla samej przyjemności. Musiał mieć jakiś inny powód.**

**Tłumiki były najprawdopodobniej nielegalne. Ułatwiały ciche morderstwo. Używano ich do strzałów z małej odległości – na przykład w domach, w których służba nie była w stu procentach skorumpowana.**

**Logika doprowadziła Mitcha do wniosku, że tłumiki są użyteczne wyłącznie w dyskretnych sytuacjach, ponieważ zmniejszają celność broni.**

**Kiedy stoi się nad swoją ofiarą w bibliotece albo kiedy każe się jej klęknąć na odludnej pustyni, pistolet z tłumikiem może się okazać bardzo przydatny. Ale z odległości dwudziestu lub trzydziestu stóp redukuje on celność do tego stopnia, że łatwiej było trafić, rzucając nim w ofiarę niż do niej strzelając.**

**Małe kamyki zagrzecgotały niczym rzucone z kubka kości.**

**Dźwięk dobiegał chyba z zachodu. Mitch odwrócił się w tamtą stronę i rozchylił ostrożnie wiechy trawy.**

**Pięćdziesiąt stóp dalej opryszek kuczał niczym garbaty troll, czekając, czy jego hałas spowoduje jakąś reakcję.**

**Nawet kiedy pozostawał w zupełnym bezruchu, mężczyzny nie można było wziąć za formację skalną lub okaz pustynnej flory, ponieważ wyróżniał się na tle długiego pasa zasadowej gleby, która nie tylko odbijała światło, ale wydawała się sama świecić.**

**Gdyby Mitch się nie schował, gdyby dalej podążał na zachód, napotkałby zabójcę na otwartym terenie, stanąłby z nim twarzą w twarz zupełnie jak w westernie.**

**Zastanawiał się, czy nie zaczekać, aż mężczyzna podejdzie bliżej i wtedy do niego strzelić.**

**Instynkt podpowiadał mu, że kępy trawy pampasowej stanowią miejsce, które najbardziej interesuje opryszka. Spodziewał się, że jego ofiara gdzieś się ukryła, i bardzo podejrzliwie przyglądał się trawom.**

**Mitch zawahał się, ponieważ teraz miał chyba przewagę. Mógł strzelać z ukrycia, podczas gdy troll stał na otwartym terenie. Nie oddał jeszcze żadnego strzału ze swojego pistoletu, jego przeciwnik strzelił dwa razy.**

**Zapasowy magazynek. Zważywszy na to, że strzelaniny były dla opryszka chlebem powszednim, na pewno miał przy sobie jeden albo dwa magazynki.**

**Zbliżając się do kępy traw, zachowa ostrożność. Nie będzie go łatwo trafić.**

**Kiedy Mitch strzeli i chybi z powodu zbyt dużej odległości, złego kąta, słabego światła lub braku doświadczenia, opryszek odpowie ogniem. Bardzo zdecydowanie.**

**Trawa zasłaniała go, ale nie osłaniała przed strzałem. Raczej nie przeżyje kanonady składającej się z ośmiu pocisków, po których mogło nastąpić przynajmniej kolejne dziesięć.**

**Postać podobna do trolla dała dwa niepewne kroki do przodu i znowu się zatrzymała.**

**Mitchowi przyszedł do głowy śmiały pomysł, który z początku odrzucił jako zbyt ryzykowny, ale po chwili uznał za**

**swoją najlepszą szansę.**

**Puścił wiechy, które wróciły na swoje miejsce, i wycofał się w kierunku przeciwnym do tego, skąd nadchodził opryszek, mając nadzieję, że będzie ich jak najdłużej dzieliła kępa wysokiej trawy.**

**Przy akompaniamencie świerszczy oraz bardziej złowrogiemu kląskaniu i skrzeczeniu nieznanego owadziego muzykanta ruszył szybko na wschód tą samą drogą, którą tam dotarł. Minął miejsce, w którym zszedł ze zbocza; wspinając się teraz tędy, byłby zbyt odsłonięty.**

**Mniej więcej sześćdziesiąt stóp dalej trafił na szeroki, płytki parów w gładkim poza tym zboczu. Zagłębienie porastał chaparral, który wystawał ponad jego brzegi.**

**Mitch wsunął pistolet za pasek, przewidując, że przy wspinaczce będą mu potrzebne skute kajdankami ręce. Przedtem oświetlał mu drogę księżyc, teraz miał przed sobą zwodnicze i mroczne cienie. Pamiętając, że zachowanie ciszy jest równie ważne jak szybkość, ruszył pod górę parowem.**

**W nozdrza wpadł mu ostry piżmowy zapach, który mógł pochodzić od rośliny albo wskazywać, że naruszył siedlisko jakiegoś zwierzęcia. Krzaki czepiały się go, kłudy i drapały.**

**Pomyślał o węzach, lecz potem zakazał sobie o nich myśleć.**

**Kiedy dotarł na górą, nie ściągając na siebie ognia przeciwnika, wypełził z parowu na środek drogi i dopiero tam się wyprostował.**

**Gdyby próbował zająć opryszka od tyłu, przekonałby się, że ten również starał się przewidzieć jego zamiary i zmienił trasę w nadziei, że zaskoczy ściganego w tym**

samym momencie, gdy ścigany będzie chciał zaskoczyć jego. Mogliby spędzić mnóstwo cennego czasu na wzajemnych podchodach, błędząc po pustyni, co jakiś czas trafiając na ślad drugiego, aż w końcu któryś z nich popełniłby błąd.

Jeżeli na tym miała polegać ta gra, błąd popełniłby zapewne Mitch, bo był mniej doświadczonym zawodnikiem.

Jego dotychczasowe postępowanie wykazało, że ma szanse tylko wówczas, kiedy nie będzie spełniał oczekiwań przeciwnika.

Ponieważ zaskoczył ich rewolwerem, opryszek będzie oczekiwał, że ma równie silny instynkt samozachowawczy jak każde osaczone zwierzę. Udowodnił przecież, że nie paraliżuje go strach i nie jest skłonny uzalać się nad sobą.

Opryszek nie powinien się jednak spodziewać, że osaczone zwierzę po wyrwaniu się na wolność powróci dobrowolnie do miejsca, w którym było uwięzione.

Zabytkowy chrysler stał sześćdziesiąt stóp na zachód od Mitcha, klapa bagażnika była nadal do połowy otwarta.

Mitch podszedł szybko do samochodu i stanął przy zwłokach. Pyszczaty opryszek leżał płasko na plecach, w jego oczach odbijało się gwiazdziste niebo.

Te oczy były dwiema zapadniętymi gwiazdami, czarnymi dziurami o tak silnej grawitacji, że Mitch bał się, iż wessą go i zniszczą jeżeli będzie w nie patrzył dość długo.

W gruncie rzeczy nie miał poczucia winy. Wbrew ojcu wierzył w sens i w prawo naturalne, lecz zabicie kogoś w samoobronie nie było grzechem według żadnego tao.

Nie stanowiło również powodu do świętowania. Czuł, że został pozbawiony czegoś cennego, co można by nazwać niewinnością, gdyby nie fakt, że stracił coś więcej: razem z niewinnością umarła w nim zdolność do pewnego rodzaju czułości, żywiona aż do tej pory nadzieja na zbliżającą się słodką, niewysłowioną radość.

Obejrząwszy się, Mitch poszukał na ziemi pozostawionych przez siebie śladów. W świetle dnia ubity grunt mógł go zdradzić, teraz jednak niczego nie zobaczył.

Pod hipnotyzującym spojrzeniem księżycy pustynia wydawała się spać, odmalowana srebrno-czarną paletą snów, gdzie każdy cień jest twardy jak żelazo, a każdy przedmiot ulotny niczym dym.

Kiedy zajrzał do bagażnika, do którego nie chciał zerknąć księżyc, ziejąca mrokiem dziura była niczym otwarta

paszcza bezlitosnego zwierzęcia. Nie widział w ogóle podłogi, zupełnie jakby miał przed sobą magiczną skrytkę mogącą pomieścić nieograniczoną ilość bagażu. Wyciągnął zza paska pistolet.

Podniósł klapę wyżej, wlaź do bagażnika i przymknął ją z powrotem, żeby była tylko częściowo uchylona.

Przyjrząwszy się uważniej pistoletowi, odkrył, że do lufy przykręcony jest tłumik. Odkręcił go i odłożył na bok.

Prędzej czy później, nie znalazłszy Mitcha w trawie, w chaparralu ani w skalnej niszy, opryszek powróci, żeby mieć oko na chryslera. Dojdzie do wniosku, że ścigany będzie chciał zakraść się do samochodu w nadziei, że znajdzie kluczyki w stacyjce.

Profesjonalny zabójca nie zrozumie, że dobry mąż nie może opuścić swojej żony, nie może złamać swoich ślubów, porzucić największej nadziei na miłość w świecie, w którym jest jej tak mało.

Jeżeli opryszek wybierze punkt obserwacyjny za samochodem, powinien przejść drogę w świetle księżyca. Zrobi to szybko i ostrożnie, lecz i tak znajdzie się na celowniku.

Istniała możliwość, że będzie obserwował przód samochodu. Jeżeli jednak minie dużo czasu i nic się nie zdarzy, może postanowić, że po raz kolejny przeszuka cały teren, i wracając, znajdzie się w połu widzenia Mitcha.

Zaledwie siedem albo osiem minut minęło od chwili, kiedy dwaj mężczyźni otworzyli bagażnik, z którego powitały ich strzały. Ocalały mężczyzna będzie cierpliwy. Ostatecznie jednak, kiedy obserwacja i poszukiwania nie przyniosą rezultatów, zacznie się zastanawiać, czy nie powinien stąd odjechać, bez względu na to, jak bardzo boi się swojego szefa.

W tym momencie, jeżeli nie wcześniej, podejdzie do tyłu samochodu, żeby zająć się ciałem. Będzie chciał je załadować do bagażnika.

Na pół siedząc, na pół leżąc w mroku, Mitch uniósł głowę, żeby widzieć, co się dzieje nad skrajem bagażnika.

Przed chwilą zabił człowieka.

Miał zamiar zabić następnego.

Pistolet ciążył mu w dłoni. Przesunął drżącymi palcami po zamku, szukając bezpiecznika, ale go nie znalazł.



**Przyglądając się biegnącej przez zjawiskową pustynię, posrebrzonej księżycem drodze, zrozumiał, że to, co stracił – niewinność i w gruncie rzeczy dzieciinną nadzieję na zbliżającą się niewysłowioną radość – jest stopniowo zastępowane przez coś innego, co wcale nie jest złe. Dziura w nim wypełniała się, ale nie wiedział jeszcze czym.**

**Z bagażnika samochodu miał ograniczony widok na świat, lecz siedząc w nim skurczony, postrzegał noc znacznie intensywniej niż wcześniej.**

**Srebrzysta droga oddalała się od niego, lecz również przybliżała, dając do wyboru różne horyzonty.**

**Pewne formacje skalne zawierały okruchy miki, która migotała w księżycowej poświacie, i tam gdzie góry wznosiły się na tle nieba, gwiazdy wydawały się solić ziemię.**

**Z północy na południe płynął na swoich pierzastych żaglach wielki blady puchacz. Na chwilę zawisł cicho nad drogą, a potem pożeglował w noc, o wiele wyżej i dalej.**

**Mitch zrozumiał, że rzeczą, którą uzyskał w zamian za to, co utracił, która tak szybko zagoiła ziejącą w nim ranę, była zdolność do podziwu, głębokie poczucie tajemnicy tkwiącej we wszystkich rzeczach.**

**A potem, gdy tuż obok pojawił się zabójca, stoczył się z powrotem w otchłań przerażenia i zacieklej determinacji**

Zabójca pojawił się tak niepostrzeżenie, że Mitch zdał sobie sprawę z jego obecności dopiero, kiedy zaskrzypiały otwierane drzwiczki samochodu.

Mężczyzna nadszedł od przodu chryslera. Ryzykując, że będzie go widać, gdy zapalił wewnętrzną lampkę w aucie, wsiadł i zamknął za sobą drzwiczki tak cicho, jak to tylko możliwe.

Skoro siadł za kierownicą ma chyba zamiar odjechać.

Nie. Nie odjechałby z otwartym bagażnikiem. I na pewno nie zostawiłby zwłok.

Mitch czekał w milczeniu.

Opryszek również siedział cicho.

Cisza stawała się powoli rodzajem nacisku, który Mitch odczuwał na skórze, bębenkach uszu i nieruchomych powiekach – zupełnie jakby samochód pogrążał się w morzu i napierał na niego coraz większy ciężar wody.

Mężczyzna musiał siedzieć po ciemku i obserwować okolicę, żeby przekonać się, czy krótki błysk światła przyciągnął uwagę, czy został zauważony. Co zrobi, jeżeli jego powrót nie wywoła żadnej reakcji?

Pustynia była nadal bezwietrzna.

W tych warunkach samochód był równie wrażliwy na ruch jak łódź unosząca się na wodzie. Gdyby Mitch przesunął się choćby o cal, zabójca wyczułby jego obecność.

Minęła minuta. I następna.

Mitch wyobrażał sobie siedzącego po ciemku w samochodzie opryszka o gładkiej twarzy, co najmniej trzydzies-

toletniego, może nawet trzydziestopięcioletniego, a mimo to mającego tak miękką i gładką twarz, jakby życie w ogóle go jeszcze nie zahartowało.

Próbował wyobrazić sobie, co robi i co planuje człowiek o gładkiej twarzy. Umysł skryty za tą maską pozostawał dla niego niedostępny. Równie dobrze mógłby dumać nad tym, co pustynna jaszczurka sądzi o Bogu, deszczu albo bieluniu dziedzierzawie.

Po długim czasie opryszek zmienił pozycję i okazało się to rewelacją. Przyprawiająca o dreszcz intymność tego dźwięku wskazywała, że mężczyzna nie siedzi za kierownicą chryslera. Siedział na tylnej kanapie.

Musiał tam sterczeć sztywno wyprostowany od chwili, gdy wsiadł do samochodu. Kiedy odchylił się w końcu do tyłu, tapicerka wydała z siebie dźwięk, jaki wydaje ściśnięta skóra lub winyl. Sprężyny kanapy cicho zajęczały.

Oparcie kanapy tworzyło tylną ściankę bagażnika. Mężczyznę i Mitcha dzieliły najwyżej dwie stopy.

Byli prawie tak blisko siebie jak wówczas, gdy szli z biblioteki do pawilonu samochodowego.

Leżąc w bagażniku, Mitch pomyślał o tamtym spacerze.

Opryszek wydał cichy dźwięk, stłumione kasznięcie lub jęk stłumiony dodatkowo przez dzielącą ich przegrodę.

Może został ranny. Jego stan nie był dość poważny, by skłonić go do odjazdu, ale odczuwany ból mógł zniechęcać go do dłuższych wędrówek.

Najwyraźniej wsiadł do samochodu w nadziei, że zdesperowana zwierzyna w końcu do niego wróci. Wyobrażał sobie, że Mitch zbliży się bardzo ostrożnie, lustrując otaczający chryslera teren i nie spodziewając się, iż śmierć czyha na niego w mroku tylnego siedzenia.

Siedząc w swoim prowizorycznym pokoju nauki, Mitch przypomniał sobie spacer między biblioteką i pawilonem samochodowym: księżyc pływający w basenie niczym liliowy tampon, kumkanie żab, koronkowe gałązki pospornicy, lufę pistoletu wciśniętą w bok...

Samochód z tego rocznika na pewno nie miał przegrody ogniotrwałej ani innych wzmocnień między bagażnikiem i kabiną pasażerską. Oparcie mogło być wykończony z tyłu ćwierćcalową płytą pilśniową albo samą tkaniną.

Oparcie kanapy miało mniej więcej sześć cali grubości. Pocisk z pewnością napotkałby pewien opór. Nie była to jednak kuloodporna bariera. Nikt schowany wyłącznie za oparciem kanapy nie wyszedłby cało, gdyby posypał się w jego kierunku grad kul.

W tym momencie Mitch pół leżał, pół siedział na lewym boku, zwrócony ku otwartej klapie bagażnika.

Żeby przystawić pistolet do tylnej ścianki bagażnika, musiałby przewrócić się na prawy bok.

Ważył sto siedemdziesiąt funtów. Nie trzeba studiować fizyki, by się domyślić, że samochód zareaguje na zmianę pozycji tak ciężkiego obiektu.

**Mógł obrócić się szybko, strzelić – i przekonać się, że między bagażnikiem i kabiną pasażerską umieszczono jednak przegrodę. Jeżeli była tam metalowa płyta, nie tylko nie trafi w cel, lecz może oberwać rykoszetem.**

**W takim wypadku zostanie ranny i zużyje amunicję, a opryszek będzie wiedział, gdzie może go znaleźć. Kropla potu spłynęła z boku jego nosa do kącika ust. Noc była łagodna, wcale nie upalna. Pragnienie działania napinało nerwy Mitcha jak postronki**

Leżąc i nie mogąc podjąć decyzji, Mitch przypomniał sobie krzyk Holly i ostre klaśnięcie, kiedy ją uderzyli.

Realny dźwięk kazał mu skupić się na terażniejszości: siedzący na tylnej kanapie przeciwnik znowu zakaszłał.

Zrobił to tak cicho, że nie usłyszałby go nikt poza samochodem. Podobnie jak wcześniej, kaszel trwał tylko kilka sekund.

Niewykluczone, że opryszek kaszlał, ponieważ był ranny. A może miał alergię na pyłki pustynnych roślin.

Kiedy zakaszle ponownie, Mitch wykorzysta okazję, żeby zmienić pozycję.

Za otwartą klapą bagażnika pustynia wydawała się rytmicznie rozjaśniać i ciemnieć, ale to tylko zwiększała się ostrość jego widzenia przy kolejnych skurczach walącego wściekle serca.

Wrażenie, że widzi śnieg, miało jednak swoje źródło w realnym świecie. Światło księżycy oszroniło fosforyzujące skrzydła ciem, które wirowały nad drogą niczym płatki śniegu.

Mitch ścisnął pistolet tak mocno w skutych kajdankami dłoniach, że zaczęły go boleć knykcie. Prawy palec wskazujący oparł nie o spust, lecz o kabłąk spustowy, bojąc się, że może go mimowolnie nacisnąć.

Miał zaciśnięte zęby. Słyszał, jak wdycha i wydycha powietrze. Otworzył usta, żeby ciszej oddychać.

Chociaż waliło mu szybko serce, czas nie był już rzeką o

wartkim nurcie: stał się zamiast tego pełną strugą błota.

W ciągu ostatnich godzin instynkt ani razu nie zawiódł Mitcha. Szósty zmysł mógł również lada chwila ostrzec opryszka, że nie jest sam.

Szlam sekund wypełnił pustą minutę, a potem następną i jeszcze jedną – i nagle trzeci atak kaszlu mężczyzny dał Mitchowi okazję, by przewrócić się z lewego na prawy bok. Po zakończeniu manewru legł nieruchomo, odwrócony plecami do otwartej klapy bagażnika.

Milczenie mężczyzny mogło być oznaką zwiększonej czujności, zbudzonych podejrzeń. Świat docierał do pięciu zmysłów Mitcha przez deformujące soczewki

skrajnego napięcia. Pod jakim kątem strzelić? W którym miejscu? Pomyśl.

Człowiek o gładkiej twarzy nie siedział sztywno wyprostowany. Na pewno rozparł się na kanapie, żeby skryć się jeszcze głębiej w mroku.

W innych okolicznościach zabójca usiadłby w rogu, dzięki czemu byłby jeszcze mniej widoczny. Ponieważ jednak z tyłu zasłaniała go otwarta klapa bagażnika, usiadł zapewne pośrodku, skąd mógł łatwiej obserwować zarówno lewe, jak i prawe przednie drzwi.

Napinając mocno łańcuszek kajdanek, Mitch odłożył cicho pistolet. Bał się uderzyć o coś bronią w trakcie oględzin, których musiał dokonać.

Wyciągając po omacku rękę, dotknął tylnej ścianki bagażnika. Choć twarda, powierzchnia była obita tkaniną.

Niewykluczone, że chryslera nie odrestaurowano ze stuprocentową wiernością. Campbell mógł się zdecydować na pewne przeróbki, w tym na użycie bardziej wyrafinowanych materiałów.

Dłonie Mitcha popelzły niczym dwa zsynchronizowane pająki po ścianie. Nacisnął ją łagodnie, a potem trochę mocniej.

Powierzchnia ugięła się lekko pod jego palcami. Mogła

się tak ugiąć obita materiałem ćwierćcalowa płyta spil-śniona, lecz raczej nie metal.

Płyta ugięła się bezgłośnie, ale kiedy cofnął palce, powróciła do pierwotnego kształtu z delikatnym pyknięciem.

Z drugiej strony dobiegł go krótki szelest protestującej ściśniętej tapicerki, po którym zapadła cisza. Opryszek najprawdopodobniej rozsiadł się wygodniej – a może obrócił się, żeby nastawić ucha.

Mitch obmacał podłogę w poszukiwaniu pistoletu i położył na nim rękę.

Leżąc na boku z podciągniętymi kolanami, nie mając miejsca, żeby wyprostować ramiona, nie znajdował się w dobrej pozycji strzeleckiej.

Próbując przemieścić się w stronę otwartej klapy bagażnika, zdradziłby się. Jedna lub dwie sekundy wystarczyłyby doświadczonemu opryszkowi, by zsunąć się z tylnego siedzenia na podłogę.

Mitch po raz kolejny powtórzył w myśli cały plan, żeby upewnić się, że o niczym nie zapomniał. Najmniejszy błąd mógł go kosztować życie.

**Podniósł pistolet. Będzie strzelał z lewej do prawej, a potem z prawej do lewej, dwiema seriami po pięć kul każda.**

**Kiedy pociągnął za spust, nic się nie stało. Usłyszał wyłącznie ciche metaliczne szczęknięcie.**

**Jego serce było jednocześnie młotem i kowadłem, lecz mimo to musiał mieć uszy szeroko otwarte i był niemal pewien, że opryszek nie poruszył się ponownie, nie usłyszał cichego protestu zbuntowanego pistoletu. Wcześniej obmacał broń i nie znalazł bezpiecznika.**

**Puścił spust, zawahał się i nacisnął ponownie.**

**Klik.**

**Zanim ogarnęła go panika, szczęśliwy traf zatrzepotał o jego policzek i wpadł do otwartych ust: ćma, nie tak zimna, jak mogło się wydawać, gdy widział je wirujące niczym płatki śniegu.**

**Krztusząc się, wypluł owada i pociągnął odruchowo za**

**spust. Była w nim wbudowana blokada – może to był właśnie bezpiecznik – i żeby oddać strzał, trzeba go było docisnąć. A ponieważ Mitch pociągnął mocniej niż wcześniej, pistolet wypalił.**

**Siła odrzutu i niewygodna pozycja sprawiły, że cały się zachwiał. Huk nie byłby chyba głośniejszy, gdyby zatrzasnęły się za nim piekielne wrota. Zaskoczył go grad szczątków, skrawki osmalonej tkaniny i bombardujące twarz drzazgi płyty spilśnionej, lecz ignorując je, zmrużył oczy i nie przestawał strzelać, z lewej do prawej, z pistoletu, który zadzierał w górę lufę i próbował mu się wyrwać, a potem z prawej do lewej, tym razem lepiej panując nad bronią i chociaż miał nadzieję, że zdoła policzyć oddane strzały, stracił rachubę po dwóch i po chwili magazynek był pusty.**

Jeżeli opryszek nie zginął, mógł, nawet ranny, postrzelić go przez oparcie tylnej kanapy. Bagażnik samochodu był nadal śmiertelną pułapką.

Porzuciwszy bezużyteczny pistolet, Mitch wyskoczył na zewnątrz, objając kolano o skraj bagażnika i łokieć o zderzak. Wylądował na czworakach na drodze, a potem zerwał się na nogi. Pochylony przebiegł dziesięć, piętnaście jardów i dopiero wtedy zatrzymał się i obejrzał.

Opryszek nie wysiadł z chryslera. Wszystkie drzwi były zamknięte.

Mitch czekał, pot kapął mu z czubka nosa na podbródek.

Zniknęły podobne do płatków śniegu ćmy, wielki puchacz, śpiewające świerszcze oraz złowrogie kląskanie i skrzeczenie.

Pod milczącym księżycem, na skamieniałej pustyni chrysler był czymś anachronicznym, wehikułem czasu we wczesnym mezozoiku, eleganckim i lśniącym dwieście milionów lat przedtem, nim go zbudowano.

Kiedy suche jak sól powietrze zaczęło drapać go w gardle, Mitch przestał oddychać przez usta. Kiedy pot zaczął schnąć na jego twarzy, zapytał siebie, jak długo będzie czekał, nim

dojdzie do wniosku, że facet jest martwy. Spojrzał na

zegarek. Spojrzał na księżyc. Czekał. Potrzebny mu był samochód.

Pamiętał, że jechali polną drogą dwanaście minut. Oceniał szybkość chryslera w trakcie tego ostatniego etapu podróży na dwadzieścia pięć mil na godzinę. Z rachunku wynikało, że ma pięć mil do asfaltu.

Nawet gdyby udało mu się pokonać pieszo ten dystans, mógł znaleźć się w jakimś odludnym miejscu, gdzie samochody jeżdżą sporadycznie. Poza tym widząc, w jakim jest stanie, brudny, w pogniecionym ubraniu i z błędnym wzrokiem, nikt z wyjątkiem polującego na ofiarę wędrownego psychopaty nie odważy się go podwieźć. W końcu podszedł do chryslera.

Obszedł dookoła pojazd, trzymając się maksymalnie daleko od jego boków i w każdej chwili spodziewając się zobaczyć w jego mrocznym wnętrzu upiorną gładką twarz. Dotarłszy bez żadnego incydentu do bagażnika, z którego dwa razy uciekł, zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać.



**Jeżeli porywacze spróbują się do niego dodzwonić, nie uda im się to, ponieważ jego komórka była w białej plastikowej torbie na terenie posiadłości Campbella. Odebranie w południe telefonu w domu Ansona było jedyną szansą na ponowne nawiązanie z nimi kontaktu, zanim postanowią porąbać zakładniczkę na kawałki i zajmą się czymś innym.**

**Nie wahając się dłużej, podszedł do tylnych drzwiczek od strony kierowcy i otworzył je.**

**Facet o gładkiej twarzy leżał na siedzeniu, zakrwawiony, ale nadal żywy, i celował z pistoletu w drzwi. Lufa wyglądała niczym pozbawiony oka oczodół.**

**–Giń – powiedział triumfalnym tonem opryszek Próbował pociągnąć za spust, lecz pistolet zadrżał w jego dłoni, a potem z niej wypadł. Ręka bandziora osunęła się na udo i teraz, kiedy wypowiedziana przez niego groźba okazała się przepowiednią własnego losu, leżała tam, jakby składał obsceniczną propozycję.**

**Zostawiając otwarte drzwi, Mitch odszedł od samochodu, usiadł na kamieniu przy skraju drogi i siedział tam do chwili, gdy nabrał pewności, że jednak nie zwymiotuje.**

Siedząc na kamieniu, Mitch musiał przemyśleć wiele rzeczy.

Kiedy to się skończy, jeżeli w ogóle kiedykolwiek się skończy, najlepiej chyba będzie pójść na policję, opowiedzieć im historię rozpaczliwej samoobrony i pokazać dwóch opryszków w bagażniku chryslera.

Julian Campbell zaprzeczy, że ich zatrudniał albo przynajmniej, że kazał im zabić Mitcha. Ludzie tacy jak ci dwaj wynagradzani byli najprawdopodobniej gotówką; z punktu widzenia Campbella im mniej było śladów, tym lepiej, a opryszkowie nie przejmowali się raczej tym, że są pozbawieni korzyści płynących z ubezpieczenia społecznego, gdyż nie płacą podatków.

Niewykluczone, że władze nie wiedziały nic o ciemnej stronie interesów Campbella. Mógł uchodzić za jednego z najbardziej wzorowych obywateli Kalifornii.

Z drugiej strony Mitch był skromnym ogrodnikiem, który jeżeli nie uda mu się uratować Holly, już teraz wrobiony był w jej zamordowanie. W bagażniku stojącej przed domem Ansona w Corona del Mar hondy leżało ciało Johna Knoksa.

Chociaż Mitch wierzył w praworządność, nie łudził się ani przez moment, że technicy dochodzeniowi są tak skrupulatni i nieomylni, jak to pokazują w telewizji. Im więcej będzie dowodów świadczących o jego winie – nie szkodzi, że podrzuconych – tym mocniej będą go podejrzewać i tym chętniej zlekceważą szczegóły, które mogłyby go oczyścić.

Tak czy inaczej najważniejsze było teraz, by pozostał na wolności i miał swobodę ruchu do momentu, kiedy przekaże okup za Holly. Bo przekaże za nią okup. Albo zginie, próbując to zrobić.

Kiedy poznał Holly i prawie natychmiast się w niej zakochał, uświadomił sobie, że wcześniej żył tylko na pół gwizdka, pogrzebany żywcem w swoim dzieciństwie. Holly otworzyła emocjonalną trumnę, w której pochowali go rodzice, i Mitch powstał z martwych, rozkwitł.

Zdumiała go własna transformacja. Kiedy wzięli ślub, uznał, że nareszcie żyje pełnią życia.

Tej nocy zorientował się jednak, że jakaś jego część była uśpiona. Obudziła się w nim jasność widzenia, w równym stopniu podniecająca, jak przerażająca.

Jeszcze dzień wcześniej nie sądził, że napotka zło w tak czystym stanie: nauczono go nie wierzyć w jego istnienie. Co ciekawe, rozpoznaniu zła towarzyszyła

**świadomość, że prawie każdy przedmiot ma więcej wymiarów, niż widział wcześniej, świadomość większego piękna, dziwnej obietnicy i tajemnicy.**

**Nie był pewien, co przez to dokładnie rozumie. Wiedział tylko, że tak właśnie jest, że otworzyły mu się oczy na wyższą rzeczywistość. Pod nawarstwionymi cudownymi tajemnicami otaczającego go nowego świata wyczuwał prawdę, która odsłaniała się welon po welonie.**

**Zabawne, że w tym stanie iluminacji uświadomił sobie, że najbardziej pilnym zadaniem jest pozbycie się ciał dwóch zabitych mężczyzn.**

**Wezbrał w nim śmiech, ale zdusił go. Zbliżała się północ, siedział w towarzystwie trupów na pustyni i śmiech do księżyca niekoniecznie był pierwszym i właściwym krokiem na drodze, którą miał obrać.**

**Wysoko na wschodzie meteor przesunął się na zachód niczym suwak zamka błyskawicznego, otwierając czarne niebo i odsłaniając kryjącą się za nim biel. Ząbki zamka zamknęły się jednak tak samo szybko, jak się otworzyły,**

**zasłaniając z powrotem niebo, i meteor zamienił się w popiół, w parę.**

**Biorąc spadającą gwiazdę za znak, że powinien przystąpić do czekającego go przykrego zadania, Mitch ukląkł przy przyszczatym opryszku i przeszukał jego kieszenie. Szybko znalazł dwie rzeczy, na których mu zależało: kluczyk do kajdanek i kluczyki do chryslera windsora.**

**Wyswobodziwszy się z kajdanek, wrzucił je do bagażnika i rozmasował otarte nadgarstki.**

**Następnie ściągnął zwłoki opryszka z drogi i zostawił je w zaroślach po południowej stronie.**

**Wydobywając z tylnego siedzenia jego kolegę, musiał się trochę naszarpać, ale dwie minuty później martwa para leżała obok siebie na plecach, wpatrując się ze zdumieniem w gwiazdy.**

**Wróciwszy do samochodu, Mitch zobaczył na przednim siedzeniu latarkę. Domyślał się, że znajdzie ją w samochodzie, ponieważ mężczyźni mieli zamiar zakopać go gdzieś w pobliżu i potrzebowali latarki, żeby sobie przyświecić.**

**W słabym świetle sufitowej lampki nie widział tylnej kanapy tak dobrze, jak chciał. Oświetlił ją latarką.**

**Ponieważ opryszek nie umarł od razu, miał czas się solidnie wykrwawić.**

**W oparciu Mitch naliczył osiem dziur po pociskach. Pozostałe dwa musiały pójść bokiem albo zatrzymała je struktura oparcia.**

**Z tyłu przedniego fotela było pięć dziur, ale tylko jeden pocisk przebił go na wylot. Zadrapanie na drzwiczkach schowka na rękawiczki wskazywało końcowy punkt jego trajektorii.**

**Mitch znalazł go na podłodze przed przednim fotelem pasażera i wyrzucił na zewnątrz.**

**Chociaż mu się spieszyło, po zjeździe z drogi gruntowej na asfalt będzie musiał przestrzegać ograniczeń prędkości. Jeżeli funkcjonariusz drogówki zatrzyma go i zerknie na pokrwawione i zniszczone tylne siedzenie, Mitch spędzi**

**prawdopodobnie dłuższy okres na państwowym wikcie.**

**Dwóch opryszków nie zabrało ze sobą szpadla.**

**Biorąc pod uwagę, że byli profesjonalistami, wątpił, by chcieli zostawić jego ciało w miejscu, w którym mogli je znaleźć piechurzy lub amatorzy terenowych przejażdżek. Znali prawdopodobnie jakąś kryjówkę, która mogła służyć jako naturalny grób i którą niełatwo było przypadkowo odkryć.**

**Mitch nie miał zbyt wielkiej ochoty szukać tego cmentarzyska w nocy, przy świetle latarki. Nie pociągała go również perspektywa zobaczenia kolekcji kości, którą spodziewał się tam znaleźć.**

**Wrócił do zwłok opryszków i zabrał im portfele, aby utrudnić identyfikację. Coraz śmieiej ich dotykał i trochę go to niepokoiło.**

**Odciągnąwszy zabitych dalej od drogi, ukrył ich w krzakach wysokiej do pasa mącznicy, której skórzaste liście powinny utrudnić ich odnalezienie.**

**Chociaż panujące na pustyni warunki nie sprzyjały raczej życiu, zamieszkiwało ją wiele gatunków, wśród nich liczniamatorzy padliny. Po godzinie pierwsze z nich zaczęły ucztować w krzakach mącznicy.**

**Należały do nich chrząszcze podobne do tych, których mężczyźni nie chcieli przypadkiem rozdeptać, prowadząc go do pawilonu samochodowego.**

**Rankiem zacnie robić swoje pustynny upał, znacznie przyspieszając proces rozkładu.**

**Jeżeli zostaną kiedykolwiek odnalezieni, ich nazwisk nie uda się ustalić. Nie będzie miało znaczenia i nie będzie się liczyło, który z nich miał paskudne ślady po trądziku,**

a który gładką twarz.

„Wolałbym, żebyśmy nie musieli tego robić”, powiedział Mitch w pawilonie samochodowym, kiedy zamykali go w bagażniku chryslera. „No cóż – odparł ten z gładką cerą. – Tak to już bywa”. Kolejna spadająca gwiazda zwróciła jego uwagę na głębokie, czyste niebo. Krótka jasna szrama

szybko się zagoiła. Mitch wrócił do samochodu i zatrzasnął bagażnik. Pokonanie dwóch doświadczonych zabójców powinno go chyba podnieść na duchu, napęlić dumą i dodać mu odwagi. Zamiast tego nauczyło go tylko większej pokory.

Aby złagodzić odór krwi, opuścił szyby we wszystkich drzwiczkach samochodu.

Silnik zaskoczył od razu, wydając z siebie potężny, pełny dźwięk. Mitch zapalił reflektory.

Z ulgą przekonał się, że bak jest prawie w trzech czwartych pełny. Nie chciał się zatrzymywać w żadnym miejscu publicznym, nawet na stacji samoobsługowej.

Zawrócił o sto osiemdziesiąt stopni i po przejechaniu czterech mil gruntową drogą trafił na widok, który kazał mu przyhamować i zatrzymać się na szczycie wzgórza.

W płytkim zagłębieniu terenu na południu leżało jezioro płynnej rtęci, nad którym unosiły się koncentryczne pierścienie migocących diamentów, wirujących powoli i majestatycznie niczym galaktyka spiralna.

Scena była tak nierealna, że przez chwilę był przekonany, że ma halucynacje albo wizję. A potem zrozumiał, że to pole trawy, prawdopodobnie jęczmienia grzywiastego z podobnymi do pióropuszy kwiatami i jedwabistymi ośmi.

Światło księżyca osrebrzyło kwiaty i krzesło iskry z wysokich połyskujących ości. Słaby powietrzny wir pulsował w zagłębieniu terenu z taką gracją i wycuciem rytmu, że gdyby temu tańcowi traw towarzyszyła muzyka, byłby to z pewnością walc.

Znaczenie ukryte było w zwykłej trawie, lecz odór krwi kazał wrócić Mitchowi od tego, co mistyczne, do tego, co przyziemne.

Dojechawszy do końca drogi gruntowej, skręcił w prawo, ponieważ pamiętał, że jadąc tutaj, mężczyźni skręcili w lewo. Szosy były dobrze oznakowane i powrócił nimi nie do posiadłości Campbella – której miał nadzieję nie oglądać już nigdy w życiu – lecz na autostradę międzystanową.

Po północy ruch był niewielki. Ruszył na północ, nie przekraczając ograniczenia prędkości więcej niż o pięć mil, czego policja nie karze na ogół mandatem.

**Chrysler windsor był wspaniałą maszyną. Rzadko kiedy umarli wracają w takim stylu, by nawiedzać żywych.**

Mitch wjechał do miasta Orange o 2.20 w nocy i zaparkował przecznicę od swojego domu.

Zasunął wszystkie szyby w samochodzie i zamknął go na klucz.

Zatknięty za paskiem pistolet schował pod wyciągniętą ze spodni koszulą. Broń należała do opryszka o gładkiej twarzy, który powiedział „Giń”, lecz nie znalazł w sobie dość siły, by po raz ostatni pociągnąć za spust. W magazynku było osiem nabojów; Mitch miał nadzieję, że nie będzie musiał wystrzelić żadnego.

Zaparkował pod kwitnącym starym rzębem i znalazłszy się w kręgu światła latami ulicznej, zobaczył, że stąpa po dywanie fioletowych płatków.

Ostrożnie zbliżył się z tyłu do swojej działki.

Głośny grzechot skłonił go do zapalenia latarki. Spomiędzy dwóch pojemników ze śmieciami, które wystawiono do porannego wywozu, wystawił różowy nos opos, przyzwyczajony do miejskich warunków. Zwierzę przypominało wielkiego szczura z bladym pyskiem.

Mitch zgasił latarkę i podszedł do garażu. Furtka przy jego rogu nie była nigdy zamykana. Dostał się przez nią na podwórko.

Klucze do domu razem z portfelem i innymi rzeczami osobistymi skonfiskowano mu w bibliotece Campbella.

Zapasowy klucz trzymał w malej skrytce, schowanej za azaliami i przymocowanej kłódką do kółka tkwiącego nisko w ścianie garażu.

Mimo ryzyka zapalił latarkę i osłaniając palcami snop

światła, rozchylił azalie, wystukał kombinację szyfrową, wyjął klucz ze skrytki i zgasił latarkę.

Zapasowy klucz pasował również do drzwi garażu. Mitch otworzył je i wszedł bezszelestnie do środka.

Księżyc już wcześniej powędrował na zachód i niewiele z jego poświaty wpadało przez zasłonięte drzewami okna. Mitch stanął w ciemności i nasłuchiwał.

Po dłuższej chwili zapalił światło – może cisza przekonała go, że jest sam, a może ciemność za bardzo przypominała bagażnik samochodowy, z którego dwukrotnie uciekł.

**Jego pick-up stał tam, gdzie go zostawił. Miejsce hondy było puste.**

**Wspiął się po schodkach na strych. Pudła wciąż zasłaniały wyrwę w balustradzie.**

**Odkrył, że nagrywarka i elektroniczna aparatura podsłuchowa zniknęły. Jeden z porywaczy musiał zabrać sprzęt.**

**Ciekawe, czy zastanawiali się nad tym, co przydarzyło się Johnowi Knoksowi. Martwił się, że zniknięcie jednego z porywaczy może już teraz mieć negatywne konsekwencje dla Holly.**

**Kiedy wstrząsnęły nim dreszcze, odsunął od siebie te mroczne spekulacje.**

**Nie był maszyną i ona też nią nie była. Ich życie miało sens, połączyło ich przeznaczenie i musieli żyć, żeby je spełnić.**

**Musiał wierzyć, że to prawda. Bez tego nic mu nie zostawało.**

**Zgasiwszy światło w garażu, wszedł do kuchni przez tylne drzwi, przekonany, że dom nie jest już pod obserwacją.**

**Scena sfingowanego morderstwa w kuchni wyglądała dokładnie tak jak wcześniej. Plamy krwi, która zdążyła już zaschnąć. Odciski dłoni na szafkach.**

**W sąsiadującej z kuchnią pralni zdjął buty i przyjrzał im się w świetle jarzeniówki. Co dziwne, nie zobaczył żadnych śladów krwi. Jego skarpetki również nie były zakrwawione,**

**lecz i tak ściągnął je i wrzucił do pralki.**

**Dostrzegł kilka plamek na koszuli i džinsach. W kieszonce koszuli odnalazł wizytówkę detektywa Taggarta. Zachował ją wrzucił ubrania do pralki, wsypał proszek i włączył pranie.**

**Stojąc przy zlewie, wyszorował dłonie i przedramiona mydłem i szczotką o miękkim włosiu. Nie zmywał dowodów rzeczowych. Miał nadzieję splukać z siebie pewne wspomnienia.**

**Wytarł mokrą ściereczką twarz i kark.**

**Był śmiertelnie zmęczony. Musiał wypocząć, ale nie miał czasu na sen. Poza tym gdyby próbował zasnąć, zaczęłyby go prześladować bezimienne i znane koszmary, prześladowałyby go tak długo, aż zbudziłby się, krzycząc, zlany potem.**

**W butach i bieliźnie, trzymając w dłoni pistolet, wrócił do kuchni. Wyjął z lodówki puszkę red bulla i wypił go duszkiem.**



**Gdy kończył pić, zobaczył leżącą na blacie otwartą torebkę Holly. Leżała tam już wcześniej.**

**Wcześniej nie miał jednak czasu przyjrzeć się porozrzucanym przy niej rzeczom. Zwinięte celofanowe opakowanie. Małe pudełeczko z oddartą górą. Ulotka z instrukcjami.**

**Holly kupiła test ciążowy do użytku domowego. Otworzyła go i w którymś momencie między jego wyjściem do pracy i uprowadzeniem jej przez porywaczy najwyraźniej go użyła.**

**Kiedy ktoś jest dzieckiem zamkniętym w pokoju nauki, od dawna do nikogo się nie odzywa i słyszy wyłącznie własny stłumiony głos, i kiedy nawet przez trzy dni jest pozbawiony jedzenia – chociaż nigdy wody – kiedy przez tydzień albo dwa nie widzi światła z wyjątkiem krótkich chwil, gdy butelki z uryną i wiadro z odchodami wymieniane są świeże pojemniki, ten ktoś dochodzi wówczas czasami do punktu, kiedy cisza i ciemność nie wydają się już stanami, lecz obiektami o realnej masie, obiektami, które**

**znajdują się wraz z nim w pokoju, rosną z każdą godziną, domagają się coraz więcej miejsca, napierają na niego z każdej strony, cisza i ciemność gniożą go z góry, wpychają w przestrzeń, w której jego ciało może się zmieścić, tylko kiedy sprasuje się je niczym samochód na złomowisku. W koszmarze tej skrajnej klaustrofobii powtarza sobie, że nie zdoła przeżyć kolejnej minuty, ale udaje mu się to, przeżywa kolejną minutę, a potem jeszcze jedną i jeszcze jedną przeżywa godzinę, dzień i wreszcie drzwi się otwierają banicja kończy i zapala się światło, w końcu zawsze zapala się światło.**

**Holly nie powiedziała, że spóźnia się jej okres. Wcześniej już dwa razy karmili się fałszywymi nadziejami. Tym razem chciała być pewna, zanim mu powie.**

**Mitch nie wierzył do tej pory w przeznaczenie; teraz uwierzył. A jeśli człowiek uwierzy w końcu w przeznaczenie, to tylko w takie, które jest złote, świetlane. Nie będzie czekał, żeby zobaczyć, co mu przypadnie w udziale, niech go szlag, jeśli to zrobi. Posmaruje grubo chleb przeznaczeniem i zje cały bochenek.**

**Trzymając w ręku pistolet, wbiegł do sypialni. Przełącznikiem przy drzwiach zapalało się jedną z lampek przy łóżku.**

**Zdecydowanym krokiem podszedł do otwartej szafy.**

**Jego ubrania były w nieładzie. Dwie pary dżinsów spadły z wieszaków i leżały na dole.**

**Nie pamiętał, by zostawił je w szafie w takim stanie, ale podniósł jedne i wciągnął na**

siebie.

Wkładając bawełnianą granatową koszulę z długimi rękawami, odwrócił się tyłem do szafy i zobaczył rzucone na łóżko ubrania: spodnie khaki, żółtą koszulę, białe sportowe skarpetki, białe slipy i podkoszulek. To były jego rzeczy. Poznawał je. Pochłapane ciemną krwią.

Nauczył się już rozpoznawać podrzucone dowody rzeczowe. Na jego szyję założono nowy stryczek.

Wziął z powrotem pistolet z półki w szafie, na której go

położył, kiedy się ubierał. Drzwi do pogrążonej w ciemności łazienki były otwarte. Pistolet niczym różdżka radiestety poprowadził go w mrok. Przekroczywszy próg łazienki, przekręcił kontakt i wstrzymując oddech, wszedł do środka.

Spodziewał się znaleźć coś groteskowego pod prysznicem albo coś uciętego w urny walce. Ale wszystko było w normie.

Jego twarz w lustrze była ściągnięta strachem, mocno niczym pięść, lecz oczy otwarte szerzej niż kiedykolwiek, otwarte na wszystko.

Wróciwszy do sypialni, zauważył coś niezwykłego na nocnej szafce przy zgaszonej lampce. Zapalił ją.

Na małych brązowych podstawkach stały tam dwie polerowane kulki dinozaurzych odchodów.

Chociaż nieprzezroczyście, przywodziły na myśl kryształowe kule i przepowiadające w starych filmach przyszłość złowrogie wróżki.

–Anson – szepnął Mitch, a potem z jego ust padło słowo, którego prawie nigdy nie wypowiadał. – Mój Boże. O Boże.

Silne wiatry wiejące ze wschodu schodziły z gór na ogół wczesnym rankiem i przed zapadnięciem zmierzchu. Teraz, wiele godzin po zachodzie i kilka godzin przed wschodem słońca wiatr pędził po nizinie, jakby wyważał ogromne drzwi.

Idąc do chryslera alejką, po której hulała wichura, Mitch czuł drżenie w sercu niczym człowiek odbywający krótką podróż z celi śmierci na miejsce egzekucji.

Nie miał czasu opuszczać wszystkich szyb. Jadąc, otworzył tylko tę po swojej stronie.

Wiatr dmuchnął mu w twarz i złapał za włosy, jego tchnienie było uparte i ciepłe.

**Chorzy psychicznie nie potrafią się kontrolować. Wszędzie dookoła wietrzą spiski, o ich obłędzie świadczą irra-**

**jonalne wybuchy gniewu i śmieszne obawy. Naprawdę chorzy psychicznie nie wiedzą, że są nieźrównoważeni, i z tego powodu nie widzą powodu, żeby nosić maskę.**

**Mitch chciał wierzyć, że jego brat jest chory psychicznie. Jeżeli Anson postępował z chłodnym wyrachowaniem, był potworem. Jeżeli ktoś podziwiał i kochał potwora, powinien się wstydzić swojej łatwowierności. Co gorsza, wszystko wskazywało na to, że dając się tak łatwo oszukiwać, wzmacniał potwora. Dzielił przynajmniej część odpowiedzialności za jego zbrodnie.**

**Anson potrafił się kontrolować. Nigdy nie mówił nic o żadnych spiskach. I niczego się nie bał. Co do masek, miał smykałkę do wprowadzania w błąd, upodobanie do mistyfikacji, talent do oszukiwania. Nie był chory psychicznie.**

**Palmy przy nocnych ulicach potrząsały liśćmi niczym wrywające włosy z głów obłąkane kobiety. Kufliki cytrynowe siały miliony szkarłatnych igiełek, które były płatkami ich egzotycznych kwiatów.**

**Mitch wjeżdżał coraz wyżej. Niskie wzgórza ustępowały wyższym, w powietrzu fruwały strzępy papieru, liście, strony gazet i duża przezroczysta plastikowa torba nadymająca się niczym meduza.**

**W domu jego rodziców, jako jedynym przy całej ulicy, paliły się światła.**

**Zaparkował wprost na podjeździe, choć może powinien zachować większą dyskrecję. Zasunął szybę, zostawił pistolet w samochodzie i zabrał ze sobą latarkę.**

**Przemawiający głosami chaosu, pachnący eukaliptusem wiatr smagał chodnik cieniami drzew.**

**Mitch nie zadzwonił do drzwi. Nie miał fałszywej nadziei, wyłącznie straszliwą potrzebę wiedzy.**

**Zgodnie z tym, czego się spodziewał, dom nie był zamknięty na klucz. Wszedł do holu i zamknął za sobą drzwi.**

**Po lewej i po prawej stronie niezliczona liczba Mitchów oddalała się od niego w lustrzanym świecie, wszyscy z upiornym wyrazem twarzy, wszyscy zagubieni.**

**W domu nie było cicho, bo wiatr tłukł o szyby i jęczał pod okapami, o ściany drapały gałązki eukaliptusów. Na podłodze gabinetu Daniela lśniły kawałki potłuczonych szklanych pól i wszędzie leżały kolorowe polerowane kule, jakby jakiś poltergeist**

**grał nimi w bilard.**

**Mitch przeszukał parter pokój po pokoju, zapalając światła tam, gdzie były zgaszone. Prawdę mówiąc, nie spodziewał się nic znaleźć na tej kondygnacji. Powtarzał sobie, że jest po prostu skrupulatny. Wiedział, że opóźnia tylko wejście na pierwsze piętro.**

**U stóp schodów spojrzał w górę i usłyszał, jak sam mówi niezbyt głośno: „Daniel”, a potem takim samym tonem „Ka-thy”.**

**Żeby ujrzeć to, co na niego czekało, powinien raczej zejść w dół. Wspinanie się na górę wydawało się niewłaściwe. Grobowców nie buduje się na szczytach wież.**

**Kiedy wchodził po schodach, oddech natury spotężniał. Zadygotały okienne ramy. Zaskrzypiały krokwie dachu.**

**W holu na górze, na podłodze z polerowanego drewna leżał czarny przedmiot w kształcie elektrycznej maszynki do golenia, ale trochę od niej większy. Miał oddalone od siebie o cztery cale dwie błyszczące metalowe końcówki.**

**Mitch podniósł go po krótkim wahaniu. Z boku był przełącznik. Kiedy go wcisnął, biały elektryczny łuk przeskoczył między metalowymi końcówkami, biegunami.**

**To był paralizator, broń używana do samoobrony. Niewiele wskazywało, by użyli go do obrony Daniel i Kathy.**

**Bardziej prawdopodobne wydawało się, że przyniósł go Anson i nim ich zaatakował. Porażenie paralizatorem może obozwładnić człowieka na kilka minut, powodując skurcz mięśni i czyniąc go całkowicie bezbronny.**

**Mitch wiedział, gdzie powinien zajrzeć, ale opóźniał ten straszny moment. Zamiast tego wszedł do głównej sypialni.**

**Zapalone były tutaj wszystkie światła poza nocną lampką, którą strącono na podłogę podczas walki i która miała rozbitą żarówkę. Pościel była skłębiona. Poduszki spadły z**

**łóżka.**

**Leżący w nim mężczyzna i kobieta zostali dosłownie wyrwani ze snu.**

**Daniel miał dużą kolekcję krawatów. Wiele z nich – przypominających jasne jedwabne węże – leżało na dywanie.**

**Zerkając przez inne drzwi, ale nie przeszukując dokładnie znajdujących się za nimi**

**pomieszczeń, Mitch ruszył bardziej zdecydowanym krokiem do pokoju przy końcu krótszego z dwóch korytarzy.**

**Prowadzące do niego drzwi nie różniły się od innych, ale kiedy je otworzył, stanął przed kolejnymi, grubo obitymi czarną tkaniną.**

**Dygocząc cały, zawahał się. Nigdy w życiu nie spodziewał się tu wrócić, nigdy nie miał przekroczyć tego progu.**

**Wewnętrzne drzwi można było otworzyć tylko z korytarza, nie od środka. Mitch przekręcił zasuwkę. Kiedy pchnął drzwi do środka, dopasowane gumowe uszczelki rozstały się z charakterystycznym mlaśnięciem.**

**Wewnątrz nie było lamp ani światła u sufitu. Zapalił latarkę.**

**Kiedy Daniel osobiście wyłożył podłogę, ściany i sufit grubą na osiemnaście cali warstwą różnych dźwiękoszczelnych materiałów, pokój został zredukowany do pozbawionej okien celi o boku dziewięciu stóp. Jego wysokość nie przekraczała sześciu stóp.**

**Gęsto tkany, matowy czarny materiał, którym obita była każda powierzchnia, pochłaniał światło latarki.**

**Zmodyfikowana deprywacja sensoryczna. Twierdzili, że to narzędzie dyscypliny, a nie kara, metoda zwrócenia umysłu do wewnątrz, ku samopoznaniu – technika, nie tortura. Na temat cudownych efektów tego czy innego stopnia deprywacji sensorycznej opublikowano liczne prace.**

**Daniel i Kathy leżeli obok siebie; ona w piżamie, on**

**w białym. Ręce i nogi w kostkach mieli związane krawatami. Zaciśnięte okrutnie węzły wrzynały się w ciało.**

**Więzy między nadgarstkami i między kostkami nóg połączone były krótko ściągniętym krawatem, aby dodatkowo ograniczyć możliwość poruszania się ofiar.**

**Nie byli zakneblowani. Być może Anson chciał z nimi porozmawiać.**

**Z pokoju nauki nie mógł się wydobyć żaden krzyk. Choć Mitch nie przestąpił jego progu, agresywna cisza wciągała go podobnie jak ruchome piaski wciągają tego, kto po nich chodzi, jak grawitacja przyciąga spadające przedmioty. Jego chrapliwy, urywany oddech przycichł do ledwie słyszalnego świstu. Nie słyszał już wichury, ale wiedział, że nie ustała. Trudniej było mu spojrzeć na Kathy niż na Daniela, chociaż nie tak trudno, jak się spodziewał. Gdyby zdołał temu zapobiec, stanąłby między nimi i swoim bratem. Ale skoro już do tego doszło... to trudno. W sercu czuł raczej**

**smutek niż rozpacz, przygnębienie niż odrazę.**

**Twarz Daniela była wykrzywiona z przerażenia. W jego otwartych oczach malowało się zdumienie. Tuż przed śmiercią musiał się zastanawiać, jak to możliwe, że zadaje mu ją Anson, którego kształtowanie przecież zakończyło się sukcesem.**

**Jest bardzo dużo systemów kształcenia i wychowywania dzieci i nikt jeszcze nie zginął z ich powodu. W każdym razie nikt, kto z takim oddaniem wymyślał i doskonalił te teorie.**

**Porażeni prądem, związani i prawdopodobnie zaszczytzeni krótką rozmową, Daniel i Kathy zostali w końcu zadźgani. Mitch nie przyglądał się długo ranom.**

**Śmiertelnymi narzędziami były sekator i rydel ogrodowy.**

**Uświadomił sobie, że pochodzą z jego garażu.**

Zostawił ciała za zamkniętymi drzwiami pokoju nauki i siadł u szczytu schodów, żeby pomyśleć. Strach, szok i jedna puszka red bulla nie rozjaśniły mu w głowie tak zdecydowanie, jak uczyniłyby to cztery godziny snu.

Bataliony wiatru atakowały dom, ściany drżały, ale wytrzymały obciążenie.

Mitch mógłby zapłakać, gdyby pozwolił sobie na łzy, nie wiedziałby jednak, kogo oplakuje.

Nigdy nie widział, by Daniel lub Kathy płakali. Nie wierzyli w łatwe emocje, lecz w praktyczny rozum i „wzajemną analizę wspierającą”.

Jak mógł zapłakać nad ludźmi, którzy nigdy nie zapłakali nad sobą, którzy potrafili tylko omawiać i analizować swoje rozczarowania, nieszczęśliwe wypadki, a nawet utratę bliskich?

Nikt, kto znał prawdę o tej rodzinie, nie winiłby go, gdyby zapłakał nad sobą, ale on nie płakał, odkąd skończył pięć lat, ponieważ nie chciał im dać tej satysfakcji.

Nie mógł zapłakać nad swoim bratem.

Wredny rodzaj litości, który odczuwał wcześniej wobec Ansona, zdążył się ulotnić. Stało się to nie w pokoju nauki, lecz w bagażniku zabytkowego chryslera.

Jadąc na północ z Rancho Santa Fe, z otwartymi oknami, żeby przewietrzyć samochód, pozwolił, by podmuchy wiatru pozbawiły go wszystkich złudzeń i tego, co sobie wmawiał. Brat, którego ponoć znał, którego ponoć kochał,

w rzeczywistości nigdy nie istniał. Mitch pokochał nie prawdziwą osobę, lecz teatralną rolę socjopaty.

Obecnie Anson wykorzystał okazję, by zemścić się na Danielu i Kathy i obciążyć tą zbrodnią brata, który nie miał zostać nigdy odnaleziony.

Gdyby za Holly nie został zapłacony okup, jej porywacze zabiliby ją i wyrzucili prawdopodobnie zwłoki do morza. Mitch zostałby obciążony winą za jej śmierć – a także w jakiś sposób za śmierć Jasona Osteena.

Tego rodzaju morderczy szal ekscytowałyby z pewnością widownię telewizyjnych kronik kryminalnych. Gdyby Mitch zaginął – spoczywając w rzeczywistości w pustynnym grobie -jego poszukiwania przyciągałyby uwagę mediów przez całe

**tygodnie, jeśli nie miesiące.**

**Po pewnym czasie mógłby przejść do legendy podobnie jak D. B. Cooper, porywacz samolotu, który kilkadziesiąt lat wcześniej wyskoczył na spadochronie z samolotu z workiem pieniędzy i nigdy nie został odnaleziony.**

**Mitch zastanawiał się, czy nie wrócić do pokoju nauki i nie zabrać sekatora i rydła. Myśl o wyciąganiu ostrzy z ciał napelniała go odrazą. W ciągu ostatnich godzin robił co prawda gorsze rzeczy, ale na to nie mógł się jakoś zdobyć.**

**Poza tym sprytny Anson podrzucił najprawdopodobniej również inne dowody. Odnalezienie ich wymagało czasu, a Mitch miał go bardzo mało. Na jego zegarku było sześć minut po trzeciej rano. Za niespełna dziewięć godzin porywacze zadzwonią do Ansona z nowymi instrukcjami.**

**Do środy o północy pozostały czterdzieści cztery godziny z początkowych sześćdziesięciu.**

**To wszystko powinno się skończyć znacznie wcześniej. Nowe okoliczności wymagały nowych reguł i Mitch miał zamiar je ustanowić. Wiatr wzywał go na dwór, naśladując głosy wilków. Zgasiwszy światła na górze, zszedł do kuchni. W przeszłości Daniel trzymał zawsze w lodówce pudełko z batonikami Hersheya. Lubił, żeby czekolada była zimna.**

**Pudełko leżało na najniższej półce lodówki, w środku**



brakowało tylko jednego batonika. Częstować się nimi wolno było tylko Danielowi, inni nie mieli do nich prawa.

Mitch zabrał całe pudełko. Był zbyt wyczerpany i zbyt spięty, żeby odczuwać głód, ale miał nadzieję, że dawka cukru zastąpi mu sen.

Zgasił światła na parterze i wyszedł z domu drzwiami frontowymi.

Ulicę zamiatały miotły spadłych z drzew palmowych liści, ich śladem toczył się gubiący swoją zawartość kosz na śmieci. Niecierpki wędły i gubiły kwiaty, krzewy dygotały, jakby próbowały wyrwać się z korzeniami, naderwana okienna markiza – właściwie zielona, lecz w tym świetle czarna – trzepotała wściekle niczym flaga jakiegoś demonicznego narodu, eukaliptusy przemawiały tysiącem syczących głosów i wydawało się, że księżyc spadnie z nieba, a gwiazdy zgasną niczym zdmuchnięte świece. Mitch wyruszył na poszukiwanie Ansona.

Chociaż w gruncie rzeczy nie czyni żadnych postępów, Holly nadal pracuje nad gwoździem, bo gdyby tego nie robiła, nie miałaby nic do roboty, a nie mając nic do roboty, z pewnością by oszalała.

Z jakiegoś powodu przypomina sobie Glenn Close grającą obłąkaną kobietę w Fatalnym zauroczeniu. Nawet gdyby oszalała, Holly nie byłaby zdolna ugotować czyjś króliczka w garnku do zupy, chyba oczywiście, że jej rodzina umierałaby z głodu albo króliczka opętałby diabeł. Wtedy wszystko byłoby dozwolone.

Gwóźdź zaczyna się nagle kołysać i to jest ekscytujące. Holly jest tak podniecona, że ma ochotę skorzystać z nocnika, który zostawili jej porywacze.

Podniecenie mija, kiedy w ciągu następnej półgodziny udaje się go wyciągnąć tylko na ćwierć cala. Potem gwóźdź zakleszcza się i nie daje się w ogóle poruszyć.

Ale nawet ćwierć cala jest lepsze niż nic. Gwóźdź może mieć ile? – jakieś trzy cale długości. Odliczając przerwy na pizzę, którą pozwolili jej zjeść, i na odpoczynek dla palców, spędziła przy nim jakieś siedem godzin. Jeżeli zdoła wyciągnąć go choćby odrobinę szybciej, w tempie jednego cala dziennie, w środę o północy zostanie jej tylko jeden cal.

Jeżeli Mitch zbierze do tego czasu pieniądze na okup, wszyscy będą musieli

**zaczekać jeszcze jeden dzień, aż Hol-ly wyciągnie ten cholerny gwóźdź.**

**Zawsze była optymistką. Ludzie mówili, że jest promienna, wesółka, dziarska i że tryska energią pewnego razu ja-**

**kiś zirytowany jej wiecznie pozytywnym podejściem ponurak spytał, czy jest zrodzonym z miłości dzieckiem Myszkki Miki i Dzwoneczka.**

**Mogła być złośliwa i powiedzieć mu prawdę: że jej ojciec zginął w wypadku drogowym, a matka umarła podczas porodu i że wychowywała ją pełna miłości i pogody ducha babcia.**

**Zamiast tego odparła, że to prawda, lecz ponieważ Dzwoneczka miała za wąskie biodra, ciężę donosiła Kaczka Da-isy.**

**W tym momencie, co nietypowe, nie jest jej łatwo patrzeć z optymizmem w przyszłość. Porwanie może zabić w kimś radość życia.**

**Ma dwa złamane paznokcie i obolałe opuszki palców. Gdyby pracując nad gwoździem, nie owinęła ich połą bluzki, najprawdopodobniej by krwawiły.**

**W ogólnym rozrachunku te urazy są bez znaczenia. Naprawdę przykre będzie, jeżeli porywacze zaczną jej ucinać palce, tak jak to obiecali Mitchowi.**

**Holly przerywa na chwilę pracę przy gwoździu i kładzie się po ciemku na nadmuchiwym materacu.**

**Chociaż jest wyczerpana, nie spodziewa się, że zaśnie. Nagle zapada w sen i śni jej się, że jest w jakimś ciemnym miejscu, różniącym się od pokoju, w którym uwięzili ją porywacze.**

**W tym śnie nie jest przywiązana do kółka w podłodze. Idzie w ciemności, trzymając w rękach jakieś zawiniątko.**

**Nie jest w jednym pomieszczeniu, lecz przemierza kolejne korytarze. Labirynt tuneli.**

**Zawiniątko robi się coraz cięższe. Bołą ją ramiona. Nie ma pojęcia, co niesie, ale wie, że jeśli to odłoży, stanie się coś straszego.**

**Podążając w stronę niewyraźnego światła, wkracza do komnaty oświetlonej pojedynczą świeczką.**

**Jest tam Mitch. Tak się cieszy na jego widok. Są tam również jej ojciec i matka, których zna tylko z fotografii.**

Okazuje się, że trzyma w ramionach śpiące dziecko. Swoje śpiące dziecko.

Matka podchodzi do niej z uśmiechem, żeby je zabrać. Holly bolał ramiona, ale trzyma mocno swój drogocenny tobolek.

Daj nam dziecko, kochanie, mówi Mitch. Powinno być razem z nami. Ty tutaj nie należysz.

Jej rodzice nie żyją, podobnie jak Mitch, i Holly wie, że kiedy odda im dziecko, to już nigdy nie zaśnie.

Nie chce im oddać syna – lecz chwilę później matka trzyma go na rękach. Ojciec gasi świecę.

Holly budzi wycie bestii, która okazuje się tylko wiatrem, ale wyjątkowo potężnym, walącym o ściany i strząsającym pył z krokwi dachu.

Przyćmiony blask – nie świeczki, lecz małej latarki – przynosi minimalną ulgę w ciemnościach, w których ją uwięziono. Widzi czarną kominiarkę, spierzchnięte wargi i stalowoszare oczy klęczącego przed nią porywacza-tego, który budzi w niej niepokój.

–Przyniosłem ci batonik – mówi mężczyzna, podając jej opakowanie.

Ma długie białe palce z poobgryzanymi paznokciami.

Holly brzydzi się dotykać czegokolwiek, czego on dotknął. Opanowując wstręt, bierze od niego batonik.

–Znasz Penasco w Nowym Meksyku?

–Nie podróżowałam zbyt wiele po Nowym Meksyku. Porywacz przez chwilę nie odpowiada i Holly słyszy wyraźniej wycie wiatru. Kiedy łyka pepsi, porywacz nie odrywa wzroku od jej szyi.

–Moje życie zmieniło się w Penasco – mówi.

–Myślałam, że to było w Chamisal.

–Moje życie często zmieniało się w Nowym Meksyku. To miejsce przemiany i wielkiej tajemnicy.

Zastanawiając się nad tym, jak mogłaby wykorzystać pustą puszkę po pepsi, Holly

stawia ją na podłodze. Ma nadzieję, że porywacz pozwoli jej zachować puszkę, jeżeli nie wypije całej przed jego wyjściem.

–Spodobałoby ci się w Chamisal, Penasco i Rodarte. Tyle tam pięknych i tajemniczych miejsc.

–Miejmy nadzieję, że przeżyję, żeby je zobaczyć – odpowiada Holly, starannie ważąc słowa.

Ich spojrzenia się krzyżują. Jego oczy mają kolor szarego nieba, które mimo braku chmur zapowiada nadchodzącą burzę.

–Czy mogę ci coś powiedzieć w zaufaniu? – pyta porywacz ciszej niż normalnie, nie szeptem, ale z dyskretną czułością.

Holly postanawia, że jeżeli jej dotknie, będzie krzyczeć, aż obudzą się pozostali.

–Było nas pięciu, a teraz jest tylko trzech – mówi porywacz, biorąc jej milczenie za zgodę.

To nie jest to, czego się spodziewała. Patrzy mu nadal w oczy, mimo że nie jest to łatwe.

–Ponieważ łatwiej jest podzielić okup na cztery niż na pięć części, zabiliśmy Jasona.

Holly wzdryga się w głębi duszy na dźwięk imienia. Nie chce znać imion ani oglądać twarzy.

A teraz zaginął Johnny Knox – kontynuuje porywacz.

–Johnny prowadził obserwacją i nie zgłosił się. Nasza trójka... nie uzgadnialiśmy, żeby zmienić warunki podziału. Ta sprawa w ogóle nie została poruszona.

Mitch, przelatuje jej przez głowę.

Na dworze zmienia się brzmienie wiatru. Przestaje zawodzić i ostrzegawczo syka,

**przypominając Holly, że milczenie jest złotem.**

**–Pozostali dwaj załatwiali wczoraj różne sprawy – in  
formuje ją porywacz – oddzielnie, w różnych porach. Każ  
dy z nich mógł zabić Johnny'ego.**

**Żeby wynagrodzić go za te rewelacje, Holly zjada kolejny kawałek batonika.**

**–Może postanowili podzielić okup tylko na dwie części**

**–mówi porywacz. – A może jeden z nich chce wziąć**

wszystko.

–Nie zrobiliby tego – odpowiada Holly, żeby nie wyglądało na to, że chce zasiać między nimi ziarno niezgody.

–Są do tego zdolni. Znasz Vallecito w Nowym Meksyku?

–Nie – odpowiada Holly, zlizując z ust czekoladę.

–Surowe miejsce. Tyle tam surowych miejsc, surowych, ale pięknych. Moje życie zmieniło się w Vallecito.

–Jak się zmieniło?

Powinnaś zobaczyć Las Trampas w Nowym Meksyku, w

śniegu – mówi porywacz, nie odpowiadając na jej pytanie. – Stojące pośród białego pola skromne domki, niskie wzgórza porośnięte ciemnym chaparralem i niebo białe jak te pola.

–Masz w sobie coś z poety – oznajmia Holly i chyba naprawdę tak myśli.

–W Las Vegas w Nowym Meksyku nie ma kasyn. Jest tam życie i jest tajemnica.

Jego białe dłonie schodzą się, nie w geście kontemplacji i z całą pewnością nie w modlitwie, ale tak jakby każda z nich miała własną świadomość i lubiły się wzajemnie dotykać.

–W Rio Lucio Eloisa Sandoval ma w zbudowanej z su-  
szanej cegły małej kuchni ołtarzyk ku czci świętego Anto-  
niego. Dwanaście ceramicznych figurek ustawionych w  
rzędach, po jednej na każde dziecko i każdego wnuka.

Świece palą się każdego wieczoru w godzinie nieszporów.

Holly ma nadzieję, że porywacz powie coś więcej o swoich współnikach, ale zdaje sobie sprawę, że musi sprawiać wrażenie dyskretnie zaintrygowanej wszystkim, co mówi.

**–Ernest Sandoval jeździ chevroletem impalą z sześć**

**dziesiątego czwartego roku z wielkim stalowym łańcuchem**

**zamiast kierownicy, ręcznie malowaną tablicą rozdzielczą i**

**sufitem obitym czerwonym aksamitem.**

**Długie palce o łopatkowatych opuszkach głaszczą się wzajemnie, głaszczą i głaszczą.**

**–Ernesta interesują święci, o których nigdy nie sły**

**szała jego pobożna żona. I zna... zadziwiające miejsca.**

**Czekoladowy batonik staje Holly w gardle i przylepia się do podniebienia, lecz mimo to odgryza kolejny kawałek.**

**–W Nowym Meksyku mieszkają starożytne duchy, z**

**czasów jeszcze przed początku ludzkości. Czy jesteś po-**

**szukiwaczką?**

**Jeżeli będzie go za bardzo zachęcać, porywacz odkryje, że jest nieszczerą.**

**–Nie sądzę. Czasami wszyscy czujemy, że... czegoś nam brakuje. Ale to dotyczy wszystkich. Taka jest ludzka natura.**

**–Widzę w tobie poszukiwaczkę, Holly Rafferty. Małe duchowe ziarno, które czeka, żeby zakwitnąć.**

**Jego oczy są przejrzyste niczym klarowna ciecz, ale w szlamie na ich dnie są dziwne formy, których Holly nie potrafi zidentyfikować.**

**–Obawiam się, że widzisz we mnie zbyt wiele – mówi, spuszczając skromnie oczy. – Nie jestem wielką myślicielką.**

**–Sekret polega na tym, żeby nie myśleć. Myślimy słowami. A pod widzianą przez nas rzeczywistością kryje się prawda, której nie sposób wyrazić w słowach. Sekret polega na tym, żeby czuć.**

**–No widzisz, dla ciebie to proste, ale mnie to przerasta. – Holly śmieje się cicho sama z siebie. – Moje największe marzenie to praca w nieruchomościach.**

**–Nie doceniasz się – zapewnia ją porywacz. – Masz w sobie... ogromne możliwości.**

**Jego duże kościste nadgarstki i długie blade palce są kompletnie bezwłose, z natury albo dzięki stosowaniu kremu do depilacji.**



Napastowany przez wpadające przez okno podmuchy wichury Mitch przejechał obok domu Ansona w Corona del Mar.

W świetle palącej się przez całą noc lampy na werandzie zobaczył duże kremowo-białe kwiaty, które wiatr zerwał z drzewa magnolii i przywiał pod drzwi frontowe. Poza tym w domu było ciemno.

Nie sądził, by bezpośrednio po zabiciu swoich rodziców Anson wrócił do domu, umył się i poszedł grzecznie spać. Musiał być gdzieś poza domem – i coś knuć.

Honda nie stała już przy krawężniku, tam gdzie ją zostawił, kiedy przyjechał tu po raz pierwszy, na polecenie porywaczy Zaparkował przy następnej przecznicy, zjadł do końca batonik Hersheya, zasunął szybę i zaniknął na klucz chryslera windsora. Otoczone współczesnymi pojazdami auto przyciągało niestety uwagę – muzealny eksponat w salonie automatów.

Mitch podszedł do wylotu alejki, którą wjeżdżało się do garażu Ansona. Światła paliły się na niższym piętrze drugiej części bliźniaka, nad dwoma dwustanowiskowymi garażami.

Pewni ludzie nie śpią o wpół do czwartej w nocy, ponieważ mają pilną pracę. Inni, ponieważ cierpią na bezsenność.

Stojąc w alejce, Mitch rozstawił szeroko nogi, żeby oprzeć się wiatrowi. Przyjrzał się uważnie oknom z zasuniętymi zasłonami.

Wchodząc do biblioteki Campbella, wkroczył w nową rzeczywistość. Widział teraz wszystko o wiele wyraźniej niż poprzednio.

Skoro Anson miał osiem milionów dolarów i całkowicie spleacony jacht, to posiadał również obie części bliźniaka, a nie, jak twierdził, tylko jedną. Mieszkał w mieszkaniu od frontu, a w tym z tyłu szukał zastosowań teorii lingwistycznej do tworzenia oprogramowania względnie innych rzeczy, które przyniosły mu fortunę.

Za zasuniętymi zasłonami nie ślęczał w nocy jego sąsiad. Krył się za nimi sam Anson, pracujący przy komputerze.

Być może kreślił kurs jachtu do przystani, w której nie zdoła go osiągnąć prawo.

Za furtką była wąska alejka biegnąca z boku garażu. Mi-tch wszedł tamtędy na wyłożony tłuczoną cegłą dziedziniec, który oddzielał od siebie dwa apartamenty. Oświetlające go lampy były zgaszone.

Ceglane patio otaczały rabatki, na których rosły krzaki nandiny i różne paprocie, a także bromelia i anturium o czerwonych kwiatach.

Obie części bliźniaka, wysokie boczne ogrodzenia oraz stłoczone na wąskich działkach sąsiednie zabudowania skutecznie blokowały najsilniejsze porywy wichury. Choć zdarzały się małe trąby powietrzne, ze spadzistych dachów ześlizgiwała się o wiele łagodniejsza wersja wiatru, nie chłuszcząca, lecz tańcząca z ogrodową zielenią

Mitch wślizgnął się pod rozkołysane, drżące liście diksonii antarktycznej, ukucnął i wyjrzał na patio.

Zasłona szerokich koronkowych liści wznosiła się i opadała, wznosiła się i opadała, lecz w żadnym momencie nie skrywała przed nim całego dziedzińca. Jeżeli zachowa czujność, na pewno zobaczy mężczyznę przechodzącego z tylnego do przedniego apartamentu.

Pod baldachimem liści diksonii czuł zapach żyznej ziemi, sztucznego nawozu i niewyraźną, piżmową woń mchu.

Z początku dodawało mu to otuchy, przypominało czas,

gdy życie było prostsze, okres sprzed zaledwie szesnastu godzin. Jednak po kilku minutach mieszanka zapachów zaczęła mu przywozić na myśl odór krwi. W apartamencie nad garażami zgasły światła. Zamykane drzwi trzasnęły głośno, być może szarpnięte przeciągiem. Chór wiatru nie stłumił do końca ciężkich kroków mężczyzny, który zbiegł po zewnętrznych schodkach na dziedziniec.

Mitch spostrzegł między liśćmi niedźwiedziowatą sylwetkę przemierzającą ceglane patio.

Anson nie zauważył skradającego się z tyłu brata i wydał zduszony okrzyk, kiedy paralizator poraził jego układ nerwowy.

Gdy zatoczył się do przodu, próbując utrzymać się na nogach, Mitch ruszył za nim. Paralizator posłał kolejny pięćdziesięciotysięcznowoltowy pocałunek.

Anson padł na cegły i przewrócił się na plecy. Jego barczyste ciało zadygotało, ręce opadły na boki. Rzucił głową w lewo i prawo i wydawał dźwięki sugerujące, że grozi mu uduszenie językiem.

Mitch nie chciał, żeby Anson połknął własny język, nie zamierzał jednak podejmować żadnych działań, by temu zapobiec.

Apokaliptyczne skrzydła wiatru wałą o ściany i omiatają dach.

Bezwłose dłonie, białe niczym gołębie, głaszczą jedna drugą w przyćmionym świetle zaklejonej taśmą latarki.

–W El Valle w Nowym Meksyku – mówi łagodny głos

–jest cmentarz, gdzie bardzo rzadko koszą trawę. Niektó

re groby mają kamienie nagrobne, inne nie.

Holly zjadła cały batonik. Zbiera się jej na mdłości. W ustach czuje smak krwi. Popija pepsi, żeby go spłukać.

–Groby pozbawione nagrobków otoczone są małymi

płatkami zrobionymi ze starych skrzynek na owoce i wa

rzywa.

Wszystko to do czegoś prowadzi, ale jego myśli podążają neuronowymi ścieżkami, których bieg może przewidzieć tylko tak pokręcony umysł jak jego.

–Bliscy malują te płatki pastelowymi farbami: na jas

noniebiesko, jasnozielono i na żółty kolor spłowiłych sło

neczników.

Mimo dziwnych błysków w oczach porywacza, budzą one w niej teraz mniejszy wstręt niż jego ręce.

–Kiedy Księżyc był w pierwszej kwadrze, kilka godzin po tym, jak zasypano grób, odkopaliśmy go i otworzyliśmy drewnianą trumnę dziecka.

–Żółty kolor spłowiłych słoneczników – powtarza Holly, próbując wypełnić umysł tym kolorem, broniąc się

przed obrazem dziecka w trumnie.

–Miała osiem lat, zmarła na raka. Pochowali ją z meda

likiem świętego Krzysztofa w lewej ręce i porcelanową fi

gurką Kopciuszka w prawej, ponieważ uwielbiała tę bajkę.

Słoneczniki oddalają się i Holly widzi oczyma duszy małe dłonie szukające opieki u świętego i nadziei u biednej dziewczyny, która została księżniczką.

–Dzięki temu, że przez kilka godzin znajdowały się w

grobie niewinnej istoty, te przedmioty zyskały olbrzymią

moc. Są obmyte przez śmierć i oszlifowane przez duchy.

Im dłużej spogląda w jego oczy, tym mniej wydają się znajome.

–Zabraliśmy z jej rąk medalik i figurkę i zastąpiliśmy

je... czymś innym.

Jedna z białych dłoni znika w kieszeni czarnej kurtki. Kiedy pojawia się z powrotem, ściska w palcach medalik ze świętym Krzysztofem. – Proszę. Weź go – mówi porywacz. Nie budzi w niej wstrętu to, że przedmiot został wyjęty z grobu, ale fakt, że odebrano go zmarłemu dziecku.

Dzieje się tutaj więcej, niż porywacz wyraża słowami. Istnieje pewien podtekst, którego Holly nie rozumie.

Czuje, że odrzucenie z jakiegokolwiek powodu medalika będzie miało straszne konsekwencje. Wyciąga prawą rękę, a on kładzie na niej medalik. Łańcuszek zwija się na jej dłoni.

–Znasz Espanolę w Nowym Meksyku?

–To kolejne miejsce, w którym nie byłam – odpowiada Holly, zaciskając palce na medaliku.

–Odmieni się tam moje życie – oznajmia porywacz po czym podnosi latarkę, i wstaje.

Zostawia ją w kompletnej ciemności z wypitą do połowy puszką pepsi, którą mógł zabrać, ale tego nie zrobił. Holly miała wcześniej zamiar zgnieść puszkę, zrobić z niej miniatruowy lewarek i podważyć nim uparty gwóźdź

Medalik ze świętym Krzysztofem przyda się. do tego celu o wiele lepiej. Odlany w mosiądzu i powleczony srebrem

**bądź niklem, jest o wiele twardszy od miękkiego aluminium puszki.**

**Wizyta porywacza zmieniła charakter otaczającej ją przestrzeni. Przedtem czuła się w niej samotna. Teraz wyobraża sobie, że zamieszkują ją szczury, karaluchy i cały legion pełzających stworzeń.**

Wiatr zdawał się szydzić z leżącego przed tylnymi drzwiami Ansona.

Brat Mitcha trząsał się i dygotał niczym stworzenie, które przywykło, by pobierać tlen z wody, i leży teraz bezradnie na plaży. Dłonie drżały mu, knykcie bębniły o cegły.

Gapiąc się na Mitcha, poruszał ustami, jakby chciał coś powiedzieć. Być może próbował krzyknąć z bólu, ale z jego gardła wydobył się tylko cienki cichy pisk, jakby krtąń zwęziła mu się do średnicy szpilki.

Mitch nacisnął klamkę drzwi. Nie były zamknięte. Otworzył je i wszedł do kuchni. Światła były zgaszone. Nie zapalił ich. Nie wiedział dobrze, jak długo trwają efekty porażenia prądem. Mając nadzieję, że przynajmniej minutę albo dwie, odłożył paralizator na blat i wrócił do otwartych drzwi.

Ostrożnie złapał Ansona za kostki, ale jego brat i tak nie był w stanie go kopnąć. Mitch wciągnął go do środka i skrzywił się, gdy Anson rąbnął głową o wysoki próg.

Zamknąwszy drzwi, zapalił światło. Żaluzje były spuszczone jak wówczas, kiedy odebrali telefon od porywaczy.

Zuppa massaia stała nadal na kuchence, zimna i pachnąca.

Do kuchni przylegała pralnia. Mitch zajrzał do niej. Była dokładnie taka, jak zapamiętał – mała i pozbawiona okien.

Przy kuchennym stole stały cztery krzesła w modnym

stylu retro, z nierdzewnej stali i czerwonego winylu. Zabrał jedno z nich do pralni.

Anson leżał na podłodze i obejmując się ramionami, jakby przemarzł do szpiku kości, próbował powstrzymać konwulsje i zapanować nad mniej dramatycznymi, lecz nie-ustępującymi skurczami mięśni. Skamlał przy tym żałośnie niczym cierpiący pies.

Cierpienie mogło być autentyczne. Mogło być też udawane. Mitch zachowywał bezpieczną odległość.

Wziął do ręki paralizator i wyciągnął pistolet, który wcisnął wcześniej za pasek.

–Chcę, żebyś przewrócił się na brzuch, Anson. Jego

brat pokręcił głową, nie w geście odmowy, ale chyba mi

mowolnie.

**Wyobrażanie sobie wcześniej odwetu dawało mu takiego samego kopa jak napój energetyczny. W rzeczywistości odwet nie był wcale słodki.**

**–Posłuchaj mnie. Chcę, żebyś przewrócił się na**

**brzuch i wczłgał do pralni.**

**Ślina pociekła Ansonowi z ust i zaślśniła na podbródku.**

**–Daję ci szansę zrobienia tego w łatwy sposób. Anson**

**nadal wydawał się kompletnie dezorientowany i nie pa**

**nował nad swoim ciałem.**

**Mitch zastanawiał się, czy dwa porażenia prądem, z których drugie trwało być może nieco zbyt długo, mogły wywołać trwały uraz. Anson sprawiał wrażenie nie tylko ogłuszonego.**

**W upadku wielkiego mężczyzny zawarty jest element tragedii, jeżeli spada z wysoka. Anson spadł z niska i wylądował jeszcze niżej. Mitch nie dawał mu spokoju, powtarzając te same rozkazy. – Do diabła, Anson, jeżeli będę musiał, porażę cię po raz trzeci – mruknął w końcu – i wciągnę sam, kiedy będziesz sparaliżowany.**

**Za jego plecami stuknęły drzwi, odwracając na chwilę jego uwagę. Ale to tylko ręka wiatru szarpnęła za klamkę, kiedy mocniejszy powiew wpadł na osłonięte patio.**

**Zerkając ponownie na Ansona, zobaczył w jego oczach jasną świadomość i zimne wyrachowanie, które ułamek sekundy później skryły się pod maską dezorientacji. Oczy stanęły mu w słup.**

**Mitch odczekał pół minuty, a potem podszedł szybko do brata.**

**Anson wyczuł, że nadchodzi, i oczekując, że chce użyć paralizatora, usiadł, żeby mu go wyrwać.**

**Zamiast tego Mitch strzelił, nie celując w brata, ale blisko niego. Anson cofnął się odruchowo na odgłos strzału, a Mitch walnął go pistoletem w bok głowy, dość mocno, żeby porządnie zabolalo – dość mocno, jak się okazało, żeby pozbawić go przytomności.**

**Chodziło o to, by skłonić Ansona do współpracy, uświadamiając mu, że ma do czynienia z innym Mitchem. Nokaut okazał się jednak równie skuteczny.**

„On nie jest ciężki, to mój brat”<sup>4</sup>. Bzdura. Brat Mitcha był cholernie ciężki.

Zaciągnięcie go z kuchni do pralni okazało się trudniejsze, niż się spodziewał. Posadzenie go na krześle graniczyło z niemożliwością, lecz dokonał i tego.

Obite winylem oparcie krzesła przymocowane było do dwóch pionowych stalowych prętów. Między bokami oparcia i prętami były puste przestrzenie.

Mitch wsadził ręce Ansona w te szpary i skuł go z tyłu kajdankami, które założono mu w bibliotece Campbella.

W szufladzie pośród innych rzeczy znalazł trzy zapasowe przedłużacze. Gruby pomarańczowy kabel miał mniej więcej czterdzieści stóp długości.

Przewlókł go między nogami krzesła i stalowymi prętami oparcia, a następnie obwiązał pralkę. Znacznie mniej giętki od sznura gumowy kabel nie dawał się ciasno związać, zrobił więc na nim trzy węzły.

Anson mógł wstać w półprzysiadzie, ale musiałby wów czas podnieść krzesło. Zakotwiczony do pralki nie mógł wybrać się na wycieczkę.

Uderzenie pistoletem rozbiło mu ucho, które krwawiło, lecz niezbyt obficie. Puls miał wolny, ale regularny. Mógł

*refren słynnej piosenki zespołu The Hollies z lat sześćdziesiątych*

się szybko ocknąć. Mitch zostawił w pralni zapalone światło i wszedł na górę do głównej sypialni. Zobaczył tam to, czego się spodziewał: podłączone do gniazdek w ścianie, zgaszone w tym momencie dwie małe nocne lampki.

Jako dziecko Anson zawsze spał przy przygaszonym świetle. Jako nastolatek zgodził się na podobne do tych nocne lampki. W każdym pokoju tego domu trzymał – na wypadek przerwy w dostawie prądu – latarki, w których wymieniał cztery razy w roku baterie.

Mitch zszedł z powrotem na dół i zajrzał do pralni. An-son nadal siedział nieprzytomny na krześle.

Mitch przeszukał kuchenne szuflady, w których jego brat trzymał klucze. Zabrał zapasowy klucz do domu i kluczyki do trzech różnych samochodów, w tym do swojej hondy, i wyszedł tylnymi drzwiami na dwór.



Wątpił, żeby sąsiedzi usłyszeli strzał, a jeżeli nawet, by zidentyfikowali go pośród łoskotu i wycia wiatru.

Wspiął się po schodach do apartamentu nad garażami i nacisnął klamkę drzwi, które okazały się zamknięte. Jak się spodziewał, pasował do nich klucz do pierwszego mieszkania Ansona.

Wewnątrz, w miejscu, które normalnie zajmował salon i jadalnia, było domowe biuro Ansona. Obrazy o tematyce marynistycznej namalowane były przez tych samych artystów co w pierwszym mieszkaniu.

Cztery komputerowe stacje robocze obsługiwane były z pojedynczego krzesła na kółkach. Komputery, które były o wiele większe, niż widuje się na ogół w domach, świadczyły o tym, że praca Ansona wymaga dużych mocy obliczeniowych i pojemności pamięci.

Mitch nie znał się zbyt dobrze na komputerach. "Nie łudził się, że uda mu się załadować te urządzenia -jeżeli w ogóle używało się jeszcze terminu „załadować” – i zorientować się, na czym polega praca, która przyniosła miliony jego bratu.

Poza tym Anson stworzył z pewnością specjalne bariery,

hasła i procedury, żeby zabezpieczyć się nawet przed poważnymi hakerami. W opowieściach, które połykał z wypiekami na twarzy jako chłopiec, zawsze ekscytowały go skomplikowane szyfry i tajemna symbolika map, na których piraci zaznaczali miejsca, gdzie ukryli swoje skarby.

Mitch wyszedł z tylnego apartamentu, zamknął drzwi na klucz i zajrzał do pierwszego z garaży. Stał tam ford expedition, którym pojechali do posiadłości Campbella w Rancho Santa Fe, oraz buick super woody wagon z roku 1947.

W drugim dwustanowiskowym garażu było jedno wolne miejsce i honda, którą zostawił na ulicy.

Anson pojechał nią prawdopodobnie do jego domu w Orange, zabrał stamtąd narzędzia i ubrania, udał się z nimi do domu Daniela i Kathy, żeby ich zamordować, a następnie wrócił do domu Mitcha, żeby podrzucić obciążające go dowody.

Mitch otworzył bagażnik. Ciało Johna Knoksa nadal leżało zawinięte w spłowiełą brezentową płachtę.

Miał wrażenie, że wypadek na strychu wydarzył się bardzo dawno temu, w innym życiu.

Wrócił do pierwszego garażu, uruchomił forda i wstawił go na puste stanowisko w

**drugim garażu.**

**Po wstawieniu hondy do pierwszego garażu, obok buicka zamknął wielkie opuszczane drzwi.**

**Zaciskając zęby, wy dobył ciężkie zwłoki z bagażnika. Kiedy legły na podłogę, odwinął płachtę.**

**Nie zaczął się jeszcze proces rozkładu, nieżywy mężczyzna wydzieliał jednak złowrogi słodko-kwaśny odór, którego Mitch nie miał ochoty wdychać.**

**Wiatr poświstywał w wysokim okienku garażu, jakby uwielbiał makabryczne sceny i przewędrował pół świata, żeby zobaczyć go przy tej koszmarnej pracy.**

**Przyszło mu na myśl, że całe to przeciąganie ciał z miejsca na miejsce ma w sobie coś z farsy, tym bardziej że zwłoki Knoksa uległy już częściowemu stężeniu pośmiertnemu i były piekielnie nieporęczne. Jednak w tym momen-**

cie Mitch cierpiał na poważny deficyt śmiechu.

Po załadowaniu Knoksa do buicka, złożył płachtę i schował ją do bagażnika hondy. W którymś momencie wyrzuci ją do jakiegoś kontenera lub cudzego pojemnika na śmieci.

Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek w życiu był taki zmęczony: fizycznie, umysłowo, emocjonalnie. Piekły go oczy, rwały stawy, mięśnie bolały tak, jakby miały zaraz odpaść od kości.

Być może to zawarte w batoniku Hersheya cukier i kofeina nie pozwalały zatrzeć się jego silnikowi. W pewnym stopniu napędzał go też strach. Ale najsilniej motywowała go świadomość, że Holly jest w rękach potworów.

„Dopóki śmierć nas nie rozłączy”, brzmiał fragment ich małżeńskiej przysięgi. Śmierć Holly nie zwalniała go jednak ze złożonych ślubów. Zobowiązanie, które podjął, będzie trwało dalej. Reszta życia upłynie mu na cierpliwym czekaniu.

Ruszył alejką w stronę ulicy, wrócił do chryslera windsora i wjechał nim do drugiego garażu. Postawił go obok forda i zamknął opuszczane drzwi garażu.

Na jego zegarku była 4.09.

Za półtorej godziny, może trochę później, może trochę wcześniej, wiejący wściekle wiatr sprowadzi na ziemię świt. Wiszący w powietrzu pył sprawi, że jutrzienka będzie różowa

i rozleje się gwałtownie na całe niebo dopiero później przybierze dojrzałą barwę.

Odkąd poznał Holly, Mitch witał każdy dzień z wielkimi nadziejami. Ten dzień był inny.

Kiedy wrócił do domu, odkrył że siedzący w pralni Anson jest przytomny i nadąsany

Skaleczenie na lewym uchu zasklepiło się i zaschła krew, która pociekła po jego policzku i szyi.

Niedźwiedziowate rysy zaostrzyły się, jakby w wyniku skażenia ujawniło się dominujące w genach Ansona wilcze DNA. Siedział w milczeniu, z oczyma, w których płonął gniew, i szczękami zaciśniętymi tak mocno, że uwidoczniły mu się mięśnie twarzy.

Wiatr nie był tutaj głośny. Przewód wentylacyjny przynosił jego westchnienia i szepty do suszarki i mogło się zdawać, że urządzenie jest nawiedzane przez ducha.

–Pomożesz mi odzyskać Holly całą i zdrową-powie-  
dział Mitch.

To stwierdzenie nie spotkało się z odmową ani z aprobatą. Jediną reakcją było spojrzenie spode łba.

–Zadzwoń za siedem i pół godziny z instrukcjami,  
jak dokonać przelewu.

Skrepowany, uwięziony na krześle Anson wydawał się paradoksalnie większy niż wcześniej. Kajdanki podkreślały jego siłę fizyczną: wydawało się, że jeżeli się jeszcze bardziej rozgniewa, będzie mógł niczym jakaś mityczna postać zerwać krępujące go łańcuchy.

Podczas nieobecności Mitcha próbował z determinacją oderwać krzesło od pralki. Stalowe nogi krzesła podrapały i poobijały płytki podłogi, zostawiając ślady, które świadczyły o intensywności daremnych wysiłków. Pralka nie sta-

ła już w równej linii z suszarką.

–Powiedziałeś, że możesz to załatwić przez telefon i  
komputer – przypomniał mu Mitch. – Góra trzy godziny.

Anson splunął na podłogę między nimi.

–Jeżeli masz osiem milionów, możesz wydać dwa na  
Holly. Kiedy to się skończy, nigdy już się nie zobaczymy.

Wrócisz do tego szamba, w które zmieniłeś twoje życie.

Gdyby Anson zorientował się, że Mitch wie o leżących w pokoju nauki martwych Danielu i Kathy, nie sposób byłoby go zmusić do współpracy. Doszedłby wówczas do wniosku, że Mitch usunął podrzucone dowody rzeczowe, aby skierować podejrzenia policji we właściwą stronę.

Dopóki wydawało mu się, że morderstwa nie wyszły na jaw, mógł mieć nadzieję, że ich współpraca potrwa wyłącznie do chwili, gdy Mitch popełni jakiś błąd i role się odwrócą.

**–Campbell nie pozwolił ci tak po prostu odejść –**

**mruknął.**

**–Nie.**

**–Więc... jak?**

**–Zabiłem tych dwóch.**

**–Ty?**

**–Będę musiał z tym żyć.**

**–Kropnąłeś Vosky'ego i Creeda?**

**–Nie znam ich nazwisk.**

**–Tak właśnie się nazywali.**

**–To twoja wina – powiedział Mitch.**

**–Kropnąłeś Vosky'ego i Creeda? To się nie mieści w głowie.**

**–Więc widocznie Campbell pozwolił mi odejść.**

**–Campbell nigdy by cię nie puścił.**

**–Myśl, co chcesz. Anson łyptał na niego groźnie spod krzaczastych brwi.**

**–Skąd wzięłeś paralizator?**

**–Od Vosky'ego i Creeda – skłamał Mitch.**

**–Po prostu im go zabrałeś, tak?**

**–Powiedziałem ci już: zabrałem im wszystko. Teraz dam ci kilka godzin, żebyś przemyślał sobie różne sprawy.**

**–Możesz wziąć te pieniądze.**

**–Nie o tym powinieneś pomyśleć.**

**–Możesz je wziąć, ale pod pewnymi warunkami.**

**–Nie ty tutaj stawiasz warunki – powiedział Mitch.**

**–To moje dwa miliony.**

**–Nie. Teraz są moje. Zarobiłem je.**

**–Wyluzuj, dobrze?**

**–Na ich miejscu najpierw byś ją przeleciał. – Wiesz przecież, że tylko tak to powiedziałem. – Na ich miejscu zabiłbyś ją, ale najpierw byś ją przeleciał.**

**–Po prostu musiałem coś powiedzieć. Zresztą nie jestem jednym z nich.**

**–Nie, nie jesteś jednym z nich. Jesteś ich przyczyną.**

**–Nieprawda. Takie rzeczy się zdarzają. Po prostu się zdarzają.**

**–Gdyby nie ty, nie zdarzyłyby się mnie. – Jeśli patrzysz na to w ten sposób, trudno.**

**–Powiem ci, o czym powinieneś pomyśleć. O tym, kim  
teraz jestem.**

**–Chcesz, żebym myślał, kim jesteś? – Koniec z fratello piccolo. Rozumiesz? –  
Jesteś przecież moim młodszym bratem.**

**–Jeżeli myślisz o mnie w ten sposób, wytniesz jakiś  
głupi numer, na który dałbym się nabrać wcześniej, ale na  
który nie dam się nabrać teraz.**

**–Jeśli uda nam się zawrzeć umowę, nie będę robił żadnych numerów.**

**–Już zawarliśmy umowę.**

**–Musisz dać mi trochę luzu, człowieku.**

**–Żebyś zadusił mnie gołymi rękoma?**

**–Jak możemy załatwić cokolwiek bez odrobiny zaufania?**

**–Posiedzisz tu po prostu i pomyślisz, jak szybko mo-  
żesz umrzeć.**

**Mitch zgasił światło i przestąpił przez próg.**

**–Co ty robisz? – zapytał Anson z ciemnej, pozbawionej okien pralni.**

**–Zapewniam ci jak najlepsze warunki do nauki – odparł Mitch i zamknął drzwi.**

**–Mickey? – zawołał Anson. Mickey. Po tym wszystkim „Mickey”.**

**–Nie rób tego, Mickey.**

**Mitch wyszorował ręce przy kuchennym zlewie, używając dużo mydła i gorącej wody, aby zmyć pamięć ciała Johna Knoksa, która odcisnęła się na jego skórze.**

**Wyjął z lodówki paczkę z plasterkami cheddara i tubkę musztardy, znalazł bochenek chleba i zrobił sobie kanapkę z serem.**

**–Słyszę, że tam jesteś! – zawołał Anson z pralni. –**

**Co ty robisz, Mickey?**

**Mitch położył kanapkę na talerzu i dołożył do niej korniszona. Wyjął z lodówki butelkę piwa.**

**–O co ci chodzi, Mickey? Zawarliśmy już umowę. To nie ma sensu.**

**Mitch przechylił krzesło i wsunął je pod klamkę drzwi do pralni, blokując je.**

**–Co jest? – zapytał Anson. – Co się dzieje? Mitch**

**zgasił światła w kuchni i poszedł na górę, do sypialni Ansona.**

**Odłożywszy pistolet i paralizator na nocną szafkę, usiadł na łóżku i oparł głowę o obite tkaniną wezglowie. Nie ściągnął pikowanej jedwabnej narzuty. Nie zdjął butów. Po zjedzeniu kanapki i korniszona i wypiciu piwa nastawił radiowy budzik na wpół do dziewiątej.**

**Chciał, żeby Anson miał czas się zastanowić, ale zrobił tę czterogodzinną przerwę przede wszystkim dlatego, że sam nie potrafił już tak szybko myśleć. Potrzebował jasnego umysłu przed tym, co go czekało.**

**Buszując po dachu, tłukąc w okna, przemawiając dzi-**

**kimi głosami motłochu, wiatr szydził z niego i zapowiadał, że wszelkie plany wezmą w łeb.**

**To była Santa Ana, suchy wiatr zmieniający bujną roślinność w badyle i wysysający**

wilgoć z kanionów, wokół których zbudowano wiele kalifornijskich miejscowości. Podpalacz mógł rzucić płonąca szmatę, inny użyć zapalniczki, jeszcze inny zapalniczki – i w telewizyjnych wiadomościach przez całe dni dominował ogień.

Żaluzje były spuszczone i kiedy zgasił górne światło, spowiła go ciemność. Nie zapalił żadnej z nocnych lampek Ansona.

Przed oczyma stanęła mu urocza twarz Holly.

–Boże, proszę, daj mi siłę i mądrość, żebym potrafił jej pomóc – powiedział na głos.

Po raz pierwszy w życiu przemówił do Boga.

Nie przyrzekał, że będzie pobożny i miłosierny. Nie sądził, żeby to funkcjonowało w ten sposób. Nie można zawierać umowy z Bogiem.

Mając przed sobą najważniejszy dzień w życiu, nie sądził, że uda mu się zasnąć, lecz zasnął.



**Gwóźdź czeka.**

**Holly siedzi w ciemności, słuchając wiatru i ściskając w palcach medalik ze świętym Krzysztofem.**

**Odstawiła na bok niedopitą puszkę pepsi. Nie chce korzystać znowu z nocnika, przynajmniej nie wtedy, kiedy dyżuruje ten sukinsyn o bezwłosych białych dłoniach.**

**Na myśl, że opróżnia jej nocnik, ciarki przebiegają po plecach Holly. Samo poproszenie go o to stworzyłoby między nimi niedopuszczalnie bliskie relacje.**

**Ściskając medalik w lewej dłoni, prawą dotyka brzucha. Ma wąskie biodra i płaski brzuch. Czuje, jak rośnie w niej dziecko, jej sekret, intymny niczym sen.**

**Powiadają, że jeśli ciężarna matka słucha muzyki klasycznej, dziecko będzie miało wyższy iloraz inteligencji. Jako niemowlę będzie mniej płaczliwe i bardziej zadowolone.**

**To może być prawda. Życie jest skomplikowane i tajemnicze. Nie zawsze wiadomo, co jest przyczyną a co skutkiem. Fizycy kwantowi twierdzą że czasami skutek poprzedza przyczynę. Oglądała na ten temat jednogodzinny program na kanale Discovery. Nie wszystko zrozumiała; nawet opisujący różne zjawiska naukowcy przyznawali, że nie potrafią ich wyjaśnić, wyłącznie obserwować.**

**Holly wodzi powoli palcami po brzuchu, rozmyślając, jak fajnie by było, jak miło, gdyby dziecko poruszyło się tak, by mogła to poczuć. Oczywiście na tym etapie jest tylko kulką komórek, niezdolną do powitalnego kopnięcia.**

**Mimo to jednak ta mała osóbka schowana w skorupie jej ciała, rosnąca niczym perła w ostrydze, kryje w sobie potencjał i wszystko, co robi Holly, będzie miało wpływ na jej małego pasażera. Koniec z winem do obiadu. Trzeba ograniczyć picie kawy. Wykonywać odpowiednie, niezbyt forsowne ćwiczenia. Unikać kolejnego uprowadzenia.**

**Kiedy dotyka palcami twarzy świętego Krzysztofa, który jest obrońcą dzieci, ten każe jej zastanowić się nad gwóździem.**

**Irracjonalne jest chyba poważne traktowanie tych wszystkich historii o dziecku, które uczy się w łonie matki. Mimo to Holly ma wrażenie, że jeżeli będąc w ciąży, wbije gwóźdź w tętnicę szyjną lub oko jakiegoś faceta, może się to w jakiś sposób odbić na maleństwie.**

Według kanału Discovery wyjątkowo silne emocje powodują że umysł wydziela do krwi potężny zastrzyk hormonów i innych substancji chemicznych. Zabójczy szal można chyba uznać za silną emocję.

Jeżeli nienarodzonemu dziecku może zaszkodzić zbyt dużo kofeiny, z pewnością nie będzie dla niego korzystna powódź zabójczych enzymów. Oczywiście Holly ma zamiar użyć gwoździa przeciwko draniowi, prawdziwemu draniowi, ale płód nie może wiedzieć, że ofiara nie jest kimś dobrym.

Dziecko nie urodzi się z morderczymi skłonnościami z powodu jednego aktu samoobrony. Mimo to Holly jest zaniepokojona ewentualnością użycia gwoździa. Może te irracjonalne obawy są symptomem ciąży, podobnie jak poranne mdłości, których jeszcze nie doświadczyła, albo jak apetyt na czekoladowe lody z piklami.

Planując, jak użyć gwoździa, powinna zachować roztropność. Kiedy ma się do czynienia z ludźmi podobnymi do tych, którzy ją porwali, lepiej z nimi nie zadzierać, dopóki nie nabierze się pewności, że atak zakończy się pełnym sukcesem.

Jeśli próbujesz wbić komuś gwóźdź w oko, lecz zamiast tego trafiasz go w nos, masz na karku groźnego psychopatę

z przebitym nosem. Fatalna sytuacja.

Kiedy wraca do niej przedstawiciel biura turystycznego Nowego Meksyku, Holly wciąż zaciska w palcach medalik ze świętym Krzysztofem i rozmyśla, czy warto podjąć walkę z groźnymi bandytami, mając za jedyną broń trzycalowy gwóźdź.

Mężczyzna pojawia się z zaklejonym, tak jak wcześniej szkiełkiem latarki i nadal ma ręce przygrywającego w piekle pianisty. Klęka przed nią i kładzie latarkę na podłodze.

–Podoba ci się medalik – mówi, najwyraźniej zado

wolony z tego, że Holly międli go w palcach niczym uspokaja

jające nerwy paciorki.

Instynkt podpowiada jej, żeby dostosować się do jego dziwactw.

–Jest interesujący w... dotyku.

–Dziewczynka w trumnie miała na sobie prostą białą sukienkę z kołnierzykiem i mankietami obszytymi tanią koronką. Wyglądała tak spokojnie.

Porywacz oderwał zębami wszystkie skrawki luźnej skóry ze spierzchniętych ust. Są

upstrzone czerwonymi plamkami i wydają się podrażnione, spuchnięte.

–Miała we włosach białe gardenie. Kiedy otworzyliśmy

wieko, uwolniony zapach gardenii był taki intensywny.

Holly zamyka oczy, żeby uciec przed jego wzrokiem.

–Zabraliśmy medalik i figurkę Kopciuszka w miejsce

niedaleko Angel Fire w Nowym Meksyku, gdzie jest wir. –

Najwyraźniej uważa, że Holly świetnie wie, o jaki wir cho

dzi. – Zabiłem ich obu we śnie – dodaje łagodniejszym i

prawie smutnym głosem.

Holly sądzi przez chwilę, że jego stwierdzenie dotyczy wiru w Angel Fire w Nowym Meksyku, i stara się odnaleźć w tym wszystkim jakiś sens. Uświadomiwszy sobie, o co mu chodzi, otwiera oczy.

–Udawali, że nie wiedzą, co się stało z Johnem Knok-

sem, ale musiał to wiedzieć przynajmniej jeden z nich, a

najprawdopodobniej obaj.

Gdzieś obok leżą dwaj martwi mężczyźni. Nie słyszała strzałów. Może poderznął im gardła.

Potrafi sobie wyobrazić blade bezwłose dłonie trzymające prostą brzytwę z wdziękiem magika, który toczy monety po knykciach.

Przyzwyczaiła się już do kajdanów na nodze, do łańcucha, który przykuwa ją do podłogi. Nagle znowu sobie uświadamia, że jest nie tylko uwięziona w pokoju bez okien, lecz może poruszać się ledwie na tyle, na ile pozwala jej łańcuch.

–Ja byłbym następny i podzieliliby okup na dwie części

–mówi porywacz.

Jej uprowadzenie zaplanowało pięciu mężczyzn. Teraz został tylko jeden.

Jeżeli jej dotknie, nikt nie odpowie na jej krzyk. Są tylko we dwoje.

**–Co teraz będzie? – pyta i natychmiast tego żałuje.**

**–Porozmawiam z twoim mężem w południe, zgodnie z planem. Anson przekaże mu pieniądze. A potem wszystko zależy od ciebie.**

**Holly zastanawia się nad jego trzecim zdaniem, ale przypomina ono suchą cytrynę, z której nie da się wycisnąć soku.**

**–Co chcesz przez to powiedzieć? – pyta. – Podczas kościelnego odpustu do Penasco w Nowym Meksyku przyjeżdża w sierpniu małe wesołe miasteczko.**

**Holly ma wrażenie, że jeżeli ściągnie mu z głowy kominiarką, nie zobaczy nic poza stalowoszarymi oczyma, poobgryzаныmi wargami i pożółkłymi zębami. Nie będzie brwi, nosa, uszu, tylko skóra gładka i płaska niczym biały winyl.**

**–Mają tam diabelski młyn, kilka karuzel i gier... w ze**

**szłym roku była wróżka.**

**Jego dłonie zataczają krąg, żeby pokazać jej kształt diabelskiego młyna, a potem lądują z powrotem na udach.**

**–Na wróżkę wołają madame Tiresias, ale to oczywiście**

**nie jest jej prawdziwe nazwisko.**

**Holly ściska medalion tak mocno, że bolą ją knykcie. Wypukły portret świętego z pewnością odbije się na jej dłoni.**

**–Madame Tiresias to oszustka, ale co zabawne, ma**

**moc, z której nie zdaje sobie sprawy.**

**Porywacz robi przerwę po każdym zdaniu, jakby to, co mówił, było tak głębokie, że Holly powinna mieć chwilę, żeby się nad tym zastanowić.**

**–Gdyby wiedziała, kim naprawdę jest, nie musiałaby**

**oszukiwać i w tym roku zamierzam jej to pokazać.**

**Opanowanie drżenia w głosie wymaga dużej mobilizacji, lecz Holly zadaje mu ponownie pytanie, na które nie odpowiedział.**

**–Co to znaczy, że wszystko zależy ode mnie? Porywacz**

**uśmiecha się i przez chwilę w poziomej dziurze**

w kominiarce nie widać całych ust. Jego uśmiech wydaje się chytry i znaczący, jakby nie mogły się przed nim ostać niczyje sekrety.

–Wiesz, co to znaczy – mówi. – Nie jesteś podobna

do madame Tiresias. Wiesz o sobie wszystko.

Holly czuje, że negując to, wystawiłaby na próbę jego cierpliwość, być może nawet go rozgniewała. Cichy głos i grzeczne maniery porywacza są owczą skórą, pod którą skrywa się wilk. Nie chce, żeby ją zrzucił.

Dałeś mi tak dużo do myślenia – mówi.

Zdaję sobie z tego sprawę. Żyłś za zasłoną, a teraz wiesz, że jest za nią nie tylko okno, lecz cały nowy świat.

Tak – odpowiada Holly, bojąc się, że jedno słowo za dużo może zniweczyć zakłęcie, które sam na siebie rzucił.

Mężczyzna wstaje z klęczek.

–Masz jeszcze kilka godzin, żeby podjąć decyzję. Po

trzebujesz czegoś?

Strzelby, myśli Holly.

–Nie – mówi na głos.

Wiem, jaka będzie twoja decyzja, ale musisz do niej sa-

ma dojść. Byłaś kiedyś w Guadalupicie w Nowym Meksyku?

–Nie.

Za otworem w kominiarce jego wargi wykrzywają się w uśmiechu.

–Pojedziesz tam i się zadziwisz.

Porywacz rusza w ślad za promieniem swojej latarki i zostawia ją w mroku.

Holly uprzytamnia sobie stopniowo, że wiatr wcale nie przestał wiać. Kiedy mężczyzna powiedział jej, że zabił dwóch pozostałych porywaczy, wichura zniknęła po prostu z jej świadomości.

Przez moment słyszała tylko jego głos. Zdradliwy, podstępny głos.

**Nie słyszała nawet własnego serca, lecz teraz je słyszy. Słyszy i czuje, jak tłucze się rozpaczliwie w klatce piersiowej.**

**Jej dziecko, mała kulka komórek, pływa teraz w adrenalinie, którą umysł kazał przetoczyć do krwi. Może to wcale nie tak źle. Może to całkiem dobrze. Może zamarynowane w tej kąpieli maleństwo Raffertych, ona lub on, stanie się twardsze, niż byłoby w innym wypadku**

**Żyjemy w świecie, w którym dobrzy ludzie muszą być coraz twardsi.**

**Trzymając w ręku medalik ze świętym Krzysztofem Holly Zabiera się z powrotem do wyciągania upartego gwoźdźdza.**

**Część III**

**Dopóki śmierć nas**

**nie rozłączy**

Dzwonek obudził Mitcha o wpół do dziewiątej. Wiatr, który prześladował go we śnie, nadal wiał w realnym świecie.

Siedząc przez chwilę na skraju łóżka i ziewając, przyjrzał się swoim dłoniom, od wewnątrz, a potem z zewnątrz. Po tym, co zrobiły te ręce minionej nocy, powinny wyglądać inaczej niż wcześniej, on jednak nie spostrzegł w nich żadnej zmiany.

Mijając lustro w drzwiach szafy, zobaczył, że jego ubranie nie jest zbyt pogniecione. Obudził się w tej samej pozycji, w jakiej zasnął; najwyraźniej nie poruszył się ani razu w ciągu czterech godzin.

W łazience przeszukał szuflady i znalazł kilka nieodpa-ko-wanych szczoteczek do zębów. Użył jednej z nich i ogolił się maszynką elektryczną Ansona.

Uzbrojony w pistolet i paralizator zszedł na dół do kuchni.

Krzesło wciąż podpierało klamkę do drzwi pralni. Nie dochodził zza nich żaden dźwięk.

Rozbił trzy jajka, skropił je sosem tabasco, usmażył, posypał parmezanem i zjadł z dwiema kromkami posmarowanego masłem chleba, popijając sokiem pomarańczowym.

Z nawyku zaczął zbierać naczynia, żeby je pozmywać. Dopiero po chwili uświadomił sobie, jak absurdalne byłoby w tych okolicznościach takie zachowanie, i zostawił je brudne na stole.

Kiedy otworzył drzwi pralni i zapalił światło, Anson sie-

dział przykuty do krzesła i zlany potem. W pomieszczeniu nie było szczególnie ciepło. – Myślałeś o tym, kim jestem? – zapytał Mitch. Anson nie robił już wrażenia rozgniewanego. Osunął się na krzesło i spuścił głowę. Fizycznie nie wydawał się mniejszy, ale uszło z niego powietrze.

–Myślałeś o tym, kim jestem? – powtórzył Mitch, kie

dy brat nie odpowiedział na jego pytanie.

Anson uniósł głowę. Miał przekrwione oczy i blade wargi. Kropelki potu lśniły na jego zaroście.

–Czuję się fatalnie – poskarżył się płaczącym tonem,

którego nie używał nigdy wcześniej i który dawał do zro

zumienia, że uważa się za ofiarę.

–Powtórzę jeszcze raz. Myślałeś o tym, kim jestem? – Jesteś Mitchem, ale nie tym Mitchem, którego znałem. – To dobry początek.

–Jest w tobie coś... nie wiem, kim jesteś. – Jestem mężem. Kultuwuję. Ocalam. – Co to ma znaczyć? – Nie sądzę, żebyś to zrozumiał. – Muszę iść do ubikacji. – Nie krępuj się.

–Zaraz popuszczę. Naprawdę muszę się odlać. – Mnie to nie przeszkadza. – Chcesz powiedzieć, że mam to zrobić tutaj? – Trochę nabrudzisz, ale tak będzie najlepiej. – Nie rób mi tego, brachu. – Nie mów do mnie „brachu”. – Nadal jesteś moim bratem. – Biologicznie.

–Człowieku, to nie jest w porządku. – Nie, to nie jest w porządku.

Nogi krzesła zdrapały dużo więcej szkliva z płytek podłogi. Dwie były popękane.

–Gdzie trzymasz gotówkę? – zapytał Mitch. – Nie poniżalem cię w ten sposób.

–Przekazałeś mnie zabójcom. – Ale przedtem cię nie upokarzałem.

–Powiedziałaś, że zgwałciłbyś moją żonę i dopiero po tem zabił.

–Tak się tego uczepliłeś? Przecież już to wyjaśniłem.

Anson tak gwałtownie starał się oderwać krzesło od

pralki, że gruby pomarańczowy kabel wygiął jej metalową obudowę.

–Gdzie trzymasz gotówkę, Anson?

–Mam... no nie wiem... może kilkaset dolarów w portfelu.

–Nie jestem idiotą. Nie rób sobie jaj.

–To kurewsko boli – poskarżył się łamiącym głosem Anson.

–Co takiego?

–Ręce. Rwą mnie ramiona. Pozwól mi zmienić pozycję. Załóż kajdanki z przodu. To istne tortury.



Nadąsany Anson wyglądał jak duży mały chłopczyk. Chłopczyk o wyrachowanym, gadzim umyśle.

–Najpierw porozmawiamy o gotówce – powiedział Mitch.

–Myślisz, że jest tu gotówka, dużo gotówki? Nie ma.

Jeśli prześlę pieniądze przelewem, nigdy już nie zobaczę Holly.

Niekoniecznie. Nie zależy im na tym, żebyś poskarżył się gliniarzom.

–Nie będą chcieli, żeby zidentyfikowała ich w sądzie.

–Campbell może ich przekonać, żeby ją uwolnili.

–Każąc pobić ich matki i zgwałcić siostry?

–Chcesz ją odzyskać czy nie?

–Zabiłem jego dwóch ludzi. Myślisz, że mi pomoże?

–Niewykluczone. Teraz może cię nawet darzyć szacunkiem.

–Bez wzajemności.

–Człowieku, nie możesz tak surowo oceniać ludzi.

–Mam zamiar powiedzieć porywaczom, że będą musieli osobiście odebrać pieniądze. – Nie zgodzą się. – Musisz mieć gdzieś gotówkę – upierał się Mitch.

–Pieniądze dają odsetki, dywidendy. Nie wsadzam ich do materaca.

–Czytałeś te wszystkie opowieści o piratach.

–I co z tego?

–Utożsamiałeś się z nimi, uważałeś, że są cholernie fajni.

–Człowieku, proszę, pozwól mi iść do łazienki. Naprawdę jestem w krytycznej sytuacji – wy stękał Anson, krzywiąc się, jakby go bolało.

**–Teraz to ty jesteś piratem. Masz nawet własny statek i możesz prowadzić interesy z morza. Piraci nie wpłacają pieniędzy do banku. Lubią ich dotykać, lubią na nie patrzeć. Zakopują je, żeby mieć do nich łatwy dostęp, kiedy odwróci się od nich szczęście.**

**–Mitch, proszę, człowieku, pęka mi pęcherz.**

**–Owszem, pieniądze, które zarobiłeś na konsultacjach, idą do banku. Ale zapłata za coś... jak to ująłeś... „w bardziej oczywisty sposób nielegalnego”, na przykład z pracy, którą wykonałeś z tymi facetami, a potem oszukałeś ich przy podziale, nie idzie do banku. Nie zapłaciłeś od niej podatku.**

**Anson nie odezwał się.**

**–Nie pójdę z tobą do twojego gabinetu i nie będę patrzył, jak likwidujesz przez Internet fundusze i zlecasz przelew. Jesteś ode mnie większy. I zdesperowany. Nie dam ci szansy na odwrócenie sytuacji. Będziesz siedział na tym krześle, aż to się skończy.**

**–Zawsze mogłeś na mnie liczyć – powiedział oskar-życielskim tonem Anson.**

**–Nie zawsze.**

**–Mam na myśli dzieciństwo. Mogłeś na mnie zawsze liczyć, kiedy byliśmy dziećmi.**

**–Tak się składa – odparł Mitch – że mogliśmy na siebie wzajemnie liczyć.**

**–Owszem. Zgadza się. Byliśmy prawdziwymi braćmi.**

**Możemy do tego wrócić – zapewnił go Anson.**

**–Czyżby? Jak to sobie wyobrażasz?**

**–Nie mówię, że to będzie łatwe. Na początek musimy**

**szczerze porozmawiać. Dałem dupy, Mitch. To, co ci zrobiłem, było straszne. Byłem pod działaniem narkotyków, człowieku, i pomieszało mi się w głowie.**

**–Nie byłeś pod działaniem żadnych narkotyków. Nie zwalaj na nie winy. Gdzie jest gotówka?**

**–Przysięgam ci, że brudne pieniądze można wyprać, brachu. One też trafiają do banku.**

**–Nie wierzę ci.**

**–Możesz mnie przypiekać, ale to nie zmieni prawdy.**

**–Może powinieneś się nad tym jeszcze zastanowić.**

**–Nie ma tu się nad czym zastanawiać. Jest jak jest. Mi-tch zgasił światło.**

**–Nie rób tego – powiedział żalosnym tonem Anson. Mi-tch przestąpił próg, zamknął za sobą drzwi i zostawił swojego brata w ciemności.**

Zaczął od strychu. Wchodziło się tam po rozkładanej drabince przez właz w garderobie przy głównej sypialni.

W przyćmionym świetle dwóch gołych żarówek widać było pajęczyny w narożnikach krokwi.

Spod okapów dochodziło wściekle dyszenie, poświstywanie i posapywanie, jakby strych był klatką z kanarkami, a wiatr żarłocznym kotem.

Wiatr Santa Ana miał tak niespokojną naturę, że nawet pająki wspinały się nerwowo po swoich sieciach.

Strych był pusty. Mitch chciał się cofnąć, ale w ostatniej chwili coś go tknęło.

Podłoga była kryta sklejką. Anson nie ukryłby chyba grubej gotówki pod płytą sklejkę przybitą szesnastoma gwoździami do podłoża. W awaryjnej sytuacji niełatwo byłoby mu ją odzyskać.

Mimo to Mitch przespacerował się po strychu, słuchając własnych kroków i garbiąc się, żeby nie zaczepić głową o niższe krokwie. Miał dziwnie profetyczne wrażenie, że zaraz coś odkryje.

Jego uwagę przyciągnął jeden z gwoździ. Inne były przybite płasko do sklejkę, ten jeden wystawał z niej na wysokość jednej czwartej cala.

Ukląkł przed gwoździem, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Główka była szeroka i płaska. Sądząc po jej rozmiarach i grubości trzonka, gwoździe miał co najmniej trzy cale długości.

Kiedy złapał go palcem wskazującym i kciukiem i próbował poruszyć, okazało się, że jest mocno wbity w sklejkę.

Ogarnęło go niezwykle uczucie, podobne, lecz różniące się nieco od tego, którego doświadczył, widząc pole jęczmienia grzywiastego zmienione przez wiatr i światło księżycy w srebrzysty wodny wir.

Nagle poczuł, że Holly jest blisko niego, tak blisko, że obejrzał się przez ramię, spodziewając się niemal, że ją zobaczy. To uczucie nie słabło, lecz wzmagalo się, aż ciarki zaczęły mu chodzić po karku.

Zszedł ze strychu i wrócił do kuchni. W szufladzie, w której znalazł wcześniej

kluczyki samochodowe, był niewielki zestaw najczęściej używanych narzędzi. Zabrał z niej śrubokręt i młotek ciesielski.

–Co się dzieje? – zawołał z pralni Anson.

Mitch nie odpowiedział.

Wróciwszy na strych, wsunął łapki młotka pod gwóźdź i wyciągnął go. Używając śrubokręta jako klina i uderzając w jego rączkę obuchem, podważył następny gwóźdź o ćwierć cala i również wyciągnął go łapkami młotka.

Poirytowane pająki wygrywały ciche arpeggia na swoich jedwabnych harfach. Wiatr nie cichł nawet na chwilę.

Przy każdym podważanym gwoździu czuł coraz mocniej, jak ciarki chodzą mu po karku. Po wyciągnięciu ostatniego podniósł szybko płytę sklejkę.

Zobaczył pod spodem belki podłogowe. Przestrzeń między nimi wypełniała izolacja ze szklanej waty.

Wyciągnął ją. Pod spodem nie było żadnego sejfu ani paczek z gotówką.

Profetyczne uczucie minęło, podobnie jak wrażenie, że jest blisko Holly. Mitch usiadł zaintrygowany. Co to, do diabła, mogło znaczyć?

Omiatając wzrokiem strych, nie widział powodu, żeby zrywać kolejne płyty sklejkę.

Jego pierwotna ocena była prawidłowa. Chociażby z obawy przed pożarem Anson nie ukryłby dużych pieniędzy w

miejscu, z którego nie mógł ich szybko wyciągnąć.

Zostawił pająki w ciemności razem z nie dającym za wygraną wiatrem.

Po złożeniu drabinki i zamknięciu klapy na strych przeszukał garderobę w głównej sypialni. Zajrzał za ubrania, sprawdził, czy szuflady nie mają fałszywego dna, obmacał każdą półkę i każdą listwę, szukając ukrytej dźwigni, która otwierałaby tajną skrytkę.

W sypialni zajrzał za obrazy w nadziei, że znajdzie ścienny sejf, chociaż wątpił, by Anson wymyślił coś tak banalnego. Odsunął nawet od ściany podwójne łóżko, ale nie znalazł pod nim dywanika skrywającego sejf w podłodze.

Sprawdził dwie łazienki, szafę w przedpokoju i dwie nie-umeblowane sypialnie. Bez rezultatu.

Na dole zaczął od wykończonego w mahoniu, wypełnionego książkami gabinetu. Było tam tyle potencjalnych skrytek, że kiedy zerknął na zegarek i zobaczył, że jest 11.33, sprawdził dopiero połowę pokoju. Porywacze mieli zadzwonić za dwadzieścia siedem minut. Wrócił do kuchni, wziął do ręki pistolet i podszedł do drzwi pralni. Kiedy je otworzył, powitał go zapach uryny. Zapalił światło i zobaczył Ansona w żalonym stanie. Większość moczu wsiąkła w jego spodnie, skarpetki i buty, lecz na płytkach przy nogach krzesła utworzyła się mała żółta kałuża.

Do uczuć, które socjopaci dzielą z normalnymi ludźmi, należą oprócz wściekłości miłość do samego siebie i rozczulanie nad sobą, jedyna miłość i jedyna czułość, do których są zdolni. Miłość własna przekracza u nich zwykłą wybujałą egomanię.

W psychotycznej miłości do samego siebie nie ma miejsca na godność własną, lecz obecna jest w niej specyficzna, nieokiełznana duma. Anson nie wiedział, co to wstyd, lecz upadł bardzo nisko i jego duma legła w gruzach.

Spod opalenizny wyzierała szarość. Jego twarz wydawała się gąbczasta, ziemista. W przekrwionych lśniących oczach

płonęła udręka.

–Zobacz, co mi zrobiłeś – powiedział.

–Sam to sobie zrobiłeś.

Jeśli w jego użalaniu na sobą obecny był element gniewu, dobrze go ukrył.

**-To jest chore, człowieku.**

**-Bardzo chore – zgodził się Mitch.**

**-Masz niezłą zabawę.**

**-Nie. Nie ma w tym nic śmiesznego.**

**-Śmiejesz się w głębi duszy.**

**-Brzydzę się tym.**

**-Jeżeli się tym brzydzisz, gdzie jest twój wstyd? Mitch nie odpowiedział.**

**-Gdzie są twoje rumieńce? Gdzie się podział mój czerwieniący się brat?**

**-Nie mamy dużo czasu, Anson. Zaraz będą dzwonić. Chcę gotówkę.**

**-Co za to dostanę? Co z tego będę miał? Dlaczego mam ciągle dawać i dawać?**

**Mitch wyciągnął rękę przed siebie i wycelował z pistoletu w twarz brata, dokładnie tak samo, jak w jego twarz mierzył Campbell.**

**-Jeżeli dasz mi pieniądze, pozwolę ci żyć.**

**-Co to bodzie za życie?**

**-Zachowasz wszystko, co poza tym masz. Ja zapłacę**

**okup i załatwię to tak, że policja w ogóle się nie dowie, że doszło do porwania. Nie będziesz musiał zeznawać.**

**Anson bez wątpienia myślał o Danielu i Kathy. – Będziesz robił to, co przedtem – skłamał Mitch. – Prowadził takie życie, jakie ci się podoba.**

**Gdyby leżał gdzieś w bezimiennym grobie na pustyni, Anson bez trudu wrobiłby go w zabójstwo rodziców. Teraz nie było to takie łatwe.**

**-Dam ci pieniądze, a ty mnie uwolnisz – powiedział.**

**-Zgadza się.**

**-Jak? – zapytał z powątpiewaniem Anson.**

–Zanim wyjdę, żeby dokonać wymiany, porażę cię znowu prądem, a potem zdejmę kajdanki. Wyjdę, zanim skończą się konwulsje.

Anson przez chwilę się nad tym zastanawiał.

–Decyduj się, piracie. Oddaj skarb. Jeżeli nie powiesz mi, zanim zadzwoni telefon, będzie po tobie.

Anson spojrzał mu prosto w twarz. Mitch nie odwrócił wzroku.

–Zrobię to.

–Niczym się ode mnie nie różnisz – powiedział Anson.

–Skoro tak uważasz.

Anson nadal mierzył go baczным, śmiałym spojrzeniem.

Był przykuty do krzesła. Bolały go ręce i ramiona. Złał się w spodnie. Spoglądał w lufę pistoletu.

Mimo to jego oczy były nieruchome i wyrachowane. Mogło się zdawać, że cmentarny szczur, kopiący tunele między czaszkami nieboszczyków, zamieszkał teraz w jego głowie i spoziera z jej wnętrza z chłodną przebiegłością.

–W kuchni jest sejf w podłodze – powiedział Anson.

W szafce stojącej po lewej stronie zlewozmywaka były dwie szuflady z garnkami i patelniami. Mitch wyładował je i zdjął szuflady z szyn, po których się przesuwaly, odsłaniając w niecałą minutę podłogę pod szafką.

Stojące w czterech rogach małe drewniane wsporniki okazały się w rzeczywistości czopami, które utrzymywały w miejscu luźny panel podłogi.

Mitch usunął czopy, wyjął panel i odsłonił betonowy fundament, na którym zbudowano dom. W betonie tkwił sejf podłogowy.



Kombinacja cyfrowa, którą podał mu Anson, zadziałała za pierwszym razem. Mitch uniósł osadzone na zawiasach ciężkie wieko.

Ognioodporny sejf miał mniej więcej dwie stopy długości, jedną stopę głębokości i osiemnaście cali szerokości. Wewnątrz były grube pakiety zapakowanych w kuchenną folię i zawiązanych taśmą studolarowych banknotów.

Leżała tam także brązowa koperta. Według Ansona były w niej wydane przez szwajcarski bank obligacje na okaziciela. Miały prawie tę samą płynność co studolarówki, ale zajmowały mniej miejsca i łatwiej było je przewozić przez granicę.

Mitch położył skarb na kuchennym stole i sprawdził zawartość koperty. Znalazł tam sześć obligacji nominowanych w amerykańskich dolarach, na sto tysięcy każda, płatnych na okaziciela niezależnie od tego, czy był nabywcą

czy też nie.

Jeszcze dzień wcześniej nie spodziewał się, że kiedykolwiek będzie miał tyle pieniędzy; wątpił też, by w przyszłości znalazł się ponownie w posiadaniu takiej fortuny. Mimo to nie odczuwał najmniejszego zdziwienia ani radości na widok takiego bogactwa.

To był okup za Holly i cieszył się, że go ma. Te pieniądze były również powodem, dla którego została porwana, i z tego względu czuł do nich taką niechęć, że brzydził się ich niemal dotknąć. Na kuchennym zegarze była 11.54. Sześć minut do telefonu.

Wrócił do pralni, w której zostawił wcześniej zapalone światło i otwarte drzwi.

Anson siedział na mokrym krześle, zatopiony w sobie, dosłownie i w przenośni. Podniósł wzrok, dopiero kiedy Mi-tch się do niego odezwał.

–Sześćset tysięcy w obligacjach. Ile w gotówce?

–Cała reszta – odparł Anson.

–Reszta dwóch milionów? Więc w gotówce jest milion czterysta tysięcy?

–Tak jak powiedziałem. Czy nie tak ci powiedziałem? – Mam zamiar je przeliczyć. – Proszę bardzo.

–Jeśli nie będzie tam miliona czterystu tysięcy, umowa jest nieważna. Nie rozkuję cię przed wyjściem.

**Sfrustrowany Anson zagrzechotał kajdankami o krzesło.**

**–Co chcesz mi zrobić?**

**–Mówię po prostu, jak jest. Żebym dotrzymał umowy, ty też musisz jej dotrzymać. Zaczynam liczyć.**

**Mitch ruszył w stronę kuchennego stołu.**

**–W gotówce jest osiemset tysięcy – powiedział Anson.**

**–Nie milion czterysta?**

**–Wszystko, gotówka i obligacje są warte milion czterysta. Pomyliło mi się.**

**–Jasne. Pomyliło ci się. Potrzebuję jeszcze sześciuset tysięcy.**

**–To wszystko, co jest. Nie mam ani centa więcej. – Wcześniej mówiłeś, że nie masz nawet tego. – Nie zawsze kłamię – zapewnił go Anson.**

**–Piraci nie zakopują wszystkiego, co mają, w jednym miejscu.**

**–Możesz dać sobie spokój z tą gadką o piratach?**

**–Dlaczego? Bo słuchając jej, czujesz, że nigdy nie dorosłeś?**

**Na zegarze była 11.55.**

**Mitchowi przyszedł do głowy pewien pomysł.**

**–Mam dać sobie spokój z tą gadką o piratach, bo pomyślę o jachcie. Kupiłeś sobie pełnomorski jacht. Ile ukryłeś na pokładzie?**

**–Nic. Nie mam nic na łodzi. Nie miałem czasu zamontować tam sejfu.**

**–Jeżeli zabiją Holly, przejrzę twoje archiwum – powiedział Mitch. – Dowiem się, jak się nazywa łódź i gdzie jest przycumowana. Pojadę na przystań z toporkiem i wiertarką.**

**–Rób, co musisz.**

**–Rozpruję ją od dziobu do rufy i kiedy znajdę pieniądze i przekonam się, że mnie okłamałeś, wrócę tutaj i zakleję ci usta taśmą, żebyś mnie więcej nie oszukiwał.**

**–Mówię prawdę.**

**–Zamknę cię tutaj w ciemności, bez wody i bez jedzenia, zamknę cię, żebyś zmarł z odwodnienia w swoich własnych odchodach. Będę siedział w kuchni przy twoim stole, obżerał się twoim jedzeniem i słuchał, jak zdychasz.**

**Mitch nie wierzył, by zdołał uśmiercić kogoś w tak okrutny sposób, ale jego słowa brzmiały chyba twardo, bezwzględnie i przekonująco.**

**Zresztą gdyby stracił Holly, wszystko byłoby możliwe. Dzięki niej zaczął żyć pełnią życia. Bez niej jakaś jego część umrze i będzie w mniejszym stopniu człowiekiem.**

**–No dobrze. W porządku. Czteryście tysięcy – po  
wiedział Anson, który doszedł chyba do podobnego wniosku.**

**–Co?**

**–Na łodzi. Powiem ci, gdzie je można znaleźć.**

**–Nadal brakuje nam dwustu tysięcy.**

**–Więcej nie mam. W gotówce. Musiałbym zlikwidować trochę aktywów.**

**Mitch obejrzał się, żeby spojrzeć na kuchenny zegar. 11.56.**

**–Cztery minuty. Nie ma już czasu na kłamstwa, Anson.**

**–Czy choć raz możesz mi uwierzyć? Jeden raz? Nie mam więcej w gotówce.**

**–I tak muszę już zmienić warunki wymiany – zafrasował się Mitch. – Pieniądze nie pójdą przelewem. Teraz muszę ich na dodatek przekonać, żeby opuścili cenę o dwieście tysięcy.**

**–Zgodzą się – zapewnił go Anson. – Znam tych gnojków. Myślisz, że odrzucą milion osiemset tysięcy? Nie ma mowy. Nie te gnojki.**

**–Lepiej, żebyś miał rację.**

**–Słuchaj, już się dogadaliśmy, prawda? Dogadaliśmy się? Więc nie zostawiaj mnie w ciemności.**

**Mitch zdążył się już od niego odwrócić. Nie zgasił światła w pralni i nie zamknął drzwi.**

**Przy stole przyjrzał się obligacjom na okaziciela i gotówce, a potem wziął notes i długopis i podszedł do telefonu.**

**Nie mógł patrzeć na aparat. Telefony nie przynosiły mu ostatnio dobrych wiadomości.**

**Zamknął oczy.**

**Kiedy przed trzema laty brali ślub, nie było na nim ich rodziny. Dorothy, babcia, która wychowywała Holly, zmarła nagle pięć miesięcy wcześniej. Ze strony ojca miała ciotkę i dwóch kuzynów. Nie знаła ich. Nic ich nie obchodziła.**

**Mitch nie mógł zaprosić na wesele swojego brata i trzech sióstr, nie zapraszając jednocześnie rodziców. Nie chciał, żeby Daniel i Kathy byli na jego ślubie.**

**Powodem nie była gorycz. Nie wykluczał rodziców dlatego, że się na nich gniewał albo chciał ich ukarać. Po prostu bał się obecności Daniela i Kathy.**

**To małżeństwo było dla niego drugą szansą stworzenia rodziny i gdyby mu się nie udało, nie miałyby odwagi próbować po raz trzeci. Daniel i Kathy byli chorobą układową rodziny, zarazą, która dopuszczona do korzeni z pewnością zdeformowałaby roślinę i zniszczyła jej owoce.**

**Potem powiedział rodzinie, że wzięli ślub potajemnie, w rzeczywistości jednak wyprawili w domu małą uroczystość i przyjęcie dla niewielkiej liczby przyjaciół. Iggy miał rację: kapela była do niczego. Za wiele piosenek z tamburynami. I piosenkarz gej, który uważał, że najlepiej wychodzi mu śpiew falsetem.**

**Kiedy wszyscy poszli i zespół muzyczny stał się komicznym wspomnieniem, on i Holly zatańczyli do muzyki z radia na składanym parkiecie, który rozłożono na podwórku z tej okazji. W świetle księżycy była tak urocza, tak nieziemska, że podświadomie ścisnął ją zbyt mocno, jakby mogła roz**

**płynąć się niczym zjawą. „Nie potłucz mnie, szepnęła, a on odprężył się i położyła mu głowę na ramieniu. Chociaż nie był zbyt zgrabnym tancerzem, ani razu me pomylił kroku Wokół nich rosły bujne rośliny, efekt jego cierpliwej pracy a nad ich głowami świeciły gwiazdy, których nigdy jej nje' ofiarował, ponieważ nie był skłonny do poetyckich uniesień lecz i tak należały do niej wszystkie gwiazdy i składał jej hołd księżyc, niebiosa i cała noc. Zadzwoił telefon.**

–Mówi Mitch – powiedział, odebrawszy po drugim dzwonku.

–Cześć, Mitch. Chyba nie tracisz nadziei? Łagodny głos należał do innego porywacza, nie tego,

z którym rozmawiał poprzednio. Ta zmiana go zaniepokoiła.

–Nie. Nie tracę nadziei – odparł.

–To dobrze. Niczego nie da się osiągnąć bez nadziei. To nadzieja przywiodła mnie tutaj z Angel Fire i zaprowadzi z powrotem.

Właściwie zaniepokoiła go nie sama zmiana, ale tembr głosu. Mężczyzna mówił z łagodnością, od której chodziły po plecach ciarki.

–Chcę porozmawiać z Holly.

–Oczywiście, że chcesz. To gwiazda sezonu. I trzyma się bardzo dzielnie. Niełatwo ją złamać.

Mitch nie wiedział, co ma o tym sądzić. To, co facet mówił o Holly, było prawdą, ale w jego ustach brzmiało obrzydliwie.

–Wszystko w porządku, Mitch? – odezwała się w słuchawce Holly.

–W porządku. Szaleję z niepokoju, ale nic mi nie jest. Kocham cię.

–U mnie też wszystko w porządku. Tak naprawdę nie zrobili mi nic złego.

–Jakoś to załatwimy – zapewnił ją. – Nie opuszczę cię w potrzebie.

–Wiem, że nigdy byś tego nie zrobił. Nigdy.

–Kocham cię, Holly

–On chce, żebym oddała mu słuchawkę – powiedzia

ła i przekazała ją porywaczowi.

Była jakaś skrępowana. Dwa razy powiedział, że ją kocha, i dwa razy nie doczekał się odpowiedzi. Coś było nie w porządku.

**–Nastąpiła pewna zmiana w planie, Mitch, ważna**

**zmiana – odezwał się ponownie łagodny głos. – Zamiast**

**przelewu przez Internet preferujemy gotówkę.**

**Mitch martwił się, że nie zdoła ich przekonać do przyjęcia gotówki zamiast przelewu. Propozycja porywacza powinna sprawić mu ulgę. Zamiast tego się przestraszył. To był kolejny znak, że coś pokrzyżowało im szyki. Nowy głos przez telefon, skrępowana Holly i nagle upodobanie do gotówki.**

**–Słuchasz mnie, Mitch?**

**–Tak. Tyle że zbiliście mnie trochę z tropu. Powinniście wiedzieć... Anson nie okazał się tak troskliwym bratem, jak się spodziewaliście.**

**Jego rozmówcę najwyraźniej to ubawiło.**

**–Inni sądzili, że się nim okaże. Ja nie byłem tego taki**

**pewien. Nie można oczekiwać autentycznych łez u kro**

**kodyla.**

**–Panuję nad sytuacją – zapewnił go Mitch. – Twój brat cię zaskoczył?**

**–Kilka razy. Posłuchaj, w tym momencie mogę wam dostarczyć osiemset tysięcy w gotówce i sześćset tysięcy w obligacjach na okaziciela.**

**–To oczywiście pewien zawód – oznajmił porywacz, zanim Mitch zdążył dodać, że dodatkowe czterysta tysięcy jest prawdopodobnie na jachcie Ansona. – Brakujące sześćset tysięcy dałoby dużo czasu na poszukiwania.**

**Mitch nie dosłyszał ostatniego słowa.**

**–Dużo czasu na co?**

**–Czy jesteś poszukiwaczem, Mitch?**

**–Poszukiwaczem czego?**

**–Gdybyśmy znali odpowiedź, nie trzeba byłoby szukać. Milion czterysta tysięcy jest do przyjęcia. Potraktuję to jako rabat za wypłatę w gotówce.**

**–Możesz wypowiadać się w imieniu wspólników? – zapytał Mitch, zaskoczony łatwością, z jaką zaakceptowana została niższa kwota.**

**-Tak. Jeżeli ja tego nie zrobię, kto wypowie się w ich imieniu?**

**-Więc... co teraz?**

**-Przyjedziesz sam.**

**-Dobrze.**

**-Nieuzbrojony.**

**-Dobrze.**

**-Zapakuj pieniądze i obligacje w plastikową torbę na**

**śmieci. Nie zawiązuj jej na górze. Wiesz, gdzie jest rezyden  
cja Turnbridge'a?**

**-Wszyscy w hrabstwie znają rezydencję Turnbridge'a.**

**-Przyjedź tam o trzeciej. Nie próbuj być cwany i nie**

**przyjeżdżaj wcześniej, żeby zająć lepszą pozycję. Osiągniesz tylko to, że zginie  
twoja żona.**

**-Będę tam o trzeciej. Ani minuty wcześniej. Jak dostanę się do środka?**

**-Brama wygląda na zamkniętą, ale łańcuch można zdjąć. Po wjeździe do środka  
załóż go z powrotem. Jakim samochodem przyjedziesz?**

**-Moją hondą.**

**-Zatrzymaj się dokładnie przed domem. Zobacysz SU-V-a. Zaparkuj daleko od  
niego. Stań hondą tyłem do domu i otwórz bagażnik. Chcę widzieć, że nikogo w nim  
nie ma.**

**-Dobrze.**

**-W tym momencie zadzwonię na twoją komórkę z dalszymi instrukcjami.**

**-Zaczekaj. Moja komórka jest rozładowana. – W rzeczywistości aparat był gdzieś w  
Rancho Santa Fe. – Czy mogę skorzystać z komórki Ansona?**

**-Jaki jest numer?**

**Telefon komórkowy Ansona leżał na kuchennym stole przy pieniądzech i**

**obligacjach. Mitch złapał go.**

**–Nie znam numeru. Będę ją musiał włączyć i sprawdzić. Daj mi chwilę.**

**–Powiedz mi, czy Anson żyje? – zapytał człowiek o łagodnym głosie, kiedy Mitch czekał, aż z wyświetlacza zniknie logo operatora.**

**–Tak – odparł krótko Mitch, zaskoczony pytaniem.**

**–Twoja prosta odpowiedź wiele mi mówi – oznajmił rozbawionym tonem jego rozmówca.**

**–Co ci mówi?**

**–Nie docenił cię.**

**–Odczytujesz zbyt wiele z jednego słowa. Oto numer komórki – powiedział Mitch i podał mu go, a potem jeszcze raz powtórzył.**

**–Chcemy, żeby wszystko odbyło się gładko i bez komplikacji – zaznaczył mężczyzna. – Najlepiej dobija się interesu, kiedy wszyscy uważają, że wygrali. – Mitch zwrócił uwagę, że po raz pierwszy użył liczby mnogiej zamiast pojedynczej. – O trzeciej – przypomniał mu rozmówca i rozłączył się.**



W pralni wszystko było białe z wyjątkiem czerwonego krzesła, siedzącego na nim Ansona i małej żółtej kałuży.

Kołyszący się nerwowo na krześle, roztaczający wokół siebie niemiły zapach Anson stał się bardziej skłonny do współpracy.

–Tak, jeden z nich mówi w ten sposób. Nazywa się Jimmy Null. Jest zawodowcem, ale nie pcha się przed szereg. Jeżeli z tobą rozmawiał, to znaczy, że inni nie żyją.

–Jak to?

–Coś poszło nie tak, o coś się pokłócili i postanowił, że weźmie wszystko.

–Myślisz, że został tylko jeden?

–To nie ułatwia ci sprawy, ale ją utrudnia.

–Dlaczego utrudnia?

–Skoro kropnął pozostałych, nie będzie chciał zostawiać żadnych śladów.

–Załatwi Holly i mnie.

–Dopiero kiedy dostanie pieniądze. – Mimo że był w sytuacji nie do pozazdroszczenia, Anson zdołał się uśmiechnąć. – Chcesz wiedzieć, skąd mam pieniądze, braciszku? Chcesz wiedzieć, jak zarabiam na życie?

Złośliwy błysk w jego oczach świadczył, że chce ujawnić tę. informację tylko po to, by zaszkodzić bratu. Mitch zdawał sobie z tego sprawę, ale ciekawość wzięła górę nad ostrożnością.

Zanim którykolwiek z nich zdołał się odezwać, zadzwonił telefon.

Mitch wrócił do kuchni. Przez chwilę zastanawiał się, czy w ogóle odebrać, ale potem przyszło mu do głowy, że to Jimmy Null z dodatkowymi instrukcjami.

–Halo?

–Anson? – Ansona nie ma. – Kto mówi? Głos nie należał do Jimmy'ego Nulla.

–Jestem przyjacielem Ansona – powiedział Mitch.

Teraz, kiedy podniósł już słuchawkę, najlepiej było prowadzić rozmowę, jakby

**wszystko było w całkowitym porządku.**

**–Kiedy wróci? – zapytał rozmówca. – Jutro.**

**–Dodzwonię się do niego na komórkę? Głos wydawał się Mitchowi znajomy.**

**–Zapomniał jej zabrać – powiedział, podnosząc ją z blatu.**

**–Może pan mu przekazać wiadomość? – Jasne. Niech pan mówi.**

**–Proszę mu powiedzieć, że dzwonił Julian Campbell. Szare przejrzyste oczy, lśniący złoty rolex. – Coś jeszcze?**

**–To wszystko. Choć właściwie pewna rzecz nie daje mi**

**spokoju, przyjacielu Ansona.**

**Mitch nie odpowiedział. – Jesteś tam, przyjacielu Ansona? – Tak.**

**–Mam nadzieję, że dbasz o mojego chryslera Kocham ten samochód. Do zobaczenia.**

Mitch znalazł szufladę, w której Anson trzymał dwa pudełka plastikowych worków na śmieci. Wybrał mniejszy rozmiar, białą trzydziestolitrową torbę.

Włożył do niej bloki gotówki i kopertę z obligacjami na okaziciela, skręcił torbę na górze, ale nie związał końcówek.

O tej porze z Rancho Santa Fe do Corona del Mar jechało się mniej więcej dwie godziny. Nawet jeżeli Campbell miał wspólników w hrabstwie Orange, nie mogli pojawić się natychmiast.

–Kto dzwonił? – zapytał Anson, kiedy Mitch wrócił do pralni.

–Akwizytor.

Przekrwione zielone oczy Ansona przypominały morską toń, w której ucztował przed chwilą rekin.

–Nie brzmiało to jak rozmowa z akwizytorem.

–Miałeś mi opowiedzieć, jak zarabiasz na życie.

W oczach Ansona ponownie pojawił się złośliwy błysk. Chciał opowiedzieć o swoich sukcesach nie dlatego, że się nimi szczycił, ale ponieważ te informacje mogły w jakiś sposób zranić Mitcha.

–Wyobraź sobie, że wysyłasz przez Internet dane klientowi i wygląda to na całkiem niewinny materiał; powiedzmy fotografie i teksty na temat historii Irlandii.

–Ale to tylko pozory.

–To nie są zaszyfrowane dane, których nie odczyta się bez kodu. Wydają się czyste, niewarte uwagi. Ale kiedy przepuści się je przez specjalny program, fotografie i tekst przekształcą się w zupełnie inny materiał, w ukrytą prawdę.

–Co to za prawda?

–Zaczekaj. Najpierw... twój klient ładuje program, ale nie ma nigdzie kopii na twardym dysku. Jeżeli policja przeszuka jego komputer i spróbuje skopiować albo przeanalizować system operacyjny, program skasuje się samorzutnie i będzie nie do odtworzenia. Podobnie jak przechowywane w pamięci dokumenty, zarówno w

**pierwotnej, jak i przetworzonej formie.**

**Mitch, który starał się nie wiedzieć o komputerach więcej, niż to jest absolutnie konieczne we współczesnym świecie, nie dostrzegł jakichś szczególnych zastosowań dla tego wynalazku. Ale jedno przyszło mu do głowy.**

**–Terrorysty mogliby na przykład komunikować się przez Internet – powiedział – a ktoś, kto monitoruje ich transmisje, stwierdziłby, że wymieniają tylko materiały na temat historii Irlandii.**

**–Albo Francji lub Tahiti, względnie analizują dogłębnie filmy z Johnem Wayne'em. Żadnych niebezpiecznych materiałów, żadnych wzbudzających podejrzenia, w oczywisty sposób zaszyfrowanych komunikatów. Ale terrorysty nie tworzą stabilnego, przynoszącego zyski rynku.**

**–A kto go tworzy?**

**–Wiele grup. Ale ja chcę ci opowiedzieć, na czym polegała praca, którą wykonywałem dla Juliana Campbella.**

**–Tego biznesmena od rozrywki.**

**–To prawda, że należy do niego kilka kasyn w różnych**

**krajach. Częściowo służą mu po to, żeby wyprać pieniądze**

**z innych rodzajów działalności.**

**Mitchowi wydawało się, że zdążył już poznać prawdziwego Ansona, tak bardzo różniącego się od tego, z którym jechał na południe do Rancho Santa Fe. Koniec z ilu-**

**zjami. Koniec zamykania oczu na rzeczywistość.**

**Mimo to teraz odsłaniało się przed nim trzecie oblicze tego człowieka, prawie tak samo obce jak oblicze Ansona numer dwa, którego poznał w bibliotece Campbella.**

**Twarz jego brata zyskała jakby nowego lokatora, który zamieszkał w jego czaszce i przygasił światła w dwóch znajomych zielonych oknach.**

**Mitch spostrzegł to, zanim jeszcze Anson zaczął opisywać interesy, które prowadził z Campbellem. Nie mógł tłumaczyć sobie, że to rewelacje Ansona sprawiły, iż spojrzał na niego w inny sposób, ponieważ zmiana na jego twarzy poprzedzała te rewelacje.**

**–Pół procent mężczyzn to pedofile – powiedział Anson.**

**–To daje półtora miliona w samych Stanach Zjed**

**noczonych. I miliony innych na całym świecie.**

**Przebywając w jasnym białym pomieszczeniu, Mitch miał wrażenie, że staje na progu ciemności, że otwiera się przed nim straszliwa brama i nie ma stamtąd powrotu.**

**–Pedofile są zagorzałymi konsumentami dziecięcej**

**pornografii – kontynuował Anson. – Chociaż kupując ją,**

**padają często ofiarą policyjnej prowokacji, robią wszystko,**

**żeby ją zdobyć.**

**Kto pomagał czynić zło Hitlerowi, Stalinowi i Mao Tse-tungowi? Pomagali im je czynić nasi sąsiedzi, przyjaciele, matki, ojcowie i bracia.**

**–Jeżeli materiał przychodzi w formie nudnego tekstu**

**o historii brytyjskiego teatru i można go przetworzyć na**

**podniecające ilustracje, a nawet filmy, jeżeli pedofile mogą**

**zaspokoić bezpiecznie swoje potrzeby, ich apetyt niepo**

**miernie wzrasta.**

**Mitch zostawił pistolet na kuchennym stole. Być może podświadomie bał się, że usłyszy coś podobnego, i wołał nie trzymać broni w reku.**

**–Campbell ma dwieście tysięcy klientów. Za dwa lata**

**spodziewa się miliona na całym świecie i przychodów rzędu**

**pięciu miliardów dolarów.**

**Mitch przypomniał sobie jajecznicę i grzanki, które zrobił sobie w kuchni tej kanalii. Żołądek podszedł mu do gardła na myśl, że jadł z talerzy i posługiwał się sztućcami, których dotykały te ręce.**

**–Zysk ze sprzedaży wynosi sześćdziesiąt procent. Do**

**rośli aktorzy robią to dla zabawy. Młodociane gwiazdy nie**

są opłacane. Co robiliby z pieniędzmi w tym wieku? A ja mam mały udział w biznesie Juliana. Powiedziałem ci, że uciulałem osiem milionów, ale w rzeczywistości jest tego trzy razy tyle.

W pralni zrobiło się nieznośnie ciasno. Mitch miał wrażenie, że oprócz jego brata są w niej niewidoczne legiony.

–Chciałem, żebyś zrozumiał, jak brudne są pieniądze, za które chcesz wykupić żonę, braciszku. Za każdym razem, kiedy będziesz całował i dotykał Holly, pomyślisz, skąd wzięły się te brudne, brudne pieniądze.

Przykuty do krzesła, siedzący we własnym moczu i spocony jak mysz po kilkugodzinnej udręce w ciemności, An-son podniósł dumnie głowę i wypiął pierś, jakby fakt, że robił to, co robił, fakt, że umożliwił Campbellowi prowadzenie zbrodniczego procederu, stanowił dla niego wystarczającą zapłatę, jakby to, że miał możliwość zaspokoić apetyty zdeprawowanych kosztem niewinnych, stanowiło całą nagrodę, jakiej potrzebował, by przetrwać obecne upokorzenia i czekającą go osobistą klęskę.

Niektórzy mogą nazwać taką postawę szaleństwem, ale Mitch znał jej prawdziwe imię.

–Wychodzę – oświadczył, ponieważ nie zostało już nic ważnego do powiedzenia.

–Poraż mnie prądem – zażądał Anson, jakby chciał potwierdzić, że Mitch nie może mu zaszkodzić w żaden trwały sposób.

–Mówisz o umowie, jaką zawarliśmy? – zapytał Mitch.

–Zapomnij o niej.

Zgasił światło i zamknął drzwi. Ponieważ istnieją moce, przeciwko którym mądrze jest przedsięwziąć dodatkowe –

a nawet irracjonalne – środki ostrożności, zablokował klamkę krzesłem. Gdyby miał czas, zabiłby drzwi gwoździami.

Przeszedł go nagły dreszcz. Miał wrażenie, że zaraz zwymiotuje. Przy zlewie

**spryskał twarz zimną wodą. W tym samym momencie zadźwięczał dzwonek do drzwi.**

Gong zagrał kilka taktów Ody do radości.

Od zakończenia rozmowy z Campbellem minęło tylko kilka minut. Aby ocalić roczne przychody rządu pięciu miliardów dolarów, biznesmen od rozrywki zrobiłby pewnie wszystko, nie zdążyłby jednak wysłać tak szybko do Anso-na dwóch nowych bandziorów.

Mitch zakręcił kran nad zlewozmywakiem i zastanawiał się, czy istnieje jakikolwiek powód, dla którego powinien sprawdzić przez okno w salonie, kim jest niespodziewany gość. Wyobraźnia nie podsunęła mu żadnego.

Pora się zmywać.

Złapał ze stołu torbę z okupem i pistolet i ruszył ku tylnym drzwiom.

Paralizator. Zostawił go na blacie przy piekarniku. Wrócił po niego.

Nieznany gość ponownie zadzwonił do drzwi.

–Kto to? – zapytał z pralni Anson.

–Listonosz. Zamknij się.

Podchodząc ponownie do drzwi, Mitch przypomniał sobie, że powinien wziąć komórkę brata. Leżała na stole przy pieniądzach, a mimo to zabrał tylko torbę i zostawił telefon.

Rozmowa z Julianem Campbellem, ohydne rewelacje Ansona oraz dzwonek do drzwi wytrąciły go najwyraźniej z równowagi.

Zabrał komórkę i obszedł kuchnię, omiatając ją wzro-

kiem. Nie zapomniał chyba o niczym więcej. Zgasił światło, wyszedł z domu i zamknął za sobą drzwi. Niezmordowany wiatr bawił się w chowanego pośród paproci i bambusów. Po patio hulały, szorując o cegły, przywiane z innej posiadłości skórzaste liście baniana.

Mitch wszedł tylnymi drzwiami do pierwszego z dwóch garaży. Czekająca na niego tutaj jego honda, w bagażniku zabytkowego buicka dojrzewał John Knox.

Wcześniej planował, że uwolniwszy się od zarzutu zamordowania Daniela i Kathy, obciąży Ansona odpowiedzialnością za śmierć Knoksa, jednak ponowne wkroczenie do akcji Campbella przypomniało mu, że stąpa po kruchym lodzie, i niesprecyzowany



**plan legł w gruzach.**

**Żadna z tych rzeczy nie była zresztą w tej chwili ważna. Kiedy Holly będzie bezpieczna, John Knox, trupy w pokoju nauki i przykuty do krzesła Anson odzyskają znaczenie, lecz teraz nie mieli związku z głównym problemem.**

**Do momentu przekazania okupu za Holly pozostało jeszcze ponad dwie i pół godziny. Otworzył bagażnik hondy i wcisnął torbę obok koła zapasowego.**

**Na przednim fotelu buicka znalazł pilota do bramy garażu i wsadził go za osłonę przeciwsłoneczną hondy, by móc zamknąć bramę po wyjeździe na zewnątrz.**

**Pistolet i paralizator włożył do schowka w drzwiach. Siedząc za kierownicą, widział broń, która była łatwiej dostępna, niż gdyby schował ją pod fotelem. nacisnął przycisk pilota i obserwował przez chwile w lusterku wstecznym, jak unosi się wielka brama**

**Wyjeżdżając tyłem z garażu, zerknął w prawo, przekonał się że ma wolną drogę... i wdepnął hamulec, kiedy ktoś zapukał w szybę po jego lewej stronie. Obróciwszy się gwałtownie, zobaczył przed sobą detektywa Taggarta**

–Witam, panie Rafferty – usłyszał stłumiony przez  
szybę głos.

Zanim opuścił szybę, zbyt długo wpatrywał się w policjanta. Było jasne, że jest zaskoczony, on jednak robił wrażenie zaszokowanego, przerażonego.

Taggart nachylił się do okna. Ciepły wiatr szarpał za poły jego sportowej marynarki i kołnierzyk żółto-brązowej koszuli hawajskiej.

–Ma pan dla mnie chwilę?

–Spieszę się do lekarza – odparł Mitch.

–Dobrze. Nie zajmę panu dużo czasu. Możemy poroz  
mawiać w garażu. Tam nie będzie wiało.

Z tyłu buicka leżało niczym nieosłonięte ciało Johna Knoksa. Detektyw z wydziału zabójstw mógł do niego podejść, wyczuwając słaby odór rozkładu albo chcąc przyjrzeć się pięknemu staremu autu.

–Niech pan wsiada do samochodu – powiedział Mitch, po czym wyjechał z garażu, zamknął pilotem bramę garażu i zaparkował z boku alejki.

–Dzwonił pan do dezynsekcji w sprawie tych termitów? – zapytał Taggart, siadając obok niego.

–Jeszcze nie – odparł Mitch, zasuwając szybą.

–Niech pan tego nie odkłada.

–Nie będę.

Mitch siedział odwrócony do przodu, wpatrując się w alejkę. Zapamiętał dobrze przenikliwy wzrok gliniarza i zamierzał zerkać na Taggarta tylko od czasu do czasu.

Jeśli martwi się pan o pestycydy, już ich nie używają.

Wiem. Mogą zamrozić robaki w ścianach.

–Mało tego, mają taki wysoko zagęszczony ekstrakt z pomarańczy, który zabija je przy pierwszym kontakcie. Wszystko odbywa się w sposób naturalny i dom

**wspaniale pachnie.**

**–Pomarańcze... Będę musiał to sprawdzić.**

**–Rozumiem, że był pan zbyt zajęty, żeby myśleć o termitach.**

**Niewinny człowiek mógłby zacząć się zastanawiać, o co w tym wszystkim chodzi, i okazać odrobinę zniecierpliwienia.**

**–Po co pan tu przyjechał, poruczniku? – zapytał Mitch.**

**–Przyjechałem do pańskiego brata, ale mi nie otworzył.**

**–Wróci dopiero jutro.**

**–Dokąd pojechał?**

**–Do Vegas.**

**–Wie pan, w jakim zatrzymał się hotelu?**

**–Nie powiedział.**

**–Nie słyszał pan dzwonka? – zapytał Taggart.**

**–Pewnie wyszedłem, zanim pan zadzwonił. Miałem do zrobienia kilka rzeczy w garażu.**

**–Opiekuje się pan domem brata, kiedy go nie ma?**

**–Owszem. Dlaczego chciał pan z nim rozmawiać? Detektyw podciągnął w górę jedną nogę i obrócił się twarzą do Mitcha, jakby chciał go zmusić do bardziej stałego kontaktu wzrokowego.**

**–Numery telefonów pańskiego brata były w książce adresowej Jasona Osteena.**

**–Poznali się, kiedy ja i Jason byliśmy współlokatorami.**

**–Pan nie utrzymywał kontaktów z Jasonem, ale pański brat tak.**

**–Nie wiem. Być może. Polubili się.**

**–Nad ranem wszystkie liście, śmieci i kurz zwiało do morza. Nie było widać niczego, co zdradzałoby obecność wiatru. Hondą kołysały niewidzialne niczym fale uderzeniowe strumienie krystalicznie czystego powietrza.**

**–Jason związał się z niejaką Leelee Morheim. Znał ją**

**pan? – zapytał Taggart.**

**–Nie.**

**–Leelee mówi, że Jason nienawidził pańskiego brata. Mówi, że pański brat oszukał go w interesach.**

**–Jakich interesach?**

**–Leelee nie wie jakich. Ale jeśli chodzi o Jasona, jedno**

**jest pewne: to, co robił, nie było uczciwe.**

**Słyszając to, Mitch powinien spojrzeć detektywowi prosto w oczy i zmarszczyć z niedowierzaniem brwi.**

**–Sugeruje pan, że Anson był zamieszany w coś nie**

**legalnego?**

**–Sądzi pan, że to możliwe?**

**–Ma doktorat z lingwistyki i jest specem od kom**

**puterów.**

**–Znam profesora fizyki, który zamordował swoją żonę, i ministra, który zamordował dziecko.**

**Biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia, Mitch nie wierzył już, że detektyw jest jednym z porywaczy.**

**Gdybyś zwierzył mu się ze swoich zmartwień, Mitch, Holly już by nie żyła.**

**Przestał się również przejmować tym, że porywacze obserwują go i podsłuchują rozmowy. Honda mogła być wyposażona w nadajnik, który pozwalał ją łatwo namierzyć, ale nie miało to już większego znaczenia.**

**Jeżeli Anson miał rację, Jimmy Null – ten o łagodnym głosie, troszczący się o to, by Mitch nie tracił nadziei – zabił swoich współników. Wszystko było teraz na jego głowie. W ostatnich godzinach operacji nie będzie się koncentrował na Mitchu, lecz na przygotowaniach do przejścia okupu.**

**Nie oznaczało to jednak, że Mitch może się zwrócić do Taggarta o pomoc.**

Wyjaśnienie wymagał leżący w buicku niczym w karawanie John Knox, potrójnie zabity w wyniku skręcenia karku, zmiżdżenia krtani oraz śmiertelnego postrzału. Żaden detektyw wydziału zabójstw nie da się szybko przekonać, że Knox zginął wskutek nieszczęśliwego wypadku.

Śmierć Daniela i Kathy również była trudna do wyjaśnienia.

Odnaleziony w tak żalosnym stanie Anson mógł wydać się nie prześladowcą, lecz ofiarą. Będąc utalentowanym kłamcą, udawałby niewinnego i próbował wprowadzić w błąd władze.

Do przekazania okupu pozostały tylko dwie i pół godziny. Mitchowi trudno było uwierzyć, że policja, zbiurokratyzowana jak każda państwowa instytucja, da radę przeanalizować to, co zdarzyło się do tej pory, i zrobić dla Holly to co trzeba.

Poza tym John Knox zginął w jednej lokalnej jurysdykcji, Daniel i Kathy w drugiej, a Jason w trzeciej. To oznaczało trzy oddzielne maszyny biurokratyczne.

Ponieważ chodziło o porwanie, najprawdopodobniej trzeba będzie w to zaangażować FBI.

W momencie kiedy Mitch ujawniłby, co się stało, i poprosił o pomoc, ograniczono by mu swobodę ruchów. Odpowiedzialność za ocalenie Holly spadłaby wyłącznie na obcych ludzi.

Na myśl o tym, że będzie musiał beczynnym siedzieć, podczas gdy władze, nawet pełne najlepszych chęci, będą starały się zrozumieć obecną sytuację oraz wydarzenia, które do niej doprowadziły, ogarniało go przerażenie.

–Jak się miewa pani Rafferty? – zapytał Taggart. Mitch miał wrażenie, że detektyw przejrzał go na wylot i teraz ma zamiar złapać w potrzask.

–Czy przeszła jej migrena? – uściślił policjant, widząc konsternację na jego twarzy.

–Aha. Tak. – Mitch o mało nie odetchnął z ulgą uświadamiając sobie, że detektyw interesuje się jego żoną z powodu mitycznej migreny. – Czuje się lepiej.

–Ale niezupełnie dobrze, prawda? Aspiryna naprawdę nie jest najlepszym lekiem na migrenę.

Mitch wyczuwał, że gdzieś tu czai się pułapka, ale nie

wiedział, na czym dokładnie polega, i nie miał pojęcia, jak jej uniknąć.

**–Ma zaufanie do aspiryny – powiedział.**

**–Ale już drugi dzień nie przychodzi do pracy – odparł Taggart.**

**Mógł się dowiedzieć, gdzie pracuje Holly, od Iggy'ego Barnes'a. Jego informacje nie zaskoczyły Mitcha; niepokojące było to, że z takim uporem trzymał się wątku migreny.**

**–Nancy Farasand twierdzi, że pani Rafferty prawie**

**nigdy nie brała chorobowego.**

**Nancy Farasand była drugą sekretarką w biurze nieruchomości, w którym pracowała Holly. Mitch rozmawiał z nią poprzedniego popołudnia.**

**–Zna pan panią Farasand, Mitch?**

**–Tak.**

**–Robi na mnie wrażenie nadzwyczaj sprawnej osoby. Bardzo lubi i ceni pańską żonę.**

**–Holly też lubi Nancy.**

**–Pani Farasand mówi także, że to zupełnie niepodobne do pańskiej żony, by nie uprzedziła, że nie przyjdzie do pracy.**

**Rano Mitch powinien zadzwonić do biura Holly i poinformować, że jest chora. Zapomniał o tym.**

**Zapomniał również zawiadomić Iggy'ego, że nie wykonają wyznaczonych na ten dzień prac.**

**Pokonawszy dwóch zawodowych zabójców, nie dopilnował kilku banalnych spraw i mogło go to sporo kosztować.**

**–Wczoraj powiedział mi pan – podjął detektyw Tag-**

**gart – że kiedy Jason Osteen padł na chodnik, rozmawiał**

**pan przez telefon ze swoją żoną.**

**W samochodzie zrobiło się duszno. Mitch miał ochotę otworzyć szybę i wpuścić do środka wiatr.**

**Porucznik Taggart był mniej więcej jego wzrostu, ale teraz wydawał się większy od**

**Ansona. Mitch czuł się osaczo-**

**ny, zagoniony do narożnika.**

**–Nadal utrzymuje pan, że rozmawiał przez telefon ze swoją żoną?**

**W rzeczywistości rozmawiał wtedy przez telefon z porywaczem. To, co wydawało się wcześniej łatwym i bezpiecznym wybiegiem, mogło się okazać pętlą, którą sam sobie nałożył na szyję. Nie wiedział, w jaki sposób może się wycofać z tego kłamstwa, nie zastępując go innym.**

**–Tak. Rozmawiałem przez telefon z Holly.**

**–Powiedział pan, że zadzwoniła i zawiadomiła pana, że wyjdzie wcześniej z pracy z powodu migreny.**

**–Zgadza się.**

**–Więc rozmawiał pan z nią, kiedy został zastrzelony Osteen.**

**–Tak.-To było o jedenastej czterdzieści trzy. Powiedział pan, że była jedenasta czterdzieści trzy.**

**–Po strzale spojrzałem na zegarek.**

**–Ale Nancy Farasand twierdzi, że pani Rafferty wczoraj rano zadzwoniła i poinformowała ją, że jest chora, i w ogóle nie pojawiła się w biurze.**

**Mitch nie odpowiedział. Czuł, że pętla się zaciska.**

**–Mówi także, że zadzwonił pan do niej wczoraj między dwunastą piętnaście i wpół do pierwszej.**

**Wnętrze hondy wydawało się ciaśniejsze niż bagażnik chryslera windsora.**

**–Był pan wtedy na miejscu przestępstwa. Czekał pan, aż zadam mu kolejne pytania. Pański pomocnik, pan Barnes, w dalszym ciągu sadił kwiaty. Pamięta pan?**

**–Czy co pamiętam? – zapytał Mitch, kiedy milczenie zaczęło się przedłużać.**

**–Że był pan na miejscu przestępstwa – wyjaśnił oschle Taggart.**

**–Jasne. Oczywiście.**

**–Pani Farasand mówi, że kiedy zadzwonił pan do niej między dwunastą piętnaście i wpół do pierwszej, chciał pan mówić ze swoją żoną.**

**–Jest bardzo sprawna.**

**–Nie rozumiem tylko – kontynuował Taggart – po co dzwonił pan do biura nieruchomości i chciał mówić z żoną, skoro czterdzieści pięć minut wcześniej, wedle pańskiego własnego zeznania, pani Rafferty zadzwoniła do pana, żeby powiedzieć, że wychodzi z pracy, bo ma straszną migrenę.**

**Wielkie przezroczyste fale powietrza zatapiały alejkę. Spoglądając na zegar na tablicy rozdzielczej, Mitch poczuł, że upada na duchu.**

**–Mitch?**

**–Tak?**

**–Spójrz na mnie.**

**Niechętnie popatrzył detektywowi w twarz.**

**Przenikliwe oczy policjanta nie przeszywały go na wylot tak jak to się działo wcześniej. Zamiast tego, co było nawet gorsze, malowało się w nich współczucie. Jego oczy zapraszały do zwierzeń, budziły zaufanie.**

**–Gdzie jest twoja żona, Mitch? – zapytał Taggart.**



Mitch zapamiętał alejkę taką, jaka była poprzedniego wieczoru: zalane szkarłatnym światłem zachodu cegły, przemykającego między cieniami zielonookiego rudego kota, to, jak kot przeobraził się nagle w ptaka.

Pozwalał sobie wówczas na odrobinę nadziei. Pokładał tę nadzieję w Ansonie, ale okazała się płonna.

Teraz niebo było twarde, oszlifowane przez wiatr i zimno niebieskie, jakby stanowiło lodową kopułę, w której odbijała się barwa pobliskiego oceanu.

Rudy kot zniknął, podobnie jak ptak, i nie poruszało się żadne żywe stworzenie. Ostre światło było ociosującym cienie rzeźnickim nożem. – Gdzie jest twoja żona? – powtórzył Taggart. Pieniądze spoczywały w bagażniku. Czas i miejsce wymiany zostały ustalone. Zegar odmierzał czas do owej chwili. Mitch zaszedł tak daleko, wycierpiał tak wiele, był tak blisko celu.

Odkrył Zło przez duże Z, ale zobaczył równocześnie coś lepszego w świecie, który oglądał wcześniej, coś czystego i prawdziwego. Dostrzegał tajemniczy sens tam, gdzie wcześniej widział tylko zieloną maszynę.

Skoro rzeczy działy się w jakimś celu, niewykluczone, że istniał również jakiś cel spotkania z upartym detektywem, cel, którego nic wolno mu było zlekceważyć.

W dostatku i w biedzie. W chorobie i zdrowiu. Kochać, czcić i otaczać troską. Dopóki śmierć nas nie rozłączy.

Takie złożył śluby. Nikt inny jej tego nic obiecał. Zrobił to tylko on. On był mężem.

Nikt inny tak łatwo dla niej nie zabije i dla niej nie umrze. Otaczać troską oznacza cenić i traktować jak coś cennego. Otaczać troską oznacza robić wszystko dla dobra i szczęścia osoby, którą otacza się troską, wspierać ją, pocieszać i chronić.

Być może fakt, że natknął się tutaj na Taggarta, miał mu uświadomić, że dotarł do kresu swoich możliwości, że nie zdoła chronić dalej Holly bez wsparcia z zewnątrz, że samemu nie uda mu się doprowadzić tego do końca.

–Gdzie jest twoja żona, Mitch?

–Co pan o mnie sądzi?

–W jakim sensie? – zapytał Taggart.

–W jakimkolwiek. Jakie ma pan o mnie zdanie?

**–Ludzie uważają pana za odważnego faceta.**

**–Pytałem o pana zdanie.**

**–Nie znałem pana do tej pory. Ale ma pan w sobie same napięte sprężyny i tykające zegary.**

**–Nie zawsze taki byłem.**

**–Nikt nie może przez cały czas żyć w takim napięciu. Za tydzień się pan rozsypie. I zmienił się pan.**

**–Zna mnie pan tylko jeden dzień. – Mimo to zmienił się pan.**

**–Nie jestem złym człowiekiem. Chyba mówią tak**

**wszyscy źli ludzie.**

**–Nie tak otwarcie.**

**Na niebie, pewnie dość wysoko, by znaleźć się poza**

**zasięgiem wiatru, zbyt wysoko, by rzucić cień na alejkę, szybował na północ osrebrzony słońcem odrzutowiec. Mi-tch miał wrażenie, że świat skurczył się do rozmiarów samochodu, w którym siedzą, do tej jednej niebezpiecznej chwili, lecz świat wcale się nie skurczył; nadal można się było w niemal nieograniczony sposób przemieszczać z miejsca na miejsce.**

**–Zanim powiem panu, gdzie jest Holly, chcę, żeby pan mi coś obiecał.**

**–Jestem tylko gliniarzem. Nie mogę zawrzeć z panem**

**umowy.**

**–Więc myśli pan, że zrobiłem jej krzywdę. – Nie. Jestem po prostu z panem szczerzy.**

**–Problem w tym, że nie mamy dużo czasu. Chcę, żeby**

**mi pan obiecał, że kiedy pozna pan podstawowe fakty, bę**

**dzie pan działał szybko, nie tracąc czasu na wyjaśnianie**

**szczegółów.**

**–Diabeł tkwi w szczegółach, Mitch.**

**–Kiedy pan to usłyszy, będzie pan wiedział, gdzie tkwi**

**diabeł. Ale czasu jest bardzo mało i nie chcę, żeby wszystko popsuli policyjni biurokraci.**

**Jestem tylko jednym policjantem. Mogę jedynie obiecać, że zrobię wszystko, co w mojej mocy.**

**Mitch wziął głęboki oddech. Wypuścił z płuc powietrze.**

**–Holly została porwana – powiedział. – Trzeba za nią zapłacić okup.**

**Taggart wbił w niego wzrok.**

**–Czy jest coś, o czym nie wiem?**

**–Chcą dwa miliony dolarów albo ją zabiją.**

**–Jest pan ogrodnikiem.**

**–Jakbym o tym nie wiedział...**

**–Skąd pan wytrzaśnie dwa miliony dolarów?**

**–Powiedzieli, że znajdę sposób. A potem zastrzelili Jasona Ostecna, żebym zorientował się, że nie żartują. Myślałem, że to zwyczajny facet wyprowadzający na spacer psa, myślałem, że zastrzelili jakiegoś przechodnia, żeby pokazać, do czego są zdolni.**

**W oczach detektywa nie sposób było nic wyczytać. Jego wzrok mógłby z człowieka zrobić filet.**

**–Jason myślał, że zastrzeli psa. W ten sposób wymusili na mnie strachem posłuszeństwo i jednocześnie zmniejszyli liczbę współników z pięciu do czterech.**

**–Niech pan mówi dalej – powiedział Taggart.**

**–Kiedy wróciłem do domu i zobaczyłem, co tam dla mnie zaaranżowali, kiedy mieli mnie już w potrzasku, kazali mi jechać do brata po pieniądze.**

**–Naprawdę? Ma aż tyle?**

**–Anson brał kiedyś udział w przestępczej operacji ra-**

**zecz Jasonem Osteenem, Johnem Knoksem, Jimmym**

**Nullem i dwoma innymi ludźmi, których nazwisk nigdy nie  
poznałem.**

**–Co to była za operacja?**

**–Nie wiem. Nie uczestniczyłem w niej. Nie wiedziałem,**

**że Anson zajmuje się czymś takim. A nawet gdybym wiedział, to jeden ze  
szczegółów, o których nie musi pan w tej chwili wiedzieć.**

**–W porządku.**

**–Najważniejsze jest to... że Anson oszukał ich przy podziale i dopiero później  
dowiedzieli się, ile naprawdę powinna wynosić ich dola.**

**–Dlaczego porwali pańską żonę? – zapytał Taggart. – Dlaczego nie dobrali się do  
niego?**

**–Nie można go ruszyć. Jest zbyt wartościowy dla pewnych bardzo ważnych i  
bardzo bezwzględnych ludzi. Uderzyli więc w jego młodszego brata. We mnie.  
Myśleli, że nie będzie chciał, żebym stracił żonę.**

**Mitchowi wydawało się, że wyraził się jasno, ale Taggart chciał się upewnić.**

**–Anson nie dał panu pieniędzy.**

**–Gorzej. Przekazał mnie pewnym ludziom. – Pewnym ludziom? – Żeby mnie zabili. –  
Zrobił to pański brat? – Mój brat.**

**–Dlaczego pana nie zabili? Mitch utrzymywał z nim kontakt wzrokowy. Wszystko  
wisało teraz na włosku: nie mógł zataić zbyt wielu informacji i oczekiwać od niego  
współpracy.**

**–Nie wszystko poszło po ich myśli – powiedział.**

**–Słodki Jezu, Mitch. – Wróciłem więc do brata. – To musiało być ciekawe spotkanie.**

**–Obyło się bez szampana, ale zmienił zdanie w kwestii pomocy.**

**–Dał panu pieniądze?**

**–Tak.**

**–Gdzie jest teraz pański brat?**

**–Żyje, ale jest uwięziony. Wymiana jest o trzeciej i mam powody sądzić, że jeden z porwaczy kropnął pozostałych. Jimmy Null. Teraz to on więzi Holly.**

**–Ilu rzeczy pan mi nie powiedział?**

**–Większości – odparł zgodnie z prawdą Mitch. Detektyw przyglądał się przez chwilę alejce, a potem**

**wyjął z kieszeni marynarki opakowanie karmelków, przedarł je na końcu, wsadził słodki krążek między zęby i zawinął z powrotem resztę. Kiedy chował opakowanie do kieszeni, jego język wciągnął karmelek do ust. Wszystko to miało w sobie coś z rytuału.**

**–No i co? – zapytał Mitch. – Wierzy mi pan?**

**–Mam detektor kłamstwa większy od prostaty – oznaj**

**mił Taggart. – I nie zapaliło się na nim czerwone światło**

**ko. Mitch nie wiedział, czy się cieszyć, czy martwić. Gdyby**

**pojechał sam po Holly i oboje by zginęli, nie musiałyby**

**przynajmniej żyć ze świadomością, że ją zawiódł. Jeżeli**

**jednak sprawę przejmą od niego władze i Holly zginie, po**

**czucie winy będzie go dręczyło aż do śmierci.**

**Musiał przyznać, że nie istniał żaden scenariusz, który pozwoliłby mu kontrolować sytuację. Wszystko zależało od losu. Musiał robić to, co wydawało mu się dobre dla Holly, i mieć nadzieję, że to, co wydawało się dobre, rzeczywiście się takie okaże. – I co teraz? – zapytał.**

**–Porwanie to przestępstwo federalne, Mitch. Musimy zawiadomić FBI.**

**–Boję się komplikacji.**

**–Oni są dobrzy. Nikt nie ma większego doświadczenia w tego rodzaju sytuacjach. Zresztą, ponieważ mamy tylko dwie godziny, nie uda im się dostarczyć na miejsce specjalnej ekipy. Będą pewnie chcieli, żebyśmy kierowali ak-**

**cją.**

**–Co mam o tym sądzić?**

**–Jesteśmy dobrzy. Nasz oddział antyterrorystyczny jest pierwszej klasy. Mamy doświadczonego negocjatora.**

**–Tylu ludzi – zmartwił się Mitch.**

**–Będę to koordynował. Myślisz, że lubię pociągać za spust?**

**–Nie.**

**–Nie sądzisz chyba, że jestem przesadnie drobiazgowy?**

**–Sądzę, że w tych okolicznościach jest pan najlepszy. Detektyw wyszczerzył zęby w uśmiechu.**

**–Znakomicie. W takim razie odzyskamy twoją żonę – powiedział, po czym sięgnął pod tablicę rozdzielczą i wyjął kluczyki ze stacyjki.**

**–Po co pan to zrobił? – zapytał zaskoczony Mitch.**

**–Nie chcę, żebyś zmienił zdanie i spróbował jednak sam to załatwić. To nie byłoby dla niej dobre, Mitch.**

**–Podjąłem decyzję. Potrzebuję pańskiej pomocy. Może mi pan zaufać w kwestii kluczyków.**

**–Za chwilę. Robię to tylko dla twojego dobra, twojego**

**i Holly. Ja też mam żonę, którą kocham, i dwie córki...**

**mówiłem ci o moich córkach... więc wiem, co się teraz dzie**

**je w twojej głowie. Wiem, w jakiej jesteś sytuacji. Wierz mi.**

**Kluczyki zniknęły w kieszeni marynarki. Z innej kieszeni**

**detektyw wyciągnął komórkę.**

**Włączywszy ją, rozgryzł do końca cukierek. W powietrzu rozszedł się zapach karmelu.**

**Mitch patrzył, jak detektyw łączy się z zaprogramowanym numerem. Wyczuwał, że ten wciskający przycisk palec nie tylko inicjuje połączenie, ale przypieczętowuje w jakiejś mierze los Holly.**

**Kiedy Taggart podał dyspozytorowi swój kod i adres An-sona, Mitch poszukał wzrokiem kolejnego osrebronego słońcem odrzutowca. Niebo nad jego głową było puste.**

**Taggart zakończył rozmowę i schował telefon do kieszeni.**

**–Więc twój brat jest w domu? – zapytał.**

**Mitch nie mógł już dłużej udawać, że Anson jest w Vegas.**

**–Tak – mruknął.**

**–Gdzie?**

**–W pralni.**

**–Pogadajmy z nim.**

**–Po co?**

**–Wykonał jakąś robotę z tym Jimmym Nullem, prawda?**

**–Zgadza się.**

**–Więc musi go dobrze znać. Jeżeli mamy uwolnić Holly z rąk Nulla i zrobić to gładko i bezproblemowo, musimy wiedzieć o nim jak najwięcej.**

**Kiedy Taggart otworzył drzwiczki hondy, żeby wysiąść, podmuch wiatru wpadł do środka samochodu. Nie niósł ze sobą odpadków ani kurzu, lecz zapowiedź chaosu. Na dobre lub złe sytuacja wymykała się spod kontroli Mitcha. Nie wydawało mu się. to korzystne. Taggart zatrzasnął drzwiczki od strony pasażera, lecz on siedział jeszcze przez chwilę za kierownicą. Jego umysł – i nie tylko umysł – pracował gorączkowo, przez głowę przelatywały szalone myśli. W końcu wysiadł z wozu.**

Nad nimi było oszlifowane niebo, ostre światło, porywisty wiatr i podobne do skowytu rannego zwierzęcia zawodzenie przewodów elektrycznych.

Mitch zaprowadził detektywa do malowanej drewnianej furtki, która otworzyła się gwałtownie i walnęła o ścianę garażu, kiedy odsunął zasuwkę.

Julian Campbell wysłał tu bez wątpienia swoich ludzi, ale tym akurat nie musiał się przejmować, ponieważ nie powinni pojawić się przed policją. Tej można się było spodziewać w ciągu kilku minut.

Idąc osłoniętą przed najsilniejszymi podmuchami wąską ceglana alejką, trafił na kolekcję martwych chrząszczy. Dwa były wielkości ćwierćdolarówki, jeden dziesięciocen-tówki. Miały żółte brzuchy i sztywne czarne nogi. Leżąc na plecach i kołysząc się na zaokrąglonych skorupach, zataczały powolne kręgi, niesione powietrznym wirem.

Przykuty kajdankami do krzesła, siedzący we własnym moczu Anson odegra rolę ofiary z talentem szczwanego so-cjopaty. Chociaż Taggart zakładał, że historia Mitcha jest prawdziwa, mogło nic spodobać mu się to, jak potraktował brata. Nie znając dobrze Ansona, poznawszy tylko skróconą wersją wydarzeń, detektyw mógł uznać takie traktowanie za przejaw okrucieństwa.

Przecinając patio, po którym ponownie hulał wiatr, Mi-tch miał świadomość, że detektyw idzie tuż za nim. Chociaż byli na otwartym terenie, czuł się osaczony, droczyła go klaustrofobia.

W uszach słyszał głos Ansona: „Przyznał się, że zabił naszą mamę i tatę. Zadźgał ich narzędziami ogrodniczymi. Powiedział, że wróci tu i mnie też zabije”.

Przy tylnych drzwiach ręce Mitcha trzęsły się tak mocno, że miał problem z wsadzeniem klucza do zamka.

„To on zabił Holly, poruczniku Taggart. Wymyślił tę bajeczkę o porwaniu i przyszedł do mnie po pieniądze, ale potem przyznał się, że ją zabił”.

Taggart wiedział, że Jason Osteen nie zarabiał uczciwie na życie. Wiedział od Leelee Morheim, że załatwiał jakieś brudne interesy z Ansonem i został przez niego oszukany. Wiedział więc, że Anson jest przestępcą.

Jednak kiedy Anson opowie historię różniącą się tak bardzo od historii Mitcha, Taggart będzie musiał wziąć ją pod uwagę. Gliniarze zawsze wysłuchują różnych historii i najczęściej prawda leży gdzieś pośrodku.



Ustalenie tej prawdy będzie wymagało czasu, a czas był szczurem, który zżerał nerwy Mitcha. Czas był klapą, na której stała Holly, czas był stryczkiem zaciśniętym na jej szyi.

Klucz wsunął się do zamka. Zasuwa się otworzyła.

Stając w progu, Mitch zapalił światło i od razu zobaczył na podłodze długą krwawą smugę, którą nie przejmował się wcześniej, ale która teraz wzbudziła jego niepokój.

Uderzając Ansona pistoletem w bok głowy, skaleczył go w ucho. A potem, wlokąc go do pralni, zostawił na podłodze ślad.

Rana nie mogła być duża. Smuga świadczyła o czymś gorszym niż krwawiące ucho.

Tego rodzaju mylne dowody wzbudzają wątpliwości i rodzą podejrzenia.

Czas, który był szczurem, klapą i stryczkiem, zwolnił

napiętą sprężynę i wchodząc do kuchni, Mitch rozpiął guzik koszuli, i wyjął spod niej paralizator, który przed wyjściem z hondy wetknął za pasek na brzuchu.

–Pralnia jest tutaj – powiedział, po czym przeszedł kilka kroków i nagle odwrócił się do Taggarta z gotowym do użycia paralizatorem.

Detektyw nie szedł za nim tak blisko, jak się spodziewał. Dzieliły ich co najmniej dwa kroki.

Z niektórych paralizatorów można wystrzelić elektrody połączone przewodami z rękojęścią i porazić przeciwnika prądem z pewnej odległości. Inne wymagają wejścia z nim w bezpośredni fizyczny kontakt, podobnie jak przy ataku nożem.

To był ten drugi typ paralizatora. Mitch musiał podejść bliżej i musiał zrobić to szybko.

Kiedy wyciągnął do przodu prawą rękę, Taggart zablokował go lewą. Paralizator o mało nie wypadł Mitchowi z dłoni.

Cofając się, detektyw sięgnął prawą ręką pod sportową marynarkę, chcąc najprawdopodobniej wyjąć broń, którą miał w kaburze pod pachą.

Taggart oparł się o kuchenny blat. Mitch zrobił zwód w lewo i wyciągnął rękę w prawo. W tym samym momencie spod marynarki wysunęła się dłoń z pistoletem. Mitchowi zależało na tym, by trafić w odsłonięte miejsce; nie chcąc ryzykować że materiał zapewni choćby częściową izolację dotknął elektrodami szyi detektywa. J

Taggartowi oczy standy w slup i opadła szczeka. Ugięły się pod nim kolana, oddał

**jeden strzał i runął na podłogę Strzał był niezwykle głośny. Wstrząsnął całym pomieszczeniem.**

Mitch nie został ranny, ale ukląkł zaniepokojony przy detektywie, pamiętając o Johnie Knoksie, który postrzelił się, spadając ze strychu w garażu.

Na podłodze obok Taggarta leżał jego pistolet. Mitch odsunął go na bok.

Taggart dygotał, jakby przemarzył do szpiku kości. Jego dłonie czepiały się płytek podłogi i ciekła mu z ust ślina.

Ze sportowej marynarki unosiła się cienka gryząca wstążka dymu. Pocisk wypalił w niej dziurę. Mitch ściągnął ją i poszukał rany, lecz żadnej nie znalazł. Ulga, którą poczuł, nie trwała długo. Nadal miał na sumieniu atak na policjanta.

Po raz pierwszy w życiu skrzywdził niewinną osobę. Odkrył, że wyrzuty sumienia mają własny smak – goryczy na podniebieniu.

Łapiąc go za rękę, detektyw nie mógł zacisnąć palców. Próbował coś powiedzieć, ale miał ściśnięte gardło, spuchnięty język, zdrętwiałe wargi. Mitch nie chciał porażać go prądem po raz drugi. – Przepraszam – mruknął i przystąpił do pracy.

Kluczyki od samochodu Taggart schował gdzieś w marynarce. Mitch znalazł je w drugiej kieszeni, którą przeszukał.

Zamknięty w pralni Anson wyciągnął wnioski z usłyszanego strzału i zaczął krzyczeć. Mitch go zignorował.

Złapawszy Taggarta za stopy, wyciągnął go z domu na patio. Pistolet detektywa zostawił w kuchni.

Kiedy zamykał tylne drzwi, zadźwięczał dzwonek przy wejściu. Policjanci byli przed domem.

–Za bardzo ją kocham, żeby zaufać w tej sprawie komukolwiek innemu. Przepraszam – powiedział Mitch do Taggarta i zamknął drzwi na klucz, żeby opóźnić ich spotkanie z Ansonem i jego kłamstwami.

Przebiegł sprintem przez dziedziniec, wzdłuż ściany garażu i przez otwartą tylną furtkę na omiataną wiatrem alejkę.

Kiedy nikt nie otworzy drzwi, gliniarze obejdą dom i znajdą Taggarta na dziedzińcu. Kilka sekund później wybiegną na alejkę.

Siadając za kierownicą Mitch rzucił paralizator na fotel pasażera. Kluczyki, stacyjka, ryk silnika.

**W schowku w drzwiach był pistolet, który należał do jednego z płatnych zabójców Campbella. W magazynku zostało siedem nabojów.**

**Nie miał zamiaru strzelać do policjantów. Jedyne, co mu zostało, to ucieczka.**

**Pojechał na wschód, przez cały czas spodziewając się, że przy końcu alejki pojawi się nagle radiowóz i zablokuje mu drogę.**

**Panika to strach doznawany przez wielu ludzi, widownię lub tłum. Strach, którego doznawał Mitch, był tak wielki, że mógł nim obdzielić cały tłum, i dlatego można rzec, że ogarnęła go panika.**

**Przy końcu alejki skręcił w prawo. Na następnym skrzyżowaniu w lewo, kierując się ponownie na wschód. Ten rejon Corona del Mar, która sama była częścią Newport Beach, nosił nazwę Village. Kilkanaście uliczek można było zamknąć, stawiając najwyżej trzy blokady drogowe.**

**Musiał jak najszybciej minąć te wąskie gardła.**

**W bibliotece Juliana Campbella, w bagażniku chryslera Windsora i po raz drugi w tym samym bagażniku targał nim lęk, lecz nie tak intensywny jak ten. Wtedy bał się o siebie, teraz o Holly.**

**Najgorsze, co mogło mu się przydarzyć, to aresztowanie albo postrzelenie przez policję. Już wcześniej rozważył wszystkie za i przeciw i dokonał swoim zdaniem najlepszego wyboru. Nie obchodziło go, co się z nim stanie – ale jeżeli stanie mu się coś złego, Holly będzie musiała zmagać się z losem w pojedynkę.**

**W Village niektóre uliczki były wąskie. Mitch jechał właśnie jedną z nich. Pojazdy parkowały po obu stronach. Pędząc zbyt szybko, ryzykował, że oderwie czyjeś drzwi, jeśli ktoś je otworzy.**

**Taggart mógł opisać hondę. Za kilka minut będą mieli jej numery rejestracyjne z wydziału komunikacji. Nie wolno mu było uszkodzić karoserii, bo wtedy samochód będzie jeszcze łatwiejszy do zidentyfikowania.**

**Zatrzymał się na światłach przy Pacific Coast Highway. Czerwone.**

**Samochody jechały jeden za drugim na północ i na południe. Nie mógł zignorować czerwonych światel i włączyć się do ruchu, nie powodując przy tym gigantycznego ka-rambolu.**

**Zerknął w lusterko wsteczne. Z tyłu zbliżała się do niego, oddalona w tym momencie o jedną przecznicę, zabudowana furgonetka albo duży minivan. Na dachu miała światła podobne do tych, w które wyposaża się samochody policyjne.**

Ulica obsadzona była dorodnymi drzewami. Cątki światła i cienia kładły się na jadącym pojeździe, utrudniając jego identyfikację.

Autostradą przejechał na północ radiowóz z włączonymi migającymi światłami, ale bez syreny. Inne samochody ustępowały mu miejsca.

Pojazd nadjeżdżający z tyłu zbliżył się i w tym momencie

Mitch zdołał odczytać umieszczony nad przednią szybą napis AMBULANS. Kierowca zbyt się nie spieszył. Nie mieli chyba nagłego wezwania. Może transportowali zmarłego.

Mitch odetchnął, ale nie odczuwał ulgi zbyt długo. Kiedy ambulans stanął tuż za nim, zaczął się zastanawiać, czy sanitariusze nie słuchają radia na częstotliwości policyjnej.

Światła zmieniły się na zielone. Mitch minął pasmo Co-ast Highway wiodące na południe i skręcił w lewo, na północ.

Krople potu spływały jedna po drugiej po jego karku, pod kołnierzyk, a potem wzdłuż kręgosłupa.

Przejechał autostradą może jedną przecznicę, kiedy zawyła za nim syrena: tym razem zobaczył w lusterku wstecznym radiowóz.

Tylko głupcy ścigają się z gliniarzami. Policja może liczyć na wsparcie z powietrza i nieograniczone wsparcie na ziemi.

Pokonany Mitch zjechał na bok. Kiedy zwolnił pas ruchu, radiowóz minął go i popędził dalej.

Stojąc przy skraju drogi, Mitch patrzył, jak dwie przecznice dalej policjanci zjeżdżają w lewo z autostrady przy północnym skraju Village.

Najwyraźniej Taggart nie doszedł jeszcze w wystarczającym stopniu do siebie, żeby opisać hondę.

Mitch wziął kilka głębokich oddechów, a potem przesunął dłonią po karku i wytarł ręce o dzinsy.

Był winien napaści na policjanta. Włączając się z powrotem do ruchu, zastanawiał się czy nie postradał zmysłów. Był zdeterminowany, być może nawet zuchwały, lecz chyba nie krótkowzroczny. Oczywiście szaleniec nie potrafi rozpoznać u siebie objawów obłądu.

Po wyciągnięciu gwoździa z podłogi Holly obraca go w obolałych palcach, oceniając, czy rzeczywiście jest tak śmiercionośną bronią, jak sądziła, kiedy tkwił w desce.

Prosty, mający ponad trzy, ale mniej niż cztery cale długości, z grubym trzonkiem, może zostać z powodzeniem uznany za szpikulec. Czubek nie jest tak ostry jak końcówka różna, ale wystarczająco.

Podczas gdy wiatr śpiewa swoją brutalną pieśń, Holly wyobraża sobie, w jaki sposób mogłaby zaatakować drania gwoździem. Ma dość bujną wyobraźnię, by zrobiło jej się niedobrze.

Opanowawszy mdłości, przestaje rozmyślać o zastosowaniach gwoździa i zastanawia się, gdzie by go ukryć. Gwóźdź może jej się przydać tylko wówczas, gdy wykorzysta element zaskoczenia.

Chociaż nie będzie się chyba odznaczał w kieszeni dżinsów, Holly obawia się, że w sytuacji kryzysowej nie zdoła go stamtąd dość szybko wyciągnąć. Wioząc ją z domu w to miejsce, porywacze związali jej mocno nadgarstki szarfą.

Jeżeli drań zrobi to samo, kiedy będzie ją stąd zabierał, Holly nie zdoła rozsunać rąk i włożyć palców do kieszeni.

Pasek na pewno się jej nie przyda, ale Holly zastanawia się nad tenisówkami i obmacuje je po ciemku. Wsadzenie gwoździa do buta jest wykluczone; mógłby jej otrzeć lub skaleczyć stopę. Może uda się go schować gdzieś z boku.

Rozluźnia sznurowadło lewego buta, ostrożnie wsuwa gwóźdź pod język i zawiązuje sznurowadło z powrotem.

Kiedy wstaje i obchodzi dookoła pierścień, do którego jest przykuta łańcuchem, okazuje się, że sztywny gwóźdź utrudnia jej chodzenie. W widoczny sposób utyka.

Na koniec zdejmuje sweter i chowa gwóźdź w biustonoszu. Nie jest tak bujnie wyposażona przez naturę jak przeciętna zapaśniczka uczestnicząca w walkach w błocie, nie znaczy to jednak, że nie ma czym się pochwalić. Aby zapobiec wysunięciu się gwoździa między miseczkami, wbija go w elastyczne obszycie biustonosza. Jest uzbrojona.

Teraz, kiedy zadanie zostało wykonane, wszystkie przygotowania wydają się jej żałosne.

**Nie mogąc znaleźć sobie miejsca, przyklęka przy pierścieniu, zastanawiając się, czy zdoła się uwolnić albo przynajmniej powiększyć w jakiś sposób swój skromny arsenał.**

**Dotykając po omacku pierścienia, ustaliła wcześniej, że jest przyspawany do grubej na pół cala stalowej płyty o boku mniej więcej ośmiu cali. Płyta jest przymocowana do podłogi czterema tkwiącymi w specjalnych zagłębieniach śrubami.**

**Holly nie jest do końca pewna, czy to śruby, bo w zagłębienia wlano jakiś płyn, który się zestalił. Nie pozwala jej to dotknąć łbów śrub, jeżeli to rzeczywiście śruby.**

**Zniechęcona kładzie się na nadmuchiwanym materacu i opiera głowę na poduszce. Wcześniej zapadła już raz w niespokojny sen. Targające nią emocje powodują fizyczne zmęczenie i wie, że łatwo zaśnie. Boi się jednak tego.**

**Boi się, że gdy się obudzi, poczuje drania na sobie.**

**Leży z otwartymi oczyma, mimo że panująca w pomieszczeniu ciemność jest głębsza od tej pod powiekami. Słucha wiatru, chociaż nie przynosi to jej otuchy.**

**Kiedy budzi się po jakimś czasie, wciąż otacza ją abso-lutna ciemność, ale wie, że nie jest już sama. Zaalarmował ją niewyraźny zapach lub podszept intuicji – ktoś naruszył jej przestrzeń.**

**Kiedy siada, materac skrzypi pod nią i brzęczy łańcuch między kajdanami i pierścieniem.**

**–To tylko ja – uspokaja ją mężczyzna.**

**Holly wytęży wzrok. Wydaje jej się, że siła ciężenia jego**

**obłędu powinna skupiać otaczający go mrok w coś jeszcze ciemniejszego. Mężczyzna pozostaje jednak niewidoczny.**

**–Patrzyłem, jak śpisz – mówi – ale potem pomyś**

**lałem, że może cię obudzić moja latarka.**

**Zlokalizowanie go po głosie nie jest takie łatwe, jak można by się spodziewać.**

**–Miło jest przebywać z tobą w ezoterycznej ciemności**

**–dodaje.**

**Jest po jej prawej stronie. Nie dalej niż trzy stopy. Klęczy albo stoi.**

**–Boisz się? – pyta.**

**–Nie – kłamię bez wahania Holly.**

**–Sprawiłabyś mi zawód, gdybyś się bała. Wierzę, że osiągasz pełnię swojej duchowości, a ktoś, kto osiąga pełnię duchowości, nie wie, co to strach.**

**Mówiąc to, mężczyzna zmienia chyba pozycję. Holly obraca głowę, intensywnie nasłuchując.**

**–W El Valle w Nowym Meksyku pewnej nocy spadło**

**tak dużo śniegu jak nigdy wcześniej.**

**Jeżeli Holly się nie myli, mężczyzna przesunął się w prawo i stoi teraz za nią. Wszystkie wydawane przez niego odgłosy tłumi wiatr.**

**–W ciągu czterech godzin na dno doliny spadło sześć**

**cali puchu i ziemia wyglądała niesamowicie w śnieżnej po**

**świacie...**

**Na myśl o mężczyźnie poruszającym się pewnie w atramentowej czerni Holly dostaje gęsiej skórki i włosy jeżą jej się na karku. Nie widać nawet błysku jego oczu, jak to się czasem dzieje u kota.**

**–...niesamowicie, jak nigdzie indziej na świecie, z opa**

**dającymi równinami i niskimi wzgórzami, jakby z pól mgły**

**wyłaniały się ściany mgły, iluzje kształtów i wymiarów, od-**

**bicia odbić, obrazy zrodzone we śnie...**

**Łagodny głos rozbrzmiewa teraz wprost przed nią i Holly woli uznać, że mężczyzna w ogóle się nie poruszył, że zawsze tam stał.**

**Wybita ze snu, nie dziwi się, że zawodzą ją zmysły. Tego rodzaju absolutna ciemność dezorientuje, przemieszcza dźwięki.**

**–Śnieżyca była bezwietrzna na poziomie ziemi – mówi**

**dalej mężczyzna – ale na górze wiał porywisty wiatr, po**

**nieważ kiedy śnieg przestał padać, większość chmur po**



**rwała się na strzępy i odpłynęła. Niebo między pozostałymi**

**chmurami było czarne, ozdobione naszyjnikami gwiazd.**

**Holly czuje między piersiami ogrzany ciepłem jej ciała gwóźdź i stara się czerpać z niego otuchę.**

**–Miejscowy szklarz miał trochę ogni sztucznych z lip**

**cowego festynu i kobieta, której śniły się martwe konie,**

**zapropozowała, że pomoże mu je ustawić i odpalić.**

**Jego opowieści zawsze dokądś prowadziły, lecz Holly nauczyła się bać tych miejsc.**

**–Były tam komety, robaczki świętojańskie, meteory,**

**kuliste bomby, chryzantemy i złote palmy...**

**Głos męczyzny staje się coraz cichszy i bliższy. Być może pochyla się ku niej i ich twarze dzieli tylko kilkanaście cali.**

**–Czerwone, zielone, szafirowoniebieskie i złote wybu**

**chy rozjaśniły czarne niebo. Ich kolorowe pulsujące odbicia**

**widać było także na zaśnieżonych polach...**

**Zabójca mówi dalej. Holly ma wrażenie, że zaraz pocałuje ją w ciemności. Jak zareaguje, gdy ona się cofnie, nie potrafiąc opanować wstrętu?**

**–Z nieba padały ostatnie płatki śniegu, zataczając**

**szerokie, leniwe kręgi, spóźnione płatki, wielkie niczym**

**srebrne dolarówki. W nich także odbijał się kolor.**

**Czekając na pocałunek, Holly odchyła z lękiem głowę do tyłu i obraca ją w bok. Potem przychodzi jej do głowy, że męczyzna może nie pocałować jej w usta, lecz w kark.**

**–Spadając powoli na ziemię, płatki migotały czerwo**

**nym, niebieskim i złotym ogniem, jakby gdzieś wysoko**

**płonęło coś magicznego, jakby rozżarzone węgle sypały się**

**z ogarniętego pożarem pałacu po drugiej stronie nieba.**

**Mężczyzna milknie, najwyraźniej spodziewając się po niej jakiejś reakcji. Nie pocałuje jej, dopóki mówi.**

**–To musiało być takie cudowne, takie piękne – mówi Holly. – Szkoda, że mnie tam nie było.**

**–Szkoda, że cię tam nie było – zgadza się mężczyzna.**

**–Musiało dziać się coś więcej. Co jeszcze wydarzyło się w El Valle tamtej nocy? Opowiedz mi – prosi Holly, uświadamiając sobie, że to, co powiedziała wcześniej, mogło zostać potraktowane jako zaproszenie.**

**–Kobieta, której śniły się martwe konie, miała przyjaciółkę utrzymującą, że jest księżniczką z jakiegoś wschodnioeuropejskiego kraju. Spotkałaś w życiu jakąś księżniczkę?**

**–Nie.**

**–Księżniczka miała problemy z depresją. Walczyła z nią, biorąc ecstasy. Tej nocy wzięła za dużo ecstasy i weszła na przeobrażone przez fajerwerki śnieżne pole. Szczęśliwsza niż kiedykolwiek w życiu, zabiła się.**

**Kolejna pauza wymagająca odpowiedzi.**

**–Jakie to smutne – mówi Holly, nie mając odwagi powiedzieć nic więcej.**

**–Wiedziałem, że to zrozumiesz. Tak, smutne. Smutne i głupie. El Valle jest portalem, który umożliwia podróż ku wielkiej zmianie. Tamtej nocy, w tamtej szczególnej chwili wszystkim obecnym ofiarowana została transcendencja. Mimo to zawsze zdarzają się tacy, którzy nie potrafią tego zobaczyć.**

**–Księżniczka.**

**–Tak. Księżniczka.**

**Sprężona ciemność wydaje się coraz czarniejsza. Holly czuje jego ciepły oddech na brwiach i oczach. Jest bez zapachu. A potem przestaje go czuć. Może to nie był oddech,**

**ale zwykły przeciąg. Chce wierzyć, że to był przeciąg, i myśli o czystych rzeczach takich jak jej mąż, dziecko i jasne słońce.**

**–Czy wierzysz w znaki, Holly Rafferty? – pyta mężczyzna.**

**–Tak.**

**–W dobre i złe omeny? Wróżby? Zwiastuny, przepowiadanie przyszłości, pohukiwanie sowy, czarne koty, rozbite lustra i tajemnicze światła na niebie? Czy widziałaś kiedykolwiek znak, Holly Rafferty?**

**–Chyba nie.**

**–Masz nadzieję go zobaczyć?**

**Holly -wie, co chce od niej usłyszeć mężczyzna, i me czeka z odpowiedzią.**

**–Tak. Mam nadzieją, że go zobaczą. Czuje ciepły oddech na policzku, a potem na wargach. Jeżeli to on – a w głębi serca Holly wie, że nie może być mowy o żadnym „jeżeli” – nie widać go w ogóle na tle mroku, choć dzieli ich tylko kilka cali.**

**Panująca w pomieszczeniu ciemność spowija także jej umysł. Wyobraża sobie porywacza klęczącego przed nią nago, blade ciało ozdobione tajemnymi symbolami wymalowanymi krwią tych, których zabił.**

**–Ty widziałaś dużo znaków, prawda? – pyta, nie po**

**zwalając, by w jej głosie pobrzmiwał lek, który ogarnia ją**

**w coraz większym stopniu.**

**Czuje na wargach jego oddech, ale nie pocałunek, a potem przestaje go czuć, kiedy mężczyzna odsuwa się do tyłu.**

**–Widziałem mnóstwo – odpowiada. – Mam na nie**

**oko.**

**–Proszę, opowiedz mi o którymś.**

**Mężczyzna nie odzywa się. Jego milczenie jest ostre i**

**ciężkie, niczym miecz wiszący nad jej głową.**

**Może zaczął podejrzewać, że Holly zagaduje go, żeby odwlec pocałunek.**

**Jeżeli to w ogóle możliwe, nie wolno jej go obrazić. Tak samo ważne jak uniknięcie gwałtu jest dopilnowanie, by przed wyjściem stąd nie porzucił tej dziwnej mrocznej romantycznej fantazji, która najwyraźniej nim zawładnęła.**

**Mężczyzna chyba wierzy, że Holly postanowi pojechać z nim do Guadalupity w**

Nowym Meksyku i że się tam „zadziwi”. Dopóki będzie trwał w tym przeświadczeniu, które starała się w subtelny i niebudzący podejrzeń sposób podtrzymać, dopóty Holly będzie miała nad nim pewną przewagę i w najważniejszym momencie ją wykorzysta.

Milczenie mężczyzny staje się złowieszczo długie. – To było na przełomie lata i jesieni ubiegłego roku, kiedy wszyscy mówili, że ptaki odleciały wcześniej na południe i widziano wilki w miejscach, gdzie nie pojawiały się od dziesięciu lat – mówi w końcu.

Holly siedzi sztywno wyprostowana, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach.

–Niebo wydawało się wydrażone. Miało się wrażenie, że można je rozbić kamieniem. Byłaś kiedyś w Eagle Nest w

Nowym Meksyku?

–Nie.

–Jechałem na południe z Eagle Nest dwupasmową drogą co najmniej dwadzieścia mil na wschód od Taos. Te dwie dziewczyny podróżowały autostopem na północ i szły drugą stroną szosy.

Na dachu wiatr odnajduje nową niszę lub występ, które pozwalają mu wydać z siebie nowy głos. Teraz naśladuje lament polujących kojotów.

–Były w wieku studentek, ale nie studiowały. Widać

było, że to poważne poszukiwaczki, że wierzą w swoje po

rządne turystyczne buty, plecaki, kijki do pieszych węd

rówek i doświadczenie.

Mężczyzna przerywa, być może by podkreślić efekt dramatyczny, a może delektując się wspomnieniem.

–Zobaczyłem znak i od razu go rozpoznałem. Nad ich

głowami unosił się kos z szeroko rozpostartymi skrzydłami,

ale nie trzepotał nimi, lecz płynął bez żadnego wysiłku w powietrzu dokładnie z taką samą szybkością, z jaką maszerowały dziewczęta.

Holly żałuje, że poprosiła go o opowiedzenie tej historii. Zamyka oczy, broniąc się

przed obrazami, które za chwilę zobaczy.

–Ptak unosił się w ciepłym powietrzu zaledwie sześć stóp nad ich głowami i stopą albo dwie za nimi, ale dziewczęta w ogóle nie miały o nim pojęcia. Nie miały o nim pojęcia, a ja wiedziałem, co to oznacza.

Holly za bardzo boi się otaczającej ciemności, żeby zamykać oczy. Otwiera je, mimo że nic nic widzi. – Wiesz, co oznaczał ten ptak, Holly Rafferty? – Śmierć.

–Owszem, dokładnie tak. Naprawdę osiągasz pełnię swojej duchowości. Zobaczyłem ptaka i domyśliłem się, że te dwie dziewczyny czeka śmierć, że nie należą już do tego świata.

–I rzeczywiście... tak się stało?

–Zima nadeszła wcześniej w tamtym roku. Często padał śnieg i trzymał bardzo mocny mróz. Roztopy trwały aż do lata i kiedy stopniał śnieg, ich ciała odnaleziono pod koniec czerwca na polu nieopodal Arroyo Hondo, po drugiej stronie Wheeler Peak, gdzie widziałem je wtedy na drodze. Rozpoznałem je na zdjęciach w gazecie.

Holly modli się cicho za rodziny obu nieznanymi dziewcząt.

–Kto wie, co im się przydarzyło? – mówi dalej mąż  
czynna. – Odnaleziono je nagie, więc możemy sobie wyobrazić, co wycierpiały. Ale chociaż ta śmierć może nam się wydawać straszna i tragiczna z powodu młodego wieku ofiar, nawet w najgorszej sytuacji istnieje możliwość oświecenia. Jeżeli jesteśmy poszukiwaczami, wszystko może nas czegoś nauczyć i stworzyć możliwość rozwoju. Każda śmierć zawiera moment iluminacji i piękna, potencjał transcendencji.

**Mężczyzna zapala latarkę i okazuje się, że siedzi tuż przed nią, z nogami skrzyżowanymi na podłodze.**

**Gdyby zaskoczył ją wcześniej w trakcie rozmowy, mogłaby się wzdrygnąć. Jednak teraz niełatwo ją zaskoczyć i jest mało prawdopodobne, by wzdrygnęła się na widok światła, o którym tak marzyła.**

**Mężczyzna ma na głowie kominiarkę, w której widać tylko jego poobgryzane wargi i stalowoniebieskie oczy. Nie jest nagi i nie pomazał się krwią tych, których zabił.**

**–Czas ruszać – mówi. – Okup za ciebie wynosi milion czterysta tysięcy dolarów. Kiedy otrzymam te pieniądze, nadejdzie pora, byś podjęła decyzję.**

**Wysokość okupu wprawia ją w osłupienie. To może być kłamstwo.**

**Holly straciła co prawda poczucie czasu, lecz zdumiewa ją to, co wynika ze słów porywacza.**

**–Czy jest już... środa i zbliża się północ? – pyta. Mężczyzna uśmiecha się pod kominiarką.**

**–Jest wtorek i zbliża się dopiero pierwsza po południu – odpowiada. – Twój obdarzony siłą perswazji mąż przekonał brata, żeby zorganizował pieniądze szybciej, niż to wydawało się możliwe. Wszystko idzie tak gładko, że trudno oprzeć się wrażeniu, iż tak chciało przeznaczenie.**

**Wstając, daje jej znak, żeby też się podniosła. Holly wykonuje jego polecenie.**

**Podobnie jak wcześniej, zawiązuje jej ręce za plecami niebieską jedwabną szarfą.**

**Po chwili staje przed nią ponownie i odgarnia jej delikatnie włosy z czoła, ponieważ kilka opadło Holly na twarz. Muskając ją dłońmi, które są równie zimne, jak blade, wpatruje się bez przerwy w jej oczy, jakby rzucał jej romantyczne wyzwanie.**

**Holly boi się uciec w bok wzrokiem; zamyka oczy dopiero wtedy, kiedy mężczyzna przyciska do nich gaziki, które wcześniej zmoczył, żeby lepiej przylegały. Nakłada na nie dłuższą jedwabną szarfę, którą zawija trzy razy wokół jej**

**głowy i zawiązuje mocno z tyłu.**

**Kiedy rozpina kajdany, uwalniając ją z łańcucha, jego dłonie dotykają jej prawej kostki.**

**Latarka omiata opaskę na oczach i Holly widzi światło przyćmione przez jedwab i gaziki. Najwyraźniej usatysfakcjonowany, mężczyzna opuszcza latarkę.**

**–Kiedy dotrzemy na miejsce wymiany, zdejmę szarfy – obiecuje. – Mają cię tylko unieszkodliwić podczas transportu.**

**–Nigdy nie byłeś dla mnie okrutny – mówi Holly i brzmi to nawet wiarygodnie, ponieważ to nie on jąuderzył i pociągnął za włosy, żeby krzyknęła.**

**Mężczyzna przygląda się jej w milczeniu. Holly zakłada, że to robi, ponieważ czuje się naga, rozbierana przez to spojrzenie.**

**Wiatr, ponowna ciemność, obawy przed tym, co może nastąpić – wszystko to sprawia, że serce tłucze jej się w piersi niczym królik obijający się o metalowe pręty klatki.**

**Czuje, jak oddech mężczyzny muska lekko jej wargi, i wytrzymuje to.**

**–W nocy w Guadalapicie niebo jest tak olbrzymie –**

**szeptuje mężczyzna – że księżyc sprawia wrażenie skur**

**czonego, a liczba gwiazd, które można zobaczyć od hory**

**zontu do horyzontu, przekracza liczbę wszystkich ludzkich**

**zgonów. Musimy już iść.**

**Bierze Holly pod ramię, a ona nie wzdryga się ze wstrętem, lecz idzie razem z nim przez pomieszczenie i przez otwarte drzwi.**

**Są tutaj schody, po których wprowadzono ją poprzedniego dnia. Mężczyzna cierpliwie pomaga jej zejść, ale Holly nie może przytrzymać się poręczy i dlatego stawia ostrożnie każdą stopę.**

**–Teraz podest. Bardzo dobrze. Schyl głowę. Teraz w**

**lewo. Ostrożnie. Teraz próg – ostrzega ją przez cały czas**

**mężczyzna, kiedy schodzą ze strychu na pierwsze piętro,**

**na parter, a potem do garażu. Holly słyszy, jak otwiera**

**drzwi pojazdu. – To furgonetka, którą tutaj przyjechałaś – mówi mężczyzna i pomaga jej wejść przez tylne drzwi do przestrzeni bagażowej. Pokryta wykładziną podłoga ma tę samą przykrą woń, którą zapamiętała. – Połóż się na boku.**

**Mężczyzna zostawia ją i zatraskuje drzwi. Metaliczny zgrzyt kluczyka w zamku ucina wszelkie spekulacje, że uda jej się wyskoczyć gdzieś po drodze.**

**Otwierają się drzwi od strony kierowcy. Mężczyzna siada za kierownicą.**

**–To furgonetka z dwoma fotelami – mówi. – Między kabiną i przestrzenią bagażową nie ma ścianki, dlatego słyszysz mnie tak wyraźnie. Słyszysz mnie wyraźnie?**

**–Tak.**

**Mężczyzna zamyka drzwi.**

**–Gdy obracam się w fotelu, widzę cię. Kiedy tu przyjechaliśmy, siedzieli z tobą inni, którzy pilnowali, żebyś się grzecznie zachowywała. Teraz jestem sam. Więc... jeżeli gdzieś po drodze zatrzymamy się na czerwonym świetle i uznasz, że ktoś usłyszy twój krzyk, będę musiał potraktować cię ostrzej, niż chciałbym.**

**–Nie będę krzyczeć.**

**–To dobrze. Ale pozwól, że coś ci wyjaśnię. Na fotelu obok mnie leży pistolet z tłumikiem. Kiedy zaczniesz krzyczeć, wezmę go do ręki, obrócę się w fotelu i zastrzelę cię. Odbiorę okup bez względu na to, czy będziesz martwa, czy żywa. Rozumiesz swoją sytuację?**

**–Tak.**

**–To postępowanie wydaje się bezwzględne, prawda? – pyta mężczyzna.**

**–Rozumiem... twój punkt widzenia.**

**–Bądź ze mną szczerą. To postępowanie wydaje się bezwzględne.**

**–Tak.**

**–Weź pod uwagę jedno. Mógłbym cię zakneblować, ale nie zrobiłem tego. Mógłbym wepchnąć gumową kulkę w**

**twoje piękne usta i zalepić je taśmą klejącą. Czy mógłbym to łatwo zrobić?**

**–Tak.**

**–Dlaczego tego nie zrobiłem?**

**–Bo wiesz, że możesz mi ufać – odpowiada Holly.**

**–Mam nadzieję, że mogą ci ufać. A ponieważ jestem**



**człowiekiem pełnym nadziei, ponieważ żywią nadzieją w każdej godzinie swojego życia, nie zakneblowałem cią, Holly. Knebel, który opisałem, jest skuteczny, ale wyjątkowo nieprzyjemny. Nie chciałem, by dzieliły nas jakiekolwiek nieprzyjemne wspomnienia w sytuacji... w nadziei, że czeka na nas Guadalupe.**

**Jej umysł jest zdolny do oszustwa w znacznie większym stopniu, niż wydawało jej się możliwe jeszcze dzień wcześniej.**

**–Guadalupe, Rodarte, Rio Lucio i Penasco, gdzie odmieniło się twoje życie, Chamisal, gdzie również się odmieniło, i Vallecito, Las Trampas i Espanola, gdzie twoje życie odmieni się ponownie – recytuje Holly głosem, który wcale nie jest uwodzicielski, lecz wypełniony głębokim szacunkiem, tak jakby rzeczywiście rzucił na nią zaklęcie.**

**Mężczyzna przez chwilę milczy.**

**–Przepraszam cię za te niedogodności, Holly – mówi w końcu. – To się wkrótce skończy, a wtedy otworzy się przed tobą szansa na transcendencję... jeżeli będziesz tego chciała.**

Sklep z bronią wyglądem przypominał pokazywane w niezliczonych westernach składy towarowe. Płaski, otoczony poręczą dach, ściany z desek, otaczający budynek kryty drewniany chodnik oraz słupek, do którego można było przywiązać konia, kazały oczekiwać, że lada chwila w drzwiach stanie John Wayne, ubrany tak jak w Poszukiwaczach.

Czując się mniej jak John Wayne, a bardziej jak jeden z ginących w połowie filmu drugoplanowych bohaterów, Mitch siedział w hondzie na parkingu przed sklepem, oglądając pistolet, który zabrał z Rancho Santa Fe.

Na stali, jeżeli to była stal, wryto kilka napisów. Niektóre nic mu nie mówiły, lecz inne dostarczały całkiem użytecznych informacji komuś, kto zupełnie nie znał się na broni palnej.

Na lufie wryto pochyłym pismem słowa Super Tuned. Umieszczony bardziej z tyłu napis CHAMPION wyglądał, jakby wypalono go laserem. Tuż pod spodem było napisane Cal.45.

Mitch wolał nie pojawiać się w umówionym miejscu z okupem, mając w magazynku tylko siedem nabojów. Wiedział już, że musi nabyć amunicję kalibru czterdzieści pięć.

Siedem kul prawdopodobnie w zupełności by wystarczyło. Strzelaniny trwają długo tylko na filmach. W prawdziwym życiu ktoś oddaje pierwszy strzał, ktoś inny odpowiada i po wystrzeleniu czterech pocisków jeden z dwóch kto-siów jest ranny albo martwy.

Kupowanie większej ilości amunicji nie wynikało z realnej, ale psychologicznej potrzeby. Mitch nie dbał o to. Dzięki dodatkowej amunicji będzie się czuł lepiej przygotowany.

Po drugiej stronie łoża odnalazł napis Springfield. Uznał, że to nazwa producenta.

Miał nadzieję, że po wejściu do sklepu nie będzie na siebie zwracał uwagi. Chciał sprawiać wrażenie, że wie, o czym mówi.

Po wysunięciu magazynka z pistoletu wyjął jeden z nabojów. Na obudowie był napis.45 ACP. Nie wiedział, co znaczą te litery.

Włożył z powrotem pocisk do magazynka, schował magazynek do kieszeni dżinsów i wsunął pistolet pod fotel.

**Ze schowka na rękawiczki wyjął portfel Johna Knoksa. Choć czuł wyrzuty sumienia, korzystając z pieniędzy nieboszczyka, nie miał innego wyboru. Jego portfel odebrano mu w bibliotece Juliana Campbella. Wyjął pięćset osiemdziesiąt pięć dolarów i odłożył portfel do schowka.**

**Wysiadł z samochodu, zamknął go na klucz i wszedł do sklepu z bronią. Słowo „sklep” wydawało się nieodpowiednie dla tak dużego składu. W środku było mnóstwo alejek z akcesoriami strzeleckimi. Przy długiej ladzie z kasami udzielił mu pomocy duży mężczyzna z sumiastymi wąsami. Na jego identyfikatorze widniało imię ROLAND.**

**–Springfield champion – powiedział Roland. – To wersja colta commandera z stali nierdzewnej, prawda?**

**Mitch nie miał pojęcia, czy tak właśnie jest, ale podejrzewał, że Roland zna się na rzeczy.**

**–Zgadza się – odparł.**

**–Ze skośnym magazynkiem i obniżonym wyrzutnikiem w standardzie.**

**–To słodka broń – powiedział Mitch, mając nadzieję, że ludzie mówią w ten sposób.  
– Chcę trzy zapasowe magazynki. Do strzelania do celu.**

**Dodał ostatnie zdanie, ponieważ wydawało mu się, że**

większość klientów nie potrzebuje zapasowych magazynków, jeżeli nie mają zamiaru obrabować banku albo postrzelać do ludzi z wieży kościelnej.

W Rolandzie nie wzbudziło to żadnych podejrzeń.

–Życzy pan sobie całe pudełko Super Tuned? – zapytał.

–Tak jest. Całe pudełko – odparł Mitch, przypominając sobie napis wyryty na lufie.

–Jakieś inne specjalne wymagania?

–Nie – zgadł Mitch.

–Nie przyniósł pan broni. Wolałbym ją zobaczyć. Mi-tch założył mylnie, że jeżeli wniesie pistolet do sklepu, wezmą go za złodzieja albo bandziora.

–Mam tylko to – powiedział, kładąc na ladzie magazynek.

–Lepszy byłby pistolet, ale może to nam wystarczy. Pięć minut później Mitch zapłacił za trzy magazynki i pudełko z setką naboju.45 ACP.

Przez cały czas spodziewał się, że zaraz zabręczą dzwonki alarmowe. Miał wrażenie, że go podejrzewają, obserwują i świetnie wiedzą kim jest. Najwyraźniej brakowało mu zimnej krwi, którą powinny się wykazać osoby ścigane przez prawo.

Podchodząc do wyjścia, zerknął przez szklane drzwi na parking i zobaczył blokujący samochód radiowóz. Gliniarz stał przy drzwiach od strony kierowcy i zaglądał do zamkniętej hondy.

## 59

Przyjrząwszy się dokładniej radiowozowi, Mitch spostrzegł, że na jego drzwiach nie widnieje herb miasta, ale napis – First Enforcement – oraz symbol prywatnej firmy ochroniarskiej. Stojący przy hondzie mundurowy musiał być strażnikiem, nie policjantem.

Tak czy inaczej nie zainteresowałby się hondą, gdyby nie wiedział, że jest poszukiwana. Ten facet najwyraźniej słuchał radia na częstotliwości policyjnej.

Strażnik zastawił swoim samochodem hondę i skierował się do sklepu. Robił wrażenie zdecydowanego.

Najprawdopodobniej przyjechał tu w jakiejś osobistej sprawie i zupełnie

przypadkowo trafił na hondę. Teraz miał zamiar dokonać obywatelskiego aresztowania i płał się już w przyszłej sławie.

Prawdziwy gliniarz przed wejściem do sklepu wezwałby posiłki. Mitch powinien dziękować losowi, że trafił na amatora.

Sklep był otoczony parkingiem z obu stron i prowadziły do niego dwa wejścia. Mitch cofnął się od jednych drzwi i ruszył szybko do drugich.

Kiedy wyszedł na dwór bocznym wyjściem i obiegł dookoła sklep, strażnik zniknął w środku.

Mitch był sam na wietrze. Wiedział, że nie potrwa to długo. Popędził do hondy.

Samochód ochrony zablokował go. Z drugiej strony był sześciocalowy betonowy krawężnik, nad którym zamontowano stalową barierę. Za parkingiem teren opadał stromo sześć stóp aż do chodnika.

Niedobrze. Nie mógł wyjechać. Będzie musiał porzucić hondę.

Otworzył drzwi i wyjął pistolet spod siedzenia.

Zamykając drzwi hondy, zobaczył, że ktoś wychodzi ze sklepu z bronią. To nie był strażnik.

Podniósł klapę bagażnika i wyciągnął plastikową torbę ze schowka na koło zapasowe. Wsadził do niej pistolet oraz rzeczy, które kupił w sklepie z bronią, zakręcił torbę na górze, zatrzasnął bagażnik i odszedł.

Minąwszy pięć zaparkowanych pojazdów, wszedł między dwa SUV-y. Zajrzał do obu w nadziei, że jeden z kierowców zostawił kluczyki w stacyjce, lecz nie dopisało mu szczęście.

Ruszył różnym krokiem – ale nie biegiem – na ukos po asfalcie, w stronę bocznej ściany budynku, z którego przed chwilą wyszedł.

Dotarłszy do rogu, spostrzegł kątem oka jakiś ruch przy drzwiach frontowych sklepu. Strażnik wychodził na dwór.

Chyba go nie zauważył. Chwilę później Mitch zniknął za rogiem.

Boczny parking kończył się niskim betonowym murkiem. Mitch przeskoczył go i wszedł na teren baru dla zmotoryzowanych.

Pamiętając, żeby nie biec niczym ścigany, przeciął parking, minął w oparach spalin i przepalonego tłuszczu kolejkę

**pojazdów, które czekały na odbiór zamówień, po czym obszedł rył restauracji i przeskoczył kolejny murek.**

**Przed sobą miał małe centrum handlowe z sześcioma albo ośmioma sklepami. Zwolnił nieco i mijając je, oglądał wystawy niczym normalny, robiący zakupy facet z milionem czterystoma tysiącami dolarów do wydania.**

**Kiedy dotarł do końca przecznicy, główną aleją przejechał radiowóz z migającym na dachu czerwono-niebieskim światłem. Kierował się w stronę sklepu z bronią. Tuż za nim pojawił się następny.**

**Mitch skręcił w lewo w małą boczną uliczkę i oddalając się od alei, ponownie przyspieszył kroku.**

**Centrum handlowe zajmowało tylko jedną przecznicę, za nim znajdowała się dzielnica mieszkalna.**

**Przy pierwszej ulicy stały budynki wielomieszkaniowe, dalej domy jednorodzinne, na ogół piętrowe, z rzadka jakiś bungalow.**

**Uliczka wysadzana była dającymi dużo cienia zastrzali-nami. Większość trawników była zielona i skoszona, krzaki przycięte. W każdej społeczności trafia się jednak jakiś abnegat, egzekwujący prawo do bycia złym sąsiadem.**

**Kiedy policja nie znajdzie go w sklepie z bronią, przeszukają pobliski teren. W ciągu kilku minut mogą ściągnąć tutaj sześć albo więcej radiowozów.**

**Mitch zaatakował policjanta. Tego rodzaju wykroczenie traktowane jest priorytetowo.**

**Przy ulicy parkowały przeważnie SUV-y. Mitch zwolnił i zerkał przez szyby na stacyjki, mając nadzieję, że zobaczy w którejś kluczyk.**

**Spojrzał na zegarek, było czternaście po pierwszej. Wymianę wyznaczono na trzecią, a on nie miał środka transportu.**

Jazda trwa około piętnastu minut i Holly, ze skrępowanymi rękoma i zawiązanymi oczyma, zbyt intensywnie planuje różne posunięcia, by zastanawiać się, czy nie krzyknąć.

Jej szalony kierowca zatrzymuje się w końcu i zaciąga hamulec ręczny. Holly słyszy, że wysiada i zostawia otwarte drzwi.

W Rio Lucio w Nowym Meksyku świątobliwa kobieta, niejaka Ermina Jakaśtam, mieszka w otynkowanym na niebiesko i zielono, a może na niebiesko i żółto domu. Ma siedemdziesiąt dwa lata.

Zabójca wraca do furgonetki, przejeżdża nią około dwudziestu stóp i ponownie wysiada.

W saloniku Erwiny Jakiejśtam są może czterdzieści cztery, a może czterdzieści dwa obrazki Przenajświętszego Serca Jezusowego przebitego cierniami.

To podsuwa Holly pewien pomysł. Śmiały pomysł. I trochę straszny. Ale chyba dobry. Kiedy zabójca wraca znowu do furgonetki, Holly domyśla się, że otworzył bramę, żeby gdzieś wjechać, a następnie zamknął ją za nimi.

Na podwórku Erminy Jakiejśtam zabójca zakopał „skarb”, którego staruszka z pewnością by nie zaaprobowa-

ła. Holly zastanawia się, co to za skarb, ale ma nadzieję, że nigdy się tego nie dowie.

Furgonetka przejeżdża może sześćdziesiąt stóp po nieutwardzonej nawierzchni. Małe kamyki chrzęszczą i grze-choczą pod oponami. Zabójca zatrzymuje się ponownie i tym razem gasi silnik.

–Jesteśmy na miejscu.

–To dobrze – mówi Holly, ponieważ stara się zachowywać tak, jakby nie była wystraszoną zakładniczką lecz kobietą która dojrzeła do pełni swojej duchowości.

Mężczyzna otwiera tylne drzwi i pomaga jej wysiąść.

Ciepły wiatr niesie niewyraźny zapach drzewnego dymu. Może to płoną kaniony daleko na wschodzie.

Po raz pierwszy od ponad dwudziestu czterech godzin Holly czuje na twarzy promienie słońca. To takie miłe uczucie, że chce jej się płakać.

**Podtrzymując ją za prawe ramię, eskortując niemal w dworski sposób, mężczyzna prowadzi Holly po gołej ziemi, przez zarośla. Potem stąpają po twardej nawierzchni o niewyraźnym wapiennym zapachu.**

**Kiedy się zatrzymują, trzykrotnie rozlega się dziwny stłumiony dźwięk. Towarzyszy mu trzask pękającego drewna**

**I zgrzyt metalu.**

**–Co to było? – pyta Holly.**

**–Przestrzeliłem drzwi.**

**Teraz już wie, jak brzmi strzał oddany z pistoletu z tłumikiem. Trzy strzały.**

**Mężczyzna prowadzi ją przez próg domu, do którego włamał się, strzelając w zamek.**

**–Już niedaleko.**

**Echo ich niespiesznych kroków przywodzi jej na myśl**

**przepastne wnętrza.**

**–Czuję się jak w kościele.**

**–Na swój sposób to rzeczywiście coś w rodzaju kościoła – odpowiada mężczyzna. – Jesteśmy w katedrze skraj-**

**nego nieumiarkowania.**

**Holly czuje zapach tynku i trocin. Nadal słyszy wiatr, ale ściany najwyraźniej dobrze izolowano, a okna zaopatrzono w potrójne szyby, ponieważ jego wycie jest stłumione.**

**W końcu docierają do pomieszczenia, które jest chyba mniejsze od poprzednich i ma niższy sufit.**

**–Zaczekaj tutaj – mówi zabójca, zatrzymując ją i puszczając jej ramię.**

**Holly słyszy znajomy dźwięk, który sprawia, że upada na duchu: brzęk łańcucha.**

**Zapach trocin nie jest tak wyraźny jak w poprzednich pomieszczeniach, ale Holly przypomina sobie groźby porywaczy, że poucinają jej palce. Zastanawia się, czy nie ma tu gdzieś piły tarczowej.**



**–Milion czterysta tysięcy – mówi z premedytacją. – Można za to mieć dużo poszukiwań.**

**–Można za to mieć dużo wszystkiego – odpowiada mężczyzna.**

**Dotyka ponownie jej ręki, a ona się nie cofa. Owija jej lewy nadgarstek łańcuchem i łączy w jakiś sposób ogniwa.**

**Kiedy człowiek ciągle musi pracować, nie ma tak naprawdę czasu na poszukiwania-kontynuuje Holly i choć okazuje w tym momencie ignorancję, ma nadzieję, że ten rodzaj ignorancji do niego przemówi.**

**–Praca to ropucha, która nas przytłacza – mówi zabójca i Holly domyśla się, że poruszyła właściwą strnę.**

**Mężczyzna rozwiązuje szarfę, która krępowała jej ręce, i Holly mu dziękuje.**

**Kiedy zdejmuje jej z oczu opaskę, Holly mruga, przyzwyczajając się do światła. Odkrywa, że są w niewykończonym domu.**

**Po wejściu tutaj mężczyzna ponownie nałożył kominiarkę. Chce dać do zrozumienia, że Holly może wybrać swojego męża zamiast niego i że pozwoli im wtedy żyć. – Tu miała być kuchnia – mówi. Pomieszczenie jest ogromne jak na kuchnię, ma może pięćdziesiąt na trzydzieści stóp**

**–wymarzone miejsce na przygotowywanie dużych przyjęć z cateringiem. Wapienna podłoga pokryta jest kurzem. Postawione są gipsowe ścianki, ale nie ma żadnych szafek ani sprzętu kuchennego.**

**Nisko ze ściany wystaje metalowa rurka – chyba gazowa – o średnicy mniej więcej dwóch cali. Przymocowany jest do niej drugi koniec łańcucha, który Holly ma na nadgarstku. Metalowa nasadka, prawie o cal grubsza od samej rurki, nie pozwala zsunąć się z niej łańcuchowi.**

**Mężczyzna dał jej osiem stóp swobody. Może usiąść, stać i nawet chodzić w kółko.**

**–Gdzie jesteście? – pyta.**

**–W domu Turnbridge'a.**

**–Aha. Ale dlaczego? Jesteś z nim jakoś związany?**

**–Byłem tutaj kilka razy – odpowiada mężczyzna – chociaż nigdy wcześniej nie przestrzeliłem zamka. On mnie przyciąga. Nadal tu jest.**

**–Kto?**

–Turnbridge. Nie wyprowadził się. Jego duch wciąż tu jest, ciasno zwinięty podobnie jak dziesięć tysięcy martwych piwnicznych stonóg, które zaśmiecają to miejsce.

–Myślałam o Erminie w Rio Lucio – mówi Holly.

–Erminie Lavato.

–Tak – odpowiada, jakby wcale nie zapomniała na

zwiska. – Widzą niemal pokoje w jej domu, każdy w innym

kolorze. Nie wiem, dlaczego wciąż o niej myślę.

Jego błękitne oczy obserwują ją z gorączkową intensywnością spod wełnianej kominiarki.

–Widzę ściany jej sypialni obwieszane obrazkami

Matki Boskiej – mruczy Holly, zamykając oczy, opuszcza

jąc luźno ręce po bokach i przechylając twarz ku sufitowi.

–Czterdziestoma dwoma obrazkami.

–I palą się tam świece, prawda?

–Tak. Wotywnie świece.

–To uroczy pokój. Jest tam szczęśliwa.

–Ermina jest bardzo biedna – mówi mężczyzna – ale

szczęśliwsza od wszystkich bogaczy.

W tej staroświeckiej kuchni z lat dwudziestych unosi się zapach kurczących fajitas – dodaje Holly, po czym odycha głęboko, jakby chciała go poczuć.

Mężczyzna się nie odzywa.

–Nigdy tam nie byłam – mówi Holly, otwierając oczy

–i nigdy jej nie spotkałam. Dlaczego nie mogę przestać

myśleć o niej i o jej domu?

Jego przedłużające się milczenie niepokoi ją. Boi się, że przesadziła, uderzyła w

**falszywą strunę.**

**–Czasami ludzie, którzy nigdy się nie spotkali, wzbudzają w sobie rezonans – oznajmia w końcu mężczyzna.**

**–Rezonans – powtarza Holly, zastanawiając się nad tym słowem.**

**–Mieszkasz daleko od niej, ale w pewnym sensie mogłybyście być sąsiadkami.**

**Jeżeli Holly potrafi go przejrzeć, wzbudziła w nim więcej ciekawości niż podejrzeń. Byłoby jednak fatalnym błędem sądzić, że potrafi go kiedykolwiek przejrzeć.**

**–To dziwne – mówi i porzuca ten temat.**

**Mężczyzna oblizuje językiem spierzchnięte wargi, robi to**

**kilka razy.**

**–Muszę poczynić pewne przygotowania – oznajmia w końcu. – Przykro mi z powodu łańcucha. Nie będzie już wkrótce potrzebny.**

**Po wyjściu mężczyzny Holly nasłuchuje jego cichnących dobiegających z pustych pomieszczeń kroków.**

**Przechodzą ją zimne dreszcze. Nie może ich opanować i ogniwa łańcucha dzwonią o siebie.**

W chybotliwym cieniu targanych przez wiatr zastrzali-nów Mitch zaglądał do kolejnych stojących przy krawężniku samochodów. W końcu zaczął szarpać za ich klamki. Kiedy nie były zamknięte na klucz, otwierał drzwiczki.

Jeżeli kluczyków nie było w stacyjce, mogły być w uchwycie na napoje lub wsunięte za zasłonę przeciwsłoneczną. Nie znalazłszy ich w żadnym z tych miejsc, zamykał drzwi i ruszał dalej.

Zaskoczyła go zrodzona z desperacji własna śmiałość. W każdej chwili zza rogu mógł jednak wyjechać radiowóz i wtedy pograżyłaby go raczej ostrożność niż brawura.

Miał nadzieję, że tutejsi mieszkańcy nie uczestniczą w programie sąsiedzkiej samopomocy. Policyjny mentor poinstruowałby ich wówczas, żeby zwracać baczną uwagę na takich jak on osobników i zgłaszać ich każde pojawienie się.

Jak na niefrasobliwą południową Kalifornię i szczyjącą się niską przestępczością Newport Beach przygnębiająco dużo ludzi zamykało samochody na klucz. Ich paranoja zaczęła go w końcu irytować.

Minąwszy dwie przecznice, zobaczył przed sobą zaparkowanego na podjeździe lexusa z pracującym silnikiem i otwartymi drzwiami kierowcy. Nikt nie siedział za kierownicą.

Drzwi garażu również były otwarte. Mitch podszedł ostrożnie do samochodu, ale w garażu nie było nikogo. Kierowca pobiegł najwyraźniej do domu po jakąś zapomnianą rzecz.

Kradzież lexusa zostanie zgłoszona w ciągu kilku minut, ale gliniarze nie zaczną go natychmiast szukać. Zgłoszenie skradzionego samochodu podlega określonym procedurom; procedury stanowią część systemu, system opiera się na biurokracji, biurokracja działa z opóźnieniem.

Numery rejestracyjne pojazdu zostaną przekazane patrolom dopiero po kilku godzinach; Mitch potrzebował najwyżej dwóch.

Ponieważ samochód stał przodem do ulicy, usiadł za kierownicą rzucił plastikową torbę na fotel pasażera, zatrzasnął drzwiczki i natychmiast ruszył, skręcając w prawo

**i oddalając się od alei i sklepu z bronią.**

**Na najbliższym skrzyżowaniu skręcił ponownie w prawo, ignorując znak stop i dopiero w jednej trzeciej przecznicy dobiegł go drżący głos z tylnego siedzenia:**

**–Jak się nazywasz, kochanie?**

**W kąciku siedział niewielki staruszek. Miał okulary z**

**grubymi jak spodki soczewkami, aparacik słuchowy i spodnie, które sięgały mu do piersi. Wyglądał na sto lat. Czas pomniejszył go, ale nie wszystkie części ciała równomiernie.**

**–Och, to ty, Debbie – powiedział. – Dokąd jedziemy,**

**Debbie?**

**Jedno przestępstwo prowadzi do drugiego i w rezultacie do pewnej zguby. Mitch sam stał się teraz porywaczem.**

**–Jedziemy do cukierni? – dopytywał się staruszek z**

**nutką nadziei w głosie.**

**Może był w jakimś stadium alzheimera.**

**–Tak, jedziemy do cukierni – odparł Mitch i na następnym skrzyżowaniu ponownie skręcił w prawo.**

**–Lubię ciastka.**

**–Wszyscy lubią ciastka – zgodził się Mitch. Gdyby serce nie waliło mu tak mocno, że rozboleła go pierś, gdyby życie jego żony nie zależało od tego, by pozostał na wolności, gdyby nie spodziewał się w każdej chwili natknąć na policjantów i gdyby nie obawiał się, że najpierw będą strzelać, a dopiero potem przedyskutują przysługujące mu prawa obywatelskie, mógłby uznać całą sytuację za zabawną. Ale to nie było zabawne, tylko nierealne.**

**–Nie jesteś Debbie – oznajmił nagle staruszek. – Je**

**stem Norman, ale ty nie jesteś Debbie.**

**–Nie. Ma pan rację. Nie jestem. – Kim jesteś?**

**–Zwykłym facetem, który popełnił błąd. Norman za**

stanawiał się nad tym do momentu, kiedy

Mitch skręcił w prawo na trzecim skrzyżowaniu.

–Zrobisz mi krzywdę – oświadczył. – To właśnie mi  
zrobisz.

Lęk w głosie starego wzbudzał współczucie.

–Nie, nie. Nikt pana nie skrzywdzi.

–Skrzywdzisz mnie, jesteś złym człowiekiem.

–Nie, popełniłem tylko błąd. Odwożę pana z powrotem do domu – zapewnił go  
Mitch.

–Gdzie jesteśmy? To nie jest dom. Nie jesteśmy blisko domu. – Głos, do tej pory  
cienki, stał się nagle silny i świdrujący. – Jesteś złym sukinsynem!

–Niech pan się nie denerwuje. Proszę. – Mitchowi było żal staruszka, czuł się za  
niego odpowiedzialny. – Zaraz tam będziemy. Za chwilę wróci pan do domu.

–Jesteś złym sukinsynem! Jesteś złym sukinsynem!

Na czwartym rogu Mitch znowu skręcił w prawo, w uliczkę, przy której ukradł  
samochód. – **JESTEŚ ZŁYM SUKINSYNEM!** W głębi zassuszonego, zniszczonego  
przez

czas ciała Norman odnalazł tubalny głos młodzieniaszka.

**–JESTEŚ ZŁYM SUKINSYNEM!**

**–Proszę, Norman. Dostaniesz ataku serca.**

Mitch miał nadzieję, że skręci na podjazd i zostawi niepostrzeżenie samochód tam, gdzie go znalazł. Z domu wyszła jednak jakaś kobieta i zobaczyła, jak wyjeżdża zza rogu.

Robiła wrażenie przerażonej. Myślała pewnie, że to Norman siedzi za kierownicą.

**–JESTEŚ ZŁYM SUKINSYNEM! BARDZO ZŁYM SUKINSYNEM!**

Mitch zatrzymał się na ulicy, zaciągnął hamulec ręczny, złapał plastikową torbę i wyskoczył z samochodu, zostawiając otwarte drzwi.

Czterdziestokilkuletnia, nieco tęgawa, atrakcyjna kobieta miała włosy Roda Stewarta, w które fryzjerka w salonie piękności pracowicie wplotła blond pasemka. Ubrana była w elegancki kostium i szpilki zbyt wysokie, by wybierać się w nich do cukierni.

**–Pani jest Debbie? – zapytał Mitch.**

**–Czy ja jestem Debbie? – powtórzyła zdezorientowana.**

**–Może nie było żadnej Debbie.**

Norman nadal wydzierał się w samochodzie.

**–Bardzo przepraszam. Fatalny błąd – powiedział Mitch i zaczął się od niej oddalać, kierując się w stronę pierwszego z czterech rogów, wokół których obwiozł Normana.**

**–Dziadku? Nic ci się nie stało, dziadku? – usłyszał jej głos.**

Dotarłszy do znaku stop, obejrzał się i zobaczył, że kobieta wsadziła głowę do samochodu i pociesza staruszkę. Chwile później skręcił na rogu i zniknął jej z pola widzenia. Nie biegł, szedł dziarskim krokiem.

Dochodząc do następnego rogu, usłyszał za sobą klakson. Kobieta ścigała go swoim lexusem.

Widział ją przez przednią szybę: jedną ręką trzymała kie-

rownicę, w drugiej miała komórkę. Nic dzwoniła do swojej siostry w Omaha. Nie dzwoniła do zegarynki. Dzwoniła pod 911.

62

Maszerując chodnikiem i zmagając się z wiejącym mu w twarz wiatrem, Mitch zdołał jakimś cudem uniknąć użądlenia przez pszczoły, które nagły podmuch wytrząsnął z gniazda na drzewie.

Zdeterminowana kobieta w lexusie jechała za nim w wystarczająco dużej odległości, żeby zawrócić i uciec, w razie gdyby zmienił kierunek i próbował do niej podbiec. Przez cały czas miała go jednak na oku. Kiedy Mitch zaczął biec, ona także przyspieszyła.

Podziwiał jej odwagę, mimo że miał ochotę przestrzelić jej opony.

Zaraz powinni się tu pojawić gliniarze. Odnalazłszy jego hondę, wiedzieli, że jest gdzieś w pobliżu. Nieudana próba kradzieży lexusa zaledwie kilka przecznic od sklepu z bronią z pewnością wzbudziła ich podejrzenia.

Kobieta zatrąbiła raz i drugi, a potem nie odejmowała już ręki od klaksonu. Chciała, by sąsiedzi wiedzieli, że w okolicy grasuje kryminalista. Natarczywość klaksonu mogła sugerować, że na ulicy pojawił się sam Osama bin La-den.

Mitch zszedł z chodnika, przeciął czyjś trawnik, otworzył furtkę i przebiegł wzdłuż ściany domu, mając nadzieję, że na tylnym podwórku nie trafi na pitbulla. Większość osobników tej rasy była bez wątpienia łagodna jak baranki, ale biorąc pod uwagę jego pieskie szczęście, na pewno trafi na ludojada.

Podwórko okazało się niezbyt długie, otoczone wysokim

na siedem stóp płotem z zaostrzonych na górze cedrowych listewek. Nigdzie nie było furtki. Mitch przywiązał plastikową torbę do paska, wdrapał się na erytrynę, przeszedł nad płotem po gałęzi i zeskoczył po drugiej stronie na alejkę.

Dla policji było jasne, że zamiast ulicami będzie wolał przemieszczać się tylnymi alejkami, nie mógł więc raczej z nich korzystać.

Minął pustą działkę osłoniętą dawno nieprzycinanymi witkami kalifornijskich drzew pieprzowych, które wirowały i falowały niczym falbany tańczących walca osiemnastowiecznych dam.

Kiedy mijał następną uliczkę, przez skrzyżowanie na wschodzie przejechał radiowóz. Pisk hamulców powiedział mu, że został dostrzeżony.



Przez podwórko, przez płot, przez alejkę, furtkę, kolejne podwórko i uliczkę, teraz bardzo szybko, z plastikową torbą objającą się o udo. Bał się, że ją rozerwie i zgubi pliki studolarowych banknotów.

Ostatni rząd domów graniczył z niewielkim kanionem, głębokim na dwieście stóp i szerokim na trzysta. Mitch przesadził ogrodzenie z kutego żelaza i znalazł się natychmiast na stromym zboczu. Grawitacja i śliska, zerodowana ziemia poniosły go w dół.

Niczym surfer, szukający ekstazy przy zdradzieckiej pionowej ścianie wodnego monolitu, próbował zachować pionową postawę, ale piaszczysta gleba nie okazała się tak przychylna jak morze. Ugięły się pod nim nogi i ostatnie dziesięć jardów przejechał na plecach, wzniesając za sobą tuman białego kurzu. Sekundę później wbił się stopami w ścianę wysokiej trawy i zarośli.

Zatrzymał się pod baldachimem gałęzi. Z wysoka dno kanionu zdawało się porośnięte bujną zielenią, ale Mitch nie spodziewał się dużych drzew. Tymczasem oprócz krzewów i karłowatych drzewek, których obecność go nie zdziwiła, odnalazł tutaj mieszany las.

Kalifornijskie kasztanowce okryte były girlandami białych pachnących kwiatów. Palmy szorstkowce sąsiadowały z wawrzynami kalifornijskimi i czarnymi śliwami wiśniowymi. Wiele drzew miało sękatę, powykręcane i szorstkie gałęzie, jakby gleba miejskiego kanionu zasilła mutage-nami ich korzenie, ale rosły tam również klony japońskie i tasmańskie eukaliptusy, które byłyby ozdobą każdego wysublimowanego ogrodu.

Kilka szurów rozpierzchno się, kiedy się pojawił, i jakiś wąż odpętlł w cień. Może grzechotnik. Trudno powiedzieć.

Dopóki Mitcha zasłaniały drzewa, nikt nie mógł go dostrzec ze skraju kanionu. Nie groziło mu już natychmiastowe aresztowanie.

Tyle gałęzi różnych drzew splotło się ze sobą, że nawet porywisty wiatr nie mógł zerwać baldachimu i pozwolić zajrzeć na dół promieniom słońca. Światło było zielone i rozwodnione. Cienie kołysały się i drżały niczym morskie anemony.

Środkiem kanionu płynął płytki strumyk, co nie powinno dziwić po ostatnich deszczach. Poziom wód gruntowych był tak wysoki, że mała studnia artezyjska mogłaby tu dostarczać wody przez cały rok.

Mitch odwiązał plastikową torbę od paska i zbadał ją. Była przedziurawiona w trzech miejscach i w jednym rozdarła na cal, ale chyba nic z niej nie wypadło.

Zrobił na górze luźny prowizoryczny węzeł i przycisnął torbę do piersi.

**Z tego, co zapamiętał, na zachodzie kanion zwężał się i ostro podnosił. Ruszył szybkim krokiem w tamtą stronę, nie oddalając się zbytnio od płynącego leniwym nurtem strumyka.**

**Wilgotny dywan liści amortyzował jego kroki. W powietrzu wisiał przyjemny zapach mokrej ziemi, wilgotnych liści i muchomorów.**

**Chociaż liczba ludności hrabstwa Orange przekraczała trzy miliony, dno kanionu sprawiało wrażenie oddalonego**

**setki mil od cywilizacji. Do chwili kiedy usłyszał helikopter.**

**Sądząc po hałasie, maszyna przeleciała dokładnie nad jego głową. Oddaliła się na północ i zaczęła krążyć nad okolicą, z której uciekł. Warkot silników potężniał, cichł i znowu potężniał.**

**Wypatrywali go z góry, ale robili to w złym miejscu. Nie wiedzieli, że zsunął się na dno kanionu.**

**Szedł dalej – i nagle przystanął i krzyknął cicho, słysząc brzęczenie komórki Ansona. Wyjął z kieszeni telefon, zadowolony, że go nie zgubił ani nie zniszczył.**

**–Mówi Mitch.**

**–Nadal nie tracisz nadziei? – zapytał Jimmy Nuli.**

**–Nie. Daj mi porozmawiać z Holly.**

**–Nie tym razem. Wkrótce się z nią spotkasz. Przesuwam spotkanie z trzeciej na drugą.**

**–Nie możesz tego zrobić.**

**–Właśnie to zrobiłem.**

**–Która jest teraz?**

**–Wpół do drugiej – odparł Jimmy Null.**

**–Nie, nie dam rady dotrzeć tam na drugą.**

**–Dlaczego? Od Ansona jest tylko parę minut do domu Turnbridge'a.**

**–Nie jestem u Ansona.**

**–Gdzie jesteś, co robisz? – zapytał Null.**

**–Jeżdżę po okolicy, zabijam czas – odparł Mitch, zagłębiając stopy w mokrych liściach.**

**–To głupota. Powinieneś siedzieć u niego, czekać.**

**–Umówmy się na wpół do trzeciej. Mam pieniądze. Mi lion czterysta tysięcy. Mam je przy sobie.**

**–Pozwól, że coś ci powiem. Mitch odczekał chwilę.**

**–Co? Co mi powiesz? – zapytał, kiedy Null się nie odezwał.**

**–Na temat pieniędzy. Pozwól, że coś ci powiem na temat pieniędzy.**

**–Dobrze.**

**–Nie żyję dla pieniędzy. Mam ich trochę. Są rzeczy, które znaczą dla mnie więcej niż pieniądze.**

**Coś było nie w porządku. Mitch odczuł to już wcześniej, rozmawiając z Holly, która wydawała się jakaś skrępowana i nie powiedziała, że go kocha.**

**–Posłuchaj, zaszedłem tak daleko, zaszliśmy tak daleko, że musimy to doprowadzić do końca.**

**–Spotykamy się o drugiej – powiedział Null, – Taka jest nowa godzina. Kiedy nie będzie cię tam, gdzie powinieneś być, punktualnie o drugiej, sprawa skończona. Nie będziesz miał drugiej szansy.**

**–Dobrze.**

**–Godzina druga.**

**–Dobrze.**

**Jimmy Null zakończył rozmowę. Mitch puścił się biegiem.**

Przykuta do gazrurki Holly wie, co musi zrobić wie co robi, i w związku z tym może już tylko martwić się tym co może pójść nie tak, względnie zachwycać się niewykończonym wnętrzem rezydencji.

Thomas Turnbridge miałby fantastyczną kuchnię, gdyby nadal żył. Gdyby zainstalowano cały sprzęt, firma caterin-gowa z najwyższej półki mogłaby tu przygotować i podać kolację na sześćset osób.

Turnbridge był internetowym miliarderem. Firma, którą założył i która przyniosła mu fortunę, nie wytwarzała żadnego produktu, lecz zajmowała się aplikacjami ogłoszeniowymi dla Internetu.

Kiedy magazyn „Forbes” wycenił majątek Turnbridge<sup>^</sup> na trzy miliardy dolarów, kupował on akurat domy na klifie z oszałamiającym widokiem na Pacyfik. Kupił dziewięć, jeden przy drugim, płacąc za nie dwa razy tyle, ile wynosiła aktualna cena. Wydał ponad sześćdziesiąt milionów po to tylko, żeby je zburzyć i stworzyć trzyaktową posiadłość, która nie miała sobie równych na całym południowym wybrzeżu Kalifornii.

Czołowa firma architektoniczna oddelegowała trzydziestoosobowy zespół do zaprojektowania trzykondygnacyjnego domu o powierzchni osiemdziesięciu pięciu tysięcy stóp, nie licząc rozległych podziemnych garaży i pomieszczeń technicznych. Dom miał być w stylu zaprojektowanej przez

Alberta Pinto rezydencji w Brazylii.

Niektóre jego elementy, jak zlokalizowane częściowo wewnątrz domu i częściowo na zewnątrz wodospady, podziemna strzelnica oraz kryte lodowisko wymagały heroicznych wysiłków architektów krajobrazu, technologów i geo-techników. Dwa lata trwało samo projektowanie. W trakcie dwóch pierwszych lat budowy ukończono wyłącznie fundamenty i podziemia.

Nie istniał żaden budżet. Turnbridge pokrywał wszystkie rachunki.

Zakupiono odpowiednie ilości wysokiej klasy granitów i marmurów. Elewacja domu miała być wyłożona francuskim wapieniem; sześćdziesiąt kolumn wykutych z jednego bloku od plinty do abakusa kosztowało siedemdziesiąt tysięcy dolarów każda.

Turnbridge darzył równie wielką miłością budowany dom i stworzoną przez siebie firmę. Wierzył, że stanie się jedną z największych dziesięciu światowych korporacji.

Wierzył w to nawet wówczas, gdy gwałtownie rozwijający się Internet obnażył wady jego strategii biznesowej. Od początku sprzedawał akcje wyłącznie po to, żeby sfinansować swój styl życia, a nie zwiększać inwestycje. Kiedy ceny akcji jego firmy spadły, pożyczył pieniądze, żeby wykupić je na giełdzie. Ceny spadały coraz bardziej, a on wciąż wykupywał.

Ceny nigdy nie wróciły do poprzedniego poziomu, firma upadła i Turnbridge zbankrutował. Budowa domu została wstrzymana.

Ścigany przez wierzycieli, inwestorów oraz rozwścieczoną ekszoną, Thomas Turnbridge przyjechał do swojego nie-ukończonego domu, usiadł na leżaku na balkonie głównej sypialni, i podziwiając rozciągający się na trzy strony świata widok na ocean i światła wielkiego miasta, popił śmiertelną dawką barbituratów schłodzoną butelką dom peri-gnona.

Padlinożerne ptaki znalazły go dzień przed ekszoną.

Chociaż trzy akry nad brzegiem oceanu to nie lada gratka, posiadłość nie została sprzedana po jego śmierci. Oplotła ją pajęczyna pozwów. Aktualnie wartość ziemi sięga przepłaconej przez Turnbridge'a sumy sześćdziesięciu milionów dolarów, co zawęży znacznie krąg ewentualnych nabywców.

Aby dokończyć budowę rezydencji zgodnie z projektem, kupujący musiałby wydać kolejne pięćdziesiąt milionów, zatem powinien mu się raczej podobać jej styl. Jeżeli wyburzy to, co zbudowano, i zacznie od nowa, czeka go wydatek co najmniej pięciu milionów, ponieważ będzie miał do czynienia z konstrukcjami ze zbrojonego betonu, które miały przetrwać bez szwanku trzęsienie ziemi o mocy 8,2 stopni w skali Richtera.

Holly, która pragnie zostać agentką nieruchomości, nie marzy nawet o przyjęciu do sprzedaży domu Turnbridge'a. Zadowolili ją w pełni sprzedaż nieruchomości przeciętnie zamożnym ludziom, którzy będą się cieszyli z kupna własnego domu.

W gruncie rzeczy, gdyby mogła zamienić swoje skromne marzenie o byciu agentką na gwarancję, że ona i Mitch przeżyją następne kilka godzin, chętnie pozostałaby sekretarką. Jest dobrą sekretarką i dobrą żoną postara się być również dobrą mamą, i to ją uszczęśliwi.

Nie sposób jednak zawrzeć takiej umowy z losem: przyszłość Holly spoczywa w jej rękach, dosłownie i w przenośni.

Kiedy nadejdzie czas działania, będzie musiała działać. Ma plan. Jest przygotowana na ryzyko, na ból i na krew.

Świr wraca. Włożył szarą wiatrówkę i cienkie miękkie rękawiczki.

**Kiedy wchodzi, Holly siedzi na podłodze, ale na jego widok wstaje.**

**Naruszając jej osobistą przestrzeń, świr staje tak blisko, jakby miał zamiar wziąć ją w ramiona i zatańczyć.**

**–W salonie domu Duvijia i Eloisy Pacheco w Rio Lucio**

**są dwa drewniane czerwone krzesła z bocznymi poręczami i rzeźbionym oparciem – mówi i kładzie prawą rękę na jej lewym ramieniu. Holly cieszy się, że włożył rękawiczki.**

**–Na jednym z czerwonych krzesel – kontynuuje świr – stoi tania ceramiczna figurka świętego Antoniego. Na drugim figurka chłopca w stroju ministranta.**

**–Kim jest ten chłopiec?**

**–Figurka symbolizuje ich synka, również o imieniu Anthony, który w wieku sześciu lat zginął przejechany przez pijanego kierowcę. To zdarzyło się przed pięćdziesięciu laty, kiedy Duvijio i Eloisa mieli po dwadzieścia kilka lat.**

**Nie będąc jeszcze matką, lecz mając nadzieję nią zostać, Holly nie potrafi sobie wyobrazić bólu po takiej stracie, tak nagłej i tak okropnej.**

**–Ołtarzyk – mówi.**

**–Tak, ołtarzyk z czerwonych krzesel. Nikt nie usiadł na żadnym z nich od pięćdziesięciu lat. Krzesła są dla tych dwóch figurek.**

**–Dla dwóch Antonich – poprawia go Holly. Świr chyba nie potraktował tego jako korekty.**

**–Wyobraź sobie – mówi – smutek, nadzieję, miłość i rozpacz, które skupiały się na tych figurkach. Pół wieku intensywnych pragnień nadało tym przedmiotom olbrzymią, moc.**

**Holly przypomina sobie dziewczynkę w koronkowej sukience, pochowaną z medalikiem świętego Krzysztofa i figurką Kopciuszka.**

**–Któregoś dnia odwiedzę Duvijia i Eloisę, kiedy nie bę**

**dzie ich w domu, i zabiorę ceramiczną figurkę chłopca.**

**Ten człowiek ma wiele twarzy – wśród nich okrutnego rabusia cudzej wiary, nadziei i drogocennych wspomnień.**

**–Nie interesuje mnie druga figurka, święty Antoni, ale chłopiec jest totemem o**

**magicznym potencjale. Zabiorę go do Espanoli...**

**–Gdzie twoje życie ponownie się odmieni.**

**–Do głębi – mówi świr.-Może nie tylko moje życie.**

**Holly zamyka oczy.**

**–Czerwone krzesła – szepcze tak, jakby wyobrażała**

**sobie to wnętrze.**

**W tym momencie stanowi to dla niego chyba wystarczającą zachętę.**

**–Mitch będzie tutaj za dwadzieścia kilka minut-mówi po krótkim milczeniu.**

**Serce bije jej szybciej na tę wiadomość, lecz nadzieję tłumi lęk i Holly nie otwiera oczu.**

**–Pójdę teraz go wypatrywać. Przyniesie pieniądze do tego pomieszczenia... i wtedy nadejdzie czas decyzji.**

**–Czy w Espanoli jest kobieta z dwoma białymi psami?**

**–Widzisz je?**

**–Widzę psy, które znikają w śniegu.**

**–Nie wiem. Ale jeżeli je widzisz, jestem pewien, że muszą być w Espanoli.**

**–Widzę siebie, widzę, jak śmieję się razem z nią. A psy są takie białe. – Holly otwiera oczy i spotyka jego wzrok. – Lepiej idź i go wypatruj.**

**–Dwadzieścia minut – przyrzeka mężczyzna i wy**

**chodzi z kuchni. Holly stoi chwilę nieruchomo, dziwiąc się**

**sama sobie. Białe psy, kto by pomyślał... Skąd jej to przy**

**szło do głowy? Białe psy i śmiejąca się kobieta.**

**Ona sama śmieje się niemal z jego łatwowierności, ale nie śmieszy jej to, że weszła mu do głowy dość głęboko, by wiedzieć, jakie zadziałają na niego fantazje. Fakt, że może w ogóle poruszać się po jego szalonym świecie, nie stanowi bynajmniej powodu do dumy.**

**Przechodzi ją dreszcz i siada na podłodze. Ma zimne dłonie i czuje chłód przy każdym skurczu kiszek.**

**Sięga pod sweter, między piersi i wyjmuje gwóźdź z biustonosza.**

**Chociaż czubek jest ostry, wolałaby, żeby był jeszcze ostrzejszy. Nie ma niczego, o co mogłaby go zaostrzyć.**

**Trzymając gwóźdź za główkę, skrobie nim o ściankę,**

**usypując pod nią mały kopczyk gipsu.**

**Nadeszła pora.**

**Kiedy była małą dziewczynką, bała się przez jakiś czas zrodzonych z bujnej wyobraźni nocnych potworów: mieszkających w szafie, pod łóżkiem, za oknem.**

**Jej babka, poczciwa Dorothy, nauczyła ją wierszyka, który, jak twierdziła, odpędzi każdego potwora: unicestwi te w szafie, obróci w pył te pod łóżkiem i odegna na bagna i do jaskiń te zza okna.**

**Wiele lat później Holly odkryła, że wiersz, który uleczył ją ze strachu przed potworami, ma tytuł Żołnierska modlitwa. Napisany przez nieznanego brytyjskiego żołnierza, został odnaleziony na kartce w okopie w Libii podczas bitwy pod Al-Akbajlą.**

**Holly recytuje go teraz cicho na głos.**

**Pozostań ze mną, Boże, Noc jest ciemna, Noc jest zimna. Gaśnie we mnie ostatnia Iskierka odwagi. Noc jest długa. Bądź przy mnie, Boże, i dodaj mi siły.**

**Waha się tylko przez chwilę Nadeszła pora.**



Mitch maszerował poboczem drogi w butach oblepionych błotem i mokrymi liśćmi, w pogniecionym i brudnym ubraniu, z plastikową białą torbą przyciśniętą do piersi, tak jakby trzymał w niej niemowlę, i oczyma tak rozpalonymi, że gdyby działa się to w nocy, oświetlałyby przed nim drogę.

Każdy mijający go policjant powinien mu się bacznie przyjrzeć. Wyglądał jak uciekinier, szaleniec albo połączenie obydwu.

Pięćdziesiąt jardów dzieliło go od stacji benzynowej i mi-nimarketu. W powietrzu trzepotały reklamujące sprzedaż opon proporce.

Zastanawiał się, czy ktoś podwiózłby go do domu Turn-bridge'a za dziesięć tysięcy dolarów. Chyba nie. Przyjrząwszy mu się bliżej, większość ludzi obawiałaby się, że zabije ich po drodze.

Proszący o podwiezienie, wymachujący dziesięcioma tysiącami dolców facet o wyglądzie włóczęgi z pewnością wzbudziłby podejrzenia kierownika stacji. Mógłby wezwać gliniarzy.

Mimo to szukanie okazji wydawało się jedynym wyjściem oprócz sterroryzowania jakiegoś kierowcy, a tego nie chciał robić. Facet mógł nierozważnie złapać za broń i oberwać przypadkiem kulką.

Kiedy podchodził do stacji benzynowej, z drogi zjechał cadillac escalade i zatrzymał się przy najdalszym dystrybutorze. Wysiadła z niego wysoka blondynka, zostawiła otwarte drzwiczki i ściskając w ręku torebkę, ruszyła do minimarketu.

Oba rzędy dystrybutorów były samoobsługowe. W pobliżu nie kręcili się żadni pracownicy.

Inny klient tankował fordą explorera \ czyścił szyby gumową wycieraczką.

Mitch podszedł do cadillaca i zajrzał przez otwarte drzwi. Kluczyki były w stacyjce.

Wsadził głowę do środka i sprawdził tylne siedzenie. Żadnego dziadka, żadnego dziecka w foteliku, żadnego pit-bulla.

Siadł za kierownicą zatrzasnął drzwi, zapalił silnik i wyjechał na szosę.

Spodziewał się, że jacyś ludzie pobiegną za nim, wymachując rękoma i krzycząc, ale w lusterku wstecznym nikogo nie dojrzał.

Szosa była dwupasmowa. Zastanawiał się, czy przejechać przez biegnący środkiem klomb. Cadillac mógł sobie z tym poradzić. Ale los mógł zrządzić, że w tej samej chwili pojawi się przy nim radiowóz.

Przejechał kilkaset jardów na północ i zawrócił na południe w dozwolonym miejscu.

Kiedy przejeżdżał obok stacji benzynowej, nie stała przed nią żadna wysoka wściekła blondynka. Jechał dość szybko, ale nie przekraczał ograniczenia prędkości.

Normalnie nie był niecierpliwym kierowcą który wyzywa powolnych bądź też niezdecydowanych automobilistów. Tym razem jednak życzył wszystkim, by spadły na nich najgorsze nieszczęścia i plagi.

Za cztery drugą dotarł w pobliże nieukończonego kaprysu Turnbridge'a i zatrzymał się przy krawężniku w niewidocznym z domu miejscu.

Przeklinając odporne guziki, rozpiął i zdjął koszulę. Jim-my Null i tak poleciłby mu ją ściągnąć, żeby przekonać się, że nie jest uzbrojony.

Kazano mu przybyć bez broni. Chciał sprawiać wrażenie,

że spełnił to żądanie.

Z plastikowej torby wyciągnął pudełko z amunicją kalibru czterdzieści pięć, a z kieszeni dżinsów oryginalny magazynek do pistoletu Springfield Champion. Dodał trzy naboje do siedmiu tkwiących już w magazynku.

Okazało się, że dobrze zapamiętał to, co widział w kinie. Odciągnął suwadło i jedenasty nabój wskoczył do komory.

Pociski wyslizgiwały mu się ze spoconych palców i miał czas załadować tylko dwa z trzech zapasowych magazynków. Wsunął pudełko z amunicją i pusty magazynek pod fotel kierowcy. Do drugiej została minuta.

Schował dwa pełne magazynki do kieszeni dżinsów, włożył załadowany pistolet do torby z pieniędzmi, skręcił ją na górze, nie zawiązując, po czym podjechał pod posiadłość Turnbridge'a.

Od ulicy oddzielało ją ogrodzenie z siatki obłożone płatami zielonego plastiku. Pobliscy mieszkańcy, którzy od kilku lat musieli żyć z tym szkaradzieństwem, żalowali pewnie, że biznesmen zabił się i nie mogą go w związku z tym zadręczyć pozwami i obelgami.

Na bramie wisiał łańcuch z kłódką. Zgodnie z tym, co powiedział Jimmy Null, nie była zamknięta na klucz.

**Mitch wjechał na teren posiadłości i zaparkował tyłem do domu. Wysiadł i otworzył wszystkie drzwi SUV-a mając nadzieję, że przekona w ten sposób NuUa, iż pragnie szczerze dotrzymać warunków umowy.**

**Zamknął bramę i założył na nią z powrotem łańcuch. Trzymając w reku torbę na śmieci, przeszedł kilkanaście kroków i zatrzymał się w połowie drogi między cadillakiem i domem.**

**Dzień był ciepły, ale nie gorący, słońce ostre. Światło i wiatr raziły go w oczy.**

**Zadzwoiła komórka Ansona.**

**-Tu. Mitch – powiedział, wciskając przycisk.**

**-Jest minuta po drugiej. Właściwie już dwie. Spóźniłeś się.**

Nieukończony dom wydawał się wielki jak hotel. Jimmy Null mógł go obserwować z każdego z wielu okien.

–Miałeś przyjechać swoją hondą – powiedział.

–Zepsuła się.

–Skąd wytrzasnąłeś cadillaca?

–Ukradłem go.

–Bujasz.

–Nie bujam.

–Zaparkuj go równoległe do domu, żebym mógł zobaczyć przednie i tylne siedzenia.

Mitch wykonał polecenie Nulla, zostawiając otwarte drzwi. Odszedł kilka kroków od samochodu i czekał z torbą na śmieci i telefonem przy uchu.

Zastanawiał się, czy Null nie zastrzeli go z daleka i nie przyjdzie po pieniądze. Zastanawiał się, dlaczego miałby tego nie zrobić.

–Nie podoba mi się to, że nie przyjechałeś hondą.

–Mówiłem ci, że się zepsuła.

–Co się stało?

–Złapałem gumę. Zmieniłeś godzinę spotkania na drugą i nie miałem czasu zmienić koła.

–Kradziony samochód... gliniarze mogli tu za tobą przyjechać.

–Nikt nie widział, jak go zabieram.

–Kto cię nauczył zwierania przewodów na krótko?

–Kluczyki były w stacyjce.

Null rozważał to przez chwilę w milczeniu.

–Wejdź do domu przez drzwi frontowe – poleciał w

**końcu. – Nie rozłączaj się.**

**Mitch spostrzegł, że zamek drzwi został przestrzelony. Wszedł do środka.**

**Hol wejściowy był olbrzymi. Chociaż nie wykonano żadnych prac wykończeniowych, nawet Julian Campbell byłby pod wrażeniem.**

**–Przejdź przez kolumnadę do salonu dokładnie prosto**

**przed tobą – powiedział Jimmy Null, odczekawszy chwilę,**

**żeby zagrać mu trochę na nerwach.**

**Mitch wszedł do salonu. Wychodzące na zachód okna sięgały od podłogi do sufitu. Choć szyby były przykurzone, widok zapierał dech. Zrozumiał, dlaczego Turnbridge chciał umrzeć, mając go przed oczyma.**

**–Okej. Jestem w salonie.**

**–Skręć w lewo i przejdź przez pokój – polecił mu Null. – Szerokie przejście prowadzi do mniejszej bawialni.**

**W rezydencji nie zamontowano żadnych wewnętrznych drzwi. Te oddzielające salon od bawialni, z której rozciąga! się równie wspaniały widok, musiałyby mieć dziewięć stóp wysokości.**

**Z miejsca, w którym stoisz, zobaczysz kolejne szerokie przejście na wprost i węższe po twojej lewej stronie – powiedział Null.**

**–Tak jest.**

**–Tymi węższymi wchodzi się do holu. Hol prowadzi do innych pokoi i do kuchni. Ona jest w kuchm. Ale nie zbliżaj się do niej.**

**–Dlaczego? – zapytał Mitch, kierując się w stronę wyznaczonego przejścia.**

**–Bo to ja nadal ustaliam reguły. Jest przykuta do rury,**

**a ja mam klucz. Zatrzymaj się po prostu tuż przy wejściu do kuchni.**

**Im dalej Mitch szedł korytarzem, tym bardziej wydawał się on dłuższy. Wiedział, że ten teleskopowy efekt jest psychologicznej natury. Tak bardzo chciał zobaczyć Holly.**

**Nie zaglądał do żadnego z mijanych pokoi. Null mógł ukrywać się w każdym z nich. To nie miało znaczenia.**

**Wchodząc do kuchni, od razu ją dostrzegł. Kamień spadł mu z serca i zaschło w ustach. W tej jednej chwili poczuł, że warto było przejść przez to wszystko, znieść każdy ból, popełnić każdy straszny uczynek, który popełnił.**

**W trakcie rozmowy telefonicznej świr wchodzi do kuchni i Holly słyszy jego ostatnie instrukcje.**

**Wstrzymuje oddech, nasłuchując kroków. Kiedy słyszy zbliżającego się Mitcha, do oczu napływają jej gorące łzy, ale powstrzymuje je, mrugając powiekami.**

**Chwilę później Mitch wchodzi do kuchni. Wymawia tak czule jej imię. Jej mąż.**

**Wcześniej stała z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, wsuniętymi pod pachy i zaciśniętymi w pięści. Teraz opuszcza ręce po bokach, lecz nadal zaciska je w pięści.**

**Świr, który wyciągnął paskudnie wyglądający pistolet, skupia całą uwagę na Mitchu.**

**–Rozpostrzyj ramiona jak ptak.**

**Mitch wykonuje jego polecenie, trzymając w prawej ręce**

**białą torbę na śmieci.**

**Ma brudne ubranie. Potargane włosy. Cała krew odpłynęła mu z twarzy. Jest piękny.**

**–Podejdź powoli do przodu – mówi zabójca. Mitch ro**

**bi to i świr każe mu zatrzymać się piętnaście stóp od sie**

**bie.**

**–Połóż torbę na podłodze – rozkazuje. Mitch kładzie ją na zakurzonej wapieniu. Torba rozpląszcza się, ale nie otwiera.**

**–Chcę zobaczyć pieniądze – mówi świr. – Uklęknij**

**przed torbą.**

**Holly nie podoba się to, że Mitch klęka. To jest pozycja, którą kaci każą przyjąć ofiarom przed zadaniem ostatecznego ciosu.**

**Musi coś zrobić, lecz nie nadszedł jeszcze odpowiedni moment. Jeżeli się zbyt pospieszy, jej plan legnie w gruzach. Instynkt każe jej poczekać, mimo że strasznie trudno jest czekać, gdy Mitch jest na kolanach.**

**–Pokaż pieniądze – rozkazuje świr, trzymając pistolet**

**oburącz i zaciskając palec na spuście.**

**Mitch otwiera torbę i wyciąga opakowany w plastik blok gotówki. Rozdziera plastik z jednej strony i przesuwa kciukiem po studolarowych banknotach.**

**–Obligacje na okaziciela? – pyta zabójca.**

**Mitch wrzuca gotówkę do torby i ponownie do niej sięga.**

**Świr tężeje i prostuje ręce, w których trzyma pistolet. Nie**

**odpręża się nawet wtedy, kiedy Mitch wyjmuje z torby wyłącznie dużą kopertę.**

**Z koperty Mitch wyciąga pół tuzina oficjalnie wyglądających certyfikatów. Wysuwa jeden do przodu, żeby zabójca mógł go przeczytać.**

**–W porządku. Włóż je z powrotem do koperty. Mitch wykonuje polecenie, nadal na klęczkach.**

**–Gdyby twoja żona miała możliwość osobistego spełnienia – mówi świr – o którym nigdy wcześniej nie marzyła, szansę na iluminację, na transcendencję, z pewnością chciałbyś, żeby dostała lepszego losu.**

**Zdezorientowany Mitch nie ma pojęcia, co powiedzieć, ale Holly wie, że nadeszła odpowiednia pora.**

**–Zesłano mi znak – mówi. – Moja przyszłość jest w**

**Nowym Meksyku.**

**Podnosi obie ręce, otwiera dłonie i pokazuje krwawiące rany.**

**Z ust Mitcha wrywa się mimowolny okrzyk. Zabójca zerka na Holly i z osłupieniem wpatruje się w jej sty-gmaty.**



Dziury po gwoździach nie są nadprzyrodzone i nie przebijają dłoni na wylot. Holly sama się skaleczyła i rozdrapała rany z brutalną determinacją.

Najgorsze było to, że nie wolno jej było jęknąć z bólu. Gdyby zabójca usłyszał jęk, wróciłby do kuchni, żeby zobaczyć, co robi.

Z początku rany krwawiły zbyt obficie. Zakleijała sproszkowanym gipsem, żeby zatamować krwawienie. Zanim gips zadziałał, krew poplamiała podłogę, ale Holly zasypała szybko plamy kurzem.

Trzymając zaciśnięte dłonie pod pachami, kiedy Mitch wszedł do kuchni, zdrapała gipsowe czopy z ran, z powrotem je otwierając.

Płynąca z nich teraz krew fascynuje zabójcę. – W Espanoli, gdzie zmieni się twoje życie – mówi Holly – mieszka kobieta, która nazywa się Rosa Gonzales i ma dwa białe psy.

Lewą ręką ściąga w dół sweter przy szyi, odsłaniając dekolt.

Zabójca wpatruje się w jej piersi, a potem w oczy. Holly wsuwa prawą dłoń między piersi i łapie gwóźdź. Boi się, że nie zdoła go utrzymać w śliskich palcach. Zabójca zerka na Mitcha.

Holly łapie mocniej gwóźdź, odsłania go i wbija w twarz zabójcy, celując w oko, lecz zamiast tego przyszpilając jego kominiarkę, przebijając i rozdzierając policzek.

Krocząc i szorując językiem o gwóźdź, zabójca odskakuje od niej i strzela na oślep. Pociski walą w ścianę.

Holly widzi, że Mitch podnosi się szybko z kolan z własnym pistoletem.

–Odsuń się, Holly – krzyknął Mitch i zrobiła to, zanim wymówił jej imię, oddalając się od Jimmy'ego Nulla na tyle, na ile pozwolił jej łańcuch.

Z bliskiej odległości, celując w brzuch, lecz trafiając w pierś, opuszczając lufę, którą poderwała w górę siłą odrzutu, strzelając ponownie, opuszczając lufę, strzelając, strzelając, chyba parę razy chybił, ale widział, że trzy albo cztery kule rozerwały wiatrówkę. Każdy strzał odbijał się potężnym echem w wielkim domu.

Null poleciał do tyłu i stracił równowagę. Jego pistolet miał wydłużony magazynek i był chyba automatyczny. Padające z niego pociski przeszywały ścianę i sufit.

**Zabójca trzymał go tylko w jednej ręce i może wskutek siły odrzutu, a może dlatego, że osłabł, pistolet wysunął mu się z dłoni, odbił od ściany i upadł na podłogę.**

**Null zakołysał się na piętach, zachwiał, po czym runął na bok i przewrócił się na twarz.**

**Kiedy przebrzmiało echo wystrzałów, Mitch usłyszał jego chrapliwe rżenie. Podejrzewał, że tak właśnie oddychają ludzie ze śmiertelną raną płuc.**

**Nie był dumny z tego, co zrobił potem, nie czerpał z tego żadnej mściwej satysfakcji. Tak naprawdę mało brakowało, żeby tego nie zrobił, wiedział jednak, że nie przyniesie mu to rozgrzeszenia, gdy będzie zdawał relację z tego, jak przeżył swoje życie.**

Staął nad rżącym mężczyzną i strzelił mu dwa razy w plecy. Strzeliłby jeszcze raz, ale skończyły mu się naboje w pistolecie.

Holly, która przykucnęła podczas strzelaniny, wstała, kiedy się ku niej odwrócił.

–Ktoś jeszcze? – zapytał.

–Tylko on, tylko on. Skoczyła ku niemu i zarzuciła mu ręce na ramiona.

Jeszcze nigdy nie ścisnął jej tak mocno, z taką słodką zaciekłością.

–Twoje ręce.

–To drobiazg.

–Twoje ręce – powtórzył z naciskiem.

–To drobiazg, żyjesz, nic mi nie jest.

Całował każde miejsce na jej twarzy. Usta, oczy, brwi, ponownie słone od łez oczy i usta.

W pomieszczeniu unosił się odór prochu, trup leżał na podłodze, Holly krwawiła i pod Mitchem ugięły się nogi. Chciał zaczerpnąć świeżego powietrza, poczuć rześki wiatr, chciał ucałować ją w promieniach słońca.

–Wynośmy się stąd – powiedział.

–Łańcuch.

Mała nierdzewna kłódka spinała ogniwa łańcucha na jej nadgarstku.

–On ma kluczyk – powiedziała.

Obserwując bacznie Nulla, Mitch wyjął zapasowy magazynek z kieszeni dżinsów. Wyjął z pistoletu zużyty i zastąpił go świeżym.

–Jeden ruch, a przestrelę ci mózg – powiedział, wbi

jając lufą w tył głowy porywacza, lecz nic doczekał się

oczywiście żadnej odpowiedzi.

Nie bacząc na to, wcisnął lufą jeszcze mocniej i zaczął przeszukiwać wolną ręką

**kieszenie wiatrówki. Odnalazł kluczyki w drugiej.**

**Łańcuch zsunął się z jej nadgarstka, kłódka stuknęła o podłogę.**

**–Twoje ręce – wyszeptał, – Twoje piękne ręce. – Wi**

**dok jej krwi przeszywał mu serce. Przypomniał sobie sfin**

**gowaną sceną zabójstwa w ich kuchni, krwawe ślady dłoni,**

**ale patrzeć na to, jak krwawi, było gorsze, o wiele gorsze.**

**–Co się stało z twoimi rękoma?**

**–Nowy Meksyk. Nie jest tak źle, jak wygląda. Potem ci**

**wyjaśnią. Chodźmy. Wynośmy się stąd.**

**Mitch podniósł z podłogi torbę z okupem. Holly chciała ruszyć ku wyjściu, ale on wyprowadził ją na korytarz, jedyną trasą, jaką znał.**

**Idąc, Holly zarzuciła mu prawą ręką na ramię, a on objął ją lewą w pasie. Po drodze mijali puste pokoje, nawiedzane bądź nie przez duchy, a jego serce biło tak samo szybko jak podczas strzelaniny. Miał poczucie, że będzie tak walić do końca życia.**

**Korytarz był długi i w bawialni nie mogli się powstrzymać, żeby nie wyrzeć przez zakurzone wielkie okna.**

**Kiedy przeszli do salonu, gdzieś wewnątrz domu zaryczał uruchamiany silnik. Jego jazgot niósł się z pokoju do pokoju, odbijając od wysokich sufitów i uniemożliwiając dokładne ustalenie, skąd dochodzi.**

**–Motocykl – powiedziała Holly.**

**–Kamizelka kuloodporna – rzekł Mitch. – Miał ją pod wiatrówką.**

**Siła strzałów, zwłaszcza dwóch ostatnich, w plecy, musiała na krótko pozbawić Jimmy'ego Nulla przytomności.**

**Jak się okazało, nie miał zamiaru odjechać stąd furgonetką którą przyjechał. Zostawił wcześniej motocykl gdzieś nieopodal kuchni, prawdopodobnie w pokoju śniadaniowym, żeby – gdyby coś nie poszło po jego myśli – opuścić dom dowolnym wyjściem. Znalazłszy się na zewnątrz, mógł uciec nie tylko przez bramę budowlaną ale zjeżdżając serpentynami po zboczach albo jakąś inną trasą.**

**Ryk silnika wzógł się i Mitch domyślił się, że Jimmy nie zamierza uciekać. I nie chodziło mu wcale o okup.**

Cokolwiek zaszło między nim i Holly – Nowy Meksyk, Rosa Gonzales, dwa białe psy i krwawe stygmaty – to właśnie go zatrzymywało, to oraz upokorzenie, którego doznał, gdy gwóźdź wbił mu się w twarz. Z powodu tego gwoźdź zależało mu na Holly bardziej niż na pieniądzech, zależało mu na jej śmierci.

Logika podpowiadała, że jest gdzieś za nimi i wyjedzie z bawialni.

Mitch przebiegł razem z Holly przez olbrzymi salon w stronę równie wielkiej sali recepcyjnej i znajdujących się za nią drzwi frontowych.

Logika ich zawiodła. Byli mniej więcej w połowie salonu, kiedy dosiadający kawasaki Jimmy Null wyskoczył skądś i przemknął wzdłuż kolumnady, która oddzielała ich od sali recepcyjnej.

Mitch pociągnął Holly z powrotem, a Null wjechał między kolumnami do sali recepcyjnej. Zawrócił tam z piskiem opon i ruszył prosto na nich, mijając tamtą salę, mijając kolumnadę, nabierając szybkości.

Null nie miał pistoletu. Skończyła mu się amunicja. A może zaślepiony wściekłością zapomniał o broni.

Chowając za sobą Holly, Mitch podniósł oburącz championa i pamiętając o muszce i białej kropce, otworzył ogień, kiedy Null mijał kolumnadę.

Tym razem celował w pierś, mając nadzieję, że trafi w głowę. Dystans pięćdziesięciu stóp zmniejszał się huk odbijał się echem od ścian. Pierwszy strzał za wysoko opuść broń, drugi strzał, opuść broń, trzydzieści stóp trzeci strzał. OPUŚĆ BRONŃ! Czwarty pocisk odstrzelił Jimmy'emu Nullowi mózg tak raptownie, że jego dłonie odskoczyły od kierownicy.

Trup zatrzymał się, lecz motocykl pędził dalej z piskiem i dymem opon, podrywając w górę przednie koło, przewracając się, sunąc w ich stronę, mijając ich, aż w końcu trafił w jedno z wielkich okien i wypadł na zewnątrz.

Upewnij się. Zło jest niezniszczalne niczym karaluch. Upewnij się, upewnij. Z championem w obu rękach podejdź do niego spokojnie, bez pośpiechu, obejdź go dookoła. Nie wdepnij w płamy na podłodze. Szaro-różowe płamy, kawałki kości, kępki włosów. Facet nie może żyć. Niczego nie traktuj jako oczywiste.

Mitch ściągnął maskę, żeby zobaczyć twarz ale pod spodem nie było już twarzy i mieli to za sobą. Mieli to za sobą.

Latem, kiedy Anthony ma trzy latka, świętują trzydzieste drugie urodziny Mitcha, urządzając przyjęcie w ogrodzie.

Wielka Zieleń ma teraz trzy ciężarówki i pięciu nowych pracowników oprócz Iggy'ego Barnes'a. Wszyscy przychodzą ze swoimi żonami i dziećmi, a Iggy przyprawia wahinę o imieniu Madelaine.

Holly zaprzyjaźniła się – tak jak zaprzyjaźnia się z wszystkimi – z ludźmi z agencji nieruchomości, w której zajęła w tym roku drugie miejsce w wynikach sprzedaży.

Choć zaledwie dwanaście miesięcy po Anthonym przyszła na świat Dorothy, nie przeprowadzili się do większego domu. Holly tutaj dorastała, ten dom to jej historia. Poza tym sami też wiele tu przeżyli.

Zanim urodzi się trzecie dziecko, dobudują piąte piętro. I będą mieli trzecie dziecko.

Zło przekroczyło próg tego domu, lecz nie pozwoli, by wypędziło ich stąd jego wspomnienie. Miłość zmywa do czysta najgorsze plamy. Tak czy inaczej nie można uciec przed złem. Można mu tylko stawić opór. I przeciwstawić oddanie.

Na przyjęcie przychodzi również Sandy Taggart, ze swoją żoną Jennifer i dwiema córkami. Na wypadek gdyby Mitch nie znalazł najnowszych wiadomości – których, jak się okazuje, nie zna – przynosi ze sobą gazetę. Juliana Campbell, który został już skazany i złożył apelację, znaleziono z

poderżniętym gardłem w więziennej celi. Podejrzewa się morderstwo na zlecenie, ale sprawca nie został jeszcze zidentyfikowany.

Chociaż Anson siedzi w innym więzieniu niż to, w którym umieszczono Campbella, w końcu się o tym dowie. Będzie miał o czym myśleć w trakcie zmagania adwokatów, którzy starają się odwlec dzień, kiedy otrzyma śmiertelny zastrzyk.

Młodsza siostra Mitcha, Portia, przyjeżdża na urodziny aż z Birmingham w Alabamie, razem z piątką dzieci i swoim mężem restauratorem, Frankiem. Megan i Connie nie pragnęły zacieśnienia więzów, lecz Mitch i Portia zbliżyli się do siebie. Mitch ma nadzieję, że z czasem pojedna się z dwiema pozostałymi siostrami.

Daniel spłodził wraz z Kathy pięcioro dzieci, ponieważ twierdził, że nie wolno pozostawiać irracjonalistom dzieła kontynuacji gatunku. Materialiści muszą rozmnażać się z takim samym wigorem jak wierzący, w przeciwnym razie świat zmieni się w piekło za Bożym przyzwoleniem.

**Portia zrównoważyła ojcowską piątkę swoją własną i wychowała dzieci w tradycyjny sposób, bez pokoju nauki.**

**W ten świąteczny wieczór uczują przy stolach wystawionych na patio i trawniku, a Anthony siedzi dumnie na specjalnym krześle, które Mitch zbudował dla niego na podstawie projektu Holly i pomalował na wesoły czerwony kolor.**

**–To krzesło – powiedziała Anthony'emu matka – poświęcone jest pamięci chłopca, który przez pół wieku miał sześć lat i przez pięćdziesiąt sześć lat był otoczony miłością. Jeżeli kiedykolwiek pomyślisz, że nie jesteś otoczony miłością, usiądziesz na tym krześle i będziesz wiedział, że jesteś kochany, tak jak był kochany ten drugi Anthony, tak jak mało kto kocha swoje dzieci.**

**–Czy mogę zjeść loda? – odparł na to Anthony, który ma trzy latka.**

**Po kolacji wszyscy tańczą na rozłożonym na trawniku**

**składanym parkiecie, a kapela nie jest tak drętwa jak na ich weselu. Nie mają tamburynów i akordeonu.**

**Później, dużo później, po odjeździe kapeli i gości, kiedy ich dzieci śpią smacznie w łóżeczkach na tylnej werandzie i Mitch i Holly mają cały parkiet wyłącznie dla siebie, on prosi, by zatańczyła z nim do muzyki z radia. Trzyma ją blisko siebie, lecz niezbyt mocno, bo wie, że może się potłuc. Kiedy tak tańczą, mąż i żona, Holly kładzie mu dłoń na twarzy, jakby po tylu latach nadal dziwiła się, że sprowadził ją z powrotem do domu. Mitch całuje blizny na jej dłoniach. Pod wielkim rozgwieżdżonym niebem, w świetle księżyca, jest tak śliczna, że zawodzą go słowa, podobnie jak zawodziły go często wczemuje. Jocią znają tak samo dobrze jak siebie, wie, że, równie tajemnicza, jak śliczna,**

**z oczyma, w których yczai się głębia – lecz nie bardziej tajemnicza niż gwiazdy i księżyc i wszystkie rzeczy na ziemi.**

**Polecamy thrillery Deana Koontza**



# INWAZJA

**Slim MacKenzie dysponuje darem stanowiącym prawdziwe przekleństwo – wśród zwykłych ludzi rozpoznaje istoty, które ich tylko udają. Nazywa je „goblinami”. Gobliny to przedstawiciele starożytnej rasy, wyposażeni w zdolność zmieniania kształtów i zakodowaną nienawiść do ludzkiego gatunku. Już raz w odległej przeszłości udało im się wywołać wojnę jądrową. Ludzkość jednak przetrwała. Teraz w ukryciu przygotowują nowy pian, który zapewni im ostateczne zwycięstwo. Slim zabija własnego wuja, szanowanego obywatela, a w istocie gobiina, i ukrywa się przed policją w wesołym miasteczku. Na swojej drodze spotyka obdarowaną podobnie jak on przez los piękną Ryę Raines. Razem podejmą walkę z obcymi...**

## DAR WIDZENIA

**Odd Thomas posiada „szósty zmysł” – dar widzenia duchów ludzi, którzy odeszli. Mieszkańcy zaświatów często szukają u niego pomocy. Tym razem odwiedza go duch doktora Jessupa, ojczyma jego najlepszego przyjaciela -Danny'ego. W domu Jessupów Odd znajduje zwłoki doktora, zamordowanego tępym narzędziem. Gdzie podział się jego przybrany syn-kaleka, którym się opiekował? Odd domyśla się, że chłopak został uprowadzony i wyrusza na poszukiwania. Trop prowadzi go w głąb ogromnej sieci tuneli rozciągającej się pod miasteczkiem Pico Mundo i okoliczną pustynią. Właśnie tam, w zrujnowanym kasynie po-**

**środku morza piasku, rozegra się dramatyczny finał, w którym Odd stanie się zakładnikiem pięknej kobiety pragnącej wykorzystać jego nadprzyrodzone zdolności...**

## NIEZNAJOMI

**Kilkoro ludzi mieszkających w różnych częściach USA, wykonujących różne zawody, nieznających się nawzajem, nęka na pozór nieuzasadniony, niesprecyzowany strach. Pisarz Dominick Con/aisis lunatykuje, uciekając przed nieokreślonym zagrożeniem. Doktor Ginger Weiss cierpi na ataki paniki. Ernie Błock, były żołnierz piechoty morskiej, zaczyna obsesyjnie bać się ciemności. Ksiądz Brendam Cronin przeżywa nagły kryzys wiary i niespodziewanie odkrywa u siebie niezwykle zdolności. Innych prześladują dziwne wizje, powracające koszmary, fobie i obsesje. Próbując zrozumieć, co się z nimi dzieje, prowadzeni przez niejasne wspomnienia i dostarczane przez kogoś wskazówki, paruobcych sobie ludzi trafia do położonego na odludziu motelu w stanie Nevada – miejsca, gdzie pewnej strasznej nocy wszyscy zostali poddani praniu mózgu...**

2011-02-19

*LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/*